

JERZY ŻUŁAWSKI

NA SREBRNYM GLOBIE

112
RĘKOPIS Z KSIĘŻYCA

1192
WYDANIE PIĄTE

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne
w Kałowicach~~



nr. 886
tab. 480

~~Państwowe Seminarium Duchowne
im. Stanisława Jachowicza
we Lwowie.~~

WARSZAWA 1922
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«



821.162.1-3



SN 14309



NA SREBRNYM GLOBIE



Państwowe Seminarium Pedagogiczne
im. Stanisława Jachowicza
we Lwowie.


Państwowy Uniwersytet Jagielloński
im. Stanisława Staszycy
w Krakowie.

Pięćdziesiąt lat blisko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszańszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał — i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorjum artykuł, przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owem nadzwyczajnem przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, oddawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z księżycyca.

Asystent, mimo wszystko, uporczywie obstawał przy swoim zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową, żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis, na księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu, można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać, Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje zapomocą sztucznych zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostroż-

nością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza, że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnem niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism dzieje całej wyprawy. I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, któreby przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w „wagonie“, który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców na powierzchnię księżyca, znaną do tego czasu jedynie ze znakomitych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w „Licke-Observatory“, — zajmowano się żywo wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnem miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem „odjazdu“. Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały „niedorzeczny i awanturniczy“ plan wyprawy, a uczestników jej nazywali wprost półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na „tchórzostwo i odstępstwo“ człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na ziemi również spokojny, a nierównie późniejszy, niż jego niedoszli towarzysze na księżycu. Największe jednak zaciekawienie wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy nie przyjmą do

swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne, przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy wkońcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkim odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem, bez porównania rzadszem od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełni liczby „lunatyków“, jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpacz, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania, nie dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografii, ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ściśle milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę, pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna. Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskim. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się poprostu w szal. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała „wyruszyć w drogę“, zaroila się od ludzi, przybyłych ze wszystkich części świata.

Fantastyczny pomysł Juljusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistnionym — w sto kilkanaście lat po śmierci autora.

Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszerny gotowej już studni

z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmialkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawile obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.

Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...

Według niezmiernie ścisłych i dokładnych obliczeń, pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu, przyciągania ziemi i siły rozpędowej, nabytej przez dzienny obrót ziemi dookoła osi, zakreślić w przestrzowie olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy, ku nam zwróconej, w okolicy „Sinus Medii“. Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej, niż słońce, potem coraz szybciej, w miarę, jak się od ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.

Sledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy, obok mnóstwa innych przyrządów, zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafji bez drutu, który, według obliczeń, powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących księżyc od ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depezę otrzymały

stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu, wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco: „Wszystko dobrze, niema powodu do obaw“.

W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie dwóch tylko ludzi; wieźli za to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy, jak poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z księżyca. Atoli z księżyca depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliza celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytlumaczonej przyczyny zбочył nieco z drogi i wskutek tego widocznem było, że spadnie na księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.

Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było ludzić co do losu nieszczęśliwców; pocóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy „międzyplanetarnej komunikacji“ przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącem wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu.

Przypomniał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nieznanego dotąd, a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszych obserwatorjum astronomicznem. Odtąd każdy

tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy, a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownymi iście odbitkami fotograficznymi.

Otóż, jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem: „Pewnego dnia po południu — opowiadał asystent — gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski, nieopodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż, choć mieszkał niedaleko, nie często się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się coprędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapalem badaniem meteorytów, przyszedł mi zatem powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobycia. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorjum, pojechałem sam na miejsce w celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy, nie mogliśmy nic znaleźć. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelaziwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tem miejscu mocno mnie zadziwiła. Zważyłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem

właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zadziwiająco. Powierzchnia jej była pokryta żużlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorytach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?

W tej chwili — nagle — błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa z przed lat pięćdziesięciu, której historję znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zatacnie podróżników, mimo beznadziejnej treści ostatniej depešy, jaką od nich ziemia otrzymała. Zawcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły; zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu, pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrążona.

W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie ludziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalenia się żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może — myślałem — da się z nich co odcyfrować.

Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza, że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne, a nawet — przyznaję — fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.

Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząśnień, mogących uszkodzić jej zawartość i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usilowaniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam,

ten pierwszy zgrzyt obracanej śruby przejął mię dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącym jeszcze sercem.

Śruba poruszała się zwolna, gdy wtém posłyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku i świst ustał natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliny, przez rozluźnienie śruby utworzoną!

Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalania, gdy kula rozżarzyła się, przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu śruby znalazłem w kuli, której wnętrze wyłożone było jeszcze warstwą wypalanej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale nie spalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w rękę.

Bądź co bądź postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślanie, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni röntgenowskich. Przypuszczałem — i jak się później okazało, słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom röntgenowskim, niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy

ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie i robiłem röntgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.

Za kilka tygodni postąpiłem był już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł, donoszący o wypadku... Dziś leży przedemną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany, i nie mam zgola wątpliwości, że został spisany na księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z księżycy na ziemię.

Co do reszty — treść rękopisu mówi sama za siebie.“

Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historję samejże wyprawy.

Przypomniał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma, O'Tamora, a pierwszym jej zapalonym i niewątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, sławny podówczas w Brazylii, portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w Polaku, Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą, dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przedewszystkiem tedy przedstawiono szkice projektu akademjom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanem uznaniem i obudziła zapal; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na księżyc, celem dowiedze-

nia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademji i astronomicznych instytutów, rządy pospieszyły z pomocą pieniężną, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z którymi można było już nie jedną, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.

Zalogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzej autorowie projektu; czwartym był Anglik, lekarz Tomasz Woodbell, piątym Niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się jakiś nieznamy ochotnik.

W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, Francuzów, nazwiskiem Remogner.

Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memorjału rozwinął się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opowiadał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię księżycy można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz, poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające podroźników zabezpieczyć od zmiążdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty, składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie „przenośnego pokoju“.

Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tem oddawna, chociaż go znają tylko zdaleka i — jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, księżyc oparł się zwyczajsko próbom przybliżenia go do ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać

wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około ziemi w średniej odległości trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w szklach o tysiącrotnem powiększeniu odległym od niej na 384 km., co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znaczniejszem powiększeniu z powodu za malej przezroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szklach dokładnie widocznych.

Nadto badaniu dostępna jest tylko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, siedmiu godzinach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak, że zwrócony jest ku ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.

Znana astronomom połowa księżyca wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinii ludzi, marzących o zamieszkaniu innych, niż ziemia, światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku nam półkuli ciągnie się szereg obszernych, kolistych płaszczyn, nazwanych przez pierwszych selenografów „morzami”. Równiny te, o stromych brzegach, utworzonych przez nie-



botyczne łańcuchy górskie, poprzerzynane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza, że na ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te, nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.

Jeśli sobie uprzytomnimy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że „dzień“ księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niestłuchanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą, niż nasze zimy podbiegunowe: będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do brania go sobie za „stałe miejsce pobytu“. Tem więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nieulegającymi wątpliwości wiadomościami o najbliższem ziemi ciele niebieskiem.

Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak-najprędzej tę gościnną półkulę i dostać się na drugą, od ziemi odwróconą stronę księżyca, gdzie spodziewali się nie bezpodstawnie znaleźć znośne warunki do życia. Większość piszących o księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać: wszakże O'Tamor, opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najłuchszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiazdzistemu niebu bodaj jedną z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnem, gdyż będą mogli spostrzeżeń

swych udzielić pozostałym na ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż — myśleli czasem upojeni wielkością swego przedsięwzięcia, nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie księżycy raj czarodziejski i dziwny, świat nowy, zgoła odmienny od ziemskiego, a gościnny? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na tej jasnej ziemi, w ciche noce świecącej kuli, nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może...

Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku ziemi zwróconą półkulę księżycy. Nie było to drobnostką. Obwód księżycy wynosi blisko jedenaście tysięcy kilometrów; gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pociąg — kształtu wydłużonego, z jednej strony stożkowo zakończonego cylindra — był też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego samochodu i zaopatrzonego obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę księżycy.

Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą biblioteczkę i... sukę z dwojgiem szczeniąt. Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.

Te wszystkie rzeczy przypomniał szczegółowy memoriał asystenta w K..., mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.

Rękopis sam, spisany po polsku na księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka, wyrzuconego na ląd, zawieszony w błękitie trzysta ośmdziesiąt cztery miliony metrów ponad ziemią.

A oto przedruk dosłowny owego rękopisu, według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorjum w K...

REKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA
DZIENNIK PODRÓŻY



Państwowe Seminarjum Uchroński
im. Stanisława Jachowicza
we Lwowie.

Na Księżycu dnia...

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsądził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsądził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, niema lat, niema miesięcy, ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli; spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie weszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wезде i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej, niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godzin będzie świecić nad naszymi głowami, a potem przyjdzie znowu noc, trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam, jak poprzedni, i znowu noc i znów dzień — i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy beczynnynie, zamknięci w naszym pocisku i czekamy słońca! O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna, jaśniejsza bez porównania od naszych — tam — ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie w czarnym niebie u zenitu i zalewa białym światłem tę pustkę strasliwą wokół nas... W tem dziwnym świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe... I mróz... Oh! jaki straszny mróz! — Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępował go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu i bardzo mało robi nadziei. Na Ziemi — powiada — wyleczyłby go. Ale tutaj, w tym ohydnych mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... Tobo było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta — a nawet Selena z obojgiem szczeniąt — jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tylko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! jak go ta kobieta kocha!

Oh! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabiących palców. O, kiedyż nareszcie wszędzie słońce!

Tejże nocy w 27 godzin później.

Z O'Tamoreem coraz gorzej; nie można się łudzić — to jest już agonja. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć. Marta zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ah! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłędek Selena. — On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczenięta położyliśmy w łóżku, obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej

nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wszędzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tem zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinniśmy już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku „wschodowi“ — jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło — niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać, ani uporządkować. Przedewszystkiem to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lekkości... Wiedzieliśmy na Ziemi, że Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a ośmdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czemś, a co innego czuć. Jesteśmy już blisko siedmdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczaić do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blisko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgiąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwytał go dłonią — i podniósł się cały w górę na dłoń! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedmdziesięciu kilku, tylko niespełna trzysta kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoździa staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek, ważący na ziemi dwa funty, waży tutaj za-

ledwie sto siedmdziesiąt parę gramów! Pióra, którem piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym ważkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tem uczuciu dziwnej lekkości... Moznaby naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi, świecącej na niebie jak Księżyc — tylko czternaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a wciąż mi się zdaje, że śnię lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerji. Lada chwila — myślę — spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną, jak sen...

I o tem przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia nieruchoma lampa, zawieszona wśród nieba. Ciągłe powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swą drogę, zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżyca. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedmdziesięciu godzin nieruchomie i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołem okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przedemną zwolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka — zwiężają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać.

Tak mi się zdaje, że cała ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitośne i czujne i wpatruje się uporczywie, a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem — pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy, zasłaniające okrągłe

szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal w pełni. Wtedy podobna była do oka, szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz zwolna zasuwana się na tę straszną, nieruchomą źrenicę, powieka cieniu. W chwili, kiedy słońce, niepoprzedzone świtem, wybuchnie z za skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnem niebie, już się to oko zmrúży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadle nad nami.

W trzy godziny później.

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którem zapełniam długie godziny, z konieczności beczynnie spędzane.

Z tą straszną ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu niema ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miał chorym się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępuje ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomności i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, strasznym mrozem przejmującej nas nocy.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tem uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonymi rękami, wołając: Na Ziemię! na ziemię! — i zaczęła płakać. A potem znowu wołała:

— Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! — cóżemy jej mieli odpowiedzieć!

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka milionów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jakgdyby przesłanie wiadomości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi, na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny — ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Ulegliśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam, poza chroniącemi nas ścianami istotnie już niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera wogóle istnieje, chociaż w takim rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy ją na *tamtej stronie* w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakimż drżeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami poraz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rtęć tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestach ścisnął nas za gardło; toby znaczyło — próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rtęć, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2.3 mm.! Odetchnęliśmy swobodniej — choć tem powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię! Włożywszy nasze *nurkowe ubrania* i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu, znajdującem się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło stamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili

ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklaną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się, jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musieliśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc, pomagała się nam porozumieć.

Wyjęliśmy armatę, umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz i puszkę z materiałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawić działo dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; wobec lekkości materiałów na Księżycu, siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznymi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie świeciło, a niema dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak niema, tak niema!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.

O'Tamor umarł.

Pierwszego dnia księżycowego, 3 g. po wschodzie słońca.

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszczamy się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz, po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru, zamienił się w wóz, który nas powiezie przez te pustynie ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion, przebyła wraz z nami te przestrzenie i oto przypomniała się zaraz na wstępie, że jest przy nas — nielitosna, zwycięzka, jak zawsze. Uczuliśmy jej obecność i bliskość: wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądaliśmy mimowoli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin i wyciągnawszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie! Podskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

— Śmierć idzie! — krzyknęła Marta.

A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O'Tamera, odwrócił się ku nam powoli:

— Już przysła — rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na niem ziemi i poczuliśmy gromadzić zrzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

— Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklistemi, rozwartemi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O'Tamora.

Wtem — gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku — stało się coś dziwnego. Szczyty gór, majaczące przed nami w trupiem świetle Ziemi, nagle, bez żadnego przejścia na jedno mgnienie oka, stały się krwawoczerwone, a potem zaraz rozplonęły białym, jarzącym blaskiem, na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór, przez kontrast oświetlenia poczerńawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisiały nad nami, powiększając się zwolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie długości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszemi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszemi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, — już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się mimowoli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego przykładem i — osłupiałem, uderzony nowem a niesłychanem widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się

bladawy, srebrzysty słup światła zodjakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy wtem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokręgu, błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione, życiodajne słońce, którego O'Tamor tu już nie zobaczy! Rozpłakaliśmy się obaj, jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe naprzód widziane płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je załśniewa, widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj — wobec braku powietrza — zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odblask na góry, nim się rozjarzą do biała w pełnym blasku dziennym.

Po kilkudziesięciu minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się nam nad widnokręgiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie z za tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas, mimo okropnego mrozu, zajmowaliśmy się przygotowaniem do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nie osłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok!...

Słońce płonie, jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach, jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała

i czarna. Niebo jest czarne i mimo, że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonym mnóstwem gwiazd; wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający — bez złągodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśniaco-biały od słonecznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Niema tu atmosfery, która tam na ziemi nadaje niebu tę cudowną, błękitną barwę, a sama światłem przesycona, roztopia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu!

Znajdujemy się na rozległej równinie z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkimi szczelinami i powydymanej w obłę, niewysokie, podłużne garby, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim. Na zachodzie (*wschód* i *zachód* naszego świata oznaczam zgodnie z *istotnym* stanem rzeczy, a więc *przeciwnie*, niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad którymi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnóstwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków, sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii*, gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczynę, znane z map: *Mosting*, *Sommering*, *Schroter*, *Bode* i *Pallas*, nie odpowiadają ani rozmieszczeniem, ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby, posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje

się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na *tamtą stronę*.

Za chwilę — nic tu już z nas nie pozostanie, kromia grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżyc.

Żegnaj mi więc, grobie towarzysza, pierwsza budowlo, jakąśmy wznieśli na tym nowym świecie! Żegnaj, martwy przyjacielu, ojciec nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi i opuścił na wstępie do nowego życia! Oto krzyż, zatknięty na twojej mogile, jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwyciężka, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią; ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię, która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

Pierwszego dnia księżycowego, 197 g. po wsch. słońca. Mare Imbrium, 11^o zach. dł., 17^o 21' pn. szer. księżycowej.

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blisko od dwustu godzin z tego bezdennego czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszymi głowami, wśród tumanu nieprzyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrabionego płomienną obrączką nasyconej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym niemi, jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą, jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na

Ziemi. Przytem tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką, wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innymi, bliższymi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedm ćwieków, wbitych w gładki strop. Droga mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowym węzłem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrzął na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a nie zaćmiewające ani najlichszego ze światel niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozpływać się, jak lód na naszych rzekach w piękne dni marcowe. Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed niem, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthena*sza wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Okrywszy się tu, spaliśmy, obezwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerwy. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przezczysty potok. Po błękitnem niebie szły białe obłoki; słyszałem śpiew ptaków i brzęczenie owadów i głos ludzi, wracających z pola...

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokoło, puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowiony żal chwycił mnie za piersi. Selena tymczasem

widząc, że już nie śpię, przyszła do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swemi rozumnymi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Pogłaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta, igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta, Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesołe.

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesoła, jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell, wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemno-brunatnych włosów. Wtedy jej smągła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdym spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwają po jego wychudłej ręce, szyi i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych, stalowych oczu, a potem, wzięwszy jego głowę w dłonie, tuli ją jak małe dziecko do piersi o nieskazitelnych linjach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych, tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskiem wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem poraz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylji, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na zatokę i rozmawialiśmy o tem odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natychmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indjach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz napół zalękniony, napół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i, przechyliwszy się przez stół, począł jej się bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

— Marto! ty tutaj! — krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności; rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły jej ciężko na płomienne, czarne źrenice; usta nieco rozchylone i okrągła, pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy z pod spuszczonych powiek:

— Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był błydy, jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

— To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snadź po wieku, że O'Tamor jest naszym wodzem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

— Paniel! — wołała, czepiając się jego odzienia — panie, weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham go, wszystkom dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuca! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza i przyjechałam aż z Indji! Weźcie mnie! Ja wam kłopotu nie zrobię, służą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie — ojciec mój był radzą w Travancore na Malabarskiem wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc, wyciągała śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się zachnął:

— Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego, niż podróż parowcem z Travancore do Marsylii!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili, licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar zdawna powzięty. Wie od Tomasza, że tam na Księżycu śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący do tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

— Pójdiesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwszemu, niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje; trzeba mu dać chininy.

W dwie godziny później.

Żar, zamiast ustawać, wzmaga się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuję, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blisko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego niema już między nami

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedm kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się stosunkowo bardzo szybko...

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że znajdujemy się na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy i zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, to też wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko — jedynie wspomnienie O'Tamora zasępiało na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć urocze plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niestęchaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrotna strona Księżyca ma być krajem, bynajmniej niepozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście — mówiliśmy sobie — jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokregu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto, zaiste, przebyć trzysta ośmdziesiąt cztery tysiące kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całym ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raj. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczeleć radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionymi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się niewysoki, obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku pół-

pocnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać. W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te turnie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie, otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona* i mamy teraz po prawej ręce krater *Mosting* o pokaźnej wysokości 2.300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmieniać pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału. Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się zwolna w górę; tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnymi odłamami gładów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z wozu i torować drogę, odwalając zagradzające gładzy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szeręg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, z poza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi, ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Ułynęło już dwadzieścia cztery godzin od wschodu słońca, kiedyśmy się dostali na gładką płaszczyznę z litej skały, po której można się było szybciej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przytem dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas niepokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o 6° ku wschodowi i 2° ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod 6° zachodniej długości i 2° południowej szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości; pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:

— A nasza armata! Zostawiliśmy armatę!

Istotnie, teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O'Tamora! Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana, a tem dotkliwsza, że

po zerwaniu telegraficznego połączenia, to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi, jakgdybyśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawiał przy tem zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

— Jeśli my mamy zginąć — mówił — pocóż mają ginąć jeszcze i inni. Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać — przynajmniej do czasu.

Jednakże nie łatwo było wrócić. Przedewszystkiem wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok, zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgubę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Powtórę, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została?

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza. Wszak bracia Remognerzy, mówił, nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. Zresztą niewiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemi w takim miejscu, gdzie ją będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego

miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunąwszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyślnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem, jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tem, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godzin i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagało się ciągle. Zauważyliśmy przytem ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana wozu, oświetlona słońcem, była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdybyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale zato ogrzewając się sama, rozprowadza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promienowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nierozprószone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, mu-

sielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczem niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam, wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani śladu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem niełączących się ze sobą głębokich kotlin, okrągłych, o wystających brzegach, albo też gładkimi, zupełnie luźnymi kopami, dochodzącymi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całymi milami, podobne do cięcia olbrzymiego toporu, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza, ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnym podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na grupy piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku po-

wietrza, nie słyszeliśmy huku; grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwach.

To wściekły ząb słońca odgryzł kawałek tego kamiennego świata. Skały, ściśnione w nocy mrozem, jak żelazną obręczą, podczas straszliwego upału dnia rozszerzają się od strony, wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pęknięcie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie zapomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy „łapy“, działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt i tak, podrzucani niemi, przedzieraliśmy się przez złomiska głązów, albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem, zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tem idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginąć wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemską dobą, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznym i rozpalonem powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmuję na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min, umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem wysunięte jednym naciśnięciem guzika stalowe rusztowanie ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym

hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: *Oto jesteśmy!* — i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie O'Tamora.

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt ośm godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzegliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej, niż czwartą część „dnia“ księżycowego, spaliśmy niewiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, poczem ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jakgdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiaste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczy, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów — i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnem niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja, wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był blady i czemś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł, nachylając się ku mnie:

— Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.

— Co? — zawołałem, nierozumiejąc jeszcze, o co mu chodzi.

— Myśmy spadli nie na *Sinus Medii*.

— Więc gdzież jesteście?

— Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy, łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem*.

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadle ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium*.

— Jakże my stąd zejdziemy! — zawołałem w przerażeniu.

— Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum*. Patrz...

Tu podsunął mi mapę i kartki, zapisane szeregiem cyfr.

— Czy się tylko nie mylisz? — odezwałem się.

— Tym razem nie myślę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek

czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla małą elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem.

— Uspokój się! — rzekłem, choć drżałem sam na całym ciecie. — Może się nam uda ocalić.

Zaczem wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym razem nie było zgola wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod $7^{\circ} 35'$ z. dł., a $13^{\circ} 8'$ pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynającego się tu *Apeninu*. Obecnie znajdowaliśmy się pod 11° z. dł., a $15^{\circ} 51'$ pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy, przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m. nad poziom *Mare Imbrium*.

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas, gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my, znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy, sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć, jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, któraby mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiał dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tem, że rtęć w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im

tedy jak najogólniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

— To cóż — odezwała się — zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? — tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium*. Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią!

Ośłupieliliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skała urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tysiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconymi po niej zrzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry, nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśniąca białością od zupełnie czarnego tła gwiazdowego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokregu ku północy sterczał przed nami wśród niezmierzonej płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedm tysięcy stóp.

Na Ziemi góry zdala widne przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawo-błękitną; tutaj szczytów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubymi, czarnymi pasami cieniów i lśnięciami się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie

szczerbiła się na niebie pła niższego odeń i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczyły widnokrąg, liczne, drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym się w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali, na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeśli powiedziałem, że *Timocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie biło z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały z za licznych wzniesień w niezmiernej oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedes*a. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty — z jednej strony niebotycznym pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratosthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.

A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakąż straszną ironją wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimno-szara, poorana tu i ówdzie potwornymi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratosthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich, odległych kraterów, lśniły się gdzieniegdzie świetne, do pasm drogich kamieni podobne, żółte, czerwone i stalowo-sine żyły jakichś pokładów.

Patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, nie wiedząc, jaką obrać drogę. Dostawszy się na płaszczyznę *Morza Dżdżów*, mielibyśmy przed sobą przestrzeń, po którejbyśmy mogli rażno się posuwać; ale w tem była cała trudność, jak się na nią dostać? jak się spuścić z owej, tysiąc metrów wysokiej, prostopadłej ściany?

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy piechotą ku południu, w tej nadziei, że się nam może uda znaleźć drogę po zboczach krateru *Eratosthenesa*. Szliśmy po wąskiej płaszczyźnie, wciśniętej między skały a przepaść, otwierającą się ku *Mare Imbrium*. W jednym miejscu przejście było tak wąskie, że chcieliśmy już zawrócić, zwątpiwszy, aby się nam udało tędy przedostać z wozem. Na szczęście Marta, która nam towarzyszyła, przypomniała, że posiadamy pewien zapas min, któremi będzie można z łatwością rozsadzić niewielki, zastępujący nam próg skalny. Ominęliśmy go tedy, przeciskając się ponad zawrotną przepaścią i poszliśmy dalej. Teraz grzbiet górski, znacznie rozszerzony i płaski, podnosił się zwolna ku górze. Szliśmy wciąż ku południu; na prawo i na lewo piętrzyły się już potworne turnie pierścienia *Eratosthenesa*.

Po upływie pół godziny od chwili okrążenia owego progę, stanęliśmy, zatrzymani nową przepaścią, która się tak niespodziewanie otworzyła pod naszymi nogami, że Piotr, który szedł naprzód i pierwszy się wdarł na zaślaniający ją przed naszym wzrokiem próg, skoczył w tył z okrzykiem przestachu. Zaiste, trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego na widok, jaki się roztaczał teraz przed nami.

Posuwając się wciąż w południowym kierunku, dostaliśmy się, nie wiedząc o tem, w głęboką szczybę, wyrzniętą już w samej grani *Eratosthenesa*. Na prawo i na lewo piętrzyły się poszarpane turnie, z których jedna lśniaco-biała w słonecznym blasku, druga w cieniu całkiem niemal czarna. A przed nami... nie! któż to opisać zdoła! — przed nami otchłań! czeluść bezdenna i niewypowiedziana, coś tak potwornego, wprost tak drapieżnego w niesłychanym majestacie grozy, ogromu i martwoty, że teraz jeszcze dreszcz paraliżującej trwogi mnie przechodzi, gdy sobie o tem przypominę!

Przed nami było wnętrze krateru *Eratosthenesa*.

Potężny wał górski, najeżony jak piła szczytami, zataczał

tu krąg zamknięty o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, tworząc w ten sposób rozległą kotlinę, najstraszniejszą zapewne, jaką kiedykolwiek widziało ludzkie oko. Turnie, wznosząc się przeszło na cztery tysiące metrów ponad dnem tej przepaści, spadały ku niej prawie pionowo, we wściekłych jakichś podrzutach. Wyglądało to, jakby w otchłań waliły w skoku zastygłe, o iglice poszarpane kamienne kaskady. Kotlina, zagłębiona jakie dwa tysiące metrów w stosunku do poziomu oddzielonej od niej wałem równiny *Mare Imbrium*, wydawała nam się znacznie jeszcze głębszą z powodu olbrzymich gór okolicznych i grubych cieniów, które ją w całości prawie zalegały. Z dna jej sterczało kilka odosobnionych, zrzadka rozsianych stożkowych szczytów, dochodzących połowy wysokości okolicznego wału. Patrzyliśmy na nie z góry naszego kamiennego okna. Z paru z nich wybuchały co pewien czas niewielkie obłoki ciemno-szarego dymu, opadające w tej chwili z powodu braku atmosfery i rozścielające się płasko u ich podnóża, jak popiół. Nie było wątpliwości, że mieliśmy jeszcze niewygasłe wulkany przed sobą.

Jaskrawe przeciwieństwa światła i cieniów wznagały jeszcze uczucie grozy. Cały wschodni brzeg wnętrza tonął w grubym mroku, zlewając się w jedną tajemniczą i ciemną oponę z czarnym niebem u góry; brzeg zachodni zato iskrzył się w słońcu białą ścianą, porysowaną ciemnymi żłebami i zjeżoną mnóstwem nieprawdopodobnych iglic, jakgdyby kościanych wieżyc, widniejących na tle czarnych plam cienia. Od południa wał z powodu odległości wydawał się niższy i był podobny do najeżonej kolcami bramy tej strasznej czeluści. U stóp naszych — zawrotna przepaść.

A nad tem wszystkim, po czarnem, niemigotliwemi gwiazdami zasianem niebie, szło ogniste, bezpromienne słońce, coraz bliższe Ziemi, która lśniła trupim blaskiem, wygięta w wąski, ostry sierp, zawieszony nad tym padołem, jakby znak śmierci.

Mimowoli w uszach zaszumiły mi słowa Danta:

*Vero é che in su la proda mi trovai
della valle d'abisso dolorosa...*

I na przypomnienie tych słów w mózgu moim, osłabłym ze znużenia, upału i przestachu, zaczęła się budzić wizja dan-tejskiego piekła, które, zaiste, nie mogło być straszliwszem od tego, co miałem przed oczyma! Poruszające się na dnie olbrzymiego kotła dymy, zdały mi się korowodami potępień-czych duchów, wirujących około potwornej postaci Lucyfera, którego kształty przybrał w mych oczach jeden z wulkanicznych stożków... Pełno duchów, straszna procesja potępieńców. Snują się wszędzie, po skalistych stokach czeluści płyną ogromną falą, zsuwają się w głąb żlebami, przewalają się, kotłują, cisną. Niektóre chcą się wznieść w górę, na świat, na słońce — odrywają się od dna całymi chmurami i opadają znowu jak ołowiane pary na miejsce wieczystej kaźni...

A wszystko odbywa się w takiej strasznej, dreszczem przejmującej głuszy...

Świat zaczął mi w głowie wirować; czułem, że jestem bliski utraty przytomności.

Wtęm doleciał mnie płacz. Byłem tak oszołomiony, iż w pierwszej chwili sądziłem, że istotnie słyszę głos potępień-ców... Ale tym razem nie była to wizja. Rzeczywiście słychać było płacz przez rurę, łączącą głowy naszych powietrzochronów.

Oprzytomniałem nieco i spojrzałem dokoła. Woodbell, oparty plecami o skałę, stał blady ze spuszczoną głową; Varadol, podobny z ruchów do dzikiego zwierza na uwięzi, chodził niespokojnie, o ile mu grunt i długość rury na to pozwalały i rozglądał się, jakgdyby szukał wśród tych turni drogi i wyjścia. Marta klęczała na ziemi z czołem przy kolanach i trzęsa się od łkania, przestachem i najwyższym podrażnie-niem nerwów wywołanego.

Niezmierną litością zdjęty, zbliżyłem się ku niej i opar-

łem zwolna dłoń na jej ramieniu. Wtedy ona z jakąś dzięciącą skargą zaczęła wołać, jak w ową pamiętną, długą noc przed śmiercią O'Tamora:

— Na Ziemię! na Ziemię!

Taka głęboka, przejmująca rozpacz była w jej głosie, że nie mogłem znaleźć słowa, aby ją pocieszyć. Zresztą, jak to zrobić? — położenie nasze było istotnie rozpaczliwe. Zwróciłem się do Varadola:

— Co teraz będzie?

Piotr ruszył ramionami.

— Nie wiem... śmierć. Wszak stąd zejść niepodobna.

— A gdyby wrócić! — wtrąciłem.

— O, tak! wrócić! wrócić! — łkała Marta.

Varadol zdawał się płaczu jej nie słyszeć. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem odpowiedział, zwracając się do mnie:

— Wrócić... chyba po to, aby, straciwszy wiele drogiego czasu, spotkać na innej drodze podobną znów do tej przeskodę. Patrz! — tu odwrócił się twarzą ku północy i wskazał okiem nieprzejrzaną równinę *Mare Imbrium*, leżącą poza nami — gdybyśmy się mogli tam dostać, mielibyśmy względnie równą drogę przed sobą, ale tam się nie dostaniemy... Chyba na łeb...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. *Morze Dżdżów*, gładkie, oświetlone słońcem, wydało mi się rajem — zwłaszcza w porównaniu ze straszmem wnętrzem *Eratosthenesa*. Poczynano się tuż prawie u naszych stóp, zda się, tak bliskie, że dość skoczyć, aby się tam znaleźć. Dzieliło nas jednak od upragnionej równiny tysiąc metrów pionowej skały nie do przebycia.

Zbiliśmy się wszyscy w kupkę i poczęliśmy patrzeć z niewypowiedzianem pożądaniem na tę przestrzeń, mogącą nas zbawić. Nie czuliśmy znużenia, ani gryzących promieni słońca, które już połową tarczy wyjrzało z za krawędzi skalnej nad nami.

Po chwili Piotr powtórzył:

— Tam się nie dostaniemy...

Odpowiedział mu głośny, spazmatyczny płacz Marty, która niezdolna już była panować nad sobą.

Varadol zachnął się niecierpliwie:

— Milcz! — krzyknął, chwytając ją za ramię — bo cię stąd strącę! Dość mamy kłopotu!

Wtedy nagle Tomasz wysunął się naprzód:

— Daj pokój — i ty nie płacz; dostaniemy się na *Mare Imbrium*. Wracajmy po wóz.

Tyle było stanowczości i pewności siebie w tych spokojnie, choć dobitnie powiedzianych słowach, że zwróciliśmy się na miejscu, aby wykonać rozkaz, nie śmiejąc sprzeciwić się, ani pytać.

Woodbell nas jeszcze zatrzymał.

— Patrzcie! — mówił, wskazując zewnętrzne, ku *Morsu Dżdżów* opadające stoki *Eratosthenesa* — widzicie tę grań, tu, o pięćdziesiąt metrów niżej poczynającą się u stóp urwistej ściany? O ile można stąd ocenić, opada dość łagodnie aż ku płaszczyźnie; tędy zdołamy zjechać na dół...

— Ale ta ściana... — szepnąłem mimowoli, poglądając na prostopadle urwaną skałę, która nas dzieliła od rozłożystego grzbietu grani, poprzednio niedostrzeżonej.

— Głupstwo! jesteśmy przecież wprawni w spinaniu się po skałach! obejdziemy ją bokiem z łatwością. A wóz?... wóz zepchniemy naprzód, uwiązawszy go na linach. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Księżycu, gdzie ciała są sześć razy lżejsze, a spadek z wysokości pięćdziesięciu metrów znaczy tyle, co z wysokości ośmiu na Ziemi!

Uczyniliśmy według rady Tomaszowej.

W sto dziewięć godzin po wschodzie słońca poczęliśmy zjeżdżać po stromem zbocz *Eratosthenesa*, aby się dostać na *Mare Imbrium*. Prawie całe trzy ziemskie doby trwało owo spuszczenie się w dolinę, tuż u naszych stóp leżącą. Większą

część drogi przebyliśmy pieszo, prażeni nielitościwymi, coraz więcej prostopadłymi promieniami słońca, upadając ze znużenia i wysiłku.

Wóz wypadło istotnie stoczyć na linach w przepaść z wysokości kilkudziesięciu metrów. Jemu to nie zaszkodziło, ale psy, zamknięte w nim, potłukły się mocno, mimo wszelkich z naszej strony ostrożności. Parę razy zatrzymywaliśmy się, straciwszy całkowicie nadzieję, aby się nam udało z życiem zejść w dolinę. Grań nie była drogą tak wygodną, jak nam się to z góry i zdała wydawało. Poprzerywana piętrami i rozpadlinami, zmuszała nas do nawrotów i okrążeń, tem trudniejszych, że wszędzie musieliśmy wóz wlec za sobą, albo spuszczać go naprzód po linach. Często rozpacz nas ogarniała. Wtedy Woodbell, choć osłabiony gorączką i ranami, okazywał najwięcej przytomności i siły woli. Jeżeli żyjemy i żyć będziemy, jemu to mamy do zawdzięczenia.

Przez te trzy doby, nie wiem, czyśmy spali więcej, niż dwanaście godzin, wyszukując za każdym razem miejsca jak najwięcej zacienione, aby się uchronić od upieczenia żywcem w promieniach słońca. Chwilami upał odbierał nam wprost przytomność.

Było właśnie księżycowe południe i słońce stało prostopadle nad naszymi głowami obok czarnej kuli Ziemi w nowiu, otoczonej krwawą obwódką nasyconej światłem atmosfery, kiedyśmy, wyczerpani do ostatecznych granic, stanęli wreszcie na płaszczyźnie.

Upał był tak potworny, że dech nam w piersiach zapierało, a krew przysłaniała oczy i waliła w skroniach młotami. Już i cień nie dawał ochrony! rozżarzone skały zionęły zewsząd ogniem, jak czeluść hutniczego pieca.

Selena ziajała gwałtownie z wywieszonym językiem, szczenięta skomliły żałośnie, rozciągnięte bez ruchu w kącie wozu. Z nas co chwilę ktoś popadał w omdlenie; zdawało się, że śmierć nas spotka u wstępu do tak upragnionej równiny!

Trzeba było uciekać przed słońcem — ale dokąd?

Wtedy Marta przypomniała, żeśmy, schodząc z góry, widzieli głęboką szczelinę, którą snadź teraz nierówności gruntu zasłaniają przed nami. Ruszyliśmy tedy we wskazanym kierunku i istotnie po godzinie szybkiej jazdy, która się nam rokiem wydała, natrafiliśmy na ową szczelinę. Jest to wądoł o pionowych ścianach, utworzony przez pęknięcie skorupy księżycowej, do tysiąca metrów głęboki, a na paręset szeroki, zresztą w niczem niepodobny do ziemskich wąwozów i jarów.

Ciągnie się, o ile możemy stąd ocenić, dziesiątki kilometrów, równoległe do pasma *Apeninu*. Na mapach Księżyca nie jest naznaczony; uszedł zapewne uwagi astronomów z powodu cienia, w jakim prawie zawsze musi być pogrążony, leżąc w bliskości wysokich gór.

Dla nas ta szczelina stała się ocaleniem. Natrafiwszy na miejsce, w którym się poczyna, zjechaliśmy bystro w jej głąb i tu dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią *Mare Imbrium*, znaleźliśmy trochę chłodu...

Sen pokrzepił nas znakomicie. Tomasz tylko, którego trzymała dotąd żelazna siła woli, zapadł znów w gorączkę. Jest tak osłabiony, że się ruszać nie może. Mimo to za jakie dwadzieścia godzin puścimy się w dalszą drogę. Słońce poczyna się od zenitu przechylać ku zachodowi. Tam na równinie upał musi być wciąż jeszcze straszliwy, ale w każdym razie nie taki, jak przed kilkudziesięciu godzinami. Zresztą my po odpoczynku łatwiej go znieść zdołamy.

Po głębokiej rozwadze zmieniliśmy plan podróży. Zamiast na zachód, zwrócimy się wprost na północ, ku biegunowi Księżyca. Zyskujemy na tem podwójnie. Przedewszystkiem mamy przed sobą przeszło tysiąc kilometrów względnie równej i dobrej drogi przez płaszczyznę *Mare Imbrium*, co przyspieszy znacznie podróż. Powtórę, zbliżając się ku biegunowi, dostajemy się w okolice, gdzie słońce nie stoi we dnie tak wysoko nad horyzontem, ani tak głęboko w nocy pod horyzont

nie zapada; spodziewamy się więc spotkać tam znośniejszą temperaturę. Jedno bowiem jeszcze takie południe, jak dzisiaj a śmierć nasza byłaby nieuchronna.

Na Mare Imbrium, 340 godzin po wschodzie słońca.

Dzień się już ma ku schyłkowi. Wkrótce, za czternaście i pół godziny, zajdzie słońce, które teraz stoi nad dalekimi, obłemi wzgórzami na zachodzie, wzniesione zaledwie kilka stopni ponad horyzont. Wszystkie nierówności terenu, każdy głaz, każda mała wyniosłość — rzucają długie, nieruchome cienie, krające w jednym kierunku tę olbrzymią płaszczyznę, na której się znajdujemy. Jak okiem zasięgnąć — nic, tylko pustynia bezbrzeżna, śmiertelna, zorana w długie, kamienne skiby z południa ku północy, po których na poprzek czernią się owe pasy cieniów... Daleko, daleko na widnokręgu sterczą najwyższe iglice szczytów, widzianych z *Eratosthenesa*, a teraz kulistością księżycowej bryły przed nami u podstawy zasłoniętych.

W miarę, jak się oddalamy od równika, szklana Ziemia, nad nami przechyla się od zenitu ku południu. Dopełnia się teraz do pierwszej kwadry i świeci jasno — jak siedm księżyców w pełni. Tam, gdzie słabnący blask słońca nie dochodzi, srebrzy się jej upiorna poświata. Mamy dwa światła niebieskie, z których jedno, silniejsze, wydaje się przez kontrast żółte, a drugie sine. Cały świat jest napoły jaskrawo-żółty i napoły szaro-siny. Gdy spojrzę na wschód, żółci się pustynia i żółcą się odległe szczyty *Apeninu* księżycowego; od zachodu, pod brylantowe słońce, wszystko jest zimne, sine i mroczne. A nad dwubarwną pustynią ciągle to niebo z czarnego aksamitu, pełne różnokolorowych, drogocennych kamieni, zadęte bajecznym tumanem drobnego, złotego piasku...

Noc się przybliży. Wysłała już swego zwiastuna, jedyne, jaki jej pozostał na tym świecie, pozbawionym zmierzchu

i wieczornej zorzy... Chłód idzie przed nią po pustyni, przysiadła w każdej szczelinie, w każdym cieniu i czeka cierpliwie, rychło żółtawe słońce zczółga się z firmamentu i ześlizgnie z pustyni, pozostawiając jemu i nocy samowładne królowanie...

Póki jesteśmy w pełnym blasku, nie domyślamy się nawet jeszcze obecności tego towarzysza, ale w cieniu przejmujemy nasze rozgrzane ciała lekki dreszcz, mówiący o jego bliskości.

W zamkniętym naszym wozie nie jest już tak duszno i wszystkim nam jakoś rzeźwiej i weselej. Varadol, pełen nadziei, snuje znów plany lub bawi się ze suką i szczeniętami; Woodbell jest znacznie zdrowszy, — rozmawia teraz z Martą, stojąc przy sterze. Gdy podniosę nieco wzrok od papieru, widzę ich dwoje. Martę zwłaszcza widzę wyraźnie. Jest do mnie bokiem zwrócona i śmieje się teraz. Dziwnie się śmieje. Usta jej przybierają taki kształt, jakgdyby całowały powietrze. Tego uśmiechu pełne ma oczy i pełną pierś, która się wznosi drobnymi, szybkimi ruchami. Podczas upału dnia pierś miała odstoniętą; zagorąco było nawet dla niej, którą opaliło indyjskie słońce. Teraz okryła się pod szyję. Nie wiem dlaczego, szukam mimowoli wciąż oczyma tej przepysznej, smagłej, a tak ciepłej w kolorycie piersi i dziwnie mi czegoś brakuje, gdy jej nie widzę. Niepotrzebnie myślę tak wiele o tej kobiecie, ale jej tu jest naprawdę pełno. Od czasu, jak śmierć oddaliła się nieco od naszego wozu, cała jego szczupła atmosfera jest nią przesiąknięta. Nawet Varadol, niby igra z psami, a wiem, że patrzy na nią ukradkiem. Gniewa mnie to. Czemu Tomasz nie zwraca na to uwagi? A zresztą — cóż mnie to obchodzi...

Już przeszło od sześćdziesięciu godzin jesteśmy w drodze. Wóz posuwa się ciągle. Śpimy na zmianę podczas jego ruchu i teraz podczas ruchu piszę. Zatrzymaliśmy się tylko trochę, aby nabić na nowo akumulatory naszego motoru elektrycznego. Dla oszczędności paliwa, którego będziemy w nocnym mrozie

wiele potrzebowali, puściliśmy maszynę w ruch zapomocą rozprężającego się zgęszczonego powietrza. Akumulatory musimy nabijać, bo same baterje przy szybkiej jeździe nie wystarczają.

A posuwamy się ciągle szybko naprzód, o ile tylko teren na to pozwala. Znaczne nierówności gruntu nie pozwoliły nam wziąć się odrazu ku północy po wydostaniu się ze *Szczeliny Zbawienia*. (Tak nazwaliśmy ów wądół pod *Eratosthenesem*, gdyż zbawił nas istotnie chłodem od śmierci). Pod 12° z. dł. natrafiliśmy na jedną z owych smug świetlnych, które jak promienie rozchodzą się od góry *Kopernika* na setki kilometrów naokoło. Smugi te, w słabszych nawet teleskopach ziemskich dokładnie widoczne, zadziwiały zawsze astronomów. Są to, jakeśmy się przekonali naocznie, kilkanaście kilometrów szerokie pasy na szkliwo stopionej skały. Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania tych dziwnych utworów... Wogóle wiele tu jest dla nas zagadką nawet z tych rzeczy, które niemal dotykamy rękami. Jak powstała owa płaszczyna, wśród której się znajdujemy, jak powstały te pierścienie górskie o kilkudziesięciu, a nieraz i kilkuset kilometrach średnicy i wale wzniesionym na kilka tysięcy metrów? To pewna, że nie są to wygasłe kratery wulkanów, jak niegdyś na Ziemi sądzono. Zajrzeliśmy do wnętrza *Eratosthenesa* i widzieliśmy tam wulkaniczne stożki, nie różniące się niczem od ziemskich wulkanów, ale sam ten ogromny pierścień zaiste nie był kraterem nigdy! Przemawia przeciw temu — pomijając jego potworne rozmiary — i rodzaj skały, z której wał jest utworzony i zakłębienie dna poniżej powierzchni otaczających go równin i wiele innych rzeczy, które mieliśmy sposobność stwierdzić własnymi oczyma.

Zdaje się, że aby zrozumieć te zadziwiające formacje, trzeba się cofnąć myślą do zamierzchłych okresów, kiedy Księżyc był jeszcze płynną, rozpaloną kulą, zastygającą dopiero na powierzchni w zimnych przestworach międzygwiazdowych. Wtedy to potworne, wprost siłę ludzkiej wyobraźni

przechodzące wybuchy gazów, pochłoniętych przez płynną masę, a teraz podczas jej stygnięcia wydzielanych, wydymały jego jeszcze podatną powierzchnię i tworzyły jakby olbrzymie bąble i bańki. Bąble te pękając, zastygały równocześnie, nim spływały całkowicie w otaczającą je równinę. Jako ich ślad pozostały właśnie te obrączkowe góry. Słońce poprzegryzało w nich potem szczyty, poszczerbiło je i poszarpało; siły wulkaniczne wysadziły we wnętrzu niektórych z nich stożkowe kratery — i oto jakie są dzisiaj, nie zniszczone wszystko niwelującą na Ziemi wodą, świadczące o twórczej potędze we wszechświecie, dla której planetarne bryły i słońc ogniste kule są tylko posłusznym materiałem w olbrzymim tyglu wiecznego stawania się.

Tak żywo o tem wszystkim mówią mi wielkie góry i drobne, często po drodze spotykane, a na ich podobieństwo utworzone kotlinki, że gdy się wpatrzę w otaczający mnie krajobraz, to mi się zdaje chwilami, że te od słońca jaskrawo-żółte głazy, to masa jeszcze żarząca się, płynna i niemal żywa; zdaje mi się, że wnet pocznie płaszczyna cała jak morze falować, giąć się i wzdymać, rósć, pęcznieć i pod parciem wewnętrznych gazów bryzgać ku czarnemu niebu pierwotną lawą, tężającą w góry pierścienne a olbrzymie.

A ileż to setek tysięcy wieków od owych czasów minęło! Skorupa Księżyca zastygła i popękala, kurcząc się ciągle; jakieś tajemnicze siły ogniowe powypalały w niej ogromne promienne smugi zeszlonego kamienia i tu, gdzie niegdyś hasały rozpętane, zmagające się twórcze siły, cisza jest teraz i martwość tak straszliwa i ostateczna, że nas aż dziwi i wstydzi wśród niej własne życie...

Do tej chwili posuwamy się ciągle po owej jasnej smudze, utworzonej przez żyłą szkliwa, idącą od *Kopernika*. Stanow ona dla nas wygodną i równą drogę. Kierunek jej, północno-wschodni, jest nam bardzo na rękę, gdyż zawiedzie nas prosto na płaszczyznę między *Archimedesem* a *Timocharisem*, którą

przebyć nam trzeba. *Archimedes*a nie widno wcale teraz, gdy jesteśmy na płaszczyźnie. W stronie, gdzie się powinien znajdować, stoją tylko przed nami drobne, strome wyniosłości, podobne do górzystej wysepki wśród morza. Jest to zapewne grupa „kraterów“, wznosząca się pod 11° z. dł., a 19° pn. szer. księżycowej. Spodziewamy się wyminąć ją przed zachodem słońca. A potem na północ, wciąż na północ, byle dalej od tej straszliwej strefy, gdzie obok złowieszczonego sierpa Ziemi wprost nad głowami wspina się w zenicie zabójcze słońce, jak rumak rozszalały, ognisty i wściekły. O! bo to nie jest nasze ziemskie, życiodajne słońce, ta leniwa kula, biała i bezpromienna! — to jakiś bóg, zachłanny i szyderczy, bóg niszczyciel i pożerca! A nas czworo, to jedyne żywe ofiary, jakie sobie upatrzył na tej płaszczyźnie śmierci. Musimy mu ująć, nim poraz drugi wypłynie na czarny, złotem wszyty całun firmamentu.

Przerywam pisanie. Varadol, który zluzował Tomáša, woła od motoru, że na mnie teraz kolej stanąć przy sterze wozu. Tamci już śpią. Marta, jak zwykle, z hamaku swego wychylona z głową na piersi tego — jedyne go wśród nas szczęśliwego człowieka.

Pierwszego dnia księżycowego, 4 g. po zach. słońca, na Mare Imbrium, 10° z. dł., $20^{\circ} 28'$ pn. szer. księżycowej.

Już się tedy zaczęła noc, długa — dla której ziemskie doby są cząstkami mniejszemi, niż godziny dla ziemskiej nocy. Ziemia, przechylająca się wciąż ku południu, świeci nad nami, jak wielki, jasny zegar. Z posuwania się cienia po tej tarczy możemy z łatwością oznaczyć porę. Była o zachodzie w pierwszej kwadrze, o północy będzie w pełni i znów będzie w kwadrze o wschodzie słońca. Rolę minutowej wskazówki na tym niebieskim zegarze odgrywają części świata. Po zachodzeniu ich

w cień, możemy poznać godziny, które są jakby minutami dla naszej siedmsetdziewięciogodzinnej doby.

Po zachodzie słońca zrobiło się zimno tak nagle, że doznaliśmy uczucia, jakbyśmy z łaźni parowej skoczyli wprost do basenu z lodowatą wodą. Zachód słońca zgotował nam wspaniałą niespodziankę: oczekiwaliśmy po nim natychmiastowej nocy, a tymczasem długi czas trwało jeszcze dziwne jaśnienie, kłójące się z blaskiem Ziemi, a podobne nieco do naszych zmierzchów.

Skończyła się była właśnie owa smuga szkliwa, która nas wiodła przeszło sto kilometrów, kiedyśmy wyjechali z cienia drobnych kraterów, o których wspominałem poprzednio. Zbliżyliśmy się już do dwudziestego równoleżnika, posuwając się teraz wprost ku północy, kiedy tarcza słoneczna, niezaruszona zachodem, owszem jasna i błyszcząca, jak we dnie, poczęła się powoli pograżać pod horyzont. Ogarnęła nas nagle straszna tęsknota za tem znikającym słońcem, które się nam ukaże znowu dopiero za czternaście dni. Staaliśmy wszyscy obok siebie przy zachodnim oknie naszego wozu. Marta zwróciła na płask dłonie ku zapadającej gwieździe dnia i poczęła śpiewnym a monotonnym głosem odmawiać indyjskie hymny, którymi fakirzy żegnają na Ziemi tego jasnego boga.

Woodbell odpowiadał jej czasem jakimiś niezrozumiałymi zdaniami z świętych ksiąg, przypominając sobie zapewne podobne chwile, spędzone w Travancore, kiedy słońce płomienne tonęło w bezbrzeżnym oceanie.

Słońce tymczasem, zagłębione cząstką tarczy, zdawało się stać na widnokregu i czekać. Blask jego rozświetlił wyciągnięte dłonie dziewczyny i iskrzył się na jej białych zębach, widocznych wśród rozchylających się purpurowych warg. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oni rozmawiają oboje — ta dziewczyna i to słońce.

Za pół godziny już tylko rąbek słonecznej tarczy był widoczny. Kamienna pustynia czerniała popod ten skrawek bia-

lej jasności, jakgdyby się zamieniła w morze atramentu. Tu i owdzie tylko lśniły gładkie głązy, odbijające sine światło Ziemi. Marta skończyła już hymny i stała, wpatrzona w pustynię, z głową opartą o ramię Tomasza.

Wszystkich nas ogarnął dziwny smutek; nawet Piotr, najmniej do wzruszeń skłonny, zasępił się i poruszał wargami, jakby odpowiadając zcicha jakimś myślom, czy wspomnieniom. A ja... Hej! jakże szalenie szybko przemknęło to moje życie na Ziemi. Dziwny taniec widm i wspomnień miałem na oczach: śniły mi się nadwiślańskie równiny i chmurne turnie Tatr — a wszystko zaludnione takim nieprzeliczonym orszakiem znajomych, drogich, a pożegnanych już na wieki... Na wieki!..

Wtem słońce nagle zagasło. Czerwone protuberancje, jak drobne ogniste języki, drgały jeszcze przez chwilę nad horyzontem, wreszcie znikły i one — a w nagle spadającym na pustynię zmroku było coś tak niespodziewanego, że mimowoli przycisnęliśmy się do siebie, jakgdyby chcąc się ochronić przed czemś, co się na czas rzuca, jak szary żbik na przecho-dnia. Ale był to tylko zmrok, nie noc. W tejże bowiem chwili, gdy ostatni rąbek słońca zatonął, wystrzelił na zachodzie słup jasności, zasklepiony na kształt kopuły, a podobny do bajecznej fontanny świetlanego pyłu.

Światło zodjakalne lśniło przed nami w takiej niestychanej wspaniałości, w jakiej go na Ziemi nigdy ludzkie oczy nie widziały. Patrzyliśmy długo w oniemienu na ten słup roziskrzony, lekko od pionu ku południu się przechylający i zasiany różnokolorowemi gwiazdami, przezierającemi przez ten kosmiczny pył, krążący dokoła słońca i teraz po jego zachodzie odbijający nam w twarz jego światło.

Teraz zgasło już wszystko i tylko Ziemia świeci nad nami i gwiazdy, dziwne gwiazdy, w czarne niebo wgłębiane, niemigotliwe i różnobarwne. Ta różnokolorowość gwiazd, nieprzyćmionych powietrzem, którego tu niema, jest tak zastanawiająca, że nie mogę do tego przywyknąć, choć przecież

świeciły nademną przez przeciąg całego długiego dnia księżycowego.

Ziemia posyła nam tyle światła, że możemy przy jej blasku odbywać podróż bez przerwy. Bardzo to dla nas pożyteczna okoliczność, gdyż nie potrzebujemy tracić czasu i możemy się przez noc posunąć tak daleko na północ, że nie będziemy już narażeni podczas drugiego dnia na prostopadłe promienie słońca. Strachem nas tylko przejmują myśl o nocnym mrozie, który już dobrze chwytą.

Grunt znowu jest nierówny, co nas zmusza do licznych zbieżności i wykrętów, opóźniających podróż. Na przodzie wozu zapaliliśmy elektryczną latarnię, oświetlającą nam drogę. Gdyby nie to, moglibyśmy łatwo wpaść w jaką szczelinę, nie dość jasno widoczną przy mdłym świetle Ziemi. Kierujemy się według gwiazd, gdyż z kompasem nie możemy trafić jakoś do ładu na tym dziwnym świecie. Przytem metalowe ściany wozu zmieniają położenie igły.

*Na Mare Imbrium, 7° 45' z. dł., 24° 1' pn. szer. księżycowej
o pierwszej godzinie drugiej księżycowej doby.*

Minęła już północ i zapomnieliśmy nawet, jak słońce wygląda; nie możemy pojąć, jak mogliśmy się skarżyć na jego żar. Blisko od stu ośmdziesięciu godzin, które upłynęły od zachodu, jesteśmy narażeni na mróz tak niesłychany, iż zdaje się, że myśl zamarza w mózgu. Nasze piece pracują całą siłą, a my, skuleni obok nich, trzęsiemy się od zimna.

Piszząc, oparłem się o piec. Skóra piecze mi się na plecach, a równocześnie czuję, jak krew we mnie od mrozu zastyga i krzepnie. Psy cisną nam się na kolana i wyją bez ustanku, a nas obłęd już napada. Patrzymy na siebie w milczeniu z jakąś dziwną nienawiścią, jakgdyby które z nas było

temu winne, że tu słońce przez trzysta pięćdziesiąt cztery i pół godziny nie świeci i nie grzeje...

Chciałem się przemóc i zanotować kilka wrażeń z odbytej po zachodzie słońca podróży, ale widzę, że nie jestem zdolny do skojarzenia najprostszyc wyobrażeń... Mózg mam zamrożony, niepodatny, jakby był maszyną z lodu. Przez myśl przesuwają mi się naprzemian luźne obrazy i jakieś rozpaczliwe błyski, których nie mogę w żaden sposób powiązać ze sobą. Niekiedy doznaję uczucia, jakgdybym spał — na jawie. Widzę Martę, Tomasza, psy, Piotra, piec — i nie wiem zupełnie, co to znaczy, nie wiem, kto ja jestem, skąd się tu wzięłem, po co...

Istotnie, po co...

Chciałem się nad tem zastanowić, przypomnieć sobie, ale nie mogę. Musiała być jakaś przyczyna, dla której opuściłem z tymi ludźmi Ziemię... Nie pamiętam. Nuży mię myślenie.

Zdaje mi się, że stoimy. Nie słyszę syczenia motoru. Trzeba iść i zobaczyć, co się stało, ale wiem, że ani ja, ani oni — nikt tego nie zrobi. Musielibyśmy się oddalić od pieca.

Co za ohydny mróz!

Widzę przez okno jakieś skały, które Ziemia oświetla jasno. Pewnie dlatego stoimy, że jesteśmy wśród skał... To jest wszystko dziwne i wszystko obojętne...

Co ja piszę? Czyżbym już rzeczywiście dostawał obłądu? Senny jestem straszliwie, a wiem, że jak usnę, zmarznę i już się nie obudzę... Trzeba się otrząść, przyjść do przytomności...

To dziwne, że pierwszej nocy na *Sinus Aestuum* takiego mrozu nie było. Widocznie ciągną się pod tamtą płaszczyzną jakieś żyły wulkaniczne, które grunt nieco ogrzewają.

Piszmy, piszmy, aby nie zasnąć, bo to śmierć.

Od zachodu słońca posuwaliśmy się ciągle ku północnemu zachodowi — w coraz to silniejszym świetle dopełniającej się Ziemi i w coraz to większym mrozie. Pod 9° z. dł., 21°

pn. szer., przedarliśmy się przez niskie, obłe wały, zagradzające nam drogę. Nie zmienialiśmy kierunku, dążąc, zamiast wprost na północ, ku północnemu wschodowi w stronę wzgórz, rozciągających się szeroko naokoło pierścienia *Archimedes*a, w tej nadziei, że znajdziemy tu może jakiś czynny krater, a w nim ciepło. Jesteśmy na granicy tego górzystego kraju, ale wszystko martwe i zimne. Wjechaliśmy w środek dziwnego półksiężycy, utworzonego ze skał, amfiteatralnie spiętrzonych. Varadol robił pomiary astronomiczne, by oznaczyć położenie tych gór. Z pomiarów jego wynika, że jest to wyniosłość, oznaczana na mapach księżycowych zazwyczaj literą *E*, a leżąca pod $7^{\circ} 45'$ z. dł., $24^{\circ} 1'$ pn. szer. księżycowej.

Mróz, mróz, mróz... — ale trzeba się przemóc i nie spać. Byle tylko nie spać, bo to śmierć! Ta śmierć musi tu być gdzieś blisko. Tam na Ziemi powinni ją malować siedzącą na Księżycu, bo to jest jej królestwo...

Dlaczego my stoimy? Ach, prawda! wszystko jedno!

Tak, trzeba się przemóc. O czym ja to pisałem? Aha! te góry... Dziwny amfiteatr, ze cztery kilometry szeroki, otwarty od południa. Nad nim, jak lampa, zawieszona Ziemia. Najwyższy szczyt na północy, wprost przed nami. Ma pewnie jakie tysiąc dwieście metrów. Tak to wszystko strasznie wygląda. Teatr dla olbrzymów, dla potwornych, kościotrupich olbrzymów. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby te stoki zasnuły się nagle tłumem ogromnych kościotrupów, zwolna w świetle Ziemi idących i zajmujących miejsca widzów. Olbrzymie czaszki tych, którzyby zasiedli najwyżej, bielilyby się na tle czarnego nieba, wśród gwiazd. Zdaje mi się, że to wszystko widzę. Kościotrupy gigantów siedzą i tak mówią do siebie: „Która godzina? Jest już północ; Ziemia, nasz wielki i jasny zegar, stoi w pełni na niebie — pora zaczynać“. — A potem do nas: „Pora zaczynać, umierajcie zatem; patrzymy“...

Dreszcz mię przechodzi...

Palus Putredinis, na dnie szczeliny 8, 7° 36' z. dł., 26° pn. szer. księżycowej. Druga doba, 62 g. po pn.

Stało się zatem. Jesteśmy skazani na śmierć, zgoła bez nadziei ocalenia. Wiemy o tem od sześćdziesięciu godzin; to dość czasu, aby się z tą myślą oswoić. A jednak — ta śmierć...

Spokoju, spokoju, wszak to do niczego nie prowadzi. Trzeba się zgodzić z tem, co jest nieuchronne. Zresztą nie jest to przecież dla nas czemś niespodziewanem; wybierając się w tę podróż — jeszcze tam, na Ziemi — wiedzieliśmy, że się na śmierć narażamy. Ale czemuż ta śmierć nie spadła na nas nagle, jak piorun, czemu pojawiła się przed nami i zbliża się tak powoli, że możemy każdy krok jej obliczyć, że wiemy, kiedy pocznie nas chwytać za gardła zimną dłonią i dusić...

Tak, dusić. Udusimy się wszyscy. Zapas zgęszczonego powietrza wystarczy nam przy największej oszczędności zaledwie na trzysta godzin. A potem... No, cóż, trzeba się zawczasu przygotować na to, co będzie potem. Przez trzysta godzin jeszcze będzie wszystko tak, jak dotąd. Będziemy oddychali, jedli, spali, poruszali się... W ciągu tego czasu wypróżni się ostatni zbiornik zgęszczonego powietrza, jedyny, jaki nam pozostał. Za trzysta godzin — to będzie księżycowe południe... Słońce będzie stało jeszcze dość wysoko. Będzie jasno i ciepło — nawet gorąco, może zagorąco. Przez jakiś czas, kilka godzin, będzie wszystko jeszcze w porządku. Potem zaczniemy powoli uczuwać jakąś ociężałość, szum w głowie, bicie serca... Atmosfera naszego wozu, nieodświeżana tlenem, którego nam już braknie, będzie przepelniona wydychanym przez nas kwasem węglowym. Teraz usuwamy go sztucznie, ale wtenczas pocóż go będzie usuwać, kiedy nie będziemy mieli tlenu, aby go nim zastąpić? Zaczniemy się tedy zatruwać tym kwasem węglowym. Uderzenie krwi, ociężałość, duszność, senność... Tak, senność, nieprzezwyyczajona senność. Położymy się na hamakach, oczekując śmierci:

Marta wychyli się zapewne ze swego hamaka i oprze głowę na piersi Tomasza, jak zwykle... Potem zaczniemy śnić... Ziemia, rodzinne kraje, łąki, powietrze — oh! dużo, dużo powietrza, całe, ogromne, błękitne, czyste morze! A we śnie dusząca, straszna zmora tu na piersiach; zdaje mi się, że ją już czuję! ugniata żebra, dławi za gardło, ściska serce. Przechwach ogarnia. Chciałoby się ją otrząść, powstać, uciekać... Wreszcie sny się skończą. Na Księżycu, wśród niezmiernej płaszczyzny *Mare Imbrium*, będą cztery trupy w zamkniętym wozie.

Nie! albo nie tak! W chwili, kiedy nam braknie świeżego powietrza, otworzymy drzwi wozu — na oścież. Jedna sekunda i będziemy się znajdowali w próżni. Krew tryśnie ustami, uszami, oczyma, nosem; kilka kurczowych, rozpaczliwych ruchów klatką piersiową, kilka wściekłych uderzeń serca i — koniec.

Po co ja piszę to wszystko? — po co ja piszę wogóle? Przecież to niema sensu, ani celu. Za trzysta godzin umrę.

W godzinę później.

Powracam do pisania. Muszę się czemś zająć, bo ta myśl o nieuchronnej śmierci jest okropna. Chodzimy po wozie i uśmiechamy się do siebie bezmyślnie, albo rozmawiamy o rzeczach całkiem obojętnych. Przed chwilą Varadol opowiadał, jak w Portugalji przyrządzają pewien sos z wątróbek kurczą z kaparami. Podczas tego myśleliśmy wszyscy, nie wyłączając i jego, o tem, że za dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć godzin umrzemy.

Właściwie śmierć nie jest wcale straszna — dlaczegoż się jej tak boimy? Przecież...

Achl jakież jest marne to całe filozofowanie o śmierci! Głośniej, niż wszyscy mędracy, zalecający spokój przed zgonem,

mówi tykoł mego zegarka w kieszeni. Słyszę ciche, drobne metaliczne uderzenia i wiem, że są to kroki zbliżającej się *śmierci*. Będzie tutaj, nim zajdzie słońce tego długiego dnia, który wkrótce się zacznie. Nie spóźni się ani o godzinę.

Znajdowaliśmy się właśnie byli wśród owych podkowiastych skał, zdrętwiali od mrozu, kiedy Varadol, spojrzawszy przypadkiem na wskazówkę manometru jednego ze zbiorników zgęszczonego powietrza, wydał przeraźliwy okrzyk. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby zelektryzowani, patrząc w kierunku, który nam Piotr wskazywał drżącą ręką, niezdolny z przerażenia wymówić ni słowa.

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco: manometr nie wykazywał wewnątrz żadnego ciśnienia. Wtedy przyszło mi na myśl, że może wobec potwornego mrozu powietrze w zbiorniku, umieszczonym w ścianie, uległo skropleniu. Otworzyłem kurek — zbiornik był pusty. Taksamo drugi, trzeci, czwarty i piąty. Jedynie w szóstym, ostatnim, znajdowało się powietrze.

Ogarnął nas nagle obłęd przerażenia. Nie zastanawiając się nad przyczyną zagadkowego dla nas dotychczas wypróżnienia zbiorników, ani nad tem, co robimy, co robić należy i czy wogóle radzić co można, rzuciliśmy się wszyscy naraz do motoru, nie czując mrozu, znużenia, senności, nic, — opętani tą jedną myślą: uciekać, uciekać, — jakgdyby przed śmiercią można było uciec!

W kilka chwil wóz był już w ruchu. Wyjechawszy z zamkniętej wśród skał płaszczyzny, pędziliśmy całą siłą bez opamiętania na północ wśród drobnych wzgórz, rozpościerających się od pierścienia *Archimedes*a, a zalegających całą zachodnią część, graniczącego tu z *Morzem Dżdżów Bagna Zgnilizny*. Teren był nadzwyczajnie przykry i nierówny. Wóz podskakiwał, rząsał się, wznosił lub zapadał, podrzucając nas niemiłosiernie; myśmy na to nie zważali, sądząc w straszliwym paroksyzmie trwogi i rozpacz, że się nam uda dostać na drugą stronę Księżyca, nim się skończy nasz szczupły zapas powietrza!

Co za śmieszna myśl! Powietrza starczy nam zaledwie na trzysta godzin, a od bieguna Księżycowego dzieli nas w prostej linii blisko dwa tysiące kilometrów drogi, z czego połowa przypada na kraj górzysty i niedostępny!

Mróz ścinał nam krew w żyłach i oddech zapierał w piersi, ale my, nie zważając na nic, pędziliśmy bez ustanku na przełaj przez góry, srebrzące się w świetle Ziemi, przez czarne kotliny, przez piargiem zastane pola — byle dalej i dalej. Nawet o śnie, morzącym nas do niedawna, nikt już teraz nie myślał.

W tej piekielnej jeździe, równie bezcelowej, jak szalonej, powstrzymała nas dopiero nagła przeszkoda. Pędząc wprost na oślep, natrafiliśmy na szczelinę, podobną do *Szczeliny Zbawienia* pod *Eratosthenesem*, ale znacznie szerszą i głębszą bez porównania. Spostreżliśmy ją z tak bliska, że niewiele brakowało, a bylibyśmy runęli w nią wraz z wozem.

Wóz stanął — i nagle ogarnęła nas straszliwa apatja. Energia rozpaczy, którą podnieceni, gnaliśmy bez pamięci przez tyle godzin, znikła równie szybko, jak się była pojawiła, ustępując miejsca niewypowiedzianemu, obezwładniającemu przynębieniu. Naraz stało nam się wszystko zupełnie obojętnem. Po co się męczyć i natężyć, kiedy to jest bezcelowe. Musimy umrzeć.

Usiedliśmy około pieca beczynnym i w milczeniu. Mróz dokuczał nam coraz straszliwiej, ale nie dbaliśmy już o to. Wszakże śmierć jest zawsze jednakowa, czy od mrozu, czy od uduszenia. Minęło sporo czasu. Bylibyśmy niewątpliwie umarзли, gdyby nie Woodbell, który pierwszy oprzytomniał i zaczął nas nakłaniać do poważnego zastanowienia się nad położeniem.

— Szukajmy wyjścia, sposobu ocalenia — mówił — choćbyśmy go nawet nie znaleźli, to zyskamy przynajmniej to, że zajmąwszy się czemś, odwrócimy na chwilę myśl od śmierci, której zmora nas gnębi.

Istotnie, rada była dobra, ale bylibyśmy tak wyczerpani

i zmrożeni, że przyjęliśmy ją całkiem obojętnie, nie odpowiadając nawet na przedstawienia Tomasza.

Pamiętam, że patrzyłem na Tomasza i widziałem, że mówił coś jeszcze, ale nie rozumiałem z tego ani słowa. Jedyną rzeczą, która mię w owej chwili zajmowała, było: jak on też będzie po śmierci wyglądał?

Z obłądnym uporem wpatrywałem się w jego poruszające się szczęki i obdzierałem je w myśli z ciała, potem obnażałem tak samo jego czaszkę, żebra, piszczele — i patrząc na człowieka, miałem kościotrupa przed oczyma, który się zdawał mówić do mnie ze złośliwym grymasem: Tacy będziecie wszyscy — niezadługo!

Tomasz, widząc wreszcie, że z nami nie dojdzie do ładu, stanął sam przy motorze i za chwilę wóz posuwał się wzdłuż krawędzi szczeliny. Po upływie jakiej pół godziny dojechaliśmy do miejsca, w którym się szczelina kończyła. Varadol spostrzegł to i, podrzucony nagle weń wstępującą rozpaczliwą energją, skoczył do motoru, krzycząc, jak szalony:

— Możemy szczelinę okrążyć i jechać dalej na północ, ku biegunowi, tam, gdzie jest powietrze!

Śmiał się i rzucał, jakgdyby naprawdę zmysły postradał, gdy jednak chciał uchwycić za ster, Tomasz usunął go zlekka i rzekł krótko, a stanowczo:

— Nie okrążymy szczeliny, ale wjedziemy w nią.

Piotr patrzył na niego chwilę osłupiałym wzrokiem, a potem nagle, dostawszy widocznie jakiegoś ataku nerwowego, rzucił się i chwycił go za gardło.

— Morderco! — ryczał — dusicielu! ty nas chcesz zabić, zatracić, a ja chcę żyć! żyć! słyszysz!? Na północ, na północ, ku biegunowi, tam jest powietrze!

Pienił się i krzyczał, a że był silniejszy od Tomasza, więc nimeśmy mogli zdążyć z pomocą, przewrócił go i przytłoczył kolanami. Skoczyłem wraz z Martą, aby szaleńca obezwładnić i zaczęło się szamotanie, któremu towarzyszyło

zajadłe szczekanie przestraszonych psów. Chwyciliśmy go wreszcie za ramiona, gdy nagle wyprężył się w naszych rękach, krzyknął i obwisł bezładnie. Tomasz podnosił się z ziemi zmęczony i zbladły.

Wtem wóz się nachylił; uczułem gwałtowne wstrząśnienie i straciłem przytomność.

Gdy przyszedłem napowrót do zmysłów, spostrzegłem, że leżę w hamaku, a Tomasz stoi nademną i naciera mi skronie eterem. Marta i Varadol siedzieli obok zasępieni i milczący.

Tomasz jest istotnie dzielnym człowiekiem. Podczas jego szamotania się z Piotrem, wóz, pozbawiony steru, uderzył przodem o skałę. Rzucony tem wstrząśnieniem naprzód, uderzyłem głową w ścianę wozu i zemdlałem.

Tomasz i Marta wyszli z przygody bez szwanku, również Varadol, który bez przytomności leżał na podłodze, obezwładniony poprzednim atakiem. Wtedy Tomasz, spostrzegłszy, co się stało, polecił Marcie ułożyć nas na hamakach, a sam cofnął wóz, nawrócił i wjechał w głąb szczeliny. Tutaj dopiero na samym dnie, gdzie, jak słusznie przypuszczał, jest bez porównania cieplej, niż na powierzchni, zajął się trzeźwieniem nas. Piotr pierwszy się ocucił. Nie pamiętał zgoła szaleń, który nas tak przeraził. Wreszcie i ja odzyskałem zmysły.

Na razie nie groziła nam już śmierć z umarznienia, gdyż w tej niezmiernie głębokiej szczelinie mróz nie jest tak wielki. Widocznie wewnątrz Księżyca, podobnie jak wewnątrz Ziemi, nie jest jeszcze całkiem pozbawione własnego ciepła, choć on, jako mniejszy 49 razy od Ziemi, znacznie też wcześniej musiał zastygnąć.

Tomasz przewidywał to i dlatego wjechał z wozem w szczelinę, pragnąc, abyśmy się mogli spokojnie naradzić, co począć, zabezpieczywszy się od bezpośredniego niebezpieczeństwa, które nam groziło ze strony paralizującego naszą myśl mrozu.

Zaczęliśmy się naradzać. Przyszło nam na myśl, że może

uda się zapomocą powietrznej pompy tłoczącej zgęścić na tyle otaczającą nas niesłychanie rzadką atmosferę księżycową, aby nią odświeżać powietrze w wozie. Pomysł ten błysnął nam, jak gwiazda nadziei i ocalenia, to też niezwłocznie wzięliśmy się wspólnymi siłami do jego wykonania. Jednakowoż po godzinie usilnej, wytężającej pracy, przekonaliśmy się, że jest to rzecz, niedająca się urzeczywistnić. Atmosfera Księżyca jest tutaj tak rzadka, że po całkowitem zasunięciu tłoka w pompie nie zgęszcza się jeszcze do tego stopnia, aby mogła przezwy- ciężyć ciśnienie powietrza w naszym wozie i klapę sobie otworzyć. Próbowaliśmy ją następnie zgęścić zapomocą pompy w jednym z opróżnionych zbiorników, zatkawszy poprzednio szczelnie szparę, którą nam powietrze uciekło, ale i to okazało się niemożliwym.

Zniechęceni i wyczerpani, porzuciliśmy wreszcie bezcelową robotę. Tomasz pociesza nas jeszcze, że może dalej ku północy znajdziemy nieco gęstsza atmosferę, przy której nasza pompa da się zużytkować, ale wiem, że on sam w to nie wierzy. Na całej ogromnej przestrzeni *Mare Imbrium* atmosfera będzie równie rzadka, to znaczy: prawie jej nie będzie, — a nim przestrzeń tę przebędziemy, wyczerpią się nasze zapasy powietrza i wtedy przyjdzie to, co jest nieuchronne. Za dwieście dziewięćdziesiąt godzin pomrzemy.

Mimo to, jak tylko zadnieje i cieplej się zrobi, wyjedziemy z tej szczeliny i podążymy dalej na północ. Nie wiedzie to wprawdzie do niczego, ale ostatecznie i stanie w miejscu do niczego nie wiedzie. A może... może... istotnie znajdziemy gdzie nieco gęstsza atmosferę...

Na temże miejscu, 70 godzin po pn.

Odkryliśmy nareszcie przyczynę, która spowodowała stratę naszych zapasów powietrza. Zbiorniki zostały uszkodzone podczas zsuwania wozu ze stoków *Eratosthenesa*. Jakiś ostry głaz,

znajdujący się na drodze, po której wóz się ślizgał, zarysował je głęboko, a wewnętrzne ciśnienie gazu dokonało reszty. Szczeliny są widoczne. Dwie rzeczy mnie tylko zadziwiają w tem wszystkim; naprzód, że parcie zgęszczonego powietrza nie rozsądziło uszkodzonych miedzianych zbiorników, następnie, że nie spostrzeżliśmy wcześniej straty... Łamię sobie nad temi zagadkami głowę, jakgdyby ich rozwiązanie mogło w czemkolwiek zmienić nasze położenie.

Nie umiem o czem innem myśleć; tylko ciągle i ciągle stoi mi przed oczyma to widmo śmierci. A to najstraszniejsze, że wiedząc, iż umrzemy, czujemy się najzupełniej zdrowymi. To zwiększa grozę tego czegoś okropnego, co ma na nas spaść. Tomasz jest nasjpoko'niejszy z nas wszystkich, ale widzę, zwłaszcza z jego zachowania się wobec Marty, że i on bez ustanku myśli o tem, co ma nastąpić. Przesuwa jakimś delikatnym, wprost kobiecym ruchem dłoń po jej włosach i patrzy na nią tak, jakby chciał prosić przebaczenia. A ona całuje jego rękę, mówiąc mu tą pieszczotą i oczyma: Nie martw się, Tom, wszystko jest dobrze, wszak umrzemy razem...

Dla nich jest to może istotnie pewną pociechą, że umrą razem, ale dla mnie, przyznam się, ta wspólność losu w niczem nie zmniejsza jego okropności. Znajduję się w stanie takiego wzburzenia wszystkich władz umysłowych, że refleksje nie wywierają na mnie zgoła wpływu. Trzeźwo myślę o wszystkim, ze wszystkiego jasno zdaję sobie sprawę, powtarzam sobie w duszy setki razy, że umieram wraz z tymi ludźmi, jako dobrowolna ofiara wszechpotężnej żądzy poznania, która nas oderwała od Ziemi i rzuciła na ten glob niegościnnie, — wmawiam w siebie, że powinienem się zgodzić z losem i zachować spokój wobec tej nieuchronnej konieczności; a mimo te wszystkie piękne refleksje, czuję wciąż jedno: strach, bezbrzeżny, rozpaczliwy strach! Takie to jest nieubłagane i tak powoli się zbliża...

Nie pojmuję rzeczywiście, dlaczego nie pomyślimy o szybkim rozwiązaniu tego okropnego położenia? Wszak w naszej

mocy leży skrócić to życie, które teraz jest już tylko śmieszną parodią życia, a nadto zmorą i ciężarem...

W godzinę później.

Nie! nie mogę tego zrobić! Nie wiem, co mię powstrzymuje, ale nie mogę! Może to dziecinna tęsknota za słońcem, dobrą gwiazdą dnia, które ma wejść ponad nami niezadługo, może jakieś śmieszne, niemal zwierzęce przywiązanie do życia, choćby nie wiem jak krótkie być już miało, może resztki głupiej, nieuzasadnionej zgoła nadziei...

Wiem, że nic nas nie ocali, a tak strasznie pragnę żyć, i tak się... boję...

Wszystko jedno! — niech się dzieje, co chce.

Jestem straszliwie znużony. Niechby już wreszcie przyszło to — nieuchronne! Przy każdym oddechu myślę, że mam już o jeden oddech mniej. Wszystko jedno!...

O wschodzie słońca.

Wyruszamy w drogę za godzinę. Krawędź zachodnia szczeliny błyszczy się już nad nami w słonecznym blasku. Wyjedziemy na rozległą pustynię zobaczyć jeszcze raz słońce, zobaczyć gwiazdy i Ziemię, spokojną, rozświetloną i tak cichą na tem czarnem niebie...

i pojedziemy ku północy. Po co? — nie wiem. Nikt z nas nie wie. Aie pojedziemy. Śmierć pójdzie cicho koło nas przez kamieniste pola, przez góry i doliny, a gdy wskazówka manometru przy ostatnim zbiorniku powietrza dojdzie do punktu zerowego, śmierć wejdzie do wozu.

Nie mówimy do siebie; nie mamy o czem mówić. Staramy się tylko zajmować czemkolwiek, więcej może z fałszywego wstydu przed drugimi, niż dla własnej rozrywki. Bo ja-

każ robotą może zająć człowieka, który wie, że wszystko, co robi, jest bezcelowe?

A zatem pójdźmy naprzeciw swego losu!

Druga doba księżycowa, 14 godzin po południu. Na Mare Imbrium, 8° 54' z. dł., 32° 16' pn. szer. księżycowej, między kraterami c—d.

Jesteśmy ocaleni! — a ocalenie przyszło tak nagle, tak niespodziewanie i w tak dziwny, a... straszny sposób, że do tej chwili nie mogę ochłonąć, choć to już dwanaście godzin mija od czasu, jak śmierć, towarzysząca nam przez dwa ziemskie tygodnie, odwróciła się od nas i odeszła.

Odeszła, ale nie bez łupu... Śmierć nigdy bez łupu nie odchodzi. Jeśli z litości, albo z musu pozwoli żyć tym, których już miała w swoich szponach, to bierze sobie za nich okup dowolny, gdzie go znajdzie bez wyboru...

O wschodzie słońca puściliśmy się w drogę, mocą przyzwyczajenia raczej, niż z jakiej wyrozumowanej potrzeby. Byliśmy pewni, że nie dożyjemy wieczora tego długiego dnia. Jechaliśmy w milczeniu, z tą zmorą śmierci, siedzącej pośród nas i czekającej spokojnie chwili, kiedy nas będzie mogła wziąć w swe zimne, duszące objęcia. Czuliśmy jej obecność tak żywo, jakgdyby była jakąś uchwytną, dostrzegalną istotą i oglądaliśmy się ze zdziwieniem, że jej nie widzimy.

W tej chwili jest to wszystko już tylko wspomnieniem, ale wówczas było rzeczywistością strasliwą nad wszelki wyraz. Nie mogę nawet zrozumieć, jak zdołaliśmy przeżyć w takiej ohydnej, niezaradnej trwodze, z tem nieubłaganem widmem na oczach, trzysta kilkadziesiąt godzin! Nie przesadzę, gdy powiem, żeśmy każdej godziny umierali, myśląc, że nieuchronnie musimy umrzeć. Bo ocalenia — zwłaszcza takiego — nikt się z nas nie spodziewał.

Teraz wydaje mi się to snem okropnym i muszę wszystkie zmysły przywołać ku pomocy, aby uwierzyć, że to rzeczywiście na jawie się działo.

Nie pamiętam już dokładnie drogi, którąśmy przebywali.

Godzina wlokła się za godziną, wóz posuwał się wciąż szybko ku północy, a my patrzyliśmy jakby we śnie na mijane krajobrazy. Teraz czuję, że wszystkie wrażenia zlały się u mnie w jedno z tem wrażeniem nieubłaganej śmierci. Nie mogę teraz owego chaosu odmotać. Wszystko, co pamiętam z tej drogi, było straszne. Początkowo posuwaliśmy się granicą między *Palus Putredinis* a *Mare Imbrium*, mając po prawej stronie okolicę górzystą i dziką. Na lewo, ku zachodowi, rozciągała się równina, przechodząca w dali w niewysokie, faliste wzgórza, ciągnące się równolegle do kierunku naszej jazdy. Poza temi wzgórzami jaśniały odległe szczyty *Timocharisa*, oświetlone prosto na nie padającymi promieniami słońca.

Pozostała mi w pamięci groza i dziwnie łączące się z nią niesłychane bogactwo barw tego krajobrazu. Najwyższe iglice krateru były białe, ale od nich spadały ku dołowi smugi i koła, grające wszystkimi kolorami tęczy. Nie wiem, czemu to przypisać; czyżby *Timocharis*, pierścień górski wielkości *Eratosthenesa*, był istotnie niegdyś czynnym, a teraz wygasłym, olbrzymim kraterem? Byłyżby te barwy smugami osiadających na kraterach feldszpatów, trachytów, siarki, law i popiołu? Nie umiem tej zagadki rozwiązać, a wtedy nie zastanawiałem się nawet nad nią. Miałem tylko wrażenie czegoś nieprawdopodobnego, czegoś, co mi przywodziło na myśl baśnie o krajach czarodziejskich i górach, zbudowanych z drogich kamieni. Wpatrzony w te roziskrzone od słońca szczyty, podobne do stosu topazów, rubinów, ametystu i diamentów, odczuwałem równocześnie mrozem przejmującą ich martwość. Było coś nielitościwie srogiego i nieubłaganego w tem ostrem lśnieniu barwnych głazów, lśnieniu nieprzyćmionem i niezłagodzonem niczem, nawet powietrzem... Jakiś przepych śmierci bił od tych gór

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca, mając wciąż szczyty *Timocharisa* na widoku, wjechaliśmy w cień niewysokiego krateru *Beer*. Minawszy go, przesunęliśmy się wzdłuż podnóża jeszcze niższego odeń, a tuż obok położonego, krateru *Feuillée* i wjechaliśmy na niezmierną, okiem nieprzejrzaną równinę, ciągnącą się sześćset kilometrów przed nami, aż do północnego krańca *Mare Imbrium*. Zwróceni ku północy, mieliśmy szczyty *Timocharisa* już nieco poza sobą; ku północnemu wschodowi zato ukazał się nam na skraju widnokregu odległy, w cieniu pograżony wał pierścienia *Archimedes*.

Doznałem nagle wrażenia, że mijamy olbrzymią bramę, szeroko rozwartą ku równinie śmierci. Bezbrzeżny, dławiący strach opętał mnie znowu. Odruchowo chciałem zatrzymać wóz, skrócić gdzie wśród ginące za nami skały, byle tylko nie wjeżdżać na tę rozległą płaszczyznę, której — wiedziałem — nie przebedziemy żywi.

Zdaje się, że nietylko we mnie powstało to uczucie; tamci troje patrzyli również zaszępionym wzrokiem na otwartą przed nami kamienistą pustynię.

Woodbell, ponury, z głową opuszczoną na piersi i zaciśniętymi ustami, zdawał się długo mierzyć oczyma przestrzeń równiny, której krańców nie było widno, a potem zwolna przeniósł wzrok na wskazówkę manometru, przytwierdzonego do ostatniego zbiornika ze zgęszczonem powietrzem. Mimowoli spojrzałem za jego przykładem. Wskazówka w niewielkim mosiężnym bębnie opadała ciągle, powoli, ale bez ustanku...

Wtedy nagle błysnęła mi straszna, potworna myśl: powietrza nie wystarczy dla *czworga*, ale dla *jednego* możeby wystarczyło. Jeden z tym zapasem mógłby dotrzeć aż do takich okolic, gdzie atmosfera Księżyca będzie dość gęsta, aby się nadała choćby przy użyciu pompy do oddychania.

Przełękłem się tej ohydnej myśli i zaledwie się pojawiła, chciałem ją odegnać, ale ona była silniejsza od mojej woli i powracała ciągle. Nie mogłem oczu oderwać od wskazówki

manometru, a w uszach dźwięczało mi ciągle: dla czworga nie wystarczy, ale dla jednego...

Spojrzałem wreszcie na towarzyszy, ukradkiem, jak złodziej, i — rzecz okropna — w oczach ich rozplamionych, niespokojnych, wyczytałem myśl tę samą. Zrozumieliśmy się wzajemnie. Przez chwilę panowało wśród nas przygnębiające, podłe milczenie.

Wreszcie Tomasz potarł ręką czoło i odezwał się:

— Jeśli mamy to zrobić, to trzeba robić prędko, nim się zapas uszczupli...

Wiedzieliśmy, o czym mówił; Varadol skinął głową w milczeniu; ja uczułem żrący rumieniec na twarzy, ale nie zaprzeczyłem.

— Czy będziemy ciągnęli losy? — zapytał znów Tomasz, zmuszając się widocznie do wykrztuszenia tych słów. — Ale... — tu głos mu zadrgał i załamał się, przybierając jakiś miękki, błagalny ton — ale... chciałbym... was prosić, aby... Marta została przy życiu... także...

Zapanowało znowu głucho, przygnębiające milczenie. Wreszcie Piotr wybąknął:

— Dla dwojga nie wystarczy...

Tomasz odrzucił głowę jakimś dumnym ruchem:

— A zatem dobrze, niech się stanie! Tak lepiej.

To mówiąc, wziął cztery zapalki, jednej z nich odłamał główkę, a ukrywszy je w dłoni, tak, że tylko końce było widać, wyciągnął ku nam rękę.

Podczas całej tej rozmowy Marta stała na uboczu i nic nie słyszała. Przystąpiła do nas właśnie w chwili, gdyśmy wyciągali palce po owe losy i zapytała znienacka głosem zupełnie spokojnym:

— Co robicie?

A potem do Tomasza:

— Pokaż, co masz w ręce...

I wyjęła mu z dłoni te zapalki, które miały być wyrokiem śmierci dla trojga z nas, aby czwarte mogło żyć.

Stało się to wszystko tak szybko i niespodziewanie, że nie mieliśmy jej czasu przeszkodzić. Rumieniec wstydu oblał nas aż po białka oczu, zrozumieliśmy, że ta dziewczyna zaszła nas na spełnianiu wstrętnej zbrodni egoizmu, podłości i tchórzostwa. Spojrzeliśmy po sobie i nagle rzuciliśmy się sobie w objęcia, wybuchając spazmatycznym, długo tłumionym płaczem.

O ciągnięciu losów nie było już mowy. Przez reakcję, która jest zasadniczym prawem duszy ludzkiej, wzajemna zawiść, wywołana bliskością i nieuchronnością śmierci, wiszącej nad nami, zamieniła się teraz w uczucie jakiegoś ciepła i serdecznego wylania. Zeszło na nas dziwne, bezbrzeżne ukojenie. Usiedliśmy blisko obok siebie — Marta przytuliła się zwinem, gibkiem ciałem do piersi Tomasza — i zaczęliśmy rozmawiać serdecznie, przyciszonym głosem o mnóstwie drobiazgów, które nas niegdyś na Ziemi obchodziły. Każde wspomnienie, każdy szczegół, nabierały dla nas teraz wielkiego znaczenia — czuliśmy, że ta rozmowa, to pożegnanie życia.

A wóz tymczasem pędził bez ustanku na północ, przez niezmierną, śmiertelną równinę.

Mijały godziny i doby ziemskie; wskazówka manometru opadała ciągle, ale my byliśmy już spokojni, zgodziwszy się z losem. Rozmawialiśmy, jedli, nawet spali, jakgdyby nic nie było zaszło. Czulem tylko dziwny, przykry ucisk w okolicy serca i gardła, jak człowiek, który, poniośszy wielką stratę, stara się o niej zapomnieć, a nie może.

Okolo południa znajdowaliśmy się już między 31 a 32 równoleżnikiem. Upał, chociaż bardzo znaczny, nie dokuczał nam już w tym stopniu, jak dnia poprzedniego, gdyż pod tą szerokością księżycową słońce wznosi się tylko sześćdziesiąt stopni niespełna ponad horyzont. Ziemia, zawieszona od południa na niebie w tej samej wysokości, była w nowiu, kiedy

bezpromienna tarcza słońca, dotknąwszy płomiennej obrączki jej atmosfery, poczęła zwolna poza nią zachodzić.

Mieliśmy mieć zaćmienie słońca, trwające tu około dwóch godzin, a przedstawiające się mieszkańcom Ziemi jako zaćmienie Księżyca.

Świetlna obrączka atmosfery ziemskiej stała się z chwilą, gdy ją słońce dotknęło, podobną do wieńca z krwawej błyskawicy, otaczającej ogromną, czarną plamę, jedyną na niebie, na której nie świeciły gwiazdy. Blisko godziny potrzebowała tarcza słoneczna, aby zejść poza ten czarny wśród płomienia krąg. Przez ten czas wieńiec zażęgał się coraz krwawiej i szerzej. Z chwilą, gdy słońce znikło, światło było już tak silne, że widno przy niem było zarysy krajobrazu, majaczące w pomarańczowym obrzasku. Czarna plama Ziemi wyglądała teraz jak zionący otwór jakiejś potwornej studni, wydrążonej w gwiazdzistym niebie; naokoło niej wiała się wąska, krwawo-płomienna obwódka, przechodząca dalej stopniowo w światło czerwone, pomarańczowe i żółte, szeroko w krąg rozpostarte, a ginące wreszcie na czarnem tle słabą, białawą poświatą. A z za tego płomiennego wieńca wystrzelały na wschód i zachód dwa snopy promieni, dwie fontanny złocistego pyłu świetlnego: było to światło zodiacalne, widoczne podczas zaćmienia, podobnie, jak po zachodzie słońca.

Oświetlenie na Księżycu stało się tymczasem z pomarańczowego czerwonym; wyglądało to tak, jakby kto wylał krew na mroczną przed nami pustynię.

Musieliśmy się zatrzymać, gdyż w tem krwawem i słabem świetle niepodobna było rozpoznać drogi. Razem z cieniem spadł na nas po zniknięciu słońca i chłód dotkliwy. Otuliwszy się tedy, zbiliśmy się razem w kupkę, czekając, rychło słońce się znów ukáže. Nad nami palił się wciąż w niestłuchanym przepychu świetlny, rogaty wieńiec różnobarwnych płomieni, gdy wtem psy zaczęły wyć, naprzód zcicha, później coraz głośniejsze i rozpaczliwiej. Wycie to przejęło nas lodowatym dreszczem; przy-

omniała nam się noc przed zgonem O'Tamora, kiedy Selena taksamo wyła, witając śmierć, wchodzącą do naszego wozu. I nagle wobec tych wspaniałości na stropie niebieskim, uczuliśmy tak żywo całą bezbrzeżną, straszną nędzę naszego położenia; zdało się nam, że te ognie i blaski rozpały się jakby na szyderstwo ponad głowami umierających, na których słońce już nie chciało patrzeć...

W zbiorniku mieliśmy powietrza już tylko na jakie dwadzieścia godzin.

Po upływie dwóch godzin rąbek słońca począł się wyłaniać na zachodniej stronie czarnej tarczy ziemskiej, a świetlna aureola zwężała się już i gasła powoli. Na widok słońca doznałem naprzód uczucia niespodziewanego zdziwienia; przywykłem już tak do tej krwawej nocy, tak mi się już zdawało, że jest zwiastunką nocy głębszej, wieczystej, która nas ogarnie pod nieobecność słońca, iż świtający dzień był dla mnie czemś niepojętem. A potem naraz — nie wiem skąd — wstąpiła we mnie otucha, jakby z pojawieniem się słońca, cud jaki miał nas uratować.

— Będziemy żyć! — zawołałem tak nagle i z takim przekonaniem, że oczy wszystkich zwróciły się na mnie z wyrazem pytania i nadziei.

Wtem stała się rzecz zadziwiająca. Z paki, w której był zamknięty bezużyteczny teraz aparat telegraficzny, doleciało nas kołatanie. Z początku nie wierzyliśmy własnym uszom, ale kołatanie słycać było coraz wyraźniej. Rzuciliśmy się ku pace; po jej otwarciu okazało się, że aparat stuka istotnie, jakgdyby odbierał przesyłaną skądś depeszę. Nadaremnie jednak staraliśmy się treść depeszy wyrozumieć. Coś się było popsło czy pomieszało; zaledwie mogliśmy złowić kilka oderwanych słów: Księżyc... za godzinę... od środka tarczy... pod kątem... niech... Francja... tamci... a jeżeli... śmierć...

Ogarnęło nas bezbrzeżne zdumienie. Varadol poskoczył do aparatu i zatelegrafował: Kto się odzywa?

Czekaliśmy chwilę — żadnej odpowiedzi. Piotr powtórzył pytanie poraz drugi i trzeci, ale bez skutku.

Aparat zamilkł i stukanie już się nie ponowiło.

Minęło pół godziny najzuppełniejszej ciszy i zaczęliśmy już przypuszczać, że cała ta sprawa była jakimś niepojętem złudzeniem.

Słońce wyszło było właśnie z poza Ziemi i stało na niebie obok niej. Upał wzmagał się znowu.

Wtem mignęło coś i błysnęło przed nami w promieniach słońca, a równocześnie grunt pod nogami zatrząsł się, jak mur uderzony kulą armatnią. Krzyknęliśmy z przestachu i podziwu. Rzuciwszy się ku oknu, spostrzegliśmy masę jakąś o metalicznym połysku, która, odbiwszy się od powierzchni Księżyca, zatoczyła w naszych oczach ogromny łuk w przestrzeni i uderzyła znów dalej i znów się odbiła poraz drugi, trzeci, czwarty, sadząc w potwornych kozłach ku północnemu zachodowi.

Milczeliśmy, zdumieni, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego zjawiska, aż nagle Piotr zakrzyknął:

— Bracia Remognerzy przybywają!

Teraz rozjaśniło nam się wszystko! Wszak to upłynęło właśnie sześć ziemskich tygodni od czasu, gdyśmy około północy spadli na Księżyc, to jest na termin, w którym miała podążyć za nami druga wyprawa. Aparat nasz telegraficzny kołatał pod wpływem depeszy, przesyłanej widocznie z bliskości Księżyca przez braci Remognerów na Ziemię. Mógł już i przedtem słabiej się odzywać, tylko kołatanie wewnątrz paki, gdzie był zamknięty, uszło naszej uwagi. Również bracia Remognerzy nie zauważyli widocznie naszej depeszy, zajęci w ostatniej chwili przygotowaniem do spadku.

Wszystkie te uwagi przebiegły mi błyskawicą przez myśl, gdyśmy w największym pośpiechu puszczali w ruch motor, poruszający nasz wóz. W parę chwil później pędziliśmy już całą siłą w kierunku, gdzie pocisk znikł z przed naszych oczu,

opętani jedną, potężniejszą w tej chwili nad wszystko inne myślą: Bracia Remognerzy mają ze sobą powietrze!

W niespełna pół godziny dojechaliśmy do miejsca, gdzie pocisk upadł nareszcie po kilkakrotnym odbiciu. Straszliwy widok przedstawił się naszym oczom: wśród rozrzuconych szczątków strzaskanego pocisku leżały dwa pokrwawione i zmiżdżone trupy.

Przywdzialiśmy coprędzej powietrzochrony i wypełniwszy je resztą naszego zapasu, wyszliśmy z wozu, drżąc ze wzruszenia, wywołanego (po cóż to ukrywać!) nietylę straszliwym zgonem przyjaciół, jak raczej obawą, czy ich zbiorniki powietrza nie ucierpiały podczas katastrofy.

Dwa pękły istotnie i leżały próżne wśród pogruchootanych płyt metalowych, ale cztery inne zostały nienaruszone.

Byliśmy ocaleni!

Na chwilę ogarnął nas istny szal radości, tak mało licujący z tem, co się dokoła nas znajdowało. Ale wszak myśmy przez trzysta pięćdziesiąt godzin umierali, a dowiedzieliśmy się teraz, że będziemy żyć!

Upewniwszy się co do swego losu, mogliśmy dopiero zastanowić się nad losem, który spotkał braci Remognerów. Ostatecznie ta sama okoliczność, która nas ocaliła, stała się przyczyną ich śmierci. Czysty przypadek, wprowadzający jakąś niedokładność w obliczenie, kazał im spaść tuż przed nami, zamiast na środek księżycowej tarczy, oddalony od nas w tej chwili blisko o tysiąc kilometrów. Ten przypadek zapatrzył nas w zapasy powietrza, ale ich zabił. Spadając bowiem w tej okolicy, upadli nie prostopadle na księżycową powierzchnię, lecz pod kątem; pocisk tedy uderzył o twardy grunt bokiem, gdzie nie był zabezpieczony rusztowaniem ochronnem, i odbijając się parę razy, musiał się wreszcie roztrzaskać. Mróz nas przeszedł, gdyśmy pomyśleli, że to samo mogło się być stać z nami...

Pogrzebawszy starannie trupy wśród kamieni. zajęliśmy

się spadkiem po nich. Wybraliśmy z pomiędzy szczątków wszystko, co nam się mogło przydać; więc przedewszystkiem przenieśliśmy do naszego wozu owe tak cenne zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem, następnie żywność, zapasy wody i niektóre mniej uszkodzone narzędzia. Z drzeniem serca szukaliśmy ich aparatu telegraficznego w nadziei, że może będzie dość silny, aby się znieść za jego pomocą z mieszkańcami Ziemi. Ta nadzieja atoli okazała się płonną; aparat podczas rozbitcia uległ zniszczeniu. Ten sam los spotkał większość astronomicznych instrumentów. Motor wozu zabraliśmy, choć mocno jest uszkodzony.

Co za szczęście dla nas, że przynajmniej miedziane zbiorniki powietrza przetrwały bez szkody tę okropną katastrofę!

Po zabraniu dobytku nieszczęśliwych braci Remognerów, puściliśmy się niezwłocznie w dalszą drogę ku północy, gdyż upał, przerwany chłodem podczas zaćmienia słońca, wzrastał znów szybko i należało znaleźć jaką wyniosłość, któraby nam mogła użyczyć cienia.

Zatrzymaliśmy się dopiero tutaj, między niewielkimi kraterami *c—d*.

Stożki te, bystre, stykające się niemal podstawami, są niewątpliwie wulkanicznego pochodzenia. Cała okolica, pokryta siarką, żółci się w oślepiającym blasku słonecznym. Głębokie żleby, którymi zbiega kraterów pokryte są od wierzchu aż do podstawy, dają nam doskonałe schronienie przed piekącym upałem.

Jesteśmy ocaleni, a jednak przygnębienie nie opuszcza nas ani na chwilę. Mimowoli mam wciąż na oczach okropne, pokaleczone trupy Remognerów; nie jesteśmy w niczem winni ich śmierci, a przecież czuję jakby wyrzut: wszak ich śmierć nas ocaliła...

Zmęczony jestem temi wszystkimi przejściami, zmęczony długim pisanem. Trzeba się położyć i wypocząć nieco przed

dalszą podróżą. Trudy bowiem, a zapewne i niebezpieczeństwa, jeszcze się dla nas nie skończyły.

Spojrzałem w tej chwili na Selenę, igrającą ze szczeniętami, które ogromnie wyrosły w ciągu tych paru tygodni... Dziwna rzecz, gdy nam groziła śmierć z braku powietrza, byliśmy przez pewien czas gotowi poświęcić życie trojga z nas dla uratowania czwartego, a nikomu nie przyszło na myśl, że można było zabić psy, które przecież także zużywały wiele powietrza, i przedłużyć w ten sposób czas, jaki — sądziliśmy — pozostawał nam do życia! Jakażby to była okropna rzecz, gdybyśmy tak byli istotnie kogo z nas poświęcili, oszczędzając psy li tylko przez zapomnienie!

Ostatecznie niebezpieczeństwo minęło na razie i lepiej, że psy żyją. Przez swą zwierzęcą prostotę przypominają one nam więcej Ziemię, niż my sobie możemy przypominać nawzajem swemi osobami. Z rozczuleniem patrzę na te zwierzęta... Jesteśmy tak samotni i tak strasznie od Ziemi oderwani. Dwóch ludzi wysłała za nami, ale my zobaczyliśmy już tylko ich trupy. Mieliliśmy nadzieję, że z przybyciem braci Remognerów zyskamy towarzyszków, a zarazem sposób porozumiewania się z Ziemią; tymczasem ocalili nam oni życie, ale skazani jesteśmy za to na wieczyste osamotnienie.

Na Mare Imbrium, 9^o z. dl., 37^o pn. szer. księżycowej, druga doba, 152 godz. po południu.

Od stu blisko godzin, to znaczy prawie cztery doby ziemskie, wleczeni się przez równinę, która zdaje się nie mieć końca! Jak okiem zasięgnąć — nie widać nic, żadnej wyniosłości, żadnego szczytu, na którymby się wzrok mógł zatrzymać. Straszliwa jednostajność krajobrazu przytłacza nas i nuży. Odbywałem raz na Ziemi podróż przez Saharę; ale, zaiste, Sahara wydaje mi się pięknym, urozmaiconym krajem wobec

tej postaci, która nas otacza! Na Saharze spotyka się ciągle jakieś łańcuchy skał, jakieś faliste, piaskowe wzniesienia, poza którymi ukazują się często zielone wierzchołki palm, rosnących na rozkosznych oazach; ponad Saharą jest błękitne niebo, które w krótkich odstępach czasu osrebrza się świtem, rozjaśnia w blasku południa, zorzą rumieni lub zaciąga gwiazdzistą nocy oponą; po Saharze wichry się przechadzają i, mącąc to piaszczyste morze, świadczą ruchem o życiu; tutaj niema nic z tego wszystkiego. Kamienne podłoże, poorane w niegłębokie bruzdy, zwietrzałe na powierzchni od słonecznego żaru, jednostajne, straszne, jak to niebo nad nami, niezmiennające się prawie w przeciągu trzystu kilkudziesięciu godzin! Wiatr, błękit, zieloność, woda, życie — wszystko to wydaje nam się jakąś miłą, przepiękną, ale nieprawdopodobną bajką, słyszaną czy przeżytą kiedyś w młodości, dawno, bardzo już dawno...

Według ziemskiej rachuby czasu, jesteśmy na Księżycu dopiero niespełna dwa miesiące, ale nam zdaje się, że to już wiek upłynął od chwili, kiedyśmy opuścili Ziemię. Przyzwyczajamy się z wolna do nowych warunków życia; już nas nie dziwi to, co nas otacza, dziwią nas raczej wspomnienia, mówiące nam, że tam, na tej jasnej kuli, zawieszanej nad nami w odległości setek tysięcy kilometrów, wśród gwiazd na czarnem niebie, jest kraj, gdzieśmy się wychowali, taki odmienny od tego, a tak rozkoszny, tak niesłychanie rozkoszny!..

O! ludzie nie umieją cenić piękności Ziemi! Gdyby się dostali tutaj, gdzie my jesteśmy, kochaliby ją tak, jak my ją teraz, straconą na wieki, kochamy i tak, jak my, śniliby o niej w snach gorączkowych, niespokojnych, pełnych utartej, a bolesnej tęsknoty... Ach! jakże te sny są nużące! Budzę się po kilku godzinach i widzę, że słońce stoi na niebie prawie w tem samym miejscu, gdzie stało, nim zasnąłem, że wóz nasz, mimo nieustannego ruchu, wciąż na tej samej jest pustyni, jednakowo od widnokregu odległy — i zaczynam przypuszczać, że niema czasu, ani przestrzeni, lecz tylko bezmiar a wieczność!

Dla rozrywki i aby w tej pustce nie oszaleć, opowiadamy sobie rozliczne a długie, czasem dziecinne historie, albo czytamy zabrane ze Ziemi książki. Mamy trochę dzieł przyrodniczych, obszerną historję cywilizacji, kilku najznakomitszych poetów i bibliję. Bibliję zwłaszcza czytujemy często. Zazwyczaj Woodbell rozkłada księgę i dźwięcznym, wyraźnym głosem odczytuje rozdziały z Genezis lub Ewangelje...

My słuchamy, jak Bóg stworzył Ziemię dla człowieka, aby po niej chodził, i Księżyc, aby Ziemia miała swe światło nocne; jak kazał nocy następować po dniu, jak wygnał Adama z kwitnącego raju w kraj pusty i nieurodzajny; słuchamy, jak Zbawiciel zeszedł na świat, aby odkupić ludzkie plemię, jak chodził z wierną rzeszą po wonnych łąkach i zielonych wzgórzach Galilei, jak cierpiał i umarł; słuchamy tego wszystkiego, patrząc na Ziemię, podobną do srebrnego sierpa na czarnym nieba aksamicie, jadąc przez puste, straszliwe obszary pod słońcem, które, wlokąc się leniwie, zapomina nam znaczyć dni i godzin...

Marta tonie całą duszą w tych opowieściach, a gdy Tomasz skończy czytanie, zadaje mu różne, nieraz dziwne pytania. Wszystko odnosi się do naszego obecnego położenia... Niedawno powiedziała do Tomasza: „My jesteśmy tu oboje, jak Adam i Ewa“. — Istotnie, oni tutaj są pierwszą parą ludzi, wygnaną z Ziemi na pustynię, jak ongi tamci byli z raju wygnani, ale my z Piotrem, czemże my jesteśmy; Jest coś nieludzkiego w naszym obecnem istnieniu: Tomasz i Marta mają sami w sobie rację swego bytu, lecz my — po co my żyjemy?

Przypomina mi się, cośmy mówili na Ziemi, wybierając się w tę nadniebną drogę: udajemy się tam dla *poznania!* — Teraz widzę, że poznanie samo nie zadowala człowieka, jeśli niema sposobu utrwalić go i innym przekazać. Widzimy takie cuda, jakich jeszcze od stworzenia świata żaden człowiek nie widział i spostrzegamy sami ze zdziwieniem, że jest nam to dość obojętne, gdyż nie mamy komu opowiedzieć tego, co

widzimy! Z tego też powodu — mimowoli — nie badamy wielu rzeczy, którebyśmy badać mogli i powinni... Ach! gdybyśmy mieli środek porozumiewania się z Ziemią! Bez tego życie nasze jest bezcelowe. Szczęśliwy Tomasz i Marta szczęśliwa! — oni żyją dla siebie!

Pali mnie jakaś straszna gorączka, gdy na nich patrzę, gdy myślę o nich. Żyjąc na Ziemi przez trzydzieści sześć lat, należałem do tych — przyznaję dziś — szaleńców, dla których istnieje jedna tylko miłość: wiedzy — i jedna tęsknota: za prawdą: Teraz zaczynam tęsknić za tą wielką tajemnicą wieczystego życia, którą ma w sobie kobieta — i za tym świętym obłędem, w którym się owa tajemnica objawia — za miłością...

Cha! cha! — jakże śmiesznie wygląda to zdanie tu napisane! Jestem sam i sam będę aż do śmierci, co wpadnie na mnie i zdławi mnie wraz z tą niewyzyskaną potęgą stwarzania życia, wraz z tą wiedzą bezużyteczną, jak źródło bijące wśród skał niedostępnych i nieurodzajnych...

Marta... Nie wiem, czemu to imię napisałem. Cóż mnie obchodzi ta półdzika Malabarka, piękna, jak młode, zwinne zwierzę, którą na ten świat, setki tysięcy kilometrów od Ziemi odległy, zagnała nie najszczytniejsza żądza docieczenia tajemnic, lecz zwykła, głupia miłość do mężczyzny? — Tak, nic mnie nie obchodzi, a jednak myślę o niej bez ustanku, uparcie, aż boleśnie. Jest nas tu trzech mężczyzn, silnych, mądrych, a jednak nie myśmy na ten świat człowieka przenieśli, lecz ona, ta głupia, wąta kobieta. Z nas ten tylko ma wartość, którego ona wybrała...

My dwaj jesteśmy niczem i w istocie służymy tylko tym dwojgu swym mózgiem, tak, jak zwierzęta robocze mięśniami.

Właściwie to jest niesprawiedliwość. Dlaczego on, dlaczego tylko on, dlaczego właśnie on?...

Marta mówiła na Ziemi, prosząc nas, by ją wziąć na Księżyc: „Będę waszą niewolnicą“. A w istocie my jesteśmy jej

niewolnikami, chociaż ani ona nam kiedy co rozkazuje, ani my nie staramy się jej służyć. Jesteśmy jej niewolnikami przez tę tak ogromnie prostą rzecz, że mimowoli służymy, choć w różny sposób, do celu, który ona jedna może urzeczywistnić: stworzyć tu nową ludzkość.

Hej! gdzie mnie myśl unosi! Zaledwie widmo śmierci zeszło z mych oczu, a już starym, ziemskim, ludzkim zwyczajem myślę o przyszłości, która się może nigdy nie spełni. Ludzkość, nowa ludzkość! a tu dokoła nas pustynia, a tu kraj bezpowietrzny, bezwodny i martwy. Księżyc jeszcze nam nic nie dał; żyjemy dotąd tą odrobiną Ziemi, którąśmy ze sobą zabrali. Nie mamy nawet zgoła danych, mogących nas utwierdzić w przypuszczeniu, że znajdziemy tutaj warunki do życia. Przebyliśmy już około kilkuset kilometrów, nie spostrzegłszy wcale zmiany w ukształtowaniu powierzchni gruntu, ani w gęstości atmosfery. Powietrze tu ciągle tak rzadkie, że nie jest zdolne we dnie zaćmić gwiazd, ani pomalować na błękitny kolor czarnego nieba; na skalistem podłożu nie widno nigdzie śladów, iżby tu kiedykolwiek była i działała woda.

A jednak nie tracimy nadziei. Prawie wszystkie nasze rozmowy zaczynają się pełnym ufności zwrotem: A gdy już przybędziemy na *tamtą* stronę... Jaka będzie *tamtą* strona? Wiemy o tem również niewiele, jak w chwili, kiedyśmy się ze Ziemi w tę podróż puszczały, to znaczy: nic zgoła nie wiemy.

*Pod Trzema Głowami, 7^o 40' s. dł., 43^o 6' pn. szer. księż.,
przed północą drugiej doby.*

Znajdujemy się u stóp góry, wznoszącej się w północnej części *Mare Imbrium*, a różnej od wszystkich wyniosłości, któreśmy dotąd po drodze spotykali. Światło Ziemi, wzniesionej tutaj tylko czterdzieści kilka stopni ponad widnokrąg, pada ukośnie na skały, podobne do olbrzymiej, gotyckiej świątyni lub bajecznego zamku dla wielkoludów,

Blask nocny jest tu znacznie słabszy, niż tam, gdzie Ziemia świeciła nad nami w zenicie; widne przy nim wszakże ogólne zarysy. Pierwsza to góra, która niema postaci pierściennego krateru. Wygląda raczej na szczątek ruin takiego pierścienia, zniszczonego jakimś straszliwym kataklizmem natury, czy też wolnym działaniem wody.

Tak jest, mówimy już: „działaniem wody“, a choć to jest tylko słabe przypuszczenie, uczuwamy taki dreszcz radości, jakgdyby było prawdą... Bo jeśli tu woda była, to można się spodziewać, że tam dalej, na „tamtej stronie“, woda jest, a jeśli jest woda, to musi być i powietrze w dostatecznej dla oddychania gęstości. Mimo mrozu, który, choć znacznie słabszy, niż poprzedniej nocy, gnębi nas dotkliwie, wyszliśmy na chwilę z wozu i badaliśmy przy ukośnem świetle Ziemi okolicę, szukając śladów, potwierdzających nasze przypuszczenie. Pewnego nic nie wiemy, ale to niewątpliwe, że inne przyczyny musiały się złożyć na utworzenie tej góry, niż spotykanych dotąd obrączkowych wzniesień. Tuż przed nami piętrzy się ściana niemal prostopadła, z trzema potężnymi szczytami, niby kawał cyklopiego muru z tkwiącemi w nim basztami. Nazwaliliśmy to sobie *Trzema Głowami*. Mur ciągnie się w kierunku północno-wschodnim i zwrócony jest ku nam czarną, nieoświetloną stroną. Szczyty jeno same bielą się płaszczyznami nachylonemi ku Ziemi i wyglądają jak trzy srebrne kaski na czarnych głowach. Cała góra różni się od tła nieba tylko tem, że na jej czerni niema gwiazd, których niebo jest pełne. Kształt jej tak poznajemy, jak się na Ziemi poznaje w nocy ciemną na ciemnym, lecz gwiazdzistym błękitcie chmurę.

Jesteśmy pogrążeni w absolutnej nocy, gdyż góra nam Ziemię zasłania. Drogę rozjaśniamy przed sobą elektrycznemi latarniami. Utrudnia to podróż niezmiernie. Każda wyniosłość rzuca tu już długi cień i musimy się posuwać z największą ostrożnością, aby nie uwięznąć w jakiej nierówności gruntu lub płytkiej rozpadlinie, których tu coraz więcej spotykamy.

Zdaje się, że niewiele drogi zrobimy przed wschodem słońca, zwłaszcza, że mróz, potęgający się z końcem nocy, zmusi nas prawdopodobnie do zatrzymania się dłuższy czas na miejscu. Chcielibyśmy przedtem dotrzeć chociaż do szczytu *Pico*, który według mapy oddalony jest od nas około siedmdziesięciu kilometrów ku północy, gdyż wiemy już z doświadczenia, że w pobliżu gór jest znacznie cieplej, niż na równinie. Tłumaczymy sobie to zjawisko wulkanicznym charakterem wielu z nich: muszą tam być gdzieś w pobliżu podziemne żyły wewnętrznego ognia.

Po krótkim postoju, wywołanym koniecznością opatrzenia motoru, puszczamy się w dalszą drogę. Muszę przerwać pisanie, gdyż niepodobna nawet myśleć o niem podczas ruchu. Wobec nierównego gruntu i licznych cieniów, jakie rzuca światło nachylonej ku widnokręgowi Ziemi, musimy ciągle mieć się wszyscy na baczności. Ze snem tak się teraz urządzamy, że, aby nie wstrzymywać wozu, jedno tylko śpi, a troje czuwa. W tej chwili śpi Marta. Słyszę jej równy, spokojny oddech, widzę przy blasku przyćmionej latarni jej twarz, wyzierającą z pośród stosu futer. Usta ma trochę rozchylone, jakby do uśmiechu lub pocałunku... O czym ona śni teraz?...

Ach! głupstwo! Puszczamy się w drogę.

Trzecia doba, 30 godz. po północy, na Mare Imbrium, 9° 14' z. dl., 43° 58' pn. szer. księż.

Dziwne, dziwne jest to, co widzę...

Niemal o samej północy wyruszyliśmy z pod *Trzech Głów*. Droga była straszliwie uciążliwa, zwłaszcza, że co chwilę zapadaliśmy w cień drobnych wyniosłości gruntu. Parę razy w ciągu godziny musieliśmy się zatrzymać i badać z pomocą światła elektrycznego teren lub też robić pomiary wysokości gwiazd, będących teraz jedynym dla nas drogo-

wskazem. Okolica, pokrajana cieniami, podobna jest do kłę-
bów chmur, lekko z wierzchu posrebrzonych. Niepodobna nic
rozpoznać oprócz ogólnych zarysów. A jednak... Może właśnie
dlatego...

W przeciągu trzydziestu godzin ujechaliśmy zaledwie
czterdzieści parę kilometrów. Wreszcie dotarliśmy teraz do
dziwnej, szarej smugi, podobnej do ławicy piasku. Ciągnie
się na znacznej przestrzeni ku północnemu zachodowi lekko
wygiętym łukiem, odbijając jaśniejszą barwą od ciemnego ła-
kamenistej pustyni. O ile mogę dojrzeć przy świetle Ziemi,
kończy się u szczególnej grupy skał, podobnej zdala do fan-
tastycznych zjawisk jakiegoś zamku czy miasta. Miasta?...

Puszczamy się wzdłuż tej smugi, gdyż stanowi dla nas
drogę znacznie równiejszą od zaścielonej głazami pustyni,
a nie zwodzi nas zbyt z wytkniętego kierunku. Posuwamy
się dość szybko, a tymczasem owa grupa skał, widna zdala,
występuje przed nami coraz wyraźniej. Teraz można już roz-
różnić dokładnie poszczególne głazy, fantastycznie spiętrzone,
a przypominające do złudzenia ruiny wież i gmachów.

Nie wiem, co mam myśleć o tem wszystkim. Staram
się zdać sobie sprawę... Nie, nie! to jest zbyt dziwne do-
prawdy! Jakaś zabobonna niemal twoga mnie ogarnia...

Czyżby to...

Trzecia doba, 36 godzin na Mare Imbrium.

Przekleństwo! — przekleństwo! — Jeżeli stracimy To-
masza... Wyniszczony był tak straszliwie pierwszą gorączką,
a teraz znowu... O, Boże! ratuj go, bo my już... To trupie
miasto...

59 godz. po północy, na Mare Imbrium, pod Pico, 9° 12' z.
dł., 45° 27' pn. szer. księż.

Zbieram myśli... Trzeba nareszcie zapisać.

Pamiętam, wstałem był właśnie od tych kart i, patrząc na niepojęte ruiny czy spiętrzone głązy, wykrzyknąłem mimowoli:

— Ależ to wygląda doprawdy jak miasto!

Tomasz, który przez cały czas stał przy oknie i obserwował ze wzrastającym zajęciem widne przed nami skały, odwrócił się żywo na moje słowa. Na twarzy malowało mu się wzruszenie.

— Zdaje mi się, że masz słuszność — rzekł poważnie, z lekka drżącym głosem. — To w istocie może być miasto... Co!?

Poskoczyliśmy wszyscy ku oknu, chwytając za lunety.

Nawet Piotr odszedł od steru, zatrzymawszy wóz, aby się przypatrzeć temu dziwu. Tomasz wyciągnął rękę:

— Patrzcie — mówił — tam na prawo. Wszakże to zwaliska bramy kamiennej. Widać oba filary, a w górze trzyma się jeszcze kawałek łuku... Albo tu, w głębi, czyż to nie jest wieża, rozwalona do połowy? A tam, patrzcie, gmach jakiś obszerny, z niską kolumnadą na przodzie i dwiema ściętymi piramidami po bokach. Ręczę, że ten niby wąwóz, zasypany miejscami mnóstwem gładów, był niegdyś ulicą... Teraz to jest zwalone i martwe... Trupie miasto.

Nie umiem określić uczucia, jakie mną owładnęło.

Im dłużej patrzyłem, tem skłonniejszy byłem do uwierzenia, że Tomasz ma słuszność. W oczach mi rosły coraz nowe wieżyce, łuki i kolumny, kawałki rozsypanych murów i ulice, zasłane gruzem gmachów. Światło Ziemi posrebrzało te fantastyczne ruiny; z czarnego jeziora cienie wyskakiwały tajemniczo, jak zjawione duchy. Przeszedł mnie dreszcz nieokreślony. Jakieś księżycowe Pompei czy Herkulanum, jeno

nie z piasku wygrzebane, lecz raczej w piasek się rozsypujące — straszliwsze — większe, więcej trupie w tem opuszczeniu potwornem i w tem dziwnem świetle...

Varadol wzruszył ramionami i mruknął:

— Tak, to istotnie podobne do zwalisk, te skały... Ale przecież tu nigdy nie było żywej istoty.

— Kto to wie — odpowiedział Tomasz. — Dzisiaj ta strona Księżyca niema powietrza, ani wody, ale mogła je mieć niegdyś przed wiekami, przed tysiącami wieków, kiedy glob księżycowy szybciej się jeszcze obracał i Ziemia wschodziła i zachodziła na jego niebie...

— To możliwe — szepnąłem w zamyśleniu.

— Nie spotkaliśmy nigdzie śladów erozji, a to dowodzi, że tu nigdy wody nie było; to zaś świadczy o braku powietrza, a więc i życia — odezwał się Piotr.

Woodbell uśmiechnął się i wyciągnął rękę, wskazując grunt pod naszym wozem:

— A ten piasek? a *Trzy Głowy*, któreśmy minęli niedawno? Wszak wyglądały, jak szczątek góry, wodą rozmytej. Nie można twierdzić, że tu wody nigdy nie było. Może tylko odwieczne działanie mrozu i żaru słońca zatarło i zniweczyło to, co ona zbudowała...

Przez chwilę panowało wśród nas głucho milczenie; potem Woodbell rzekł nagle:

— Zdaje mi się, że mamy przed sobą najciekawszą zagadkę, jakąśmy mogli spotkać na Księżycu. Trzeba ją rozwiązać.

— Jak to rozumiesz? — spytałem.

— Ano, podjedziemy ku tym gruzom i zwiedzimy je...

Nie wiem dlaczego, mróz mnie przeszedł po kościach; nie był to strach, ale coś, co było do niego bardzo podobne. Te zwaliska — gmachów, czy też skał — wyglądały jak białe trupy na niezmierzonej pustyni.

Piotr znówu ramionami ruszył z niechęcią:

— Dziwne fantazje! — szkoda czasu na oglądanie skał,

które przy świetle Ziemi mają istotnie trochę podobieństwa do gmachów — ale nic ponadto.

Mimo to, zwróciliśmy wóz ku ruinom. Marta patrzyła w nie z natężeniem i widocznym niepokojem zarazem.

— A jeśli to jest miasto umarłych, przez umarłych zbudowane — szepnęła, gdy już zaledwie dwa kilometry dzieliły nas od arkady, stanowiącej wejście do tego dziwnego miejsca.

— Miasto umarłych... zapewne — rzekł, uśmiechając się Tomasz — ale wierz mi, że musiało być nigdyś przez żywych zbudowane.

— Albo przez siły przyrody — dorzucił Piotr i w tejże chwili zatrzymał wóz gwałtownie na miejscu.

Poskoczyliśmy ku niemu, zobaczyć, co się stało. Ława piasku skończyła się była właśnie, a przed nami leżało pole tak zasłane dużymi głazami, że nie mogło być mowy o przedostaniu się przez nie z wozem bliżej ku miastu. Tomasz, spostrzegłszy to, zawahał się chwilę, a potem zawołał:

— Pójdę piechotą!

Zrazu poczęliśmy go wszyscy powstrzymywać od tego zamiaru, nie zdając sobie nawet sprawy, dlaczego to robimy.

Czyżby to było przecucie tego, co miało nastąpić? Ostatecznie jednak postawił na swoim. Piotr zaklął pod wąsem i powiedział, że trzeba być skończonym warjatem, aby tracić czas i narażać się przez wyjście z wozu na straszliwy mróz dla urojenia; ja ofiarowałem się towarzyszyć Tomaszowi, ale gdy powiedział, że wyjdzie sam, nie nalegałem. Do tej chwili nie wiem, co mnie właściwie powstrzymało, obawa zimna, czy też to dziwne, niewytłumaczone, a przykre uczucie jakiegoś lęku na widok trupiego miasta... Dość, że pozostałem we wozie — i źle się stało.

Tomasz, wyszedłszy z wozu, ruszył wprost przed siebie w kierunku piętrzących się fantastycznie zwalisk. My, stojąc przy oknie, widzieliśmy go w świetle Ziemi jakby na dłoni. Posuwał się zwolna, schylając się często, zapewne w celu zba-

dania gruntu. Na chwilę znikł w cieniu niewielkiej skałki z przed naszych oczu; potem zobaczyliśmy go znowu, znacznie już dalej. Naraz stało się coś dziwnego. Woodbell, uszedłszy może trzecią część drogi, wyprostował się, stanął jak wryty, i nagle zwróciwszy się, począł biec w szalonych susach napowrót w stronę wozu.

Patrzyliśmy na jego ruchy, nie mogąc ich sobie wytłumaczyć. Wtem o kilkanaście kroków przed wozem potknął się i upadł. Widząc, że nie wstaje, rzuciliśmy się obaj, przejęci już trwoga, iść mu z pomocą. Nimeśmy wyszli, zbiegła chwila czasu, gdyż trzeba było przywdziać powietrzochrony. Załatwiwszy się z tem, wybiegliśmy wreszcie. Woodbell leżał bez przytomności. Nie było czasu zastanawiać się, co się mu stało — chwyciliśmy go więc na ręce i zanieśli coprędzej do wozu.

Gdyśmy zdarli z niego powietrzochron, przedstawił nam się straszny widok. Twarz obrzękła i sina, złana była cała krwią, cieknącą obficie z ust, nosa i oczu; na nabrzmiałych dłoniach i na szyi widać było także gęste krople krwi, choć nie mogliśmy nigdzie odkryć rany.

Marta na widok tej strasznej postaci wydała dziki okrzyk i zaledwie udało się przemocą Varadolowi powstrzymać ją od rzucenia się na ciało i uspokoić nieco. Ja tymczasem zająłem się trzęźwieniem nieszczęśliwego. Z początku sądziliśmy, że powalił go atak apoplektyczny, gdy jednak Piotr obejrzał porzucony powietrzochron, okazała się nam właściwa przyczyna zemdlenia. Szkło w masce, czegośmy zrazu nie zauważyli, było rozbite. Pękło widocznie, gdy Tomasz się potknął i upadł, a w następstwie tego powietrze uciekło z powietrzochronu. Nim zdążyliśmy przybiec z pomocą, cały prawie zbiornik był wyczerpany. To spowodowało wybuch krwi i omdlenie; ale z jakiej przyczyny tak biegł, pozostało na razie tajemnicą.

Po dość długim czasie udało się nam wreszcie przywołać go wspólnymi siłami do przytomności. Pierwszym znakiem powracającego życia był oddech głęboki, kurczowy, po którym

mu się znowu krew ustami rzuciła. Potem otworzył oczy i, dysząc szybko, jakby z wysiłkiem, jął na nas patrzeć błędnie, nie pojmując snadź, co się z nim dzieje. Nagle krzyknął przeraźliwie, wyciągając ręce, jakby coś odpychał, i zemdlął znowu. Ocuciliśmy go powtórnie, ale mimo to nie odzyskał przytomności: wpadł w gorączkę, która zda się być zapowiedzią dłuższej choroby.

Ułożywszy jaknajtroskliwiej chorego na hamaku, puściliśmy się w dalszą drogę. O fantastycznych skałach, czy też tajemniczem mieście, nikt z nas już nie myślał, tak byliśmy zakłopotani strasznym wypadkiem i zdjęci pragnieniem jaknajprędzszego wydostania się z tej złowrogiej okolicy.

We dwadzieścia kilka godzin dotarliśmy wreszcie do stoków *Pico*, gdzie obecnie stoimy. Zatrzymamy się tutaj aż do rana.

Stan Woodbella jest wciąż bardzo groźny. Krwotoki wprawdzie już ustały, ale gorączka wzmaga się ciągle. Czasem zrywa się i rzuca, jakby chciał uciekać, majaczy i wykrzykuje jakieś niezrozumiałe zdania, w których powtarza się często imię nieszczęśliwych braci Remognerów. Po takich wybuchach następują chwile zupełnego obezwładnienia. Wygląda wtedy tak trupioblady, jakby w całym ciele jego nie pozostała ani jedna kropla krwi.

Zaniepokojeni jesteśmy tem wszystkim do najwyższego stopnia. Marta odchodzi od zmysłów z rozpacz i trwogi, ale stara się zapanować nad sobą, widząc, że jej pomoc potrzebna jest teraz choremu. My ją pocieszamy, jak możemy i ukrywamy przed nią własne obawy.

Jest w tym całym tak strasznym wypadku jakaś zagadka. Nie mogę pojąć, co mogło Tomasza skłonić do owej szalonej ucieczki, która ostatecznie stała się przyczyną nieszczęścia? Bo to pewna, że maska rozbiła się dopiero wtedy, gdy upadł. Żałuję teraz, że nie przyszło nam na myśl wyjść z wozu i zbadać drogę, którą przeszedł. Możeby to było pomogło

do rozwiązania zagadki... Bo tam coś być lub coś się stać musiało! Jeśli. kto, to właśnie Tomasz, który okazał tyle przytomności umysłu i spokoju w najgorszych położeniach, nie byłby się dał opanować trwodze bez powodu. Ale co go przestraszyło? co go tu wogóle na tym martwym świecie przestraszyć mogło?... Nie przeszedł nawet połowy drogi do bram owego rzekomego miasta trupów...

Pod Pico, 148 godzin po północy.

Odetchnęliśmy nareszcie spokojniej; zdaje się, że nam się uda utrzymać Tomasza przy życiu. Teraz zasnął — to znak, że przełomowa chwila choroby już minęła. Zachowujemy się jak można najciszej, mówimy nawet tylko szeptem, aby go nie obudzić. Może go ten sen ocali.

Boimy się tylko, aby psy szczekaniem nie narobiły hałasu, gdyż zbudzić teraz Tomasza, znaczyłoby go zabić. To też nieustannie ktoś z nas czuwa przy psach; jeśliby się który odezwał, wyrzucimy go natychmiast z wozu. Ale na szczęście psy zachowują się spokojnie. Selena, ulubiona jego suka, usiadła nieruchomie przy hamaku, jakby na straży, i nie spuszcza oka ze swego chorego pana. Jestem przekonany, że to rozumne zwierzę zdaje sobie doskonale sprawę ze stanu, w jakim się pan znajduje. W oczach jej widno tyle żalości i niepokoju... Gdy się kto z nas zbliża do chorego, ona warczy zcicha, jakby ostrzegając, że czuwa i nie da mu krzywdy zrobić, a potem wywija ogonem, aby dać poznać, że wierzy w nasze przyjazne zamiary i cieszy się naszą troskliwością.

Z drugiej strony hamaku siedzi Marta. Od stu godzin prawie się nie odzywa. Otwiera usta tylko wtedy, gdy się musi z nami porozumieć co do czuwania nad chorym. Nie umiem sobie wyobrazić większej boleści. Nie płacze, nie narzeka, owszem jest spokojna, ale w tym spokoju, w tych za-

ciśniętych ustach i suchych, szeroko rozwartych oczach jest coś strasznego, co łamie poprostu serce patrzącym na to. Mamy jakąś cześć dla niej i dla jej bólu. Pragnęlibyśmy ją pocieszyć, dodać jej otuchy i nadziei, a doprawdy, że nie śmiemy się do niej zbliżyć, ani odezwać. Ona też patrzy na nas dziwnie obojętnie; znać, że obchodzimy ją tylko o tyle, o ile pomagamy jej ratować Tomasza. Poza tem nie istniejemy dla niej zgoła.

Pod Pico, przed wschodem słońca dnia trzeciego.

Najwyższy szczyt *Pico* rozbłysnął już w słońcu; za trzy lub cztery godziny i tutaj w dole dzień nastanie. Przez całą noc widzieliśmy przed sobą w świetle Ziemi srebrną ścianę potężnej góry; teraz ściana ta zszarzała i pociemniała przez kontrast z roziskrzonym w słońcu szczytem.

Podobnie, jak *Trzy Głowy*, *Pico* nie jest kraterem, lecz raczej olbrzymim złomem zniszczonego pierścienia górskiego. Stoimy pod jego najwyższym szczytem, sterczącym od północnego zachodu. Urywa on się tutaj prawie prostopadle ku dołowi. Można dostać zawrotu na widok tej straszliwej wysokości, tem wydatniejszej, że wokoło rozciąga się gładka równina. Szczyt wznosi się nad nią półtrzecia tysiąca metrów w górę.

Trudno zgadnąć, co mogło spowodować rozsypanie się owego pierścienia górskiego, z którego ten cypel tylko pozostał. Może skała, utworzona z miększego materiału, skruszała pod wpływem zmian temperatury, a może rozmyła ją woda?

Już poraz drugi robimy w tej podróży to przypuszczenie. Tutaj przemawia za tem i ta okoliczność, że nie widać nigdzie wału złomów skalnych, któryby musiał powstać, gdyby tę górę były rozgryzły mrozy i słońce. Tam, gdzie niegdyś snadź się wznosił grzbiet pierścienia, znajduje się zaledwie gładkie,

niewysokie wzniesienie, mającące przed nami niewyraźnie w blasku Ziemi. Piotr, mimo strasznego zimna, wypadł na chwilę z wozu, aby zbadać grunt. Nie mógł się dłużej zatrzymać, ale przyniósł kawałek kamienia, który jest ogromnie podobny do skał, osadzających się z wody...

Gdy słońce wszędzie i oświeci tę okolicę, może dowiemy się czegoś pewniejszego.

Tomasz śpi ciągle, od trzydziestu blisko godzin. Jesteśmy przez to nieco swobodniejsi, ale z drugiej strony tak długi sen zaczyna nas niepokoić. Strach zbiera patrzeć na tę twarz, tak trupio-błądą. Oczy ma zamknięte, zapadłe policzki, obciągnięte żółtą, niemal przejrzystą skórą, usta spalone i bezkrwiste. Leży bez ruchu — żebra zaledwie się podnoszą w słabym oddechu. Czasem mam złudzenie, że nie żywego człowieka, ale trupa widzę przed sobą. Radbym, żeby się już obudził.

Marta, ciągle milcząca, nie odstępowała od łóżka ani na chwilę. Pokonana znużeniem, zasypia nawet tak, siedząc. Trwa to jednak krótko; zaraz się budzi i patrzy znów szeroko rozwartymi oczyma na chorego, jakby go chciała wzrokiem uzdrowić. Zaczynam się naprawdę o jej zdrowie obawiać. Tegoby jeszcze brakowało, żeby się i ona rozchorowała. Ale wszelkie przedstawienia z naszej strony na nic się nie zdają. Z trudem możemy ją tylko nakłonić, aby jadła.

Niespokojny jestem, co będzie, jeśli się Woodbell przed nastaniem dnia nie obudzi. Chcielibyśmy zaraz puścić się w dalszą drogę, a boimy się przerwać mu snu. Pierwotnie mieliśmy zamiar zwrócić się od *Pica* na wschód, aby okrążyć łańcuch *Alp*, tworzący północno-wschodni kraniec *Mare Imbrium*, ale ostatecznie udajemy się wprost na północ ku olbrzymiemu pierścieniowi *Platona*. Piotr, po dokładnem zbadaniu map, utrzymuje, że uda nam się przedostać przez ten pierścień, wprost na *Mare Frigoris*, poza którym znajduje się kraj górzysty, ciągnący się aż do bieguna. Toby nam skróciło znacznie drogę.

Na Mare Imbrium, 10⁰ z. dł., 47⁰ pn. szer. księż., 20 godzin po wschodzie słońca dnia trzeciego.

Dojeżdżamy nareszcie do krańca niezmiernego *Morza Dżdżów*, dla którego przebycia potrzebowaliśmy prawie dwóch miesięcy czasu. Tutaj — są to dwa dni, ale tam na Ziemi tymczasem dwa razy Księżyc się odmienił, dwa razy rozbłysnął w pełni i dwa razy zaćmił się nowiem.

Od kilkunastu godzin widzimy już przed sobą potężny wał pierścienia *Platona*. Część jego wschodnia lśni się już w słońcu jak ogromny biały mur na ciemnym niebie; w stronie zachodniej jeszcze noc; szczyty jeno wyższe płoną tam jak pochodnie. Jest to stanowczo najwspanialszy i najpotężniejszy widok ze wszystkich, jakieśmy dotąd spotykali; jesteśmy jednak tak zaniepokojeni zdrowiem Tomasza, że nie zwracamy prawie uwagi na to, co nas otacza.

Tomasz obudził się o wschodzie słońca. Patrzył na nas przez chwilę w zdumieniu, a potem usiłował usiąść w hamaku, ale siły mu nie dopisały. Upadł wtył beładnie i dopiero Marta go podniosła i posadziła. Podbiegłem corychło z zapytaniem, czy sobie czego nie życzy; Piotr tymczasem stał przy sterze wozu.

Tomasz zaczął się naprzód dziwić, że jest dzień. Nie pamiętał nic ze swej choroby, zapomniał nawet o wypadku, który ją poprzedził. Napomknąłem mu o tem; namyślał się przez chwilę, szukając widocznie w pamięci, a potem nagle zbladł — jeśli można mówić o zblednięciu twarzy i tak już trupio-bladej — i zakrywszy oczy rękami, począł powtarzać z wyrazem trwogi: To było straszne, straszne! — Dreszcz nim wstrząsnął.

Gdy się po chwili uspokoił trochę, spróbowałem ostrożnie dowiedzieć się, co go przestraszyło i wywołało tę fatalną w skutkach ucieczkę, ale wszystkie moje usiłowania spełzyły na niczem. Milczał uporczywie lub zbywał mnie odpowie-

dziami bez związku, tak, że wkońcu zaprzestałem bezcelowych pytań, zauważywszy, że go tem tylko nużę i męczę. Musiałem mu za to ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć, w jakim stanie go znaleźliśmy i cały przebieg choroby. Słuchał tego uważnie, wymawiając niekiedy półgłosem łacińskie nazwy lekarskie, dopytywał się o najdrobniejsze okoliczności i objawy, a wysłuchawszy wszystkiego, zwrócił się wreszcie do mnie i rzekł z dziwnym spokojem, uśmiechając się nawet cośkolwiek:

— Wiesz, zdaje się, że ja umrę.

Zaprzeczyłem żywo i stanowczo, ale on pokiwał tylko głową:

— Jestem lekarzem, i teraz, gdy jestem przytomny, z tego stanowiska patrzę na własną chorobę. Dziwię się tylko, że jeszcze żyję. Gdym upadł, jak powiadasz, rozbiło się szkło w masce powietrzochronu. Jeślim odrazu nie umarł, to tylko dzięki temu, że przybiegliście mi dość szybko z pomocą, nim powietrze, zawarte w zbiorniku, który miałem ze sobą, zdołało się wydobyć przez otwór i rozprószyć. Z tego, co opowiadasz o stanie, w jakim znaleźliście mnie, wnoszę jednakże, że atmosfera w moim powietrzochronie musiała już być niezmiernie rzadka, to też krew, wskutek wewnętrznego wyższego ciśnienia, zaczęła ze mnie uchodzić już nietylko ustami i nosem, lecz nawet porami skóry. Gdybyście się byli parę sekund spóźnili, bylibyście już tylko zastali bezkrwistego trupa. Dziwię się z resztą, jak w obec tak strasznego upływu krwi zdołałem przetrzymać tyle dni gorączki... Chociaż nie mogła być silna, bo skądże... przy braku krwi i tak słabej akcji serca... Ale ostatecznie przetrzymałem gorączkę i żyję, ale to nie znaczy bynajmniej, że będę żył. Nie mam krwi. Patrz, puls prawie nie znać; dotknij piersi, — czujesz, jak serce bije? ledwo je można poczuć. Na Ziemi możebym wyszedł z tego, ale tutaj brak warunków...

Urwał, zmęczony i przymknął oczy. Myślałem, że znów zasypia, ale on, oparłszy się tylko o poduszkę, wodził z pod

przymkniętych powiek oczyma za Martą, krzątającą się około przyrządzenia lekarstwa, które sam sobie przed chwilą przepisał. Niesłychany, bezdenny żal był w tym wzroku. Poruszył parę razy ustami, a potem, podniósłszy powieki, rzekł cicho, patrząc mi prosto w oczy:

— Wy będziecie dla niej dobrzy? prawda?

Bolesny kurcz ścisnął mnie za serce, a równocześnie zdawało mi się, że jakiś bezczelny, ohydny głos szepce mi do ucha: Gdy on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie...

Spuściłem oczy ze wstydu przed samym sobą, ale on zdaje się wyczytał już był tę myśl w mej twarzy, choć Bogiem się świadcę, że krócej trwała, niż najszybsze mgnienie oka!

Uśmiechnął się z niezmierną boleścią i wyciągając ku mnie trupią rękę, pełną cieniuchnych, niebieskawych żyłek pod żółtą skórą, dodał:

— Nie kłóćcie się o nią. Zostawcie jej... szanujcie... szanujcie...

Nie mógł dokończyć. Po chwili dopiero, zaczerpnąwszy tchu, rzekł szorstko, zmieniając nagle ton:

— Zresztą ja może będę żył. Niema zgoła konieczności, abym musiał umierać.

Zacząłem go skwapliwie zapewniać, że będzie żył, ale sam wątpię o tem.

Od czasu tej rozmowy upłynęło kilkanaście godzin, ale stan jego w niczem się nie poprawia, owszem zdaje się nawet pogarszać. Ciągłe powtarzają się bicia serca, duszność, omdlenia. Nie wiem, jak to dalej pójdzie. Zrobił się przytem ogromnie drażliwy i wymagający. Marta nie może go ani na krok odstąpić; na nas spogląda, jakby na wrogów.

Próbowałem jeszcze kilkakrotnie dowiedzieć się od niego przyczyny owej tajemniczej ucieczki, ale za każdym razem, gdy tylko rozmowę na to sprowadzę, milknie natychmiast,

a oczy jego przybierają wyraz takiej trwogi, że nie mam serca dręczyć go pytaniami. Ostatecznie, co mi na tem zależy? Dość, że stało się nieszczęście i oby na tem tylko był koniec!

Trzecia doba księżycowa, 66 godzin po wschodzie słońca, pod Platonem, w drodze na wschód.

Przypuszczenia Varadola zawiodły całkowicie. Przedostanie się z wozem przez środek pierścienia *Platona* jest czystem niepodobieństwem. Musimy okrążyć łańcuch *Alp*, co niezmiernie przedłuży naszą drogę. Ale niema innej rady.

Mało co ponad 30 godzin minęło od wschodu słońca, gdyśmy stanęli pod turniami *Platona*, zrobiwszy w tym czasie blisko sto kilometrów drogi, po gruncie, co prawda, wyjątkowo gładkim.

Olbrzymi, mierzący dziewięćdziesiąt kilka kilometrów średnicy, pierścień *Platona* tkwi w północnej krawędzi *Morza Dżdżów*. Na południowy wschód od niego ciągnie się pasmo *Alp* księżycowych, aż ku *Palus Nebularum*, którem *Mare Imbrium* łączy się z *Mare Serenitatis*.

Pasma przerwane jest tylko w jednym miejscu szeroką doliną poprzeczną, bodaj czy nie jedyną na tej stronie Księżyca, wiodącą ku *Mare Frigoris*, przez które trzeba nam się będzie przedostać w drodze do bieguna. Na zachód od *Platona* ciągnie się na niezmierzonej przestrzeni brzeg stromy i wysoki, wygięty w półkole, w które jeszcze wgłębia się obszerna *Zatoka Tęcz*. Sam pierścień *Platona* utworzony jest z wału górskiego, otaczającego wewnętrzną płaszczyznę obszaru około 7.500 km.²! Szczyty najwyższe we wschodniej części wału dochodzą do półtrzecia tysiąca metrów wzniesienia.

Zbadawszy te wszystkie rzeczy bardzo dokładnie na mapie, spostrzegliśmy, że w południowym wale *Platona*, tuż około tkwiącego w nim niewielkiego krateru, grzbiet się obniża i rozpląszcza, tworząc pewien rodzaj szerokiej przełęczy.

Otóż chcieliśmy, według planu Piotra, dla skrócenia sobie drogi dostać się przez tę przełęcz na środkową równinę, a przetrąwszy ją w kierunku północnym, poszukać znowu wyjścia na wyżynę, opadającą już łagodnie ku *Mare Frigoris*.

Przybywszy pod stoki *Platona*, znaleźliśmy z łatwością miejsce, wyszukane na mapie. Pomocny nam w tem był ów strzelisty krater, sterczący nad przełęczą. Droga na przełęcz nie wydawała się zbyt trudną; grunt wznosił się zwolna i nie widno było na nim nierówności. Mimo to nie odważyliśmy się puścić od razu z wozem w drogę. Trzeba się było w pierw przekonać, czy rzeczywiście da się tędy przejechać.

Pozostawiwszy tedy Woodbella pod opieką Marty, puściliśmy się obaj z Piotrem naprzód pieszo. Wóz miał czekać naszego powrotu. — Okrążyliśmy krater w trzonie *Platona* od wschodu, postępując wciąż ku górze. Droga nie była tak łatwa, jak nam się to z dołu wydawało. Spotykaliśmy kamieniste pola i urwiska, które trzeba było wymijać. Mimo to byliśmy pewni, że wóz zdoła tę drogę przebyć. Byliśmy obaj w jaknajlepszem usposobieniu. Słońce, nie wysoko jeszcze ponad horyzontem świecące, grzało nas w miarę, było nam ciepło i lekko; dookoła nas roztaczały się widoki zaiste cudowne! Zbocza skał, poprzerywane jak smoła czarnymi cieniami, iskrzyły się w oślepiającym słońcu całą symfonią cudownych, tęczowych barw. Deptaliśmy po skarbach, za jakie na Ziemi możnaby kupować królestwa i korony: wśród skruszonych gładów krwawiły się ciemne rubiny, — żyły malachitów łyskały zdała, podobne do trawników, na których rozsypane odłamy onyksów i topazu świeciły jak kwiaty, — a czasem z jakiej szczeliny, gdy wdarł się w nią promień słońca, wytryskała nagle tęczowo fontanna blasku, istna orgja światła, rozszczepionego w olbrzymich pryzmach kryształu górskiego.

To niesłychane bogactwo, zgromadzone przez jakiś wybryk przyrody w jednym miejscu, oślepiało nas zrazu i oszalało, ale wkrótce przyzwyczailiśmy się tak do tego widoku

i tych bezużytecznych tu dla nas skarbów, że deptaliśmy po nich, jakby po zwykłych krzemieniach.

Czarodziejskie otoczenie wywarło na nas jednak wpływ znamienity: było nam wesoło. Zapomnieliśmy o wszystkich zmartwieniach i kłopotach, o chorobie Tomasza, o przebytych trudach i nieszczęściach, o niebezpieczeństwach, które nam jeszcze grożą, nawet o niepewnej przyszłości! Cieszyliśmy się, jak dzieci, pięknym rankiem i pięknymi widokami. Do niewygodnych trochę powietrzochronów przyzwyczailiśmy się zupełnie, a myśl o niebezpieczeństwie, jakim groziła otaczająca nas próżnia, mimo świeżego wypadku z Woodbellem, nie mąciła nam jakoś pogody umysłu.

Korzystając z lekkości naszych ciał na Księżycu przy nieosłabionej sile mięśni, przesadzaliśmy ogromne głązy lub skały z wysokich urwisk.

Te wybuchy dobrego humoru powstrzymywała tylko myśl o konieczności pośpiechu. Powietrza i żywności wzięliśmy ze sobą na czterdzieści godzin, co było wcale niewiele, zważywszy, że mogła zająć jakaś nieprzewidziana okoliczność, zmuszająca nas do zatrzymania się w drodze.

W niespełna dziesięć godzin staliśmy już na przełęczy.

Przed nami roztworzył się widok na tajemnicze wnętrze *Platona*. Wał północny pierścienia, odległy od nas prawie o sto kilometrów, widniał w dali jak olbrzymia, poszarpana piła, najeżona licznymi szczytami. Aż po ten kres rozciągała się równina gładka, ciemno-szara, jak morze zastygłe i ciche. Tu i ówdzie tylko przecinały ją nieco jaśniejsze, szerokie pasy, z rozsianymi na nich zrzadka niskimi kraterami, podobnymi raczej do płytkich kotlinek. U stóp naszych skała urywała się od wewnątrz nadzwyczajnie bystro; nie było mowy, abyśmy się mogli tędy z wozem przedostać.

Beznadziejny smutek wionął na nas z tego morza śmierci. Niepodobna sobie wyobrazić krajobrazu, gdzieby było więcej spokoju i więcej martwoty. Skały tu nawet spływają jakoś

zwolna i jakby leniwie ku głębinom, — szczyty dźwigają się senne, ogromne, a takie w blaskach słońca ponure, jakgdyby wzniosły się z trudem i niechętnie, li tylko dlatego, że im kazano stanąć na straży i ogrodzić ową okropną, pustą i szarą równinę.

Poprzednia wesołość nasza zniknęła bez śladu.

Dziwna, jak krajobraz działa na ludzkie serca! Patrzyłem długo w milczeniu, nie mogąc oczu oderwać od tej pustki i ściszał mnie żal coraz większy, — nie wiem, za czem i za kim... Tak mi się stało wszystko obojętnem i nużącym i niewartem wysiłku, a tak ponętą wydawała mi się Śmierć-ukoicielka, która przecież niedawno, wisząc mi nad głową, takim piekielnym napełniała mnie strachem.

Czułem, że mnie ten widok zabija; nie mogłem znieść go już dłużej, a przecież potrzebowałem całego wysiłku woli, aby się odeń oderwać.

Zwróciłem się twarzą ku południowi i świecącemu na niebie sierpowi Ziemi. Ponad szczyty krateru, który nam przy wchodzeniu służył za drogowskaz, a teraz w dole pozostał, zobaczyłem przed sobą *Morze Dżdżów*. Ogromna, ogromna przebyta płaszczyna! Patrzyłem na nią tak, jak niegdyś z przełęczu pod *Eratosthenesem*, tylko wówczas leżała jeszcze przedemną, jako nieznaną drogą do nieznanego, upragnionego kraju, — teraz miałem ją już poza sobą...

Szara była, martwa i przestronna, jak wówczas; tylko zamiast płonących w słońcu szczytów *Timocharisa* i *Lamberta*, czerniły się przed mem okiem w cieniu spowite iglice: *Pico* i dalej ku wschodowi — *Piton*.

Sierp Ziemi stał ponad tem morzem, bliższy już horyzontu, niż szczytu nieba. I tak mi się wydała cała równina, jak droga szeroka, od tej Ziemi wiodąca. Jaka straszna, jaka ciężka droga i daleka! Nimeśmy ją przebyli, dwa razy przeszło nad nami słońce, jak płomień rażący i żywy, dwa razy ogarnęły nas mroźne, długotrwałe cienie. A ileż trudów, ile przygód

i cierpień! Zejście z *Eratosthenesa*, śmiertelny żar południowy, potem mróz zajadły, a potem znowu to widmo Śmierci, towarzyszące nam przez tyle godzin! a potem śmierć braci Remognerów — a potem nieszczęśliwy wypadek i choroba Tomasza... Śmiercią O'Tamora nasza droga się zaczęła — ale nie jest jeszcze skończona...

Pogrążony byłem w tych myślach ponurych i w jakiejś nagłej, budzącej się, a nieprzemóżonej tęsknocie ku Ziemi, widnej zdaleka nad nieprzejrzaną płaszczyzną, — gdy krzyk Varadola wyrwał mnie z zadumy. Odwróciłem się szybko, pewny, że znów przychodzi jakieś nieszczęście, ale Piotr stał zdrowy przy mnie i tylko ręką wskazywał w stronę dalekiego północnego wału *Platona*. Spojrzałem w tym kierunku i dostrzegłem coś, jakby nikły obłok, nie! zaledwie nikły cień obłoku, przysłaniający podnóża gór, przed chwilą jeszcze doskonale widoczne.

Drgnąłem na ten widok, jakgdyby to nie obłok się przesuwiał, lecz góry same z miejsc się ruszyły i szły przed nami. A Piotr krzyczał tymczasem przez rurę:

— Obłok! a więc tam jest atmosfera, jest powietrze, tam będzie można oddychać!

Szalona radość brzmiała w tych nadzieją wezbranych słowach. Istotnie, ponad tą równiną śmierci, jak ją nazwałem, ukazał się nam pierwszy promyk życia. Obłok ten nie świadczy wprawdzie jeszcze, iżby tamtą atmosferą można już oddychać człowiekowi, ale w każdym razie nie ulega wątpliwości, że powietrze jest tam gęstsze, niż w przebywanych dotąd okolicach, kiedy mogą się w niem obłoki tworzyć i utrzymywać choćby nisko nad powierzchnią. Dymy kraterów zewnątrz *Eratosthenesa* opadały natychmiast, jak piasek, na ziemię.

Pokrzepieni tem zjawiskiem, utrwalającym nas w nadziei znalezienia na tamtej stronie Księżyca, a może i pierwej, dostatecznie gęstego powietrza, zaczęliśmy się spuszczać z powrotem ku *Mare Imbrium* w weselszych znów usposobieniach,

choć właściwy cel wycieczki nie został osiągnięty: nie znaleźliśmy drogi przez pierścień *Platona*. Schodząc, rozmawialiśmy o tem, co dalej czynić należy. Może na zachodzie od *Platona* wynaleźlibyśmy miejsce, którędyby się można wyostać na stromy brzeg wyżyny, ale niepodobna odważyć się na to. Gdyby nam się bowiem to nie udało, musielibyśmy zrobić tysiące kilometrów, nimbyśmy okrążyli krawędź *Mare Imbrium* od zachodu. Znacznie bezpieczniej zwrócić się od razu na wschód. Może się uda przedrzeć wspomnianą już poprzeczną doliną w paśmie *Alp*, a nawet gdyby się to okazało niepodobieństwem, to i tak, okrążając cały łańcuch, niewiele stosunkowo drogi nadłożymy.

Z tem postanowieniem zeszliśmy w dolinę. Jakież jednak było nasze przerażenie, gdyśmy nie spostrzegli wozu w tem miejscu, gdzieby stać był powinien! Zrazu sądziliśmy, żeśmy się zabłąkali, ale nie; okolica była tasama; widno było doskonale głazy, pod któremi wóz zostawiliśmy. Mimo znużenia, pobiegliśmy ku nim pędem, niedowierzając jeszcze własnemu wzrokowi. Wozu nie było. Staraliśmy się wynaleźć ślady jego kół, aby odgadnąć, w której go mamy szukać stronie, ale na skalistym gruncie nie mogliśmy odkryć żadnego znaku. Ogarnęła nas rozpacz. Żywność, którąśmy wzięli ze sobą, była już zjedzona, wody mieliśmy już tylko resztkę, a powietrza zaledwie na kilkanaście godzin. Varadol zaczął nawoływać; zapomniał, że jedyną istotą, mogącą tutaj krzyk jego usłyszeć, byłem ja, połączony z nim rurą do mówienia!

Puściliśmy się na poszukiwania. Schodziliśmy całą okolicę, strawiwszy na to sześć godzin czasu, ale wozu nigdzie ani śladu. Kiedyśmy po bezowocnych poszukiwaniach wrócili na dawne miejsce, głód zaczął nam już dokuczać, woda się skończyła, a zapas powietrza był na schyłku. Bezradni rzuciliśmy się na ziemię, oczekując śmierci. Varadol przeklinał głośno, a ja z dziką rozpaczą łamałem sobie głowę, co ich też mogło skłonić do odjechania przed naszym powrotem.

Nagle błysnęła mi myśl, że może Tomasz uciekł przed nami umyślnie, aby nas wydać na pastwę śmierci, poruszony chorobliwą zazdrością, której przeblysłk spostrzegłem już był u niego poprzednio, gdy mówił o swym zgonie i o Marcie. Wściekłość mnie ogarnęła. Zerwałem się i chciałem biec, gonić go, zemścić się, zabić — wtem...

Wtem o kilkanaście kroków przed sobą zobaczyłem Martę. Szła ku nam powoli, uśmiechając się przez szklaną maskę na twarzy swym zwykłym, smutnym uśmiechem. Przyskoczyliśmy obaj do niej i zaczęliśmy krzyczeć naprzemian z oburzenia i radości. Marta przypatrywała się jakiś czas spokojnie naszym ustom, a gdyśmy zaprzestali, ochrypli i wzajemnie swym głosem ogłuszeni, zaczęła dawać znaki, że nic nie słyszy! Zapomnieliśmy o tem, że wobec braku powietrza między nami słyszeć nas nie może! Złość nagle nas opuściła i zaczęliśmy się śmiać, dając jej na migi do zrozumienia, że chcemy wrócić do wozu. Zaprowadziła nas; — wóz stał nieopodal za głazem, który go zakrywał.

Tutaj dopiero wyjaśniło się wszystko. W jakiś czas po naszym odejściu słońce, zataczając pochyły łuk na firmamencie, zaszło za głaz tak, że wóz znalazł się w cieniu. Woodbell zaczął się trząść ze zimna. Marta tedy ruszyła wozem, a okrążywszy głaz, stanęła przy nim od południa, gdzie słońce dostatecznie ogrzewało chorego. My, powróciwszy, przerażeni zniknięciem wozu, szukaliśmy go daleko, a żadnemu z nas nie przyszło na myśl, zajrzeć pod skałę, tuż obok się znajdującą. Marta widziała nas z wozu, ale rozumiała, że się oddalamy znowu, chcąc zbadać inną stronę okolicy i czekała cierpliwie naszego powrotu. Dopiero spostrzegłszy, że powróciwszy poraz drugi, do wozu się nie zbliżamy, wyszła dowiedzieć się, co to ma znaczyć, nie przypuszczając zresztą, że wozu nie możemy znaleźć! Całe zajście skończyło się szczęśliwie na śmiechu, choć mogło się być dla nas niebezpiecznem.

Woodbella zastaliśmy w stanie względnie dość dobrym.

Przez czas naszej nieobecności zemdlął tylko cztery razy. Teraz jest spokojniejszy i mówi, że się ma lepiej. Nie widać tego wprawdzie po jego trupio-bladej i straszliwie wychudzonej twarzy, ale daj Boże, aby tak było. Dość już ofiar, jak na początek. . .

Wyruszyliśmy w drogę według ułożonego planu. Do tego czasu posuwamy się ku wschodowi ciągle jeszcze pod coraz wyżej piętrzącymi się turniami *Platona*. Wkrótce dojedziemy do łańcucha *Alp*.

Ze względu na zdrowie Tomasza, konieczny jest jaknajwiększy pośpiech. Im prędzej znajdzie się w kraju, gdzie będzie mógł wyjść z zamkniętego wozu, poruszać się swobodnie i oddychać, tem prawdopodobniejszy jest jego ratunek. Będziemy też pędzić dzień i noc, aby tylko dalej od tej pustyni, a bliżej bieguna, gdzie prawdopodobnie zacznie się okolica, nie pozbawiona powietrza i wody.

Pod Alpami, 3° z. dł., 47° 30' pn. szer. księż., 161 godz. po wschodzie słońca trzeciej doby.

Coraz mniej mamy nadziei, aby się udało Tomasza utrzymać przy życiu. Gnamy bez pamięci, o ile tylko teren na to pozwala, ale biegun wciąż jeszcze daleki, a Tomasz tymczasem gaśnie nam w oczach. Drżymy z niepokoju i niecierpliwości, a na domiar wszystkiego pasmo *Alp*, zagradzające nam drogę, zmusza nas do trzymania się kierunku południowo-wschodniego, tak, że zamiast zbliżać się do upragnionego bieguna, oddalamy się od niego na razie. Wkrótce, za kilkanaście godzin, dojedziemy do ujścia *Poprzecznej Doliny*; oby się dało przynajmniej skrócić nią na północ! Do tego czasu mamy po lewej ręce wciąż nad sobą pionowe ściany *Alp*, wobec których nasz wóz wygląda jak drobniuchny owad pod murem ogromnej fortecy. Czekamy z utęsknieniem chwili, kiedy się

przed nami otworzy brama w tym murze, a za nią przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów długi korytarz skalny, wiodący na *Mare Frigoris*. Spotykamy już luźne, drobne, a strome skały, które stoją jak słupy przed gardzielem doliny; znak to, że się do niej zbliżamy.

Woodbell dopytuje się ciągle, czy jeszcze daleko. Chciałby jaknajprędzej być na biegunie, a tymczasem od *Sinus Aestuum* jeszcześmy nie zrobili ani połowy drogi! Strach mnie przejmuje, gdy o tem pomyślę! On, zdaje się, zapomniał o odległości. Mówi z utęsknieniem o kraju biegunowym, powietrzu i wodzie, jakby o rzeczach, które znajdziemy już jutro, — a tymczasem, rzecz to więcej niż pewna, że jutro księżycowe, choć takie odległe, nie przyniesie nam jeszcze nic z tego. Tomasz, w miarę jak sił mu ubywa, coraz mocniej wierzy w swe wyzdrowienie. Robi plany na przyszłość i układa już sobie życie z Martą... Obawiam się tej jego wiary; na Ziemi mówią, że to zły znak u chorego.

Marta słucha wszystkiego cierpliwie ze swym zwykłym, smutnym uśmiechem. Co ona musi cierpieć! Wszak niepodobna, aby nie widziała, że on umiera...

W Poprzecznej Dolinie, 82 godziny po południu.

Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że wszystko nadarmo. Rozpacz mnie ogarnia, bo ja chcę, aby żył, chcę tem goręcej, że czuję w mózgu ohydną, wstrętną żmiję, która, mimo mej woli, szepce: Jeśli on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie... Nie, nie! on musi żyć, musi, a jeśliby umarł, wiem, że i Marta pójdzie za nim. Co wtedy? co wtedy? — po co my tu zostaniemy? w jakim celu?... Skarzyłem się niegdyś, że my obaj służyliśmy tym dwojgu, a teraz czuję, że ta służba jest jedyną racją naszego istnienia tutaj. Z ich śmiercią zacznie się nasze umieranie, bo nic ze siebie stworzyć nie

będziemy zdolni, życie nasze i praca nie przydadzą się nikomu, ani nam samym, bo po co? po co?...

Chyba, gdyby po jego śmierci Marta została przy życiu, gdyby jednemu z nas, może mnie, owinęła tak ręce około szyi, tak ustami do ust przylgnęła, jak teraz Tomaszowi... Czuję, jakgdyby jakaś kula gorącego powietrza pękała mi w piersi, tamując oddech i rozlewając żar po wszystkich żyłach...

Precz, precz ta myśl! — Zresztą tym jednym mógłby być Varadol... Nie! lepiej, żeby tej kobiety między nami nie było! Czuję, że wbrew woli zaczynam pragnąć śmierci Tomasza i nienawidzić Varadola... A ona siedzi spokojna, zapatrzona w twarz umierającego kochanka.

Woodbell nie chce umierać; tak rozpaczliwie broni się śmierci. Co chwilę, zdaje się naprzekór własnym myślom, opowiada, że będzie żył i każe nam przyświadczać. Przyświadczamy nieszczerze; jedna Marta kiwa głową zgłębokiem przekonaniem i powtarza niskim, śpiewnym głosem: „Tak, ty będziesz żył... ty mój“... Przytem oczy zachodzą jej jakąś mgłą rozkoszy i upojenia. Czyż ona może się naprawdę łudzić, że ten wyschnięty trup bez sił, bez kropli krwi w żyłach, może żyć?

A jednak cóżbym dał za to, aby żył!

W południe nie zatrzymywaliśmy się. Przedewszystkiem upał nie był tak wielki, jak poprzednich dni, a to z powodu znacznej szerokości księżycowej; powtóre, ze względu na Tomasza zależy nam nadzwyczajnie na pośpiechu. Zrobiliśmy też już moc drogi od chwili wyruszenia z pod stoków *Platona*. Jesteśmy w połowie *Poprzecznej Doliny*; przed zachodem powinniśmy dobić do *Morza Mrozów*.

Około południa, minąwszy drobne, na płaszczyźnie rozsiane cypłe skalne, znaleźliśmy się nagle u szerokiego ujścia doliny. Pionowa ściana *Alp* załamuje się tu i cofa ku wschodowi, przerwana gardzielą olbrzymiego wąwozu. Płaszczyzna *Mare Imbrium* zachodzi tutaj szerokiem półkolem, zwężając

się ku właściwej dolinie, zawalonej u wstępu upłazem, nieco naprzód kolisto występującym, jakby olbrzymiem piętrzem skalnym, na kilkaset metrów wysokiem. Po drugiej stronie owego półkola, jak słupiec bramy, sterczy majestatycznie *Mont Blanc* księżycowy o wierchołku wzniesionym cztery tysiące metrów bez mała nad okoliczną równinę.

Zawahaliśmy się chwilę, nimeśmy wjechali w dolinę. Przeszasyło nas owe piętro. Jeśli takich spotkamy po drodze więcej — myśleliśmy — podróż nasza, zamiast skrócić, jeszcze się przedłuży, gdy będzie trzeba wspinać się za każdym razem po bystrych zboczach.

Varadol wyjął znowu odbitki fotograficzne powierzchni Księżyca. Zawiodły one nas już kilkakrotnie, ostatni raz na *Platonie*, ale nie było innego sposobu zorientowania się w okolicy. Wreszcie po krótkim namyśle odważyliśmy się zapuścić w dolinę. Przyczynił się do tego postanowienia i Tomasz. Nalegał z uporem chorego, który nie znosi sprzeciwiania, aby zwrócić ku północy, gdyż on wie, że przedłużanie drogi dla ominięcia *Alp* przez *Palus Nebularum*, zabije go niewątpliwie.

Co z tego człowieka zrobiła choroba! Niegdyś stanowczy, przytomny a spokojny, pełen rozważli i nieugiętej woli, teraz jest jak dziecko kapryśne i uparte. Łaje nas o byle co, a potem znów przeprasza lub błaga, aby go ratować... Wolimy to jednak, niż okresy zupełnego upadku sił, kiedy leży na wznak całemi godzinami, podobny raczej do trupa, niż do żywego człowieka. Poza tem mówi dość wiele, jakby chciał dźwiękiem własnego głosu upewnić się, że jeszcze żyje. Tylko, gdy który z nas przez nieuważę wspomni o jego nieszczęśliwym wypadku, milknie natychmiast i zaczyna drzeć na całym ciełe z oznakami najwyższej trwogi. Darmo zachodzę w głowę, co to może być za tajemnica...

Było już po południu, gdyśmy stanęli pod piętrzem, zawalającem wejście do doliny. Z wielkim trudem znaleźliśmy drogę, która nam pozwoliła wdrzeć się na nie. Stanąwszy na jego wysokości, obejrzelśmy się jeszcze raz poza siebie na *Mare Imbrium*, któreśmy za chwilę mieli stracić z oczu na

zawsze. Co do siebie, to przyznam się, że nie bez pewnego żalu żegnałem tę równinę, choć nie zaznaliśmy na niej nic okrom trudów, cierpień i rozpacz... Dziwne jest serce ludzkie. Dążyliśmy przez tę płaszczyznę całe dwa miesiące, od południa do południa księżycowego, z jednym tylko życzeniem, aby ją przebyć jaknajprędzej, — a teraz oglądałem się za nią, prawie że z tęsknotą...

Doliną posuwamy się dość szybko i względnie łatwo. Szerokich piętér już nie spotykamy, a mniejsze wyniosłości, nie zajmujące całej szerokości doliny, dają się omijać. Teraz słońce stoi tak na niebie, że oświetla oba jej brzegi. Z jednej i drugiej strony wznosi się potężny wał górski, do czterech tysięcy metrów wysoki. Dolina, kilkanaście kilometrów szeroka na owem wstępnem pięttrze, zwęża się ku północnemu wschodowi. Wygląda to tak, jakby się jej ściany potężne zbliżały ku sobie, ściskając nas coraz więcej. Mamy wrażenie, że się posuwamy olbrzymim, prosto pod sznur wyrąbanym w skałach korytarzem. Gdy spojrzymy przed siebie, widzimy daleki wyłot tego korytarza, podobny do maleńkiej a głębokiej szczyrby wśród białych skał, wypełnionej szmatem nieba. Nie wiem, czy mnie wzrok nie łudzi, ale zdaje mi się, że to niebo nie jest już tak czarne, a gwiazdy na niem mniej liczne i błyszczące. Świadczyłoby to o istnieniu gęstszej atmosfery nad *Mare Frigoris*... Barometr nasz także się wznosi powoli. Byle tylko Tomasza dowieźć żywcem do kraju, gdzie dość będzie dla piersi powietrza!

W Poprzecznej Dolinie, 168 godzin po południu, trzecia doba księżycowa.

Zrobiliśmy już od wschodu słońca pięćset kilkadziesiąt kilometrów i zbliżamy się do ujścia doliny. Przestronna gardziel skałna zwęża się coraz więcej i wały po obu stronach są coraz niższe. Ujście wąwozu na *Mare Frigoris*, widne

przed nami wyraźnie, zdaje się rozprzestrzeniać w miarę, jak się doń zbliżamy, a skały, tworzące tę bramę, rosną nam w oczach. O zachodzie słońca wjedziemy znowu na płaszczynę; obyśmy tylko wjechali wszyscy...

O! jakąż straszną krzyżową drogę przebyliśmy dzisiaj! Od kilkudziesięciu godzin drżymy za lada szelestem, spoglądając ku hamakowi Woodbella — czy to już?... On tam dogorywa; co do tego niema zgoła wątpliwości. Stał się teraz cichy i spokojny, patrzy na nas tylko błagalnymi oczyma, w których widno, że tak pragnie, tak straszliwie pragnie życia! A my mu nic poradzić nie możemy.

Ostatnie wstrząśnienia podczas przeprawy przez szczelinę zaszkoziły mu jeszcze. Przebyliśmy już prawie dwie trzecie drogi, gdy pod 3^o w. dł. mniej więcej natrafiliśmy na przeszkodę, która o mało nie zmusiła nas do zawrócenia z powrotem na *Mare Imbrium*. Słońce stało już nisko nad horyzontem i cała zachodnia strona doliny tonęła w nieprzeniknionym cieniu, rozjaśnionym zaledwie tu i ówdzie skośnym i słabym światłem Ziemi. Musieliśmy się trzymać podnóża wschodniego wału, aby uniknąć zagubienia się w nocy. Wał dochodził tutaj największej wysokości i olbrzymi wznosił się stromo nad nami, tak prawie, jak pionowa krawędź *Alp*, pod którą przesuwaliśmy się przed południem.

Otóż w tem miejscu nagle spostrzegliśmy, o paręset kroków przed sobą, czarną pręgę, zagrządzającą nam drogę na całej szerokości. Przedtem nie widzielibyśmy jej z powodu lekkiej wyniosłości gruntu. Gdyśmy się do niej zbliżyli, okazało się, że jest to szczelina, przecinająca na poprzek oba wały skalne i dno doliny. Wypełniona była grubym cieniem aż po brzegi, tak, że nie mogliśmy się nawet domyśleć jej głębokości. Tysiące metrów wysokie ściany gór rozdarte nią były aż do podstawy.

Zatrzymaliśmy się, bezradni, nad tą nową, a nieprzebytą przeszkodą.

Widzieliśmy na mapie tę szczelinę, przerzynającą wyżynę, która dzieli *Mare Imbrium* od *Mare Frigoris*, aż gdzieś od północnych stoków *Platona* w południowo-wschodnim kierunku, ale nie przypuszczaliśmy, aby była tak głęboka, iżby krajała i dno *Poprzecznej Doliny*, leżące od dwu do trzech tysięcy metrów niżej od poziomu okolicznych wyżyn, rozciągających się poza wałami. Pot mi wystąpił kroplami na czoło, gdy zobaczył tę otchłań tuż przed nami. Piotr zaczął kląć zcicha.

Tymczasem Tomasz, zaniepokojony zarówno naszym zachowaniem, jak i tem, że wóz stoi, zaczął się dopytywać, co się stało. Baliśmy się powiedzieć mu prawdy; on jednak, nie dowierzając widocznie naszym wybiegom, zebrawszy ostatek sił, podniósł się i wyrzwał przez okno. Patrzył przez chwilę, a potem położył się spokojnie i napozór obojętnie. Z ust wypadło mu tylko:

— Oni nie chcą, abym żył...

— Kto? — zapytałem zdziwiony.

— Bracia Remognerzy — odpowiedział chory i zamilkł, przymknawszy oczy, jakby już oczekiwał śmierci.

Nie mówiłem z nim więcej i nie miałem nawet czasu zastanawiać się nad znaczeniem tych dziwnych słów, gdyż trzeba było naradzić się z Piotrem, co począć teraz. Myśleliśmy już nawet o powrocie na *Mare Imbrium*, gdy Piotrowi przyszła szczęśliwa myśl, aby zapomocą silnego reflektora oświetlić dno szczeliny i zobaczyć, jak właściwie jest głęboka. Zbliżywszy się tedy do samej krawędzi, puściliśmy promień światła elektrycznego. Szczelina, dość w tem miejscu wąska, nie była też głęboka. Natomiast dno jej zasypane było całkowicie gruzem, wśród którego sterczały ogromne odłamy kamienia. Podobne to było do wyschniętego łożyska potężnego strumienia górskiego. I kto wie, czy tedy w istocie nie płynęła kiedy woda, skorzystawszy z drogi, utworzonej przez inne siły?

Blask reflektora przesuwiał się po czarnych, bezładnie spiętrzonych głazach, błyskał na czołach wynioślejszych i ginął

w głębokich, nieregularnych rozpadlinach, a my patrzyliśmy ciągle, nie umiając nic postanowić. Wtedy Marta zbliżyła się ku nam.

— Czemu nie puszczacie się w drogę? — zapytała takim głosem, jakby nam wydawała rozkaz.

A potem dodała, wskazując głową Tomasza:

— Ja muszę żyć, dla niego... przy mnie teraz nie potrzebujecie się niczego obawiać...

Spojrzeliliśmy na nią w zdumieniu. Co się z nią stało? Nigdy się jeszcze tak do nas nie odzywała. Oczy błyszczały jej dziwnie; w całej postaci, w słowach i w ruchu, znać było majestat jakiś nowy, a pewny siebie. Oh! jakże ta kobieta jest piękna i godna pożądania!... Varadol wpatrzył się w nią płomiennym wzrokiem, a mnie nagle ogarnęła wściekłość na niego. Chwyciłem go brutalnie za ramię i krzyknąłem cały zapieniony:

— Czy nie widzisz, że nie mamy czasu do stracenia! mów, wtył czy naprzód jedziemy?

Piotr zwrócił się do mnie gwałtownie i tak przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, gotowi skoczyć sobie do oczu.

Wtem zabrzmiał półgłówny, szydery a pogardliwy śmiech Marty. Doznałem nagle wrażenia, jakby mi się skóra jeża wbiła w serce setką kolców. Spuściliśmy obaj wzrok zawstydzeni, a ona odeszła, wzruszając z lekka ramionami. Uczułem, że zaczynam jej nienawidzić.

Ostatecznie postanowiliśmy spuścić się w szczelinę i przebyć ją po zaścielających dno głazach. Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. Znalazłszy w jednym miejscu, tuż pod wschodnią ścianą doliny, skośny upłaz, poczęliśmy zsuwać po nim wóz z największą ostrożnością. Najgorsza jednak przeprawa czekała nas na dnie szczeliny. Nie dochodziło tu już światło słońca, ani Ziemi, tak, że znaleźliśmy się w nocy absolutnej. Wprost nie umiem opowiedzieć trudów przebycia tych paruset metrów. Reflektor latarni elektrycznej rozświetlał

tylko wąski pas przed nami; niepodobna się było prawie orjentować. Na przemian jeden z nas szedł naprzód piechotą, a drugi pozostawał przy sterze. Wóz nachylał się ciągle, podskakiwał, uderzał o głązy lub opadał: raz uwiązał nawet tak, że zwątpiliśmy, czy nam się go uda wydostać. Wreszcie dobiliśmy do przeciwległej krawędzi szczeliny. Na szczęście grunt się tu był obsunął, przez co utworzyła się pochyłość, po której z pomocą „łap“ wdarliśmy się na górę.

W połowie pochyłości mniej więcej dostaliśmy się już w światło słoneczne. Przejście od cienia do blasku za jednym podrzutem wozu było tak szybkie, że musiałem zmrużyć oczy przed tą jasną falą, zalewającą nas nagle. Gdym rozwarł powieki i obejrzał się poza siebie, doznałem wrażenia, że całe przebycie szczeliny było snem. O paręset kroków za sobą widziałem krawędź raptownie urywającego się gruntu; między nią a nami był pas absolutnej czerności. Miałem tylko jakby niejasne wyobrażenie, że przed chwilą byliśmy tam, na dnie tej, jak się zdawało, bezdennej rozpadliny, w tej gęstej nocy, — żeśmy się tam przedzierali po czarnych, okropnych głązach, błyskających przed nami w świetle elektrycznym tak nagle i na krótko, jakby naraz z nicości powstały i napowrót się rozpląwały w nicość — ale nie mogłem wprost uwierzyć w rzeczywistość tej straszliwej przeprawy.

Wydostawszy się na poziom *Poprzecznej Doliny*, zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odjąć „łapy“ i opatrzyć wóz, czy szwanku nie poniósł. Wszystko było w porządku i mogliśmy się puścić w dalszą drogę. Wszystko — z wyjątkiem zdrowia Tomasza. Doznane wstrząśnienia tak go osłabiły, że parę godzin leżał jak martwy, jęcząc tylko zcicha niekiedy.

Ujechaliśmy już kawał drogi, gdy Tomasz nagle się zerwał i usiadł na hamaku. W szeroko rozwartych oczach paliła mu się znowu gorączka. Piotr zajęty był przy sterze wozu, ale my z Martą nadbiegliśmy natychmiast. On przez chwilę patrzył na nas błędnie, a potem zawołał nagle:

— Marta! ja umrę!

Marta zbladła i pochyliła się ku niemu:

— Nie. Ty będziesz żył — wymówiła zcicha, ale dobitnie i nagle krwawy rumieniec oblał ją całą.

Tomasz potrząsnął zlekka głową, a ona, nachyliwszy się jeszcze więcej ku niemu, zaczęła mówić coś półgłosem po malabarsku. Nie rozumiałem słów, ale widziałem, że wywarły wielkie wrażenie na Tomaszu. Naprzód twarz mu się rozjaśniła, potem przebiegł po niej uśmiech niewypowiedzianie smętny, a wreszcie łyzy mu się zakręciły w oczach i z cichym jękiem zaczął całować włosy pochylonej na jego pierś dziewczęcej głowy.

Od tej chwili jakiś czas przeleżał spokojnie, trzymając wciąż rękę Marty w wyschniętych i spotniałych dłoniach. Atoli wkrótce znów się począł zrywać i siadać; snadź mu brakowało oddechu.

— Marta! ja umrę! — powtarzał co chwila w trwodze, a ona odpowiadała niezmiennie: „Ty będziesz żył“. — Zwykle cichnął po tej odpowiedzi, jak małe, płaczące dziecko, gdy mu matka dłoń na oczach położy. Ale raz usłyszawszy te słowa odpowiedział:

— Cóż mi z tego, kiedy nie dożyję...

A potem dodał:

— Oni mi żyć nie pozwolą... Remognerzy...

Nie mogłem już powstrzymać ciekawości i zapytałem go wręcz, co mają Remognerzy wspólnego z jego chorobą.

Wahał się przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Teraz już wszystko jedno... teraz wam opowiem...

I zaczął opowiadać zwolna, cichym głosem, przerywanym przez bicie serca i duszność.

— Pamiętacie — mówił — to trupie miasto, tam na pustyni za *Trzema Głowami*? Dziś jeszcze majaczy przedemną ze swemi wieżami w gruzach i z temi wpół rozwalonemi bramami... Wiem, że umrę, ale żal mi jeszcze, że go nie zwie-

dził. Ale, widzicie, to było tak... Gdym wyszedł z wozu, musiałem się wspinać po różnych spiętrzonych kamieniach, podobnych do zrujnowanego bruku starego rzymskiego gościńca gdzieś w Szwajcarii lub we włoskim Apeninie... Nareszcie wydostałem się na miejsce nieco równiejsze. Teraz miasto było przedemną, jak na dłoni. Widziałem już wyraźnie ogromną bramę o połowie łuku i potężnych filarach, gdy wtem, wtem...

Chwycił nas za ręce i wznosił się nieco na pościeli. Oczy miał szeroko otworzone, — twarz, trupio-błada, stała się teraz zieloną.

— Ja wiem — mówił — wam się zdaje i mnie zdawało się... kiedyś... że jedyną prawdą jest ta wiedza... na doświadczeniu oparta — w matematyczne dająca się ująć formuły — a jednak są rzeczy niepojęte i dziwne... Możecie się śmiać ze mnie, ale to postaci rzeczy nie zmieni... Bardzo mało wiemy dotąd napewno, bardzo, bardzo mało...

Zamilkł na chwilę i spojrział na nas, jakby badając, czy nie szydzimy w duchu z jego słów, ale myśmy siedzieli cisi i zadumani. Odetchnął więc głęboko i ciągnął dalej przerwane opowiadanie:

— Wtem... zobaczyłem... dwa cienie — nie! dwóch ludzi, trupów czy upiorów — wyszli z pod bramy i posuwali się wprost ku mnie... Nogi zadrżały podemną. Zamknąłem oczy, chcąc odegnać przywidzenie, ale gdym je po chwili znów otworzył, zobaczyłem... cztery kroki przed sobą — obu braci Remognerów! Stali obaj, trzymając się za ręce, okropni, nabrzmiali, skrwawieni, tacy, jak ich znaleźliśmy — i patrzyli obaj we mnie tak strasznie... Znaie mnie, nie jestem lękliwy, nie jestem skłonny do przywidzeń, ale to wam mówię, oni tam stali i ze strachu zamieniłem się w bryłę lodu. Nie mogłem się poruszyć, odwrócić... Wtedy oni zaczęli mówić, tak, mówić! a ja słyszałem ich głos, choć tam nie było powietrza, tak jak was tu słyszę...

— I co mówili? — zapytałem mimowolnie,

— Po co wam to wiedzieć — rzekł. — Dość, że ja to słyszałem, o! zadość, zadość... Powiedzieli mi, jak ja umrę i jak wy pomrzecie, wy obaj... Wyznaczyli dzień i godzinę... I powiedzieli mi jeszcze, że nie opuszcza się ziemi bezkarnie i nie zagląda się bezkarnie w tajemnice, oku ludzkiemu zakryte. Lepiej nam było — mówili — umrzeć tam, na *Mare Imbrium*, niż im nieżywym kradnąc powietrze, przedłużać życie na męki, tylko na męki... „Myśmy poszli za wami — tak mówili, słyszałem — i wyście śmierci naszej winni, ale i wy“... Mówiąc to, błyskali zawistnie zbielełymi oczyma i uśmiechali się obaj złośliwie strasznie, nabrzmiałymi usty. W tej chwili dostrzegłem, że stoi za nimi O'Tamor, błądy, biały, wyschnięty... On się nie uśmiechał i nic nie mówił, tylko był smutny i patrzył na mnie, jakby z litością... Krzyknąłem z przerażenia i zbierając całą siłę woli, oderwałem zlodowaciałe nogi od gruntu i zacząłem uciekać. Zapomniałem już o mieście, o wszystkim. Potknąłem się, chciałem się podnieść i powstać, ale wnet uczułem, że mi brak powietrza i straciłem przytomność...

Umilkł, wyczerpany, a nas opanowało dziwne przygnębienie. Jestem przekonany w głębi duszy, że to wszystko było złudzeniem, podobnie, jak owe miasto mam dziś za złudzenie, wywołane dziwnym ugrupowaniem skał, a jakoś nie śmiałem mu tego powiedzieć. A zresztą... bo ja wiem? Są dziwne zagadki i tajemnice. Na ten glob zastygły przyszedł już ludzic i przyszła Śmierć; może z ludźmi i ich nierozłączną towarzyszką, Śmiercią, przyszło i to *Coś* nieznanne, które od wieków urąga na Ziemi wszelkiej wiedzy, wszystkim badaniom i dociekaniom?...

Po tem opowiadaniu Tomasz zasnął na pół godziny.

Gdy się obudził, zaczął pytać, gdzie jesteśmy. Powiedziałem mu, że się zbliżamy do końca *Poprzecznej Doliny* i wkrótce dostaniemy się na *Mare Frigoris*. Słuchał, jakby nie rozumiał tego, co mówię.

— A tak — rzekł wreszcie — tak, tak... mnie się śniło, że byłem na Ziemi...

Następnie zwrócił się do Marty:

— Marta! opowiadaj, jak to jest na Ziemi.

I Marta zaczęła opowiadać: Na Ziemi jest powietrze błękitne, a po niem chodzą chmury. Na Ziemi jest dużo, dużo wody, całe, ogromne morze. Na wybrzeżu morza jest piasek i muszle różnokolorowe, a dalej są łąki, na których kwitną takie wonne, słodkie, wilgotne kwiaty... Za łąkami znowu są lasy, pełne różnych zwierząt i śpiewających ptaszków. Gdy wiatr zawieje, to morze huczy szeroko i lasy szumią i trawy szeleszczą...

Tak opowiadała z dziecinną prostotą, a my słuchaliśmy jej słów, jak najpiękniejszej, czarodziejskiej bajki... Chory poruszał zlekka wargami, jakby za nią powtarzał: a lasy szumią, a trawy szeleszczą...

— My tam już nie będziemy — rzekł wreszcie głośno.

Odpowiedziało mu nagłe łkanie Marty. Nie mogła się już powstrzymać. Czoło oparła o brzeg hamaku i trzęsła się cała w nieutulonym, strasznym, rozpaczliwym płaczu.

— Cicho, cicho — mówił Tomasz, dotykając zlekka dłonią jej włosów. Ale i jego lęk zaczynał ogarniać. Zwrócił się twarzą ku nam i zaczął znów mówić głosem urywanym i jakby z trudem wydobywającym się z piersi:

— Ratujcie mnie! miejcie litość! ratujcie! Ja nie chcę umierać! tutaj nie chcę! Tu tak strasznie! ratujcie mnie! Ja chcę... żyć, jeszcze... żyć... Marta...

Rozpłakał się, jak kobieta, a płacząc, wyciągał jeszcze ku nam chude, błagalne dłonie.

Cóżemy mu mieli odpowiedzieć? jak go ratować?

Zbliżyliśmy się do ujścia doliny i płaszczyna *Morza Mrozów* widna już przed nami. Mam bolesną pewność, że przebędziemy ją sami, bez Tomasza — niestety!

Na Mare Frigoris, trzecia doba księżycowa, 23 godziny po zachodzie słońca.

Rzucam okiem na ostatnie słowa, za dnia napisane, sprawdziły się. Na równinę *Mare Frigoris* wjechaliśmy sami. Tomasz Woodbell umarł dziś o zachodzie słońca.

Taka pustka straszliwa! Ubywa nas ciągle; już tylko troje zostało...

Nie mogę myśleć o niczem innym, jak tylko o tej cichej, a tak strasznej śmierci Tomasza.

Tarcza słoneczna dotknęła już była dolnym brzegiem widnokręgu, gdyśmy wreszcie po tygodniu drogi wyjechali ze skalnego korytarza. Przed nami rozciągała się gładka, ostatnimi promieniami słońca pozłocona płaszczyna. Mówię: pozłocona, gdyż słońce, czegośmy poprzednich zachodów nie spostrzegali, skłoniwszy się na horyzont, przybrało barwę żółtawą i rozjaśniło nieco krąg czarnego nieba naokoło siebie. Znak to niewątpliwy, że atmosfera jest tu już gęściejsza. Zauważyliśmy i drugą rzecz nader pomyślną: *Mare Frigoris* jest całe zasłane piaskiem. Widocznie była ta równina niegdyś dnem prawdziwego morza.

Otucha wstąpiła nam w serca, zwłaszcza, że Tomasz na pozór przynajmniej miał się lepiej. Zaczynaliśmy się już rozweselać, już się nam zdawało, że lotem ptaka przelecimy tę płaszczynę i nim nowe słońce wzejdzie, staniemy wraz z Tomaszem w Kraju Życia, poczujemy wianie wiatrów, usłyszymy szmer wody, zobaczymy zieleń...

Miało się stać inaczej.

Zaledwie ujechaliśmy kilkanaście metrów po płaszczynie, Tomasz odezwał się z prośbą, aby zatrzymać wóz. Najłżejszy ruch męczył go niesłychanie...

— Chcę odpocząć — mówił słabnącym głosem — i popatrzeć na słońce, nim zajdzie.

Stanęliśmy tedy, a on zaczął patrzeć na słońce, lejące

mu na twarz całą strugą blaski ostatnie i złote. Patrzył przez chwilę nieruchomie, a potem odezwał się do Marty:

— Marta, jak to jest: *Słońce, ty boże jasny...* Jak dalej?

A Marta na to, podobnie jak przy pierwszym z Księżyca widzianym słońca zachodzie, stanęła w pełnym blasku, wyciągnęła ręce i wznosząc ku niknącemu światłu pełne łez oczy, zaczęła pół mówić, pół śpiewać dziwny, w falistych rytmach rozplywający się hymn:

— *Słońce, ty boże jasny, odchodzisz od nas do krain, których nie znamy!*

Słońce, o, światłości nieba, o, rozkoszy ziemi, odchodzisz, pozostawiając w smutku nasze oczy, aby zaświecić tym, którzy z ciał już wyzwoleni...

Którzy z ciał już wyzwoleni, a nowych jeszcze nie wzięli, jako niewolnicy, których na chwilę puszczono, aby mieli dzień ciszy i spokoju, nim powrócą do kaźni i tańców.

Dobry jest ON, dobry jest Przedwieczny, Niewymawialny i Niepojęty, który uczynił dzień ciszy wśród walk i utrapienia...

W Nim jest źródło i ujście wszechrzeczy, w Nim są roztopione dusze tych, co walkę już ukończyli, powracając w miejsce, skąd wyszli byli przed wiekami...

O, Słońce, boże jasny, ty idziesz pod stopy Jego, a w smutku pozostają tu nasze rozżęsknione oczy...

Woodbell słuchał i zdawał się zasypiać. Nagle rozwarł oczy:

— Marta! O'Tamor umarł?

— Umarł.

— Remognerzy umarli?

— Umarli.

— Ja umrę także... I oni... oni... — Na nas wskazał oczyma.

— Oni pomrą. Ty będziesz żył — odpowiedziała znowu z tem dziwnem, głębokiem przeświadczeniem.

— A tak... — szepnął chory — ale co mnie z tego...

Na chwilę zapanowało milczenie. Selena wspięła się przednimi łapami na hamak i lizała jego zwieszoną dłoń. On spojrzął i zrobił ruch ręką, jakby chciał pogłaskać wierne zwierzę, ale widocznie sił mu już brakowało.

— Moja, moja suka... — szepnął tylko.

Potem powiedział, że chce popatrzeć na Ziemię. Zwróciliśmy go tak, aby ją mógł widzieć. Stała właśnie w kwadrze ponad skałami od południa. Patrzył długo, wyciągając ręce z ogromną tęsknotą ku temu jaśniejącemu na niebie półkřęgowi, przez który przesuwiał się właśnie zwolna Cień Oceanu Indyjskiego, z jasnym, wgłębającym się weń trójkątem Indji.

— Patrz, patrz! tam jest Travancore — zawołał chory.

— Tam jest Travancore — powtórzyła Marta, jak echo.

— Tam byliśmy szczęśliwi...

— Tak, szczęśliwi...

Chory zaczął się znowu niepokoić.

— Marta! czy ja tam pójdę po śmierci?... Bo widzisz, ja nie chcę... błąkać się tutaj... po tej pustyni... w tem mieście umarłych... Marta, czy ja tam pójdę?...

Marta milczała, schyliwszy głowę, a Tomasz począł znów nalegać...

— Marta, czy ja tam pójdę... po śmierci... na Ziemię?

Kurcz bólu wykrzywił twarz dziewczyny, ale się prze mogła i odpowiedziała cicho, głosem pełnym łez:

— Pójdiesz, na chwilę, na dzień ciszy... Potem powrócisz do mnie.

Oczy zachodziły mu już bielmem śmierci; dłonie bezwładnie opuszczonych rąk były sine i zimne. Drgnął jeszcze raz i szepnął ledwo dosłyszalnie:

— Marta, jak to jest na Ziemi?...

Marta zaczęła znów opowiadać o morzu, o łąkach, o kwia-

tach, a jemu na ustach osiadał jakiś bolesny, lecz spokojny uśmiech i oczy przymykały się zwolna.

Rozwarł je jeszcze raz na chwilę, spojrzął na Ziemię i na słońce, jaśniejące już tylko wąskim rąbkiem nad pustynią — westchnął lekko i skonał z ostatnim błyskiem gasnącego dnia.

Gwałtowny, szalony płacz Marty rozległ się w nagle zapadającym mroku.

Po ciemku już wykopaliśmy grób i przysypaliśmy mu piaskiem oczy.

I znowu jesteśmy w drodze od dwudziestu blisko godzin.

Posuwamy się po równej, piaszczystej pustyni. Minęliśmy już przy wyjściu z *Poprzecznej Dołiny* 50 równoleżnik; Ziemia wzniesiona jest już tylko 40° nad widnokregiem, ale na szczęście niema na tej płaszczyźnie wyniosłości, któreby cień rzucały. Jeśli się da, pojedziemy całą noc bez przerwy.

Ogromny smutek nas gnębi. Marta siedzi obezwładniona, zdziczała boleścią, a u nóg jej Selena wyje za swym zmarłym panem. Dajemy jej pokarm, chcąc ją uciszyć, ale nie chce jeść. Przyzwyczajona była brać wszystko z ręki Tomasza.

Na Mare Frigoris, 0° 6' w. dl., 55° pn. szer. księżycowej. po północy, z początkiem doby czwartej.

Zwracamy się wprost na północ, ku biegunowi. Od stu siedemdziesięciu kilku godzin, to jest od śmierci Woodbella, posuwaliśmy się w północno-zachodnim kierunku. Teraz już grób jego pozostał za nami daleko, daleko... Tydzień minął już na Ziemi, jakeśmy go pochowali.

Przez cały tydzień piasek sieje się przez koła naszego wozu i tylko syk motoru przerywa ciszę, nieustannie wśród nas panującą. Marta nie płacze, siedzi niema z zaciśniętymi ustami i szeroko rozwartymi oczyma, w których lzy już wyschły. Selena nie żyje.

zdolny rzucić się na nią, zmusić razami jej milczące, smutne usta do krzyku — a potem zdławić ten krzyk wraz z życiem. Możeby lepiej tak było... Zostalibyśmy sami, bez celu, bez pobudki do życia, możebyśmy wtedy nawet dobrowolnie pomarli, ale przynajmniej nie byłoby między nami...

Po co ona żyje? co ją tu trzyma? jak ona może jeszcze żyć, jeśli kochała tamtego człowieka i jeśli naprawdę on dla niej był wszystkim i z nim wszystko się dla niej skończyło? My jesteśmy podli, ale i ona jest podła! Pies, suka nierozumna, okazała więcej przywiązania, bo nie przeżyła śmierci pana, który ją wykarmił! A wszakże ta suka nie odebrała ani setnej części tych pieszczot, nie doznała ani tysięcznej części tej miłości, którą on okazywał kobiecie! Ale kobieta żyje... I kto wie, kto wie, może z tych oczu, napozór w boleści zastygłych i zgąsłych, rzuca już na nas ukradkowe spojrzenia, może w jej mózgu, pełnym jeszcze obrazu tamtego, zmarłego, rodzi się już cicha myśl: którego z tych dwóch żywych wybrać, aby pełnić odwieczne dzieło kobiety?...

Może, może jest w tem wszystkim jakaś pierwotna, żywiołowa, przez naturę w istoty nasze włożona, a więc święta żądza istnienia i stwarzania, która nie ogląda się na nic, nie liczy się z przeszłością, ani o przyszłości myśli — ale dla mnie w tej chwili jest to tak wstrętne, takie ohydne i potworne!

A! czemu ta kobieta żyje!

A jednak — czuję — że jej śmierci nie przeniósłbym.

Na Mare Frigoris, 0^o 30' w. dł., 61^o pn. szer. księż., czwarta doba, 172 godziny po północy.

Marta miała słuszność, mówiąc Tomaszowi: Ty będziesz żył! Ach! że ja odrazu wówczas tego nie zrozumiałem!

Upłynęło już było trzy czwarte nocy, gdy spostrzegłem, siedząc przy sterze, że Piotr kręci się wciąż koło mnie z takim

wyrazem twarzy, jakby chciał zacząć rozmowę. Do tego czasu ograniczyliśmy się do zamiany słów koniecznych tylko, zdziwiło mnie to więc, ale i ucieszyło zarazem. Czułem, że czas nareszcie zrzucić z siebie tę nieznośną, gniotącą zморę i wy-
aśnić nasz wzajemny stosunek.

Zapytałem go tedy, jak mogłem najuprzejmiej:

— Czy życzysz sobie czego odemnie?

— Owszem, owszem — podchwycił skwapliwie, siadając obok — chciałem z tobą pomówić...

Zauważyłem, że zmuszał się do uśmiechu, ale twarz drgała mu kurczowo. Mimowoli spojrzałem mu na ręce. On, jakby zrozumiał moje przelotne spojrzenie, zarumienił się i wyjąwszy dłonie z kieszeni, oparł je próżne na kolanach. Po chwili zaczęła, jękając się nieco:

— Tak, tak, widzisz, chciałem z tobą... Bo zdaje mi się, że tej nocy zatrzymywać się nie potrzebujemy, gdyż niema wielkiego mrozu, a droga równa i dość jasno, choć Ziemia nisko stoi nad widnokregiem; zresztą przyznasz, należy się spieszyć, a więc...

Nie spuszczałem zeń oka, a on mieszał się coraz bardziej.

Nagle, zmieniając ton, krzyknął porywczo:

— Do kroćset! jedziemy bez przerwy ku północy, nie-
prawdaż?

— Tak... — przyświadczyłem, siląc się na spokój.

Znowu nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Varadol zerwał się i zaczął chodzić niespokojnie. Zdawałem sobie jasno sprawę z tego, co się z nim dzieje; wiedziałem, o czym chciał ze mną mówić i że dlatego plótł rzeczy obojętne, bo nie mógł wykrztusić słowa, stawiającego nas twarzą w twarz wobec rzeczy, którą nareszcie wcześniej czy później należało rozstrzygnąć. Przez chwilę uczuwałem złośliwą radość z powodu jego męki, a potem, ale to tak zupełnie nagle, żał mi się go zrobiło. Było jedno mgnienie oka, kiedy gotów byłem rzucić się mu na szyję i — bo ja wiem co? — zakląć go na

Po śmierci Tomasza nie chciała jeść, wyła tylko całemi godzinami i biegała po wozie, węsząc wszystkie przedmioty, które do niego należały, których ręką bodaj dotykał. Wreszcie położyła się w kącie, osłabła i osowiała, warcząc groźnie, gdy się kto z nas chciał do niej zbliżyć. Obawialiśmy się, aby nie popadła w wściekliznę i dlatego, choć z wielkim żalem, musieliśmy ją zabić. Zresztą pewien jestem, że i tak nie byłaby długo żyła.

Tak więc strasznie cicho jest w naszym wozie, bo my — cóż my z Piotrem możemy do siebie mówić? Stała się rzecz zła. Śmierć Tomasza, to nietylko śmierć człowieka, nietylko strata dzielnego, wiernego i drogiego przyjaciela: to straszliwe nieszczęście, to potworna ironja, rzucająca nagle między nas dwóch tę kobietę, której obaj zarówno pragniemy. Nie mogę spojrzeć na nią, aby mnie nie przeszedł dreszcz pożądania, a równocześnie odczuwam jasno całą okropną ohydę tego... świętokradztwa wobec świeżej mogiły przyjaciela. Zdaje mi się, że duch Tomasza jest jeszcze gdzieś blisko, że pluje mi w serce, widząc te myśli moje, ale nie mogę się oprzeć, nie mogę, nie mogę! Gorączka mózg mi trawi, krew faluje wściekle we wszystkich żyłach, a oczy mam jej tak pełne, że choć zamknę powieki, widzę ją przed sobą z jakąś straszną, niesłychaną wyrazistością.

Powstrzymuję swe myśli przemocą, jak zgraję wściekłych psów, ale one zrywają się ze smyczy mej woli, rzucają się wszystkie na nią, bezczelnie zdzierają z niej suknie, łączą się i ocierają o każdy jej kształt, wiją się około jej ciała i brudzą je ohydnyimi pyskami, a widząc, że mimo wszystko jest niewzruszona i zimna, zaczynają szczekać i targać ją zębami i gryść i szarpać... O, te podłe myśli moje, jakże mnie one męczą straszliwie!

Z Varadolem dzieje się to samo; wiem, czuję, widzę to. On wie również, co się dzieje we mnie. Stąd ta głucha, zaciekle nienawiść między nami! Po co się ludzić, po co nazywać

rzeczy pięknymi imionami! Jesteśmy obaj podli, bo ona jest między nami. Jest nas dwóch tylko na tym strasznym świecie, a coś w głębi naszych dusz woła, że nas o jednego za wiele. Nie mówimy do siebie wcale i nie patrzymy sobie w oczy. Czasem tylko chwytam z boku spojrzenia Varadola, straszne spojrzenia, przez które błyska śmierć, jak pożar przez okna płonącego wewnątrz domu.

Czy się go boję? Nie! nie! po stokroć nie! — choć wiem, że każdej chwili, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, może mnie uderzyć z tyłu i zabić — ot, naprzykład teraz, gdy piszę schylony, a on stoi za mną i widzi mój odsłonięty kark... Dreszcz mnie przechodzi, ale nie odwracam się, nie chcę schwycić jednego z tych spojrzeń, w których widzę, jak w zwierciadle, podłość własną. Zresztą istotnie nie boję się tej nagłej i niespodziewanej śmierci, która mnie może spotkać; śmierć tylko wtedy jest straszna nad wszelki wyraz, gdy się zbliża powoli a nieuchronnie — wiem to z doświadczenia. Strach mi tylko jednego, strach mi myśli, że on może osiąść tę kobietę, do której nie większe odemnie ma prawa, że może pocałunkami zarumienić jej od łez jeszcze bladą twarz, zmusić jej pierś, zrywaną jeszcze łkaniami nieukojonemi, do szybkich, namiętych westchnień... a! myśleć o tem nie mogę!

Szpiegujemy się wzajemnie tak, że doprawdy, póki obaj żyjemy, ona bezpieczna jest między nami!

Ale czasem ogarnia mnie wściekłość. Chciałbym napluć sobie w twarz, a potem stanąć przed nim i powiedzieć głośno: Pójdź! bijmy się o nią! gryźmy się, jak dwa wściekłe wilki o sukę — niepewni jutra, niepewni życia, wygnańcy na tym świecie, walczmy o tę wobec nas tak wzgardliwie obojętną kochankę naszego świeżo zmarłego przyjaciela! Nim jutro umrzemy, pójdź! bijmy się dzisiaj!

Ale jestem zanadto hipokrytą i tchórzem, aby to uczynić. Oh! jak ja gardzę sobą!

I nią gardzę i jej nienawidzę! Są chwile, kiedy byłbym

naszą dawną przyjaźń, ustąpić mu tej kobiety, albo prosić go, aby się zgodził na jej śmierć — nie wiem. Ale opanowałem się natychmiast; to nie prowadziło do niczego zgoła. Uczułem natomiast, że niepodobna odwlekać stanowczej rozmowy.

— Czy to mi tylko chciałeś powiedzieć? — zagadnąłem go zniecka.

On się zatrzymał, uderzony snadź życzliwym tonem mego głosu i spojrzał mi badawczo w oczy. Potem uśmiechnął się z dziwnym smutkiem i powiódł dłońią po czole. Widziałem, że ręka drżała mu jak w febrze.

— Tak, istotnie, chciałem nadto...

Urwał nagle i spojrzał na Martę. Wahał się jeszcze chwilę, aż wreszcie zmarszczył brwi i urywanym, suchym głosem wyrzekł po niemiecku, aby go Marta nie mogła zrozumieć:

— Co my zrobimy z tą kobietą?

Spodziewałem się tych słów, a mimo to podziały tak na mnie, jak uderzenie młota w głowę. Zahamowałem gwałtownie wóz, bo krew mi uderzyła do mózgu i przysłoniła ciemną falą oczy. Serce biło mi w piersi, w ustach uczułem nieprzyjemną suchość. Chwila stanowcza nadeszła.

Spojrzałem na Varadola. Stał przedemną, blady, jak trup i patrzył mi uparcie w oczy. Tego wzroku nie zapomnę do śmierci! Był w nim niepokój i podłe, psie niemal błaganie i groźba zarazem jakaś straszliwa.

Bez słowa odpowiedzi odsunąłem go odruchowo na bok i nie zdając sobie wprost sprawy z tego, co robię, podszedłem ku Marcie, która siedziała nad jakimś szyciem. On poszedł za mną.

— Czemu ty żyjesz, kobieto? — zapytałem z nagłą z niesłychanie, jak teraz myślę, śmiesznym tragizmem, choć wówczas, Bóg świadkiem, nie miałem wcale do śmiechu ochoty!

Marta spojrzała na nas zdziwiona, a potem, oblawszy się krwawym rumieńcem, wyrzekła powoli, głosem zlekka drżącym, jakby się usprawiedliwiając:

— Czekam na powrót Tomasza...

Mnie porwała wściekła złość.

— Dość tych głupich bajań! — krzyknąłem, wrywając jej równocześnie z rąk robotę, nad którą była pochylona. Nie wiem, co by się było stało, ale w tej chwili rzuciłem okiem na ten kawałek płótna: była to koszulka dziecięca.

Zrozumiałem nagle wszystko. Niezdolny słowa przemówić, wyciągnąłem tylko rękę, pokazując tę rzecz Piotrowi. Krzyknął zlekka i odszedł szybko ku sterowi wozu.

Więc dlatego mówiła ona do umierającego Tomasza z takim przekonaniem: Ty będziesz żył! — dlatego nie poszła za nim!

Wszak według wierzeń jej ludu, w dziecię, urodzone po śmierci ojca, przechodzi dusza zmarłego. Więc ona czeka, pewna, że Tomasz w dziecięciu do niej powróci, okrążywszy wpród duchem Ziemię, za którą tak tęsknił przy zgonie? Musiała mu powiedzieć tę „wesołą nowinę“ i to, że tak czekać nań będzie, może wówczas, gdy mówiła do niego przed śmiercią coś po malabarsku?

Wszystko to błyskawicą przez myśl mi przebiegło.

Spojrzałem na nią: płakała teraz cicho z twarzą ukrytą w tej małej koszulce, wykrojonej z bielizny zmarłego.

I nagle stało się ze mną coś dziwnego. Doznałem takiego wrażenia, jakby mi w sercu coś pękło, wrzód jakiś nieznośny, a równocześnie opadła z mych oczu łuska. Marta wydała mi się zupełnie inną istotą. Patrzyłem na nią ze zdziwieniem, jakbym ją poraz pierwszy zobaczył. To nie była już kobieta, o której posiadanie byłem niemal gotów przed chwilą walczyć z moim przyjacielem i jedynym współtowarzyszem na tym świecie; to była matka nowego pokolenia, zwyciężająca śmierć przez wielką tajemnicę życia i miłości.

Niewypowiedziana wdzięczność zalała mi duszę; wdzięczność za to, że przez nią nie będziemy tu sami, i za to, że zasłoniła się tym nimbem macierzyństwa przed nami, którzyśmy —

ślepi! — widzieli w niej tylko cenny spadek po zmarłym. Schyliłem się bezwiednie i pocałowałem ją w rękę.

Drgnęła, ale snadź zrozumiała mój pocałunek, bo w tej chwili wzniosła twarz, zapłakaną jeszcze, ale już dumną nowem i uznanem dostojęństwem.

Dziwna jest natura ludzka! Przecież to wszystko nie rozwiązuje sprawy, lecz odsuwa ją tylko na czas jakiś, a mimo to jesteśmy obaj tacy spokojni teraz, jakgdyby cała rzecz była już załatwiona. Mamy to przeświadczenie, że ta kobieta nie należy do żadnego z nas żyjących, lecz do tego, co umarł i szanujemy ją, nie zastanawiając się, że przyjdzie może znowu czas, kiedy...

Ale nie! nie! nawet myśleć nie chcę o tem!

Teraz tylko na północ, wciąż na północ!

Pod Timaeusem, po wschodzie słońca czwartej doby księżycowej.

Żaden wschód jeszcze nie wzbudził w nas takiej radości i takiej nadziei, jak ten ostatni. Poprzedził go blask, zjawisko, któregośmy tutaj na Księżycu jeszcze nie widzieli.

Noc była się właśnie skończyła i spodziewaliśmy się, że lada chwila szczyt góry, majaczącej przed nami w świetle Ziemi, a świadczącej, że dobijamy już do północnego krańca *Mare Frigoris*, rozbłyśnie nagle pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Nim się to jednak stało, zauważyliśmy, że czarne niebo od wschodu przybiera barwę nieco jaśniejszą, jakby je zasnuła lekka, opalowo-mleczna mgła. Sądziliśmy naprzód, że w jakiś niewytłumaczony sposób pojawia się pod tą znaczną szerokością — minęliśmy już bowiem sześćdziesiąty równoleżnik — światło zodjakalne, widoczne w pobliżu równika i przed wschodem słońca. Ale nie, nie było to światło zodjakalne; niebo osrebrzało się zlekka szeroko nad widnokregiem i gwiazdy ćmiły

się w tym białawym obrzasku. Wkrótce i szczyty *Timaesa* — to bowiem był ów krater, do któregośmy się zbliżali, rozpląnęły w słońcu, ale — o, dziwo! zakwitły na tle nocy jak lekko spłonione róże. Niepodobna było wątpić dłużej; ten świt i to światło różowe zwiastowały nam, że tu powietrze dosyć już gęste, aby się rozświetlić przesuwającymi się przez nie promieniami i barwę ich białą zarumienić.

Przejęła mnie wielka, słodka radość; uśmiechnąłem się do Piotra, zapatrzonego całą duszą w to zjawisko, a potem zwróciłem się do Marty.

— Patrz! — zawołałem — dziecię twoje przyjdzie już na świat tam, gdzie będzie można oddechać tak, jak na Ziemi!

Ona wzniosła głowę i popatrzyła ku wschodowi, który powlekał się jak sen lekką złotością, rozlewającą się tak po horyzoncie, jak się po naszych sercach rozlewała nadzieja nowego życia...

Słońce wschodziło powoli, wolniej jeszcze, niż dni poprzednich, bo nie szło prosto w górę, lecz ślaniało się po łuku, pochylonym mocno ku południu i nisko nad widnokregiem wiszącej Ziemi. Wyszędłszy całe, stanęło na niebie w wielkim kręgu, jakby mgły białawej, przechodzącej w błękit, gubiący się w czarnem tle naokoło. W pobliżu słońca gwiazd już nie widać. Błyszczą jeszcze w dalszych stronach firmamentu, ale znikła już ich różnokolorowość i są coraz więcej podobne do tych migotliwych płomyków, którymi się tam na Ziemi nocny błękit nieba rozkwieca...

Jeszcze jedna, najwyżej dwie księżycowe doby, a będziemy mogli wyjść z tego wozu i odetchnąć pełną pierśią poraz pierwszy księżycowem powietrzem.

Przez ostatnią noc ujechaliśmy ogromny kawał świata.

Mróz nocny jest tu w pobliżu bieguna znacznie lżejszy, niż pod równikiem, gdyż słońce tu nie zapada tak głęboko pod widnokrag; to też nie zatrzymywaliśmy się w drodze ani na

chwile. O zachodzie słońca wjechaliśmy na *Mare Frigoris*, a teraz mamy już tę płaszczyznę poza sobą.

Od zachodniej strony rozpoczyna się już kraj górzysty; *Timaeus* jest jego słupem granicznym, który właśnie mijamy.

Przed nami, ku północy, rozciąga się płaszczyzna, wrzynająca się szeroką zatoką w pogórze, a sięgająca, jak mapy wskazują, do 68 równoleżnika. Nie jest ona już taka równa, jak *Morze Mrozów*, owszem, pofałdowana jest cała niskimi a równoległymi wzgórzami, które nam jednak nie utrudnią podróży, gdyż mają nader łagodny spadek. Powinniśmy ją przebyć, nim dzień się skończy, tak, że najbliższa noc zastanie nas już w górach. Będzie nas wtedy jeszcze około sześciuset kilometrów dzieliło od bieguna.

Ale cóż znaczy sześćset kilometrów, gdyśmy ich już tyle przebyli?

Jesteśmy pełni otuchy i nadziei, wszystkie nieporozumienia między nami się rozwiały, znikły te zmory okropne, które nas w nocy dręczyły, jakby mgła, rozplywająca się w blasku wschodzącego słońca — krzepi nas ta myśl błogosławiona, że do upragnionego celu naszej ciężkiej pielgrzymki wieziemy zarodek nowego życia — i tak nam jakoś dobrze, tak spokojnie, że aż zdaje nam się chwilami, że nie żałujemy opuszczonej Ziemi.

Czemuż Tomaszka niema z nami? Dzielił nasze udręczenia; cóżbym dał za to, gdybyśmy mogli się z nim podzielić nadzieją życia!...

*Czwarta doba księżycowa, 78 godzin po wschodzie słońca
o 2° w. dl., 65° pn. szer. księżycowej.*

Dziwny smutek mnie gnębi. Nie wiem, skąd przyszedł i czego chce odemnie? Podróż odbywa się rażno, niebo nad nami zaciąga się zwolna ciemnym błękitem, skrós którego niewzruszone dotąd gwiazdy poczynają migotać, wszystko zapo-

wiada bliskość owej „ziemi obiecanej“, gdzie mamy nareszcie wypocząć po niewystowionych trudach, trwających już czwarty miesiąc, a ja, zamiast się radować, jestem smutny, coraz bardziej smutny.

Co temu winno? może ta Ziemia, chyląca się wciąż ku widnokręgowi, którą za kilkaset godzin stracimy już z oczu zupełnie, może te groby, znaczące naszą drogę przez okropną, bezpowietrzną pustynię Księżyca, może te przejścia wewnętrzne, po których dusza moja nie zdołała jeszcze ochłonąć, a może myśl o tem dziecięciu zmarłego, które się ma narodzić w kraju nieznanym i na los nieznanym?

Spokojny jestem, tylko ten smutek nieznośny i to zmęczenie! Oczy nam już oślepiły od rażących blasków słońca; nuży mnie widok płaszczyn dzikich, a bezkreśnych i gór przepaści-
stych, sterczących nad niemi... O, gdyby mała, maleńka sadzawka wody! gałązka, trawka bodaj zieleni!...

Okolica tu wygląda jak cmentarz ogromny. Jedziemy dnem od wieków wyschłego morza, po osadowych, na powierzchni skruszałych ławach wapienia, z których sterczą resztki rozmytych pierwotnych skał pierściennych.

Co się stało z tem morzem, które tu snadź niegdyś falo-
wało, wyciągając wygięte karki bałwanów ku Ziemi, widnej wówczas, jak tarcza złota wśród chmur, przeciągających nad wodami? Brzeg tylko stoi nad suchą kotliną, stromy, ogromny, wyżarty uderzeniami fal już nieistniejących... Wiatry rozwiały starte na pył jego okruchy; teraz i wiatrów tu już niema. Pustka i martwota...

Tak straszliwie pragnę dostać się już do kraju, gdzie nareszcie zobaczę życie! O, byle jaknajprędzej! bo sił może zabraknąć!

Marta z nas trojga jest może najcierpliwsza, ale cóż! ona swój świat ma teraz w sobie! I zdaje się, że o tym świecie swoim myśli więcej nawet, niż o zmarłym kochanku. Widzę często, jak, siedząc nad robotą, opuszcza naraz ręce i patrzy

gdzieś w przyszłość, uśmiechając się do swych myśli. Jestem pewien, że oczyma duszy widzi już wtedy maleńkie, różowe dziecko, wyciągające do niej rączkę. Czasem tylko głębokie westchnienie spędza jej z twarzy ten uśmiech niewypowiedzianej błogości i łzami napętnia jej oczy. To wspomnienie Tomasza, który nie zobaczy już swego dziecka... Ale potem uśmiecha się znowu; wie, że gdyby nie był umarł, nie mogłaby dusza jego powrócić do niej w dziecięciu.

Marta, zajęta wciąż swemi myślami, niewiele do nas mówi, ale kiedyś powiedziała mi: Dobrze, że przyszedłam tu za Tomaszem, bo teraz dam mu na nowo życie...

Jakże niema się czuć szczęśliwą, jeżeli może tak o sobie powiedzieć?

Czwarta doba, 17 godzin po południu, na wyżynie przed Goldschmidtem, 1^o 3' w. dł., 69^o 3' pn. szer. księż.

Skończyły się już równiny; jesteśmy w górach, ciągnących się aż do bieguna. Szczególna to wyżyna, zasiana luźnymi, obrączkowymi wzniesieniami, wśród których sterczą rozległe i wysokie pierścienie górskie, jak naprzykład ogromny *Goldschmidt* przed nami i stykający się z nim od wschodu, a jeszcze wyższy *Barrow*. Przychodzi mi teraz na myśl, że to takie dziwne, iż my tu spotykamy góry i łądy, jeszcze ludzką nogą nie deptane, a już ponazywane przez ludzi... Śmieszna myśl.

Południe zastało nas dzisiaj na szczycie granicznego wału wyżyny. Gdyśmy się obejrzeliby poza siebie, zobaczylibyśmy nisko nad horyzontem pustyni Ziemię w nowiu, przestoniętą lekkim oparem powietrza. Świetlna obrączka tej atmosfery błyszczała przez tę zastonę jeszcze krwawiej, niż za dni poprzednich. Tuż nad nią, ocierając się prawie o jej ogromną czarną kulę, stało słońce w niewielkiej otęczy z promieni.

Mam takie wrażenie, że Ziemia spadła w przeciągu tych

czterech miesięcy z zenitu ku widnokręgowi, a to tylko my uciekliśmy z pod niej, zbliżając się do bieguna. Klimat tu jest już zupełnie inny. Popołudniowe słońce, nieznacznie nad horyzont wzniesione, nie razi nas żarem, nie oślepia blaskami. Jakieś smutne i znużone wydaje się to słońce, tak jak my... Dookoła na wyżynie pełno długich cieniów... Niebo od północy coraz więcej się wybłękitnia, gwiazd już w tej stronie nie widać, choć jeszcze od południa świecą mdłym, białawym blaskiem, rozrzucone w szeroki krąg wokoło Ziemi i słońca.

Znużony jestem nad wszelki wyraz. Mimo lekkości własnego ciała na Księżycu, mam czasem wrażenie, że głowa moja, ręce i nogi są z ołowiu. Boję się, abym się nie rozchorował. Tak nieskończenie długą wydaje mi się ta podróż, że mimo oznak zbliżającego się kresu drogi, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek staniemy u celu... Zresztą — cel? gdzie, jaki cel? Ach! wszystko jest nużące i smutne.

Marta jest niesłychanie dobra. Zdaje mi się, że gdyby nie ona, nie chciałoby mi się ręką ruszyć, aby zwrócić ster wozu ku biegunowi, ku któremu zdążamy z takim wysiłkiem... Ale ona widzi moje straszne znużenie i umie jakimś ciepłem, pocziwem, świętem słowem dodać mi otuchy, podtrzymać me siły. Czemu ja na tyle dobroci z jej strony zasłużyłem? — czy tą krzywdą, jaką jej myślami i żądzami swemi wyrządzałem? Jestem tak znużony, że wszystko mi jest obojętne, z wyjątkiem, dalibóg, szczęścia tej kobiety. Pragnąłbym żyć, aby jej się przydać na co... A kto wie, czy będę żył...

Przed nami góry, wielkie, strome góry. Trzeba je przebyć. Te i jeszcze inne i znowu inne, bo do bieguna jeszcze daleko... Nie mam już sił. Nawet pisać już nie mogę. Wyrazy mi się nie kleją; zapominam wciąż, co miałem powiedzieć. Chciałoby mi się tylko wyciągnąć na hamaku i patrzeć z pod wpół spuszczonej powiek na Martę, uśmiechającą się wciąż do myśli o swem dziecięciu.

Szczęśliwa!

*Na przełęczy między Goldschmidtem a Barrowem, 161 godz.
po południu czwartej doby księżycowej.*

Walczę resztką sił z ogarniającem mnie wciąż znużeniem. Czuję, że jestem chory i boję się tego. Jak oni sobie we dwoje dadzą radę bezemnie? Droga jest coraz przykrzejsza, a noc, długa noc się zbliża. Czy doczekam jej końca? Może po O'Tamorze i Woodbellu teraz na mnie kolej przychodzi? Wszak *oni* pono przepowiedzieli...

Żalby mi było umierać. Chciałbym jeszcze zobaczyć dziecinę, która się ma narodzić, chciałbym odetchnąć choć raz pełnemi piersiami.

Ach! kiedyż będzie koniec tej drodze! Sądząc według mapy, góry, które właśnie przebywamy, są ostatnią, najpoważniejszą przeszkodą, dzielącą nas od bieguna. Spuściwszy się z przełęczy, na której się obecnie znajdujemy, zwrócimy się szerokim wąwozem ku zachodowi, wzdłuż północnych stoków *Goldschmidta*, potem, skręciwszy znów ku północy, miniemy pierścienie *Challis* i *Main*, okrążymy od wschodu pierścień *Gioja*, przebywając jego niską odnogę, wyciągniętą w kierunku równoleżnika i dostaniemy się na równinę, przedzieloną od kraju biegunowego już tylko jednym wąskim pasmem gór.

Tak się przedstawia nasza droga według map. Ale mapy tych okolic, źle widocznych ze Ziemi, są bardzo niedokładne. Dodać trzeba, że większą część tej drogi wypadnie nam odbyć w nocy, nierozjaśnionej nawet światłem Ziemi, którą będą już góry przed nami zasłaniać.

Z tej tu wysokości widać kawał świata przed nami, ale już tylko szczyty góry błyszczą się rumiano w słońcu; doły zalewa czarne morze cienia. Gdy tam zjedziemy, będą gwiazdy jedynymi naszymi przewodnikami.

W głowie mojej coś się zepsuło czy przerwało. Tylko przy największym wysiłku woli mogę trzeźwo myśleć. Co chwilę pojawiają się jakieś wizje, jakieś wpółsenne marzenia

i strachy. Czyżbym miał gorączkę? Kąsam się w palce, aby oprzytomnieć. Ale i to mi nie pomaga. Wszystkie obrazy chwieją mi się przed oczyma; widzę mroczne morze z pływającymi po niem krwawymi szczytami gór, nasz wóz wydaje mi się okrętem, który lada chwila strącimy na tę otchłań... Jestem tak straszliwie znużony. Dokąd mi popłyniemy przez ten czarny ocean? Czy może ku Ziemi?... Ach, prawda! Ziemia pozostała daleko, daleko w przestworzach niebieskich; tam nie powrócimy już nigdy, nigdy...

W głowie mi huczy straszliwy młyn; zdaje mi się, że mam gorączkę...

Po zachodzie słońca w wąwozach między górami.

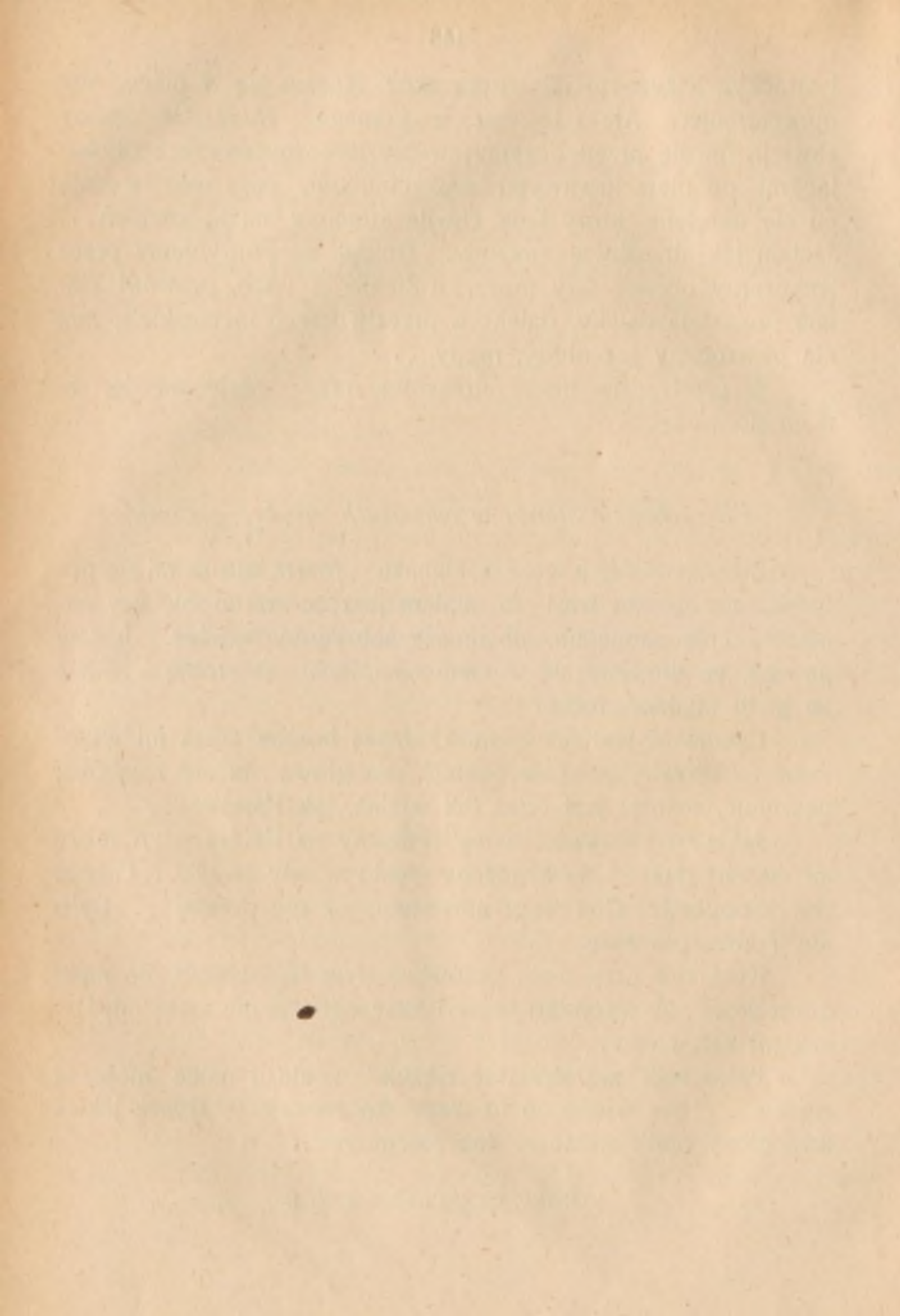
Zwlokłem się jeszcze z hamaka. Marta kazała mi się położyć, ale co ona wiel! Ja miałem jeszcze coś zrobić czy napisać — nie pamiętam, ale muszę sobie przypomnieć. Jestem pewien, że utopimy się w ciemności, jeśli nie zrobimy... Ale co ja to miałem zrobić?

Czemu tu jest tak ciemno? Jakaś bomba pękła mi widocznie w głowie, musiała pęknąć, bo głowa mi się rozdyma, pęcznieje, rośnie; jest teraz tak wielka, jak Księżyc...

Jakie to zabawne, że my jesteśmy na Księżycu! A może mi się śni tylko? Bo skądżeby się tu wzięły psy?... Gdzież jest Woodbell? Coś się z nim stało, ale nie pomnę... Było mu Tomasz na imię...

Ktoś stoi przy mnie i mówi, żebym się położył, bo mam gorączkę... A wszystko jedno! dlaczegoż ja nie mam mieć... czy mi nie wolno...

Pióro robi się strasznie ciężkie... ale i palce moje są ciężkie... Nie wiem, co to wszystko znaczy — słyszę jakies dwa głosy obok siebie — już nie mogę...



REKOPISU CZĘŚĆ DRUGA
NA TAMTEJ STRONIE

I.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem, otworzywszy oczy po długiej chorobie, która mnie pozbawiła przytomności pod koniec owej straszliwej podróży przez bezwodną i bezpowietrzną pustynię księżycową. Dzisiaj, gdy się zabieram do spisania dalszych przygód naszych na tym globie, stoi mi ta chwila tak żywo w pamięci, jakby zaledwie kilkanaście godzin od niej upłynęło. A wszakże, gdy policzę księżycowe doby, widzę, że na Ziemi mija już rok jedenasty od czasu, gdyśmy spadli na powierzchnię Księżyca, a dziesięć lat od wyjścia z wozu po półrocznem blisko zamknięciu. Teraz oddychamy już pełną piersią pod niebem, tak samo, jak na Ziemi błękitnem, nad brzegiem prawdziwego falistego morza i patrzymy na lasy roślin, dziwnych i nieprawdopodobnych, ale również zielonych i pełnych właściwego sobie życia. Sto trzydzieści cztery razy okrążyło słońce ten świat w naszych oczach i jużśmy się z niem prawie zżyli. Włós nam siwieje, a obok nas wzrasta nowe pokolenie — pokolenie ludzi, którzy kiedyś będą uważali za mit historję o dostaniu się tu swych praojców z Ziemi, wychylającej się przed nimi z za widnokręgu w postaci olbrzymiej, świecącej kuli, gdy się zapuszczą czasem ku krańcom bezpowietrznej pustyni. Dla nich będzie to ciekawe, rzadko widziane światło niebieskie; dla nas jest to matka, którąśmy opuścili nazawsze, nie mogąc atoli zerwać ostatej, ale najsilniejszej nici, wiążącej nas z nią — tęsknoty.

Przejdzie jeszcze kilkadziesiąt lub nieco więcej dni księżycowych i pomrzemy my wszyscy, którzyśmy na Ziemi byli urodzeni, a nowe pokolenie, czytając kiedyś mój pamiętnik, będzie go zapewne przez długi czas uważało za jakąś świętą księgę, *Exodus*, nim się pojawi tutaj „krytyk“ i dowiedzie niezbitcie, że podanie o ziemskim pochodzeniu ludzi jest tylko dziecinną fantazją zamierzchłych czasów.

Myślę o tem, jako o rzeczy całkiem naturalnej; wszakże i mnie już wiele z tego, co sam przeżyłem, wydają się tylko snem fantastycznym. Zwłaszcza choroba, podczas której leżałem przez całą księżycową dobę bez przytomności, utworzyła w życiu mojem dziwną przerwę, tak, że mi trudno było zrazu powiązać to, co się działo przed nią, z tem, co zobaczyłem, przyszedłszy do siebie; odróżnić rzeczywistość od gorączkowych majaczeń. Ale istotnie przebudzenie moje było nader dziwne.

Otworzyłem oczy i nie mogłem nic zgoła zrozumieć z tego, co mnie otaczało. Spojrzawszy dokoła, spostrzegłem, że się znajduję na obszernej łące, wśród wzgórz, pokrytej dziwnie świeżą, puszystą zielonością. Cała okolica zalana była łagodnem półświatłem, podobnem do ziemskich świtów, gdy słońce wydostaje się dopiero z pod horyzontu. Tylko nagie szczyty wysokich gór płonęły w pełnym, czerwonym blasku. Nad niemi sklepiało się niebo blado-błękitne, lekką mgłą zaciągnięte. Patrzyłem długo, nie umiając sobie zdać dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajduję. Wtedy zobaczyłem na łące dwoje ludzi, idących zwolna i schylających się co chwila, jak-gdyby czegoś szukali. Dokoła nich skakały dwa psy, poszczekując wesoło.

Zdawało mi się zrazu, że jestem na Ziemi w jakiejś nieznaney okolicy i myślałem, skąd się tu wziąłem, gdy wtem przypomniała mi się nagle nasza księżycowa wyprawa i długa podróż w zamkniętym wozie przez pustynie lunarne. Rozejrzałem się jeszcze raz dokoła, o ile mogłem to uczynić, nie podnosząc głowy, która mi ciążyła, jakby ołowiem nalana.

Gdzież się podział wóz? gdzie są te dzikie krajobrazy, które, widziane przez jego okna, tkwiły mi jeszcze w pamięci? Chciałem zawołać na ludzi, znajdujących się nieopodal, ale nagle ogarnęło mnie takie ogromne znużenie, że nie mogłem głosu wydobyć. Zresztą zacząłem przypuszczać, że te wszystkie niestychane przygody były snem tylko. Miałem zrobić wyprawę na Księżyc — zasnąłem gdzieś na jakiejś łące — kto wie, jak długo spałem? i śniło mi się, że już tam był, że walczył z okropnymi trudami, tracił towarzyszy, na śmierć się narażał... To tylko dziwne, że nie znam tej okolicy.

Niejasna świadomość ciężkiej przebytej choroby zaczęła się budzić w moim umyśle. Tak, zapewne miałem gorączkę i w gorączkowych marzeniach wędrowałem po Księżycu. Ostatecznie dobrze, że ta mara już przeminęła. Doznałem ogromnej ulgi na myśl, że to wszystko snem było tylko, że znajduję się na Ziemi i nigdy nie będę zmuszony jej opuścić. Zrobiło mi się dziwnie słodko i błogo, a po chwili uczułem, że znowu zapadam w sen.

Gdym się obudził poraz drugi, spostrzegłem, że nad posłaniem mojem stoją dwie, poprzednio widziane postacie i rozmawiają półgłosem. Zdawało mi się, że dosłyszał wyraz: śpi, na co drugi głos odpowiedział: będzie żył. Zdziwiło mnie to, ale nie chciałem dać poznać po sobie, że czuwałem i tylko leżąc bez ruchu, zacząłem się pilnie przypatrywać z pod wprót przymkniętych powiek stojącym nademną ludziom. Choć, jak mi się zdawało, spałem dość długo, oświetlenie okolicy w niczem się nie zmieniło; trudno mi było zatem w niepownym blasku rozpoznać pochylone nademną twarze. Po pewnym czasie, gdy oczy przywykły do słabego światła, ludzie ci wydali mi się znajomymi, nie mogłem sobie atoli przypomnieć ich imion. Zwolna przeniosłem z nich wzrok na góry, widne na skraju widnokregu, i wciąż jednakowo u szczytów oświetlone, choć, jak zauważyłem, blask padał na nie teraz z innej strony.

W tej chwili zobaczyłem między niemi coś, co zajęło całą moją uwagę. Nad głęboką przełęczą, między dwiema wysokimi górami, stał ogromny, szaro-biały krąg, do połowy z za horyzontu wychylony. Patrzyłem nań długo, aż naraz wszystko mi się rozjaśniło: to była Ziemia — tam, na niebie świecąca!

Świadomość, że istotnie znajduję się na Księżycu, powróciła w całej pełni i dreszczem mnie przejęła. • Krzyknąłem głośno i zerwałem się z posłania. Piotr i Marta — ich to bowiem przed chwilą widziałem nad sobą — podbiegli ku mnie z oznakami żywej radości, ale ja uczułem tylko ogromny zamęt w głowie i znowu straciłem przytomność.

Było to już ostatnie zemdlenie w ciągu mojej długiej choroby. Ocuciwszy się zeń, zacząłem zwolna powracać do zdrowia. Sto kilkadziesiąt godzin jeszcze upłynęło, nim zdołałem podnieść się i chodzić o własnej mocy. Piotr i Marta czuwali tymczasem z iście macierzyńską troskliwością nademną, a ja, zbyt jeszcze osłabiony, aby móc rozmawiać i wypytawać, rozmyślałem jeno nad tem, co mnie otaczało. Wiedziałem już, że podczas mej choroby przybyliśmy do kraju zdawna upragnionego, gdzie nie brak powietrza i roślinności, ale długo nie mogłem się jeszcze oswoić z myślą, że stało się to w sposób całkiem naturalny. Trudno mi bowiem było uwierzyć, że cały ziemski miesiąc leżał bez przytomności, a wóz tymczasem, posuwając się wciąż ku północy, dotarł wreszcie do bieguna, odległego od nas jeszcze o paręset kilometrów w chwili, gdy mnie gorączka z nóg zwałała.

Znajdowaliśmy się istotnie na samym północnym biegunie księżycowym. Dziwny kraj! kraj wiecznego światła i mroku zarazem, gdzie niema stron świata, niema wschodów, ani zachodów, południa ani północy. Oś Księżyca jest prawie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, stąd też słońce nie zapada tutaj pod horyzont, ani nie wznosi się na niebie, lecz zdaje się tylko toczyć wieczyście po widnokręgu. Gdy się wyjdzie

na górę, których tam jest kilka w pobliżu, widzi się to słońce, jak kulę czerwoną i ognistą, czołgającą się leniwie u samego nieboskłonu. Szczyty gór płoną wieczyście w różowym obrzasku, który pada na nie z coraz innej strony; od stworzenia świata te góry nie miały nocy. Ale za to zielone doliny u ich stóp nigdy nie widziały słońca. Znajdują się one wiecznie w cieniu wzgórz; panuje tu wieczysty zmierzch lub świt wieczysty. Na świeżą, ciemną ich zieloność padają tylko odblaski nagich, słońcem zarumienionych szczytów, podobnych do olbrzymiego wieńca białych róż, rzuconych na murawę. Jeno czasem, raz na parę ziemskich miesięcy, słońce, wzniezione wskutek libracji Księżyca parę linji nad horyzont, błysnie w jakiej głębokiej szczyrbie między skałami płomienną, zarumienioną twarzą i stanie tak na chwilę w bramie z gór, jak cherub złocisty. Wtedy płynie wąwozem ogromna rzeka światła, spada ze skał kaskadami i znaczy się na mrocznej łące szeroką, złoto-czerwoną smugą. Parę godzin przemija, słońce chowa się za góry, znowu łagodny półmrok zalewa cichą dolinę.

Czasami tylko przez ten mrok idzie od strony słońcu przeciwniej dziwny, słaby, do szerokiej, bladej, ruchliwej tęczy podobny obrzask nad górskie czoła; to Księżycowa zorza biegunowa, podobna do ziemskiej, jak sen do rzeczywistości, ale jak sen piękna, czysta i smutna.

Jest coś zadziwiająco tajemniczego w tem słabem świetle biegunowych krain Księżyca. Pamiętam, że patrząc na nie, doznawałem wrażenia, jakgdybym znalazł się we śnie na jakichś zaczarowanych polach Elizejskich. Lekkie opary mgieł błądzą tam po nieskalanej zieleni, jak duchy; ogromnej, upajającej ciszy żaden głos nie przerywa. Nadto panuje tutaj ciągle chłodna, a pogodna wiosna. Mieszkaliśmy w tym kraju więcej, niż pół roku, a przez ten czas raz tylko zaciągnęło się chmurami bladobłękitne niebo. Deszcz nie pada tam prawie nigdy i dlatego też niema wód, źródeł, ani potoków. Powietrze

jednakże tak jest nasycone parą wodną, że wilgoć ta wystarczy zupełnie dla rozwoju roślinności. Nasze trawy, drzewa i kwiaty poschnęłyby tam niezawodnie, ale też kraje przy księżycowym biegunie posiadają odrębną, sobie właściwą, a do warunków zastosowaną florę...

Łąki tutejsze utworzone są z dziwnie soczystych roślin, podobnych do ziemskich mchów i tak samo, jak one, obdarzonych zdolnością wysysania wilgoci wprost z powietrza, tylko w daleko jeszcze wyższym stopniu. Gromadzą one w sobie tyle wody, że wyciskając naręcze tych porostów, otrzymywaliśmy po parę litrów tego tak cennego dla życia płynu. Napój zyskiwaliśmy zatem z łatwością; nieco gorzej było z pożywieniem. Znaleźliśmy parę gatunków soczystych roślin, dających się jeść i wielką ilość ciekawych żyjątek, podobnych do dużych ślimaków bez skorupy, ale nie mieliśmy przy czem przyrządzić tej strawy. Nasze ze Ziemi zabrane zapasy paliwa wyczerpały się wkrótce, a w całej szerokiej okolicy nie mogliśmy znaleźć niczego, coby je mogło zastąpić. Nawet grubsze, zdrzewiałe gałązki mchów były tak wilgocią nasiąkłe, że niepodobna było z nich rozniecić ognia, a o wysuszeniu ich w tym, jak łążnia parą przesyconem powietrzu, nie mogło być mowy. Torf, któryśmy tam w wielkiej obfitości znaleźli, również wodą ociekał, gdy go się tylko w dłoni ścisnęło.

Właśnie byłem już zdrowszy i wychodziłem z naprędcie skleconego namiotu na przechadzki po równinie, kiedyśmy zostali zagrożeni brakiem paliwa. Wiedliśmy na ten temat długie narady i robili różne próby, które zawsze spełzały na niczem. Piotr podał myśl, aby wnosić grubsze, połupane gałązki i wyciśnięty torf na góry, gdzie słońce świeciło, w tej nadziei, że tam może łatwiej wyschną, niż w mrocznej dolinie. Atoli i tam ciepło słonecznych promieni było za słabe. Po kilkudziesięciu godzinach torf, poprzednio z wodv wyciśnięty, nabierał znowu tyle wilgoci z powietrza, że cała praca okazywała się daremną.

Więc poświęciwszy wszystkie sprzęty drewniane, bez których tylko mogliśmy się obyć, rozpaliliśmy wielkie, ostatnie ognisko, próbując nad niem zebrany w okolicy palny materiał wysuszyć. Gdyby nam się to było udało, moglibyśmy utrzymać wieczny ogień, podsycany wciąż nowem, przez siebie wysuszonym paliwem. Ale, niestety, i ta nadzieja nas zawiodła. Spaliliśmy wszystko, co się tylko spalić dało, a otrzymaliśmy zaledwie maleńką garstkę suchych gałązek i torfu. Pokazało się, że do wysuszenia pewnej ilości materiału, trzeba go w trójnasób tyle spalić. Nasz „wieczny ogień“ zagaśł po kilkunastu godzinach. Skorzystaliśmy tylko tyle, że puściliśmy przy nim w ruch maszynę, nabijającą akumulatory wozu.

Musieliśmy się zatem obywać bez ognia. Powietrze, nasycone wielką ilością pary wodnej, zawsze równomiernie ogrzane, znakomicie przechowywało skąpe ciepło słoneczne, tak, że chłód nie dawał się nam we znaki. Bardzo nam trudno było jednak przyzwyczać się do surowej strawy. Resztki zapasów sztucznego, bardzo odpowiednio dla organów trawienia przyrządzonego białka i cukru, schowaliśmy starannie na wypadek, gdybyśmy się kiedyś w dalszej podróży znaleźli w okolicy, nie dostarczającej nam pożywienia. Nie odstępowałyśmy bowiem ani na chwilę od zamiaru posunięcia się dalej ku środkowi odwróconej od Ziemi półkuli Księżyca. Ale na razie od tej wyprawy powstrzymywały nas trzy okoliczności. Przedewszystkiem ja byłem po przebytej chorobie zbyt jeszcze osłabiony, aby znieść trudy podróży, a następnie i Marta, która spodziewała się już wkrótce przyjścia na świat Tomaszowego dziecięcia, nie mogłaby się teraz narażać. Do tego dołączała się wobec braku paliwa obawa przed długimi, mroźnymi nocami, które miały na nas spaść, jak tylko, oddalając się od bieguna, opuścimy krainę wieczystego półświatła.

Mimo wszystkie niedostatki i obawy, miesiące, spędzone na biegunie, należą do najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia na Księżycu. Namiot płócienny, z Ziemi przywieziony, ustawi-

liśmy dokładnie na samym punkcie biegunowym, tak, że wprost nad głowami mieliśmy konstelację Smoka, gdzie świeci polarna gwiazda Księżyca. Co prawda, widzieliśmy tę gwiazdę, która nam długo była drogowskazem, raz tylko u zenitu podczas zaćmienia słońca, gdyśmy się już w dalszą puścić mieli drogę. Gwiazdy bowiem, na bezpowietrznej pustyni dzień i noc widoczne, tu nie okazują się nigdy, krom gdy słońce zajdzie poza tarczę Ziemi i krótka noc ogarnie te kraje wieczystego świtu.

W namiocie spaliśmy tylko, zaś większą część czasu spędzaliśmy pod gołym niebem, rozkoszując się krajobrazem, który, mimo żeśmy się z nim oswoili, nie stracił dla nas łagodnego, a przejmującego uroku. Wszystko tam jest dziwnie harmonijne i dostrojone do ogólnego, niesłychanie spokojnego tonu: zieleność i góry różowe i blade niebo nad nimi i świeże, chłodne, balsamiczną wonią tamecznych ziół przesiąkłe powietrze. I nam w dusze wchodził spokój... Ciepła serdeczność panowała w naszym szczupłym gronie! Wszystkie urazy, namiętności i nieporozumienia, były od nas tak dalekie, jak owe straszne, przebyte pustynie, których wspomnienie wciąż jeszcze przejmowało nas dreszczem.

Czas mijał niepostrzeżenie, podczas gdyśmy godzinami całemi rozmawiali to o Ziemi, której rąbek ukazywał się jeszcze niekiedy w czasie pełni, w postaci szaro-białej chmurki nad widnokregiem, to o drogich towarzyszach, śpiących pod cichemi wśród pustyni mogiłami, to o przyszłości nieznannej, która nas czekała. Mówiliśmy o dziecku, mającym przyjść na świat, o krajach, które, zobaczymy, o wszystkim, z wyjątkiem jednej tylko rzeczy... Nigdy nie poruszaliśmy sprawy, która już raz o mało nie doprowadziła do wybuchu między mną a Piotrem, a mianowicie: do kogo z nas Marta ma w przyszłości należeć. Dziwna, ale zdaje mi się, że w owym czasie istotnie nawet nie myśleliśmy o tem. Przynajmniej ja nie myślałem. Wszak dzisiaj, po latach, gdy wszystko oddawna jest już rozstrzygnięte i dokonane, mogę się przyznać sam przed sobą... Kochałem tę kobietę,

kochałem ją nawet więcej, niżli to zdolny jestem dziś wyrazić, ale miłość to była jakaś dziwna...

Kiedym patrzył na nią, na twarz jej delikatną i zeszczu-
plałą — z której nie schodził nigdy pół-smutny, pół-marzący
uśmiech — na dłonie jej drobne i blade, ciągle robotą jakąś
zajęte, wydawała mi się tak niepodobną do tej Marty, znanej
kiedyś, pięknej, namiętnej, pewnej siebie, a czasem wzgardliwej,
i czułem równocześnie, jak mi wzbierało w piersi jakieś morze
bezbieżnej czułości dla tej, tak dobrej, a tak biednej istoty.
Miałem ochotę przesuwając zwolna, a lekko rękę po jej włosach
i mówić jej, że gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej
mocy, wyrzec się wszystkiego, czegobym mógł żądać, aby
tylko ona choć trochę była przez to szczęśliwsza, — z wdzięcz-
ności jedynie za to, że ją mogę widzieć.

Na Ziemi śmiano by się z takiej miłości; ja, gdy dzisiaj
o tem myślę, jestem tylko smutny, bo widzę, że nic dla niej
nie zdołał uczynić, choć zrobiłem największe, na jakie mnie
stać było, poświęcenie.

A wszakże, jeśli żyję, jej to jedynie mam do zawdzię-
czenia. Gdym wówczas, na przełęczu pod *Barrowem*, zapadł
w gorączkę, jej tylko starania przywróciły mi zdrowie i dzisiaj
myśl o niej utrzymuje mnie przy życiu. Myśl ta bolesna,
ale tam na biegunie była jeszcze odemnie daleka, nie prze-
czuwałem nawet jeszcze, jak się wszystko ułoży i dlatego
mówię, był to najszczęśliwszy okres mego życia na Księżycu.
Martę miałem wciąż przy sobie. Póki byłem chory, czuwała
nademną; gdym już wyzdrowiał, odbywaliśmy razeni wycieczki
po dolinie, szukając ślimaków na obiad, albo zbierając wonne
zioła, któremi ona potem stroiła wnętrze namiotu.

Kiedy siły odzyskałem już w zupełności, wspinałem się
z Piotrem na góry, aby zobaczyć słońce i ogromny, bład
krąg Ziemi na nieboskłonie, aby spojrzeć ciekawem okiem na
kraje nieznanne i tajemnicze, nigdy wzrokiem ludzkim niedosię-
żone, w które mieliśmy się zapuścić. Marta pozostawała wtedy

w namiocie; był to czas, kiedy trud mógł jej już zaszkodzić.

Podczas jednej z takich wycieczek Piotr pokazał mi z góry drogę, którądy przybyliśmy na tę dolinę i opowiadał o niesłychanych trudach, z jakimi musiał walczyć w górzystym kraju, wśród nieprzeniknionej nocy, mając mnie chorego i Martę, wciąż jeszcze obezwładnioną bólem po stracie Tomasza.

— Wszystko musiałem sam jeden robić — mówił do mnie — i były chwile, kiedy mnie już rozpacz ogarniała. Parę razy straciłem drogę w skałach, kiedyindziej znowu musiałem wóz cofać, zapuściwszy się w wąwozy bez wyjścia. Myślałem, że już nie wydostaniemy się z życiem. W tych chwilach zwątpienia otuchą napełniał mnie widok barometru, który wznosił się ciągle. Ale pewna nadzieja zaświtała we mnie dopiero, gdyśmy się dostali na równinę za *Gioją*. Astronomowie ziemscy, chrzcząc ową górę tem mianem, nie przeczuwali nawet, że będzie ono miało dla nas znaczenie dosłowne, że po trudach i cierpieniach niewypowiedzianych, tutaj zaświta nam wreszcie *radość*...

Noc się tu rozjaśniła. Byliśmy tak blisko bieguna, że rozprószone w dość gęstej atmosferze światło słońca, nie głęboko pod horyzontem schowanego, tworzyło rodzaj szarego zmierzchu, pozwalającego rozróżniać przedmioty. Tam też odważyłem się poraz pierwszy wyjść z wozu bez powietrzochronu. W pierwszej chwili doznałem zawrotu głowy; atmosfera była jeszcze rzadka i trzeba było silnie robić piersiami, aby można było oddychać. Nigdy nie zapomnę radosnego uczucia, jakie mnie przejęło, gdym zaczerpnął nareszcie księżycowego powietrza.

Potem opowiadał mi, jakie olbrzymie trudy ponosił przy przebyciu ostatniego pasma gór, dzielącego równinę pod *Gioją* od Kraju Biegunowego. Na pomoc Marty nie mógł liczyć, zwłaszcza że ja, zawieszony wciąż między życiem a śmiercią, wymagałem jej nieustannej opieki; musiał zatem sam w słabym

obrasku prowadzić wóz po bystrem zbocz, zasypałem zwietrzalymi kamieniami.

W ośmdziesiąt parę godzin po północy stanął na przełęczy. Stamtąd rozpościerał się już widok na Kraj Biegunowy.

— Zdawało mi się — mówił — że zobaczyłem ziemię obiecaną; przed wzrokiem moim, przywykłym już do widoku dzikich skał i pustyń, leżała ta ogromna, zielona równina. Radość zaparła mi oddech w piersi; w oczach uczułem łzy. Więc przez łzy patrzyłem na mroczne łąki i na słońce czerwone, widoczne z góry nad niemi, choć daleko jeszcze było do pory, o której wzejśćby powinno na tym południku.

Gdy to mówił, mimowoli obejrzelismy się obaj za słońcem. Leżało na widnokręgu w stronie świata, która dotąd była dla nas północną, a odtąd stać się miała południem. Na półkuli Księżyca, odwróconej od Ziemi, był dzień.

Wtenczas poraz pierwszy ogarnęła mną nieprzemierzona żądza poznania tych krajów tajemniczych, nad którymi właśnie słońce stało. Schodząc z góry już tylko o tem myślałem, a po powrocie do namiotu, zacząłem układać plany dalszej podróży.

Piotr również był zdania, iż należy się zapuścić na południe, ku środkowi nieznaney półkuli.

— Tu nam jest dobrze — mówił — i moglibyśmy ostatecznie spędzić tu już całe życie; ale żyć moglibyśmy jeszcze spokojniej na Ziemi. Przybyliśmy na Księżyc, aby zbadać jego tajemnice, należy to zatem zrobić.

Tak więc nowa wyprawa została w zasadzie postanowiona; wstrzymał nas na razie tylko wzgląd na Martę. Czekając więc chwili, kiedy będzie sposobna do dalszej drogi, robiliśmy przygotowania i gromadzili zapasy.

Przedewszystkiem przerobiliśmy wóz. Nie było celu brać ze sobą tak ciężkiej maszyny. Mieliśmy początkowo zamiar odjąć jego górną połowę, przez co byłby się stał podobny do głębokiej łodzi na kołach, ale powstrzymała nas od tego myśl, że możemy się znaleźć w okolicach mroźnych nocy, gdzie wóz,

szczelnie zamknięty i opalony, będzie dla nas stanowił nieocenione schronienie. Odjaliśmy zatem tylko całą tylną część, dającą się odśrubować, gdzie poprzednio mieściły się nasze magazyny. Do zamykania powstałego przez to otworu mieliśmy płytę aluminiową, stanowiącą przedtem zamknięcie magazynów od zewnątrz. Oprócz tego usunęliśmy wszystkie części metalowe, służące do wzmocnienia ścian, a teraz niepotrzebne. Motor, zabrany niegdyś nieszczęśliwym Remognerom, naprawiliśmy, o ile się dało, i umieścili w wozie na wypadek, gdyby się nasz zepsuł.

Te wszystkie przygotowania, oraz sporządzenie zapasu żywności i wody, którą trzeba było mozolnie z mchów wyciskać, zabrały nam więcej, niż trzy miesiące czasu. Wreszcie wszystko było gotowe.

Piąty już raz stała Ziemia w pełni od czasu naszego przybycia na biegunową równinę, kiedy powracając z dalszej, samotnej wycieczki, usłyszałem w namiocie kwilenie dziecka. Żaden głos w życiu nie przejął mnie tak do głębi duszy, jak ten słaby płacz istoty, która przychodziła powiększyć nasze grono i rozweselić naszą samotność. Usłyszawszy go, rzuciłem naręcze uzbieranych jadalnych mchów i pędem już wpadłem do namiotu. Na posłaniu leżała Marta, blada i wysilona, ale promieniejąca radością. Zdawała się nawet nie spostrzegać mego przybycia. Całą jej uwagę pochłaniała maleńka istotka, owinięta w białe chusty i krzycząca w niebogłoso, którą namiętym jakimś ruchem przytulała do wezbranej piersi.

— Mój Tom, mój Tom, mój śliczny, ukochany synek! — szeptała słabym głosem i śmiała się przez łyzy. Przy posłaniu kręciły się oba psy i wyciągając ciekawe mordy, obwąchiwały to nieznanne im, krzykliwe stworzonko.

Obejrzałem się za Piotrem i zadziwiła mnie jego postawa. Siedział w kącie namiotu, zadumany i ponury. Ale na razie nie zastanawiałem się nad tem dłużej. Podbiegłem do Marty, chcąc jej powiedzieć, że cieszę się jej dziecięciem, że ją bło-

goślawię za ten dar życia, ale nie mogłem głosu wydobyc.

Chwyciłem tylko jej drobną, wychudłą rękę i wybąknąłem coś niezrozumiałego. Spojrzała na mnie, jakby mnie dopiero teraz spostrzegła. Doznałem przykrego ukłócia w sercu, bo wzrok jej mówił mi, że jestem jej tak obojętny, jak tylko człowiek może być obojętnym dla drugiego człowieka. Nagły smutek mnie ogarnął, a ona zauważyła to widocznie bo uśmiechnęła się do mnie, jakgdyby chcąc naprawić mimowoli wyrażoną mi przykrość i rzekła, wskazując na dziecię:

Patrz, Tomasz powrócił, mój, mój Tomasz...

Zrozumiałem wtenczas, że żaden z nas nie zajmie nigdy miejsca w sercu tej kobiety, bo oddane będzie zawsze temu dziecięciu, w którym ona kocha nietylko własną krew i własne ciało, ale także duszę zmarłego kochanka.

W milczeniu zabrałem się do przygotowania pożywienia i napoju dla Marty. Piotr wyszedł za mną z namiotu.

— Cóż ty myślisz o tem wszystkim? — zagadnął mnie, gdyśmy byli na dworze.

Nie wiedziałem na razie, co odpowiedzieć.

— A cóż, syn Tomasza przyszedł na świat... — wybąknąłem po chwili.

Tak, syn Tomasza — powtórzył Piotr i zadumał się.

Nie chciałem go więcej o nic dopytywać, wiedziałem, o czem myślał.

Jakgdyby z obawy przed poruszeniem drażliwego tematu, mówiliśmy odtąd ze sobą prawie wyłącznie o wkrótce mającej się rozpocząć podróży. Marta szybko nabierała sił, zdrowie małego Toma zgoła nie budziło obaw, postanowiliśmy więc przed nadejściem najbliższej pierwszej kwadry Ziemi puścić się w drogę. Była to najodpowiedniejsza pora, gdyż na środkowym południku odwrotnej półkuli Księżycowej, wzdłuż którego mieliśmy się posuwać ku równikowi, właśnie z pierwszą kwadrą dzień się rozpoczyna. Wyruszywszy więc o tym czasie, mielibyśmy dwa

ziemskie tygodnie światła przed sobą i w razie niezalezienia pomyślnych warunków do życia, moglibyśmy przed zapadnięciem nocy powrócić do Kraju Biegunowego.

Tymczasem w dwa tygodnie po narodzeniu Toma wypadł nów, a podczas niego zaćmienie słońca, drugie już, jakieśmy mieli na Księżycu oglądać. Pierwszego, tam nad pustynią, przytłoczeni obawą wiszącej nad nami śmierci, nie badaliśmy wcale; teraz za to chcieliśmy lepiej skorzystać ze sposobności. Wziąwszy tedy ze sobą narzędzia astronomiczne, upakowane w małym wózku, który ciągnęły psy, wyszliśmy na wzgórze, najbliżej bieguna położone, skąd było widać Ziemię i słońce.

Widowisko było wspaniałe, ale badania nie świetnie się powiodły. Niski stan Ziemi na widnokręgu, przy atmosferze parą wodną przesyconej, nie dopuszczał ścisłych pomiarów i przeszkadzał obserwacjom tak, że w kilka minut po zejściu słońca na tarczę Ziemi rzuciliśmy narzędzia astronomiczne, aby gołem okiem podziwiać tylko czarodziejską grę światła na nieboskłonie. Ziemia widniała przed nami na tle krwawo-złotej zorzy w postaci ogromnego, czarnego półkręgu. Szeroko naokół niej zażegniete niebo, pociemniało dalej i zasiało się gwiazdami. Wyglądało to, jakby stała na nocnym firmamencie luna jakiegoś wielkiego pożaru, albo jakby to migotliwe światło polarne, które się żarzy na Ziemi w pobliżu biegunów, nagle tu przeniesione, skostniało i zastygło przed nami w niesłychanem jakimś wzmożeniu.

Do tego czasu mam niezatarte wspomnienie tego widoku na oczach. Zdawało mi się wówczas, że mi się pokazał w ogniu zczerniały trup Ziemi. Było w tem coś strasznego i dziwnie przejmującego. Dzisiaj jeszcze, gdy myślę o Ziemi, staje mi przed oczyma w takiej okropnej, czarnej postaci, jak ją widziałem wtenczas, i muszę wysilać całą moc wyobraźni, aby ją sobie przedstawić jako srebrną, świecącą tarczę.

Nie mogłem znieść długo tego nad wyraz wspaniałego, ~~ale~~ jakiegoś bolesnego widoku i zwróciłem wzrok na gwiazdy,

od paru miesięcy niewidziane. Błyszczały wszystkie nad moją głową, wyiskrzzone, jak czasem u nas na Ziemi, w zimowe noce. Patrzyłem na nie z lubością, jak na dawnych, dobrych znajomych, wyszukiwałem znane od dzieciennych lat konstelacje i pytałem się ich w myśli, co tam słychać na tym rodzinnym moim globie, łączącym teraz przedemną, jak żużel na płomiennej łunie.

Naraz spostrzegłem, że gwiazdy ćmią mi się w oczach. Przetarłem powieki, sądząc, że łzy, dawnem wywołane wspomnieniem, wzrok mi zasłoniły, ale to nie pomogło: gwiazdy coraz słabiej były widoczne. I Piotr to zauważył. Byliśmy zaniepokojeni, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego zjawiska. Tymczasem gwiazdy przygasały ciągle, a nawet zorza w stronie, gdzie słońce zaszło na Ziemię, stawała się coraz mniej wyraźną i jakby zamazaną. W kilkanaście minut ogarnęła nas noc absolutna, bezgwiezdna; tylko w południowej stronie nieba znać było jeszcze lekki obrzask czerwonawy. Równocześnie uczuliśmy silny ciąg wiatru, rzecz w tej okolicy dla nas nową. Przejęci zdumieniem i trwogą, nie śmieliśmy się ruszyć z miejsca.

Nareszcie zaćmienie się skończyło i słońce wyjrzało z za kręgu Ziemi. Domyśleliśmy się tego raczej po powracającym dniu, gdyż mimo jasność, ani słońca, ani okolicy nie mogliśmy dojrzeć. Wszystko tonęło w gęstym, mleczno-białym tumanie mgły...

Teraz dopiero zrozumieliśmy wszystko. W Kraju Biegunowym nie tworzą się chmury i deszcz nie pada tylko dlatego, że powietrze wciąż jest równomiernie ogrzane, brak więc pobudki, aby się z niego para wodna wydzielala.

Tak bywa w zwykłych warunkach; podczas zaćmienia jednakże nastąpiło nagłe oziębienie, wskutek czego powstał wiatr, a para wodna w chłodniejszym powietrzu w mgłę się skroplila.

To naturalne wyjaśnienie nieoczekiwanego zjawiska uspokoiło nas znacznie, ale położenie nasze było tymczasem bardzo przykre. Dotkliwy chłód nas przejmował, a w tej ćmie nie-

podobna było odnaleźć drogi na dolinę, gdzie stał namiot. Nadto trapiła mnie myśl o Marcie. Nie było jednak rady; trzeba było się i czekać, aż się rozjaśni.

Jakoż istotnie wkrótce mgła się zaczęła podnosić. W niespełna pół godziny odkrył się widok na dolinę; już tylko szczyty wyższych gór tonęły w chmurze, gęstniejącej z każdą chwilą. Było widoczne, że spadnie deszcz; nie tracąc więc czasu, zaczęliśmy się spuszczać z pagórka. Nimeśmy jednak zeszli z niego do połowy, błysło nad nami, a — prawie równocześnie z głuchem echem grzmotu, lunął na nas istny potop. W parę sekund byliśmy przemoczeni do nitki. Przez strugi lejącej się z niebios wody nic nie można było widzieć; błyskawice i grzmoty nie ustawały ani na chwilę.

Trwało to ze dwie godziny, przez które, przeziębli i zmokli, tuliliśmy się wraz z psami pod jakimś wystającym cyplem skalnym, który nam zresztą słąbą tylko był ochroną. Gdy tylko deszcz ustał, powstałymi natychmiast, aby się puścić w dalszą drogę z powrotem, ale zaledwie wyjrzelśmy z za owego cypla, stanęliśmy, przerażeni widokiem, jaki się przed nami roztaczał.

Na miejscu zielonej kotliny leżało u naszych stóp szeroko rozlane jezioro.

Pierwszą myślą moją było: co się dzieje z Martą i dzieckiem? Miejsce, gdzie stał namiot, musiało być teraz zatopione. Puściłem się pędem ku jezioru, nie zważając na krzyki Piotra, który mnie chciał zatrzymać. Dopadłszy do wody, poszedłem dalej wbród. Zrazu nie było głęboko, ale wkrótce miałem już wodę po pas. Zawahałem się chwilę, niepewny, czy brnąć dalej, czy się wrócić, a tymczasem Piotr, skoczywszy za mną do wody, chwycił mnie za rękę i zmusił do powrotu na brzeg.

Położenie moje było okropne. Straszliwy niepokój o los Marty aż potem kroplistym pokrył mi czoło, a musiałem przyznać słusność Piotrowi, że brodząc przez zalew, narażam tylko życie, a jej w niczem pomóc nie mogę.

— Jeśli Marta zawczasu powódź spostrzegła — mówił

— i schroniła się na pagórek, pomoc nasza jest jej na razie niepotrzebna; dość będzie czasu odszukać ją, gdy woda opadnie. A jeśli nie zdążyła uciec, także nic jej już nie pomożemy.

Mówił to spokojnie, nawet z jakimś okrucieństwem, które mnie dreszczem przejmowało. Popatrzyłem mu w oczy i zdawało mi się, że w nich wyczytałem okropną, zawistną myśl: „Raczej niech zginie, niżby kiedykolwiek miała być twoją“ ...

— Pójdę im na pomoc, mimo wszystko! — zawołałem.

— Idź — odpowiedział i usiadł spokojnie na brzegu.

Chciałem iść rzeczywiście, ale łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. A zresztą — dokąd miałem iść? — na środek tego jeziora? szukać ich pod wodą?

Usiadłem na brzegu obok Piotra, zły i zrozpaczony, i począłem uporczywie wpatrywać się w wodę. Po powierzchni jej pływały tu i ówdzie oderwane gałązki mchów, zresztą równa była i gładka; żaden powiew wiatru jej nie marszczył. Myślałem był właśnie, jak w tak krótkim czasie tyle wody mogło się zlać z atmosfery i ile godzin upłynie, nim to morze zdąży wyschnąć i my będziemy mogli odnaleźć trupy naszej towarzyszki i dziecięcia (jużem był bowiem nie wątpił, że poginęli), gdy naraz spostrzegłem, że gałązki mchów płyną wszystkie dość szybko w jedną stronę. Widocznie niósł je prąd, co było znakiem, że woda znalazła sobie gdzieś ujście z kotliny. To spostrzeżenie ucieszyło mnie niezmiernie, gdyż pozwalało się spodziewać, że na opadnięcie wody nie przyjdzie nam czekać zbyt długo. Aby się więc upewnić, czy się nie mylę w przypuszczeniu, puściłem się brzegiem w tę stronę, w którą woda zdawała się płynąć.

Uszedłszy parę kilometrów, natrafiłem na rodzaj zatoki, którą przebyłem wbród. Za nią byłem już pewny istnienia odpływu: na powierzchni znać było wynioślejsze miejsca, wytłaniające się z toni na kształt płaskich, zielonych wysepek.

Wszystko to razem stanowiło widok niesłychanie piękny i ciekawy, zwłaszcza, że w gładkiej szybie wody, wśród zielonych wysp, odbijały się czoła nadbrzeżnych, łysych gór, już

znowu słońcem różowo oświetlonych. Wówczas jednak niewiele zważałem na krajobraz, zajęty jedną tylko myślą: o Marcie. Bodaj czy nie poraz pierwszy wtedy uczułem jasno, jak mi ta kobieta jest droga i jakim straszliwym ciosem byłaby jej śmierć dla mnie... Z tą potworną myślą nie mogłem się pogodzić. Nie umiałem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się uratować, a mimo to czułem gdzieś w głębi duszy resztkę jakiejś rozpaczliwej nadziei, że ona żyje, i biegłem coraz szybciej naprzód, jakby od tego, czy dotrę w krótkim czasie do miejsca odpływu nagromadzonej wody, mogło zależeć jej ocalenie!

Ale byłem zbyt wzburzony, aby móc myśleć logicznie — miałem tylko jasną świadomość tego, że życie moje bez tej niemojej kobiety i tego niemojego dziecka nic nie jest warte i że gotów jestem nie zażądać jej nigdy dla siebie, gdybym ją przez to mógł ocalić... Kto wie, czy los nie podsłuchuje czasem cichych ślubów człowieka...

Upłynęło już dwanaście godzin od chwili rozstania się z Piotrem, kiedy powstrzymała mnie w pochodzie szumiąca rzeka, utworzona z wody, odpływającej szerokim wąwozem, który dotąd, przez nas niedostrzeżony, stanowił bramę biegunowej kotliny ku nieznanej stronie kuli Księżyca. Znużony i zgłodniały, usiadłem nad brzegiem, nie wiedząc, co począć.

Bezczelowość mojej gonitwy teraz dopiero okazała mi się w całej pełni. Zniechęcony do najwyższego stopnia, rozciągnąłem się bez myśli i woli na mchu, ociekającym jeszcze świeżo opadłą wodą i patrzyłem w niebo, znowu tak samo spokojnie i blade, jak przed owym złowrogiem zaćmieniem słońca.

Wtem zdało mi się, że mnie ktoś woła po imieniu. Zerwałem się na równe nogi, nad słuchując pilnie. Po chwili znowu głos mnie doleciał, tym razem już wyraźniej. Jakoż rozglądając się bacznie, dostrzegłem po drugiej stronie w rzekę zamienionego wąwozu — Martę z dzieckiem na ręku, dającą mi zdala znaki. Ogarnął mnie istny szal radości. Nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuciłem się wbród i wkrótce stałem tuż przy

niej. Radość głos mi zatamowała, począłem więc tylko okrywać pocałunkami jej ręce, których mi ona, sama mocno wzruszona, nie broniła.

— Mój przyjacielu, mój dobry, drogi przyjacielu — powtarzała jeno zbladłemi jeszcze, a już uśmiechającemi się wargami.

Gdyśmy się obojè nieco uspokoili, zaczęła mi opowiadać, jak podczas katastrofy, spostrzegłszy powódź, podmywającą namiot, zdążyła się jeszcze z dzieckiem i najcenniejszymi dla nas sprzętami schronić do wozu, który stał nieopodal. To ją ocalało. Wóz, szczelnie zamknięty, po usunięciu wielu części, przedtem go obciążających, dość był lekki, aby się utrzymać na powierzchni wzrastającej wciąż wody, podsycanej strugami okropnej ulewy i w kaskadach walącymi się z gór potokami. W grzmocie piorunów i przy migotaniu nieustannych błyskawic, unosił się wóz na falach, jak ongi arka Noego, tem podobniejszy do niej, że tak samo uratował ród ludzki na tym globie od zatraty.

Położenie Marty nie było bynajmniej godne zazdrości. Pozbawiona możności sterowania swym zaimprovizowanym statkiem, była zdana na wolę fali i wichrów, które miały nim jak łupinę. Do przestachu, wywołanego nagłą katastrofą, dołączał się jeszcze niepokój o nasz los i absolutna nieświadomość, jak się to wszystko skończy. Po ustaniu ulewy, gdy woda przestała wreszcie wzrastać, zauważyła Marta, że wóz płynie w pewnym oznaczonym kierunku. Domyśliła się, że go unosi prąd odpływającej gdzieś wody, ale to wzmogło tylko jej obawy. Wóz mógł z odpływem wpaść w jaką szczelinę, albo w najlepszym wypadku zostać zapędzonym w odległą okolicę, gdzieby nam potem trudno go było znaleźć.

Odetchnęła dopiero nieco, gdy po kilkunastu godzinach spostrzegła, że z opadającego zalewu wyłaniają się łysiny pagórków. Wszystkie jej usiłowania jednakże, aby statek ku jednej z takich łysin skierować, spełzały na niczem. Słyszała już szum wody, uchodzącej owym wąwozem, nad którym ją spotkałem,

i była przygotowana, że wóz z nią gdzieś w nieznany kraj popłynie, gdy szczęśliwym trafem zatrzymał się u przylądka, utworzonego z wystającej skały nad gardzielą parowu. Przytomna kobieta skorzystała z chwili i zarzuciła linę przez otwarte okno na sterczący głaz, zabezpieczając się w ten sposób przed prądem, mogącym wóz każdej chwili unieść na nowo. W czasie, gdy ja przyszedłem, niebezpieczeństwo już minęło, gdyż woda opadła do tego stopnia, że wóz osiadł na suchym miejscu.

W kilkanaście godzin później pozostały już tylko w kotlinie niewielkie kałuże, wyglądające jak szklane szyby wśród zielonych porostów.

Na Piotra czekaliśmy jeszcze spory kęs czasu. Doprowadziły go do nas psy, biegnące za moim śladem. Przyszedłszy, zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem i nie mówiąc ani słowa, zabrał się do przeglądu ocalonych w wozie zapasów i narzędzi. Dziwny to człowiek! — żyję tu już z nim ziemskich lat jedenaście, a przecież zdarzają się ciągle okoliczności, w których nie umiem sobie zdać sprawy z jego charakteru, będącego szczególną mieszaniną odwagi, poświęcenia i stanowczości — z namiętnością, oraz skłonnością do samolubstwa, zawiści, skrytości i zniechęcenia. Wiem o nim to jedno tylko, że jest zgoła nieobliczalny.

Katastrofa wyrządziła nam dość znaczne szkody. Straciśmy w powodzi wiele potrzebnych przedmiotów bezpowrotnie; wielu innych musieliśmy z mozołem szukać po rozległej kotlinie. Namiotu, uniesionego przez wodę, na razie nie mogliśmy odnaleźć. Całe szczęście, że wobec robionych oddawna przygotowań do dalszej podróży, większa część naszego dobytku w czasie ulewy znajdowała się już była we wozie. Odnieśliśmy jednak z tej powodzi także ważną korzyść; mianowicie odpływająca woda wskazała nam drogę, którą się mamy puścić na południe.

Rozumowanie nasze było bardzo proste: jeżeli woda tak prędko odpłynęła, widocznie wąwóz musi prowadzić ku miejscom niżej położonym, gdzie wedle wszelkiego prawdopodo-

bieństwa znajdziemy jakiś znaczniejszy zbiornik wody, wielkie jezioro lub morze, a co za tem idzie, i wybrzeża skrapiane deszczem, a więc zapewne niepozobawione życia.

Nim nadeszła pora odjazdu, byliśmy już oddawna ze wszystkim gotowi. Wóz stał opatrzony u samego ujścia wąwozu, otwierającego się przed nami jak brama do nowego świata; należało tylko motor elektryczny puścić w ruch z pomocą akumulatorów, nabitych jeszcze w czasie, kiedyśmy mieli ogień. Nawet duży kawał drogi zbadaliśmy naprzód, zapuszczając się w wąwóz piechotą. Nie był to bity gościniec, zwłaszcza, że ostatnie wody miejscami głęboko grunt poryły, ale w każdym razie można się było tędy puścić, nie narażając się na nadzwyczajne trudności. Czekaliśmy więc już tylko sposobnej pory, aby wyruszyć w ślad za temi wodami, co spływały ku południu, w nieznany kraj przedziwnych cudów przyrody, którego długich nocy nie rozświetla nigdy srebrny krąg Ziemi, błyszczący nad pustyniami.

II.

Czterdzieści godzin przed nastaniem pierwszej kwadry Ziemi wyruszyliśmy w drogę. Na nieznaną półkuli Księżyca, dokąd zdążaliśmy, była jeszcze noc, ale niebawem miało już słońce oświecić te kraje.

Nie bez przykrego uczucia żalu, a nawet i niepokoju, opuszczaliśmy krainę biegunową. Zналиśmy ją już i wiedzieli, co nam dać może, podczas gdy wszystko, co nas czekało, było tajemnicą i przypuszczeniem. Mieliśmy się znowu narazić na palące słońce długich dni i mrozy nocy, zdających się nie kończyć nigdy, — mieliśmy przebywać znowu wąwozy, góry, a może i pustynie w podróży do kraju, o którym nie wiedzieliśmy zgoła, czy nas przygarnie i wyżywi. Nadto brak paliwa niepokoił nas mocno. Co się stanie, myśleliśmy, jeśli się nabój naszych akumulatorów skończy nadspodziewanie prędko, prędzej, niż znajdziemy materiał do rozpalenia ognia i puszczenia w ruch maszyny, aby je nabić na nowo! Czy zdążymy wtedy powrócić piechotą przed nocą do Kraju Biegunowego, aby się zabezpieczyć przed nadchodzącym zimmem, tem groźniejszym dla nas, że nie będziemy mieli ognia? Była chwila, wkrótce po wyruszeniu w drogę, kiedy chcieliśmy już wobec tych obaw zawrócić na mchami porośłą łąkę biegunową, aby przepędzić na niej całe życie, grzejąc się przy słabym ciepłe rozprószonych w atmosferze skośnych promieni słońca i żywiąc się, jak ziemskie zwierzęta, surowymi ślimakami i porostem. Ale wahanie trwało niedługo; ciekawość i nadzieja przemogły.

Zapas żywności mógł nam wystarczyć na dość długi czas; wzięliśmy też ze sobą trochę wyciśniętego z wody torfu, spodziewając się, że w słonecznych okolicach uda się go nam o tyle wysuszyć, aby móc ogień rozpalić. Zresztą postanowiliśmy w razie najgorszym, po wyczerpaniu naboju połowy akumulatorów, zawrócić do Kraju Biegunowego.

W pierwszych kilkudziesięciu godzinach drogi nie zdarzyło nam się nic godnego uwagi. Wąwóz się skończył i wydostaliśmy się na równinę, podobną do biegunowej, tylko znacznie obszerniejszą. Znać na niej było również niedawną powódź; w promieniach wschodzącego właśnie słońca błyszcząły jeszcze tu i owdzie rozległe, płytkie kałuże. Tutaj zastała nas już odmienna flora, choć od bieguna byliśmy zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów oddaleni. Wśród znanych nam już porostów, ale znacznie nikszych, niż na biegunie i rdzawą barwą zachodzących, sterczały z ziemi jakieś suche badyły, zrzadka rozsiane, a tak spiralnie zwinięte, jak u nas młode listki paproci. Chłód dawał się czuć silnie po nocy, którą te okolice już mają, choć z powodu, że słońce kryje się zaledwie parę stopni pod horyzont, podobna być musi raczej do zmiernych. Rozgrzewaliśmy się, zabijając ręce, jak czynią na Ziemi dorożkarze, kiedy Marcie przyszło na myśl, aby nałamać owych badyli i spróbować rozniecić z nich ognisko.

Wzięliśmy się zaraz do roboty; jakież było jednakże moje zdziwienie, kiedy pierwszy badył, ujęty ręką, począł się rozwijać, to znów kurczyć, zupełnie jak żywa istota. Puściłem go z mimowolnym okrzykiem trwogi. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zacząłem badać te szczególne rośliny. Uciałem jedną z nich nożem i przekonałem się, że są to wielkie, podługne i mięsiste liście, zwinięte podwójnie, naprzód w trąbkę, a potem w ślimak, podobnie, jak rulony angielskiego tytoniu, o brunatnej, z drobnych, zdrzewiałych łusk utworzonej zewnętrznej powłoce. Na stronie wewnętrznej, jasno-zielonej, rozsiane były liczne różowe żyłki. Cała roślina, póki żywa,

obdarzona była zdolnością ruchu, podobnie jak nasze mimozy. Najwięcej zaciekało mnie jednak to, że wszystkie te zwinięte liście były znacznie cieplejsze od otoczenia; widocznie organizm ich przez jakieś procesy chemobijologiczne sam sobie w wielkiej ilości wytwarza ciepło, którego mu brak podczas długich nocy.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ostatecznie nadzieja rozpalenia ognia spełzła znowu na niczem. Zwracaliśmy więc z utęsknieniem oczy ku czerwonemu słońcu, czekając, rychło skąpe jego promienie ogrzeją okolicę.

Do chłodu dołączył się i inny kłopot; nie wiedzieliśmy mianowicie, jaką obrać drogę. Mieliśmy jechać w stronę, w którą wody spływały, ale trudno to było rozeznaczyć na równinie, całkiem podczas powodzi zalanej. Gdyśmy się jeszcze namyślali, rozglądając się po okolicy, Piotr zauważył w odległości paruset metrów jakiś duży, biały przedmiot. Ruszyliśmy zaciekawieni w tę stronę i znaleźliśmy nasz namiot, który, uniesiony przez powódź, zatrzymał się dopiero tutaj na niewielkim pagórku. Ucieszyliśmy się z odzyskania zguby podwójnie, raz, że namiot, jedyny, jakiśmy posiadali, był nam istotnie potrzebny, powtóre zaś, że mogliśmy teraz wywnioskować, w jakim kierunku wody spływały. Namiot dostał się na tę równinę przez wąwóz, któryśmy właśnie przebyli; a zatem linja, pociągnięta od ujścia wąwozu do miejsca, gdzieśmy się znaleźli, wytyczała mniej więcej kierunek prądu odpływającej wody. Linja ta biegła przez płaszczynę ku południu z małym zboczeniem na zachód.

Posuwając się w tę stronę, natrafiliśmy na wąski, kręty wąwóz górski, a następnie po przebyciu jeszcze jednej, niewielkiej kotlinki, dostaliśmy się na szeroką, zieloną dolinę, ciągnącą się wprost ku południu.

Po obu jej stronach wznosiły się wysokie pasma gór z licznymi, tkwiącymi w ich trzonie kraterami, podobnymi do tych, które zasiewają bezpowietrzną półkulę Księżyca. Szczyty gór pokryte były śniegiem; śnieg, spadły widocznie w nocy,

leżał także jeszcze miejscami w dolinie, tając dopiero w promieniach niewiele nad horyzont wzniesionego słońca. Ściekające zeń wody tworzyły spory potoczek, płynący bystro w licznych zakrętach.

W tej dolinie postanowiliśmy zatrzymać się pewien czas, przekonaliśmy się bowiem, że dalsza droga na południe o tak wczesnej porze dnia narażałaby nas na dotkliwe zimno w okolicach, gdzie jest coraz większa różnica między średnią ciepłotą dnia a nocy.

Gdyśmy wyruszyli znowu, słońce ubiegło już blisko trzecią część swojej dziennej drogi. Było ciepło i jasno. Śniegi w dolinie zniknęły całkowicie, a owe zwinięte badyle, przeważające już tutaj nad nikłymi porostami, zaczęły pod wpływem słonecznego ciepła rozwijać się szybko w ogromne, różnymi odcieniami zieloności malowane liście. Kształt ich był nader rozmaity; jedne podobne były do olbrzymich wachlarzy, obwieszonych delikatną, ruchliwą frendzlą, inne znowu, nakrapiane różnymi barwami — wśród których przeważała czerwona i ciemno-błękitna — przypominały jakieś bajeczne pawie pióra. Były tam i takie, co miały brzegi wycięte w formę akantusowego liścia i najeżone kolcami, i takie, co zwinięte do dołu, tworzyły lejki, i jeszcze inne, gładkie i lśniące, albo pokryte długim, żółto-zielonym włosem, spadającym po obu stronach aż do ziemi — słowem, największa różnorodność barw i kształtów, a wszystko żyjące, ruchliwe, wijące się za najłżejszym dotknięciem.

Nad brzegiem strumyka, w pół zanurzone w jego kryształowej fali, ciągnęły się znowu długie wodorosty, jak rdzawo-zielone węże i liny, obwieszone, niby kwiatami, kręgami śnieżnej białości o silnym, upajającym zapachu. Gdzieindziej znowu, gdzie woda rozlewała się szerzej i prąd ustawał, rozwijała się delikatna rzęsa z kul, w których postaci przetrwała mróz nocy, pokrywając nurt leciuchną i drżącą siatką, podobną do najprzedniejszych koronek z fioletowego i zielonego jedwabiu.

Byliśmy oczarowani tym zdumiewającym przepychem roślinności; za każdym krokiem spostrzegaliśmy coś nowego i godnego uwagi. Z zarośli poczęły wychodzić na słońce przedziwne stworzenia, podobne do długich jaszczurek o jednym oku i kilku parach nóg. Przyglądały nam się ciekawie i pierzchały szybko za zbliżaniem się wozu. Psy puściły się za jednym z tych zwierząt i złowiły je. Odebraliśmy im tę zdobycz, ale zwierzę było już nieżywe; mogliśmy więc tylko na zwłokach podziwiać niezmiernie ciekawą jego budowę, zasadniczo odmienną od organicznych ustrojów na Ziemi. Kościec ograniczał się do podłużnego pierścienia, złożonego z ruchomych kręgów, umieszczonych po obu bokach tuż pod skórą. Całą czaszkę tworzyły tylko silne szczęki; mózg mieścił się pod grzbietem, wewnątrz pierścienia. To, co uważaliśmy za nogi, było dwoma szeregami sprężystych, bezkostnych macek, zapomocą których zwierzę czołgało się po ziemi z nadzwyczajną szybkością.

Znacznie później znaleźliśmy na Księżycu jeszcze wiele innych zadziwiających stworzeń, ale żadne nie zaciekało nas tak, jak to pierwsze, nader typowe dla tutejszej fauny.

Wogóle cała podróż nasza przez ową dolinę była jakby snem czarodziejskim, pełnym niespodziewanych, a fantastycznych obrazów. Godziny mijały za godzinami, a widoki przed naszymi oczyma zmieniały się ciągle. Miejscami dolina zwężała się, tworząc skaliste przesmyki, przez które przedzieraliśmy się z trudem tuż nad brzegiem potoka, urosłego już w sporą, szumiącą rzeczkę, to znowu wjeżdżaliśmy na rozległe, koliste równiny, gdzie woda rozlewała się w szerokie jeziora o brzegach zarosłych albo piaszczystych. Zwierząt spotykaliśmy coraz więcej. Głębie wód roily się od szczególnych potworków; w powietrzu unosiły się jakieś latające jaszczurki, podobne zdaleka do ptaków o grubej szyi i długim ogonie. Ale co szczególna — wszystkie zwierzęta na Księżycu są nieme. Brak tutaj tych niezliczonych głosów życia, które

brzmia wśród ziemskich łąk i lasów; jedynie gdy wiatr powieje, szeleszczą ogromne liście tutejszych roślin — przerywając wraz ze szmerem strumienia wieczystą głośność.

Bujna vegetacja ogromnie utrudniała nam posuwanie się naprzód. Co chwila trzeba było stawać i odwijać oplątane koło osi badyle, tamujące ruch kół; czasem znowu przebijaliśmy się przez zarośla tak gęste, że wóz w nich prawie ustawał. Nie radzi byliśmy tym opóźnieniom, zwłaszcza, że podróż i tak odbywała się bardzo powoli, gdyż musieliśmy się często zatrzymywać już to dla snu i posiłku, już to dla zbadania okolicy lub poszukiwań żywności i paliwa. Pożywienia znajdowaliśmy poddostatkiem. Nieocenioną usługę oddawały nam w tym względzie psy przez swój instynkt zwierzęcy; krążąc wciąż po zaroślach, wynajdywały jadalne, mięsiste rośliny lub smaczne miękkczaki. Znacznie gorzej było jednak z paliwem. Torf, zabrany z Kraju Biegunowego, wysechł wprawdzie i palił się wcale dobrze, ale musieliśmy go oszczędzać, bo zapas był niewielki, a w całej okolicy nie mogliśmy nic znaleźć, czemby się po jego wyczerpaniu ogień dało podsyć. Drzew takich, jak na Ziemi, niema tutaj wcale, zaś owe szerokie liście są tak soczyste, że gotują się raczej na ogniu, niż płonąć. Ten brak niepokoił nas bardzo, zwłaszcza że torfowiska, pokrywające niemal całą przestrzeń Kraju Biegunowego, pozostawiliśmy już daleko za sobą.

Tymczasem nadchodziło południe księżycowe i trzeba się było ostatecznie zdecydować, czy mamy jechać dalej, czy też, w braku ognia, wracać przed nocą do Kraju Biegunowego? Początkowo mieliśmy zamiar pójść za tą drugą myślą; Marta zwłaszcza, bojąc się nocnego mrozu ze względu na Toma, namawiała nas do powrotu. Ja skłaniałem się również ku temu, ale Piotr oparł się stanowczo.

— Wracać teraz — mówił — znaczy skazać się na dogonne pozostanie w biegunowej krainie. Zważcie, że obecnie mamy jeszcze akumulatory nabite, nabój ten wystarczy, aby

przebyć jeszcze raz tę drogę z powrotem, ale co dalej? Jeśli-
byśmy kiedyś chcieli znów wyruszyć w inne okolice Księżyca,
jak nabijemy wyczerpane akumulatory wobec niemożliwości
rozpalenia tam ognia?

— Ale podróż ku południu również do niczego nie pro-
wadzi — zauważyłem — a narażamy się na mróz nocny, któ-
rego bez ognia nie będziemy mogli przetrzymać...

— Przed nocą możemy znaleźć jeszcze opał...

— Możemy go również nie znaleźć.

— Tak, ale to jest tylko przypuszczenie, podczas gdy
wiemy z pewnością, że na biegunie go nie znajdziemy nigdy.
Zresztą mamy jeszcze trochę torfu. Przy tym zapasie w osta-
teczności zdołamy jakoś noc przetrzymać, a następnym dzień
poświęcimy cały na poszukiwania.

Nie mogliśmy Piotrowi odmówić słuszności, więc też
ruszyliśmy dalej w stronę równika.

W kilkanaście godzin po południu niebo zaciągnęło się
chmurami i spadł obfity deszcz. Był on dla nas bardzo po-
żądany gościem, gdyż odświeżył upalne i duszne powietrze.
Zaledwie strugi wody spłynęły i słońce z za obłoków wy-
rzało, uderzył nas niezwykle silny szum.

Sądziliśmy początkowo, że to potok wezbrany tak szumi,
ale wkrótce przekonaliśmy się, co było właściwą przyczyną
tego zjawiska. Byliśmy właśnie w miejscu, gdzie dolina, zała-
mując się ku zachodowi, tworzyła kolano, tak, że dalsza jej
część usuwała się z przed wzroku. Gdyśmy się jednak zna-
leźli na zakręcie, otworzył się nam rozległy i wspaniały widok.

Paręset metrów przed nami dolina urywała się nagle,
spadając szerokimi upłazami ku nieprzejranej równinie, cią-
gnącej się aż po krańce widnokręgu. Potok staczał się w spie-
nionych kaskadach po tych terasach, tworząc na nich szereg
coraz niżej położonych stawów, aż wreszcie, osiągnąwszy po-
ziomu płaszczyzny, płynął przez nią krętą, srebrną wstęgą,
ginącą gdzieś w niezmiernej oddali. Jak okiem zasięgnąć,

kraj był równy i płaski, jedynie w pobliżu granicznych gór wznosiły się zrzadka rozsiane, obrączkowe wzgórza, nalane wodą, jak czary. Takie małe i koliste jeziora, tylko o brzegach mniej wyniosłych, widno też było po całej płaszczynie. Bliższe wyglądały jak duże, pawie oka, dalsze podobne były do pereł, naszytych gęsto na sino-zielonym pluszu. Między nimi, jak srebrne rzeki różnej grubości, wiły się potoki, może nawet wielkie rzeki.

Wyszliśmy z wozu i, stojąc na krawędzi terasu, patrzyliśmy długo w głębokim milczeniu na ten dziwny kraj przed sobą. Pierwsza odezwała się Marta.

— Zjedźmy tam — rzekła — tam jest tak ładnie!...

Istotnie, było tam pięknie, ale czy będzie tam i dobrze? Mimowoli zadawaliśmy sobie to pytanie, przygotowując się do zjazdu po stromych upłazach na równinę.

Znalazłszy się po wielu trudach na dole, zostawiliśmy wóz nad brzegiem strumienia i zabraliśmy się zaraz do poszukiwań jakiego palnego materiału. Zeszliśmy całą okolicę wszerej i wzdłuż w kilkakilometrowym promieniu, kopaliśmy głębokie doły w nadziei natrafienia na torf lub na jaką żyłę węgla kamiennego, zrywaliśmy różne rośliny, próbując, czy się nie zdadzą na opał, ale wszystko napróżno. Za kilkanaście godzin miało już zejść słońce, kiedy, wyczerpani i zniechęceni, zaprzestaliśmy wreszcie bezowocnych prób i poszukiwań.

Położenie nasze było nader przykre i zaczęliśmy już załować, żeśmy opuścili zbyt lekkomyślnie Kraj Biegunowy. Strach nas przejmował na samą myśl, co się z nami stanie w nocy. Torfu mieliśmy niewiele; trzeba go było nadzwyczajnie oszczędzać, aby na całą noc wystarczył. Gdyśmy zrobili przegląd zapasu, okazało się, że na dwadzieścia cztery godzin wypadała niewielka garstka, zaledwie wypełniająca mały, przenośny piecyk.

— Ależ my pomarzniemy, paląc tak oszczędnie! — zawołała Marta, gdyśmy jej pokazali przygotowane porcje.

Piotr ruszył ramionami:

— Pałac więcej, pomarzniemy jeszcze pewniej, gdyż torfu braknie! Musimy się dobrze okrywać.

— Pocośmy wyjechali z Kraju Biegunowego! — zawodziła Marta. — Tom zimna nie zniesie, on taki maleńki i biedny.

— Ach! Tom! — szepnął Piotr lekceważąco przez zęby.

Już wtedy spostrzegłem, że każda wzmianka o dziecku drażniła go niewymownie. Dotykało mnie to podwójnie; przede wszystkim sam pokochałem ogromnie rozkosznego dziecka, powtóre zaś chodziło mi o Martę. Namiętnie do syna przywiązana, odczuwała boleśnie niechęć Piotra i nieraz widziałem, jak zwracała nań spojrzenie, w którym wyrzut łączył się z instynktowną obawą. Zauważyłem także, że dziecka nie zostawiała nigdy przy Piotrze, choć mnie powierzała je często, gdy sama musiała się czemś zająć.

— Tom nie jest najważniejszą osobą — mruczał Piotr dalej — i choćby umarł...

Marta [znosiła zwykle milcząco podobne uwagi, ale teraz zerwała się nagle i przyskoczyła do Piotra z roziskrzonymi oczyma.

— Słuchaj, ty! — wołała stłumionym głosem — Tom jest najważniejszą osobą i nie umarznie, bo pierwej ja zabiję ciebie i twemi kośćmi w tym piecu napalę!

Mówiąc to, błysnęła mu przed oczyma małym, indyjskim sztyletem, jakich ostrza tam zwykle zatruwają. Nie wiedzieliśmy nawet do tego czasu, że ma tę straszną broń przy sobie.

Piotr cofnął się mimowoli. Usiłował się naprzód uśmiechnąć, ale w głosie i wzroku Malabarki była taka straszna, nieubłagana groźba, że zbladł i nadarmo starał się ukryć pomieszanie...

Roześmiałem się głośno, choć nieco wymuszenie, aby załagodzić sprawę.

— Marta dba o synaczka, ani słowa! — zawołałem. —

Pójdź, Piotr, pomyślmy, jak się od nocnego mrozu zabezpieczyć, nie ofiarując własnych kości na opał!

Plan mój był dosyć prosty. Wykopaliśmy wspólnymi siłami obszerny dół, w którym wóz mógł się z łatwością zmieścić, a wtoczywszy go tam, przykryliśmy go jeszcze na wierzch ziemią i narzniętymi liśćmi. W ten sposób mogliśmy się spodziewać, że wóz nie będzie tracił dużo ciepła i da się łatwiej ogrzać.

Słońce już było zaszło, gdyśmy wreszcie ukończyli robotę. Jednak nie wchodziliśmy jeszcze do wozu — po długim dniu powietrze było ciepłe i miłe; szeroka, czerwona zorza wieczorna oświecała jeszcze zwolna w zmierzchu tonącą równinę, na której lśniły się tylko bliższe jeziora, jak czary żywem srebrem, albo, gdy pod zorzę było na nie spojrzeć, krwią nalane.

Usiedliśmy razem na wzgórku, nieopodal wozu, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Ostatnie zajście silne na nas wszystkich wywarło wrażenie. To też po paru luźnie rzuconych uwagach zamilkliśmy i ciszę przerywał już tylko szum niedalekich kaskad i zlewający się z nim głos Marty, która śpiewała dziecięciu do snu jakieś rzewne i przeciągłe pieśni indyjskie.

Słuchałem tego śpiewu w zadumie, patrząc na gasnącą w mroku szybę jeziora, gdy wtem lekki okrzyk Piotra wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałem nań pytająco, a on wyciągnął rękę w stronę równiny:

— Patrz, patrz!

Na równinie działo się coś dziwnego. W miarę, jak niebo ciemniało, Ziemia stawała się coraz jaśniejsza. Zrazu jakby garść drobnych, błękitnych iskier, rozsypanych nad brzegiem potoka. Później tych iskier pojawiło się coraz więcej; błyskały na prawo, na lewo, przed nami, wszędzie. Wpół godziny już cała równina lśniła, jakby tumanem niebieskawej, gwiazdzistej mgły zasnuta. Jeziora wyglądały na niej, jak czarne plamy.

Marta zaprzestała śpiewu i patrzyła wraz z nami na to czarodziejskie zjawisko.

Po pewnym czasie dopiero przekonałem się, że to była fosforescencja owych dziwnych, liściastych roślin, pokrywających tu obszar ogromny. Wewnętrzna ich powierzchnia błyszczała tak, jak próchno w głębi naszych lasów.

Nie trwało to długo! Zaledwie mieliśmy czas nasycić się niezwykłym widokiem, gdy światełka poczęły gasnąć, jedno po drugim. Liście zamykały się i zwijały pod wpływem chłodu na sen dwutygodniowy.

Obfita rosa zaczynała padać; i nam czas już był ukryć się w dobrze zabezpieczonym wozie.

Noc była mroźna, ale przetrwaliśmy ją nienajgorzej z naszym zapasem torfu, dzięki przedsięwziętym ostrożnościom. — Z wozu nie wychylaliśmy się ani na chwilę, aby nie tracić ciepła. Przez szyby nie mogliśmy także widzieć, co się dzieje na zewnątrz, gdyż, jak wspomniałem, wóz cały był szczelnie pokryty ziemią i chwastami. Przez te dwa tygodnie nocy byliśmy całkowicie odcięci od świata.

Dopiero gdy nasze kalendarzowe zegary wskazywały porę wschodu słońca, odważyłem się wyjrzeć na świat. Dla zabezpieczenia się przed zimnem, ubrałem się w powietrzochron, którego grube i odpowiednio zrobione ściany stanowiły znakomitą ochronę. Wyszedszy z wozu, przekonałem się, że ostrożność moja nie była zbyteczna.

Spojrząwszy na równinę w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, nie mogłem jej zrazu poznać. Cały świat pokrywała gruba warstwa wyiskrzonego od mrozu śniegu. Tafle jezior po części zginęły pod śniegiem, po części zaś lśniły matowymi szybami lodu. Zdawało mi się, żem został nagle przeniesiony w jakieś arktyczne kraje.

Powróciłem coprędzej do wozu z wieścią, że teraz jeszcze wychodzić nie można. Ta zima wprawiała nas w niewesołe usposobienie, gdyż zapas torfu był już na schyłku. Istotnie

przez całą noc nie cierpieliśmy tyle od chłodu, co z początkiem dnia, nim nastąpiła „wiosna“. Trzy ziemskie doby musieliśmy jeszcze na nią czekać, obywając się, co gorsza, w ostatku bez ognia. Ale po siedmdziesięciu godzinach walki z mrozem słońce wreszcie zwyciężyło. Śnieg roztopiony spływał strugami, jeziora wystąpiły z brzegów, potoki wszystkie wezbrały i gdyśmy po tym czasie wyszli na świat, na ociekającej wodą równinie rozwijały się już do słońca ogromne, wielokształtne liście i tylko szczyty gór okrywał jeszcze biały całun.

Z wyruszeniem w dalszą podróż, o której ciągle myśleliśmy, trzeba się było wstrzymać, aż okolica trochę podeschnie. Tymczasem zabraliśmy się na nowo do poszukiwań paliwa. Podczas jednej z wycieczek, któreśmy w tym celu robili we wszystkich kierunkach, natrafiliśmy przypadkiem na głęboki dół, poprzedniego dnia księżycowego wykopany w nadziei znalezienia torfu lub węgla. Dół był po brzegi wypełniony wodą. Minąłem go obojętnie, ale Piotr, snadź czemś niezwykłym uderzony, stanął i jął się pilnie weń wpatrywać. Uszedłem już był kawałek drogi, kiedy mnie głos jego doleciał:

— Janie! — wołał, przyzywając mnie ręką — pójdźże, pójdź coprędzej i patrz!

Zastałem go na klęczkach; jedną ręką wspierał się na krawędzi dołu, drugą dawał mi znaki. Twarz, pochylona nad dołem, płonęła mu od wzruszenia.

— Co się stało? — zawołałem.

Zamiast odpowiedzieć, zaczerpnął dłonią wody o szczególnej, brudno-żółtej barwie i podsunął mi ją pod sam nos.

— Nafta! — krzyknąłem radośnie, poczuwszy znany, ostry zapach.

Piotr skinął głową z triumfalnym uśmiechem. Aby się przekonać, czy nas pozory nie łudzą, umoczyłem w cieczy chustkę od nosa i zapaliłem. Buchnęła jasnym, czerwonym płomieniem, w który patrzyliśmy obaj, jak w tęczę, zwiastującą nam nowe życie.

Pospieszaliśmy niezwłocznie podzielić się z Martą tą dobrą nowiną.

Znalezienie źródła ropy miało dla nas olbrzymie znaczenie. Teraz mogliśmy już puścić się dalej ku południu lub pozostać na miejscu, nie obawiając się mroźnych nocy, ani niedostatku gotowanego pożywienia. Kilkadziesiąt godzin poświęciliśmy zebraniu jaknajwiększego zapasu tego błogosławionego płynu. Wykopaliśmy w tym celu jeszcze parę głębokich dołów i zbieraliśmy gromadzącą się w nich ropę, do czego się dało. Przed nadejściem południa mieliśmy już wszystkie rezerwoary pełne. Teraz odbyliśmy ważną naradę, co dalej czynić. Najprzezorniej byłoby pozostać na miejscu, w pobliżu źródeł nafcianych, ale nie mogliśmy się oprzeć pokusie posunięcia się dalej, ku morzu, które, sądząc ze wszystkiego, nie powinno było zbyt być odległym. Oprócz ciekawości przemawiała za podróżą i ta okoliczność, że na wybrzeżu znajdziemy klimat znacznie złagodzony wpływem wielkiego zbiornika wody i mniej podległy dziennym wahaniom, mimo że przybliżymy się do równika. Mieliśmy zresztą tak znaczny zapas paliwa, że mogliśmy się z nim odważyć nawet na próbną tylko podróż, byliśmy bowiem pewni, że zdołamy w razie niepomyślnych okoliczności powrócić do źródeł nafcianych, do których, posuwając się nazad w górę za biegiem strumienia, nietrudno nam będzie trafić.

Ten dzień i najbliższą noc spędziliśmy jeszcze w tem samym miejscu, na kraju *Równiny Jezior*, jak nazwaliśmy ową wielką płaszczyznę, odkładając rozpoczęcie podróży do dnia następnego w tem mniemaniu, że będzie nam znacznie dogodniej mieć przed sobą trzysta kilkudziesiąt godzin słonecznych, podczas których nie będzie trzeba przerywać drogi z powodu nocy i mrozu. Ale za to, rychło tylko pierwszy świt zaróżowił śniegi, ruszyliśmy, nie czekając nawet wschodu słońca, choć mróz dobrze dawał się we znaki.

Ranne, lub jakby tutaj powiedzieć należało: wiosenne powodzie, zastały nas blisko sto kilometrów od miejsca, gdzieśmy

stali, licząc po ziemsku, sześć przeszło tygodni. Zrazu nastanie roztopów zakłopotano nas bardzo; grunt rozmiękł do tego stopnia, że jazda stawała się wręcz niemożliwą. Dość wcześnie jednak przypomnieliśmy sobie, że wóz, po założeniu odpowiedniego steru i zastąpieniu kół wachlarzami, da się z łatwością zamienić na pływający statek, wobec czego nie tylko nie potrzebowaliśmy się obawiać powodzi, lecz owszem mogliśmy z niej skorzystać, puszczając się na fale wezbranego strumienia. Pomysł to był nadzwyczaj szczęśliwy, zwłaszcza, że ten strumień i tak był dla nas nicią, mającą nas zaprowadzić do morza. Oszczędzaliśmy przytem mnóstwo paliwa, gdyż silny prąd unosił nas sam tak szybko, że nie potrzebowaliśmy się uciekać do pomocy wachlarzy dla przyspieszenia biegu.

Cały długi dzień księżycowy spędziliśmy tak na falach, zrzadka tylko przybijając do brzegu, już to dla wypoczynku, już to dla zwiedzenia jakiej ciekawej okolicy nadbrzeżnej.

Nim powódź opadła, posunęliśmy się tak daleko za biegiem wody, że strumień zamienił się w dużą rzekę, której koryto aż nadto było głębokie dla naszego drobnego statku.

Widoki i charakter krajobrazu po drodze zmieniały się ciągle. Przez pewien czas płynęliśmy wśród rozległego i, jak się zdaje, dość suchego stepu, pokrytego roślinnością drobną i wątlą, zgoła niepodobną do wspaniałych, liściastych krzewów, rosnących wyżej nad strumieniem. Było coś niezmiernie smutnego w jednostajnym widoku tej okolicy.

Wzgórza obrączkowe, nalane wodą po brzegi, i okrągłe jeziora o skalistych, małych nad poziom wzniesionych krawędziach wśród kopiastych pagórków, pozostawiliśmy już daleko za sobą; teraz na prawo i lewo rozciągała się płaszczyna rdzawo-zielona, od której odbijały tylko miejscami fioletowe łączki jakiegoś drobnego niby kwiecia, lub ławy żółtego piasku, zalegające nieznaczne wzniesienia. Rzeka rozlewała się tu szeroko i płynęła tak leniwie, że puściliśmy motor, poruszając wachlarze, aby bieg statku przyspieszyć,

Było już nieco po południu, kiedyśmy się zbliżyli do łańcucha skalistych wzgórz, zamykających ów step od południa. Rzeka była tu na przestrzeni paru kilometrów ściętniona z obu stron skałami tak, że żegluga stawała się wysoce niebezpieczną. Prąd porywał nas co chwila i uderzał statkiem o rafy. Jedyne silnej budowie pocisku, teraz na łódź zamienionego, mamy do zawdzięczenia, żeśmy wyszli cało.

Tuż za ową bramą rzeka rozlewała się w duże jezioro, którego brzegi, utworzone z małych pagórków, pokrytych nad wyraz bujną roślinnością i pęprzerywane licznymi zatokami, tworzyły jeden z najmiłszych widoków, jakie spotkaliśmy na Księżycu.

Jeszcześmy byli nie przytynęli jeziora, kiedy niebo, dotąd prawie ciągle pogodne, zaciągnęło się z nagłą ciemnymi chmurami. Zrazu radzi byliśmy temu, gdyż upał nieznośny srodze nam już dokuczał, ale wkrótce zaczęliśmy się niepokoić, przeczuwając nadejście burzy. Słychać już było dalekie, potężne grzmoty, a niebo od południa rozjaśniało się raz wraz krwawymi błyskawicami. Zaledwie mieliśmy tyle czasu, aby, skręciwszy w bok, ukryć się w małej, wzgórzami zastoniętej zatoce, gdy burza rozszalała się na dobre.

Znałem na Ziemi straszliwe burze tropikalnych krajów, ale przecież czegoś tak potwornego nie umiałbym sobie wyobrazić. Ogluszające grzmoty zlewały się w jeden nieustanny huk; przed oczyma wciąż nam stały pioruny, jak struny jakiejś ognistej harfy, gęsto między niebem a Ziemią nawiązane. Deszcz... nie! to nie był już deszcz! potop lejącej się z chmur wody zamienił całą atmosferę w wiszące, wściekłyymi wichrami targane jezioro. Powietrze, zmieszane z deszczem i pryskającymi pod wichrem w górę falami, było tak przesiąknięte elektrycznością, że rozbłyskiwało się czasem samo ze siebie, a wtedy mieliśmy przed oczyma dziwne, piekielne widowisko: pod krwawo z dołu zaczerwienionymi chmurami, atmosfera z przeźrocystego ognia, pełna kropel, wielkich jak pięść, podobnych do kapiącego, roztopionego metalu.

Czasem burza uciszała się nagle; chmury, jak rozstępująca się na dwie strony zasłona, otwierały widok na błękitne niebo i słońce, ale zaledwie mieliśmy czas odetchnąć, niebo czerniało znowu i znów z natarciem straszliwego orkanu, pędzącego od południa, zaczynały ryczeć gromy i pluskać strugi tryskającej z chmur wody.

Trwało to wszystko z przerwami blisko czterdzieści godzin. Znużeni, zalekli i oszołomieni, patrzyliśmy na te potworne zapasy ognia, wody i powietrza, przywiązawszy statek linami do jakichś sterczących z brzegu korzeni w obawie, aby zatoka, skacząca czasem pod nami, jak dziki zwierz w agonji, ostatnimi zrywami dreszczami, nie odrzuciła nas na pełne jezioro, na pastwę wichrom i falom.

Wreszcie uciszyło się wszystko i rozjaśniło na niebie — i już tylko wezbrane potoki szumiały wśród pagórków, wzdymając rozkołysaną jeszcze powierzchnią jeziora.

Wody wezbrały ogromnie. Musieliśmy jeszcze przeszło dwanaście godzin czekać, nim opadły do tego stopnia przynajmniej, że można się było odważyć na dalszą podróż. Płynęliśmy teraz znacznie szybciej, gdyż prąd wezbranej rzeki wzmógł się bardzo. Po drodze spotykaliśmy wszędzie ślady straszego spustoszenia: całe obszary ziemi splukane, ogromne, dziwne rośliny, tworzące tu już gęste lasy szczególnie poplątanych liści i długich, grubych a mięsistych łodyg, leżały miejscami, potargane wichrem na strzępy. Z każdej szczeliny buchały kaskady mętnej wody; na równinach stały płytkie kałuże, nad którymi gromadziło się mnóstwo najróżniejszych, a przeważnie potwornych, do gadów podobnych zwierząt.

Dzisiaj, gdyśmy się już na Księżycu zaaklimatyzowali, wiemy, że te burze straszliwe są tu codziennem zjawiskiem w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Powstają one z powodu niesłychanego upału w porze popołudniowej, a są dla tego świata, mimo swą okropność, dobrodziejstwem, gdyż odświe-

żają atmosferę i wysychający grunt. Gdyby nie one, życie byłoby tu niemożliwe.

Nie będę opisywał naszej popołudniowej podróży; przeszła bez wypadków. Krajobraz tylko zmieniał się przed nami ciągle, a z nim i roślinność, choć zaznaczyć wypada, że flora na tym globie, niemającym wyraźnych stref, jest znacznie jednostajniejsza, niż na Ziemi.

Zbliżał się już wieczór, kiedy dostaliśmy się w miejsce, gdzie rzeka, zwolniwszy biegu, poczęła się rozlewać szeroko i tworzyć liczne mielizny, utrudniające nadzwyczaj żeglugę. Przyszło nam na myśl, że ma to być zapowiedzią niedalekiego ujścia.

— Zobaczymy morze — mówiliśmy sobie, obracając oczy ku słońcu, jakby chcąc się upewnić, że jeszcze wystarczy dnia, aby dotrzeć do tego upragnionego celu podróży.

Ale tymczasem żegluga stawała się coraz trudniejszą. Uwięzgnęliśmy parę razy na mieliznach, tak, że wreszcie postanowiliśmy zamienić znów statek na wóz i puścić się dalej drogą lądową.

Zachód słońca zastał nas u podnóża niewysokich, zrzadka jakąś niby trawą porośłych wydm piaszczystych. Przeczuwaliśmy, że za nimi znajduje się już morze; zdawało nam się nawet, że słyszymy wielki, stłumiony łoskot fal i czujemy rozchodzącą się w powietrzu ostrą woń morskiej wody. Dlatego też, gnani niecierpliwością, mimo zapadający zmrok, nie przerywaliśmy podróży.

Mrok zgęstniał już znacznie, kiedy dostaliśmy się nareszcie na szczyt owych wydm piaszczystych. Wyteżaliśmy wzrok, aby zobaczyć morze, ale niepodobna było nic rozeznąć. Przed nami lśniła się tylko upiornie fosforyzującymi roślinami pokryta płaszczyna; od wschodu, skąd słyhać było jakieś bełkotania i jakby łoskot tryskającej wody, snuły się gęste, białe mgły czy opary, jak duchy błądzące po świetlistych łąkach. Nie wiedzieliśmy zrazu, co robić: pozostać przez noc

na wyżynie, czy też spuścić się na dół, gdy wtem wiatr, zerwawszy się nagle, rozwiął snujący się pasmem opar i odkrył potoczek, zciekający o kilkadziesiąt kroków przed nami po kamiennych progach w nieduże, naturalne baseny, schodami w szereg ułożone. Widok ten trwał jedną chwilę, gdyż zaraz gęsty opar pokrył wodę na nowo i tylko plusk i bełkotanie wciąż uszu naszych dolatywały. Zastanowiła nas ta niezwykła ilość i gęstość oparu i ruszyliśmy w kierunku basenów. Za chwilę znajdowaliśmy się w gęstej, ciepłej mgłę. Koła wozu tętniały teraz po kamieniu.

Gdy wiatr znowu mgłę rozegnał, spostrzegliśmy, że znajdujemy się tuż nad brzegiem jednego z basenów. Ciepły, wilgotny powiew musnął nas po twarzy.

— Cieplice! — zawołaliśmy równocześnie obaj z Varadolem.

Istotnie musiały się gdzieś w pobliżu znajdować gorące źródła, gdyż woda, odpływająca strumieniem i rozlewająca się po basenach, miała dwadzieścia kilka stopni Celsjusa. Nie pora była badać po ciemku okolicę; postanowiliśmy tylko skorzystać z nader szczęśliwego przypadku i spędzić mroźną noc nad tą wodą, dostarczającą nam znacznej ilości ciepła.

Noc mieliśmy dość niespokojną. W cztery ziemskie doby po zachodzie słońca spadł gruby śnieg i mroźny wiatr przewiewał tak, że dla zabezpieczenia się od zimna musieliśmy wóz zepchnąć na ciepłą wodę basenu. Ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy tylko, gdy wiatr na chwilę rozegnał wciąż podnoszące się z wody opary, widzieliśmy błyszczące w górze gwiazdy. Wtedy ukazywał się nam także na południu szeroki pas błękitnego światła, biegnący wzdłuż krańców widnokregu. Dziwiło nas to zjawisko, gdyż nie zniknęło długo w noc, choć fosforyzujące rośliny, któreśmy uważali początkowo za przyczynę tego światła, zamknęły się były już dawno. Blask ten ciekawy zagaśł dopiero dobrze po północy, gdy mróz zdążył od cieplic musiał już być nadzwyczaj tęgi.

Nim to jednak nastąpiło, zaniepokoiła nas inna rzecz. Mianowicie około północy dało się odczuć silne wzburzenie wody, któremu towarzyszył głuchy grzmot podziemny. Prawie równocześnie dostrzegliśmy przez mgłę na wschodzie krwawą, słupem w górę idącą pożogę. Po kilku godzinach zgasła, ale wkrótce rozpalila się znowu i trwała tak na niebie z małemi przerwami przez cztery ziemskie doby, podobna do straszego, piekielnego ducha, pojawiającego się we mgle i nocy nad śnieżną pustynią.

Temperatura wody w basenie, kołysanej ciągłemi wstrząśnieniami gruntu, podniosła się wtedy cokolwiek, tak, że cierpieliśmy raczej ze zbytku gorąca, niż z jego braku.

Już w nocy podczas trwania zjawiska, które nas z początku zaniepokoiło, a nawet przeraziło, domyślaliśmy się, że gdzieś w pobliżu znajduje się wulkan, którego wybuch właśnie widzimy. Przemawiało za tem także samo istnienie silnych cieplic, pojawiających się najczęściej w wulkanicznych okolicach.

Nadchodzący dzień potwierdził nasze domysły. Zrazu, mimo jasności, nic nie mogliśmy widzieć, gdyż z powodu mrozu nie opuszczaliśmy jeszcze basenu, a mgły widok nam zasłaniały. Dopiero w czterdzieści godzin po wschodzie słońca wyszliśmy z wozu, przybwszy od południa do kamiennego brzegu. Parę kroków szliśmy jeszcze w gęstej mgle, aż nagle, jakby za podniesieniem czarodziejskiej zasłony, otworzył się szeroki widok przed nami.

Stanęliśmy jak wryci, przejęci podziwem i radością.

O kilkanaście metrów poniżej, w odległości dwóch do trzech kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, było — morze.

Jego to fosforyzujące od drobnych żyjątek fale świeciły nad mitym obrzaskiem długo w noc przez mgły i cienie.

Teraz widzieliśmy je wyraźnie. Nieprzejrzana, u brzegów lodem jeszcze ścięta, ale dalej już falująca i ruchliwa, słońcem pożłocona wodna płaszczyna, ciągnęła się od naszych stóp, gdzieś poza kresy widnokregu.

W pierwszej chwili byliśmy tak zachwyceni tym upragnionym widokiem, żeśmy długo nie mogli oczu odeń oderwać. Po pewnym czasie dopiero, nasyciwszy się tym, od czasu opuszczenia Ziemi niewidzianym majestatem, zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Od zachodu, wśród rozległych równin, połyskiwało szeroko rozlane, licznymi ławami piasku poprzerywane ujście rzeki, na której falach odbyliśmy większą część podróży dnia ostatniego. Od wschodu krajobraz był niezmiernie dziki i urozmaicony. Przedewszystkiem pociągał tu wzrok niebotyczny — u szczytu śniegiem ubielony stożkowy szczyt wulkanu, panującego majestatycznie w odległości kilkudziesięciu kilometrów nad okolicznymi, skalistymi wzgórzami. Południowe stoki tych gór, opadające ku morzu, czerniły się gęstymi lasami szczególnych a wielkich, dziwnie poplątanych liściastych krzewów i pnączów, rozwijających się właśnie z nocnego snu do życia; zaś bliżej nas tryskały wśród fantastycznie spiętrzonych głazów i małych, dymiących jeziorek, liczne, perliste, chmurą białej mgły owiane gejzyry. Odpywający z nich potok skakał po tarasach, zataczał się w basenach i ściekał, szemrząc po głazach znów niżej, aż ginął wkońcu wśród gąszczu zarośli, dążąc ku morzu.

Tak się miała zakończyć nasza odyseja.

III.

Dziesięć lat ziemskich minęło od czasu, jak przybyliśmy nad brzeg morza, gdzie dzisiaj jeszcze mieszkamy. Niewiele się tutaj od tej pory zmieniło. Morze huczy taksamo i taksamo co noc świeci nam długo roziskrzonymi falami; co pewien czas powtarzają się wybuchy wulkanu, któryśmy przez pamięć naszego drogiego przyjaciela nazwali Otamorem; taksamo biją gejzyry i strumyk szemrze po kamieniach, tylko na jednym z basenów teraz wznosi się na palach domek zimowy, a niżej, nad brzegiem morza ształas, służący nam za letnie mieszkanie; tylko na piaszczystym wybrzeżu lub na łąkach bawi się czworo dzieci, zbierając muszle i kwiaty lub igrając z kilkoma psami, zrodzonymi już na Księżycu.

I myśmy już przywykli do tego świata. Nie dziwią nas długie, mroźne noce, ani dnie, podczas których leniwie pełznące słońce ogniem z nieba zionie; popołudniowe, straszliwe burze, przeciągające regularnie co siedmset dziewięć godzin nad naszymi głowami, przestały napełniać nas trwogą; na dziki, fantastyczny krajobraz, na roślinność, tak od ziemskiej różną, i potworne a niedołęzne księżycowe zwierzęta, patrzymy jak na rzeczy dobrze znane i naturalne. Za to Ziemia we wspomnieniach naszych staje się czemś, podobnem do snu, który przeszedł i pozostawił po sobie jeno nieuchwytny jakiś i tęsknotą rozmarzający ślad w pamięci.

Siadamy czasem nad brzegiem morza i rozmawiamy o niej długo, długo... Opowiadamy sobie o krótkich, ziemskich dniach, o lasach, o ptakach, o ludziach i krajach, które oni zamieszkują, o mnóstwie rzeczy znanych i drobnych, jakby o czemś niezmiernie ciekawem i w bajce tylko zasłyszaniem. Tom jest już dosyć duży i rozumny i słucha tego wszystkiego rzeczywiście jak bajki. On nigdy nie był na Ziemi...

Ostatecznie urządziliśmy sobie tutaj życie dosyć znośnie. U stóp Otamora, na skruszałem wulkanicznym podłożu, odkryliśmy pnącze, których grube i tęgie korzenie są dosyć zdatnym materiałem, mogącym zastąpić od biedy ziemskie drzewo. Wyszuszone i ze zdrzewiałych łusk oczyszczone wielkie liście, nadzwyczaj silne i trwałe, zastępują nam skórę a włókien innych tkamy sobie rodzaj grubego i miękkiego płótna. Na równinie za rzeką znaleźliśmy po długich poszukiwaniach pokład brunatnego węgla, a także odkryliśmy znacznie bliższe od pierwszych źródła nafty. Żelazo, srebro, miedź, siarka i wapno, znajdują się tu w dość znacznej obfitości; morze dostarcza nam mnóstwa bardzo przydatnych muszel i bursztynu, różniącego się od ziemskiego tylko barwą płomiennie-czerwoną.

Z morza też wyławiamy przeważnie pożywienie. Żyją tu najrozmaitsze, szczególne, a jadalne skorupiaki i jakieś niby ryby niby jaszczurki, wcale smaczne i pożywne. Oprócz tego zbieramy w piasku lub po zaroślach jaja — żadne z tutejszych stworzeń nie przychodzi na świat żywe, lecz wszystkie znoszą jaja, niesłychanie na mróz odporne, a wylęgające się nadzwyczaj szybko w słonecznym cieple — albo też przyrządzamy smaczne i posilne potrawy z kilku gatunków roślin, obficie tutaj rosnących.

Początkowo przykrzyło nam się tylko bez mięsnego pożywienia, ale teraz jużemy się przyzwyczaili. Wszystkie zwierzęta tutejsze mają mięso łykowate i smrodliwe tak, że jeść go niepodobna. Psy niem tylko nie gardzą.

Upłynęło kilka dni księżycowych, nimeśmy się tutaj jako

tako zagospodarowali. Naprzód wzięliśmy się do wyszukania budulca i paliwa, poczem zaczęliśmy wznosić na palach, zrobionych z mocnych korzeni, domek zimowy na tym samym stawku cieplic, gdzieśmy we wozie pierwszą noc spędzili. Po ukończeniu tej najważniejszej roboty, zaczęły się nasze długie wycieczki po okolicy, któreśmy odbywali przeważnie pieszo, mając ze sobą wózek z zapasami i narzędziami, ciągnięty przez psy. Psy są tutaj dla nas jedynymi zwierzętami roboczymi; ze stworzeń księżycowych chowamy tylko pewien rodzaj dużych, skrzydlatych jaszczurek, znoszących wielkie i smaczne jaja.

Czasami puszczaliśmy się na morze, płynąc wzdłuż brzegów. Wybrzeże ku zachodowi jest płaskie i piaszczyste, na wschodzie za to występują liczne, z wulkanicznych gór utworzone przyłądki, pooddzielane głębokimi, daleko w głąb kraju wrzynającymi się zatokami. Prawie każda taka wycieczka, wodna czy lądowa, przynosiła jakąś korzyść; znajdowaliśmy coś nowego, co nam się mogło przydać, albo przynajmniej poznawaliśmy właściwości i tajemnice tej okolicy, w której snadź będziemy mieszkać już do śmierci.

Po trzynastu dniach księżycowych, to znaczy po z emskim roku naszego pobytu nad morzem, znaliśmy już okolicę wcale dobrze, a oprócz domu mieszkalnego mieliśmy warsztaty, małą hutę, składy, stajnie dla psów, słowem wszystko, co nam tu jest niezbędne do życia. Skończył się okres gorączkowej, wyężdżającej czynności i zwolna przychodziła na nas nuda i gorsza od niej tęsknota za opuszczoną Ziemią. Były to dla nas czasy okropne; pamiętam, że nie mogliśmy sobie dać rady. Podczas dnia zwiedzaliśmy jeszcze okolicę, błądząc samopas po górach, albo zajmowaliśmy się gromadzeniem żywności, ale w długich nocach rozpacz nas już ogarniała. Zamknięci w małym domku nad powierzchnią ciepłego stawu, beczynni i rozleniwieni, staraliśmy się tylko spać jaknajwięcej.

Ale i to nie zawsze się udawało. Siedzieliśmy wtedy

milczący, nudą i tęsknotą obezwładnieni i niechętni sobie wzajemnie. Jest to prawdą, jedną z najniewątpliwszych, że nic tak ludzi nie zniechęca ku sobie, jak cierpienie i nuda. Miałem, niestety, sposobność stwierdzić to kilkakrotnie.

Można się było wprawdzie zająć i tem i owem, zaprowadzić jakieś ulepszenia, pomyśleć o przyszłości, ale niezdolnymi do tego czyniła nas myśl, że skazani jesteśmy tutaj na wymarcie. Ludzie na Ziemi nawet nie wiedzą o tem, że większą część swej energii zawdzięczają myśli — czasem nieświadomej — że pracują nietylko dla siebie, ale i dla tych, co przyjdą po nich. Człowiek chce żyć — otóż to jest wszystko. A tymczasem śmierć nieubłagana stoi mu przed oczyma i gdyby nie znalazł wybiegu, sposobu oszukania jej, a może tylko siebie? dalibóg, nie wierzę, aby inna myśl, oprócz tej strasznej i paraliżującej: *ja umrę*, mogła powstać w jego głowie! Są różne lekarstwa: jest wiara w nieśmiertelność duszy, jest wiara w nieśmiertelność ludzkości i dzieł człowieczych! Człowiek czynami swymi przedłuża własne istnienie; bo jeśli wspomni czasem o tych wiekach, kiedy jego już nie będzie, to wyobraża sobie, że jednak pozostanie wówczas jeszcze jakiś ślad jego pracy i tak we własnych myślach staje się sam obecnym tej przyszłości, na którą już nie będzie patrzył żywemi oczyma. Ale do tego potrzeba mu wiedzieć, że będą po nim istnieli ludzie, którzy, jeśli już nie wspomną jego imienia, to przynajmniej, nie wiedząc o tem, będą z jego pracy korzystać. To jest nieodzowny warunek życia jego czynów. Bo dzieła ludzkie są jak ludzie sami: żyją lub umierają. Dzieło, które żadnej zmiany w niczyjej świadomości nie powoduje, jest martwe!

Są to wszystko uwagi ogromnie proste i naturalne, ale uświadomiłem je w sobie zupełnie i jasno dopiero na Księżycu, podczas owych długich, beczynnych i beznadziejnych dni w początkach naszego pobytu nad morzem.

Nieraz myślałem: dobrzeby było zbadać granice tej wielkiej wody, przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz, poznać jego

góry i rzeki, porobić mapy, opisać rośliny, zwierzęta i minerały, ale w tej chwili stawało mi w myśli szydercze pytanie: i co komu z tego przyjdzie? Istotnie, co komu z tego przyjdzie — myślałem — komu opowiem to, co poznam, komu zostawię to, co piszę? Tom?... Ależ mały Tom umrze taksamo, jak ja, nieco później wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia: będzie ostatnim człowiekiem na tym świecie, na którym my jesteśmy pierwszymi. Z nim skończy się wszystko...

Ta świadomość paraliżowała wszystkie me czyny, czy to gdy zamierzałem badać ten kraj zadziwiający i to morze, którym Księżyc nalany jest jak srebrna czara, suchem dnem zwrócona ku Ziemi, czy to kiedy myślałem o postawieniu trwalszego domu, założeniu nowych i lepszych warsztatów, ogrodu i zwierzyńca, słowem, o podniesieniu dobrobytu naszego małego gospodarstwa.

Wtedy to uczuliśmy obaj z Piotrem konieczność dania początku tutaj nowej ludzkości i oczy nasze zwróciły się znów na Martę. Usprawiedliwiam się dzisiaj sam przed sobą z tego, gdyż wiem, że to było zbrodnią i samolubstwem. I wtedy to wiedziałem, ale... ale... Człowiek chce żyć, za każdą cenę i jakkolwiekbądź, ale żyć — otóż to wszystko!

Było coś strasznego w naszym postanowieniu, zwłaszcza, że było powzięte na trzeźwo i chłodno. Przynajmniej co do mnie...

Przywiązałem się był do Marty jakąś wielką miłością, cichą i tkliwą, ale ów czas, kiedy pożądałem jej dla siebie, dla zmysłów swych i szczęścia, minął już dawno i, jak mi się zdawało, bezpowrotnie. Nawet nie wiem, dlaczego minął... Czasem zdaje mi się, że tylko dlatego, iż, pokochawszy ją prawdziwie, przekonałem się zarazem, że ona mnie nie kocha i nigdy kochać nie będzie, zajęta wieczyście myślą o tamtym, zmarłym i odrodzonym w jej synu.

Nie o Marcie tedy myślałem w owym czasie przedewszystkiem, ale o dzieciach, o małych, wesołych dziewczynkach, z któ-

remi, gdyby już urosły duże, mógłby się Tom ożenić, dając w ten sposób początek nowej ludzkości. Marzyłem o tem, jak o największem szczęściu; wszak wtedy praca nasza nie byłaby próżna; ze wszystkiego, co byśmy odkryli lub zrobili, korzystaliby ci, mający z pokolenia w pokolenie żyć przez długie wieki na księżycowym globie.

Nie powiem, aby te marzenia moje były całkiem nieosobiste. Owszem, myśląc o dzieciach, wyobrażałem sobie mimowoli, że są to moje dzieci, a poza ich wesołemi, uśmiechniętymi twarzyczkami błyskała mi cicha, dobra i pogodna postać Marty, mojej Marty... Nużące to były i aż bolesne marzenia, bo tak mi się zdawały dziwnie niepodobne do urzeczywistnienia...

A potem znowu robiłem sobie wyrzuty, patrząc na bądź-cobądź niegościnnie i nie dla ludzi stworzony świat księżycowy. Jaki będzie myślałem — los przyszłej ludzkości, lekkomyślnie tu przez nas dla nadania celu własnym czynom i racji własnemu życiu stworzonej? Poznałem już był o tyle warunki tego globu, że wiedziałem, iż ludzkość nie zdoła się na nim nigdy tak rozwinąć, jak na Ziemi. Człowiek będzie tu zawsze przybyszem i natrętem, który przyszedł nieproszony i — zapóźno. Tak jest, zapóźno. Księżyc, mimo wszystko, jest globem obumierającym.

Patrząc na tutejsze życie, zajmujące tak niestychanie małą część powierzchni całego globu, na rośliny, niby wspaniałe i bujne, ale o wiele mniej od ziemskich żywotne, na zwierzęta, dziwaczne, ale skarłałe i niedołążne, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patrzę na przepych zachodzącego słońca. Tu życie już się przestało rozwijać; jest dojrzałe, przejrzałe nawet i czekające końca. I oto przyroda, pracując tutaj wieków bez porównania więcej, niż na Ziemi (gdy Księżyc, jako mniejszy, pierwaj od niej ostygł i pierwaj stał się „światem“), nie zdołała wypracować sobie rozumnej istoty, a jeśli nawet wypracowała, to czas jej minął bezpowrotnie. To najlepszy dowód, że glob ten, zwłaszcza dzisiaj, nie jest dla takich istot.

Człowiekowi będzie tu zawsze ciasno i marnie.

Takie refleksje budziły się we mnie, ale uczucie jest u człowieka zawsze silniejsze od abstrakcyjnej myśli: mimo wszystko, pragnąłem całym sercem, aby tu po nas byli ludzie. Czasem oszukiwałem sam siebie i starałem się upozorować to samolubne pragnienie, że chcę ludzkości dla Toma, aby go uchronić od losu najstraszliwszego: być człowiekiem samotnym i ostatnim. Ale to nieprawda; ja chciałem nowego pokolenia dla siebie.

Nie wiem, co Piotr myślał, jak czuł i rozumował, ale to pewna, że to samo pragnienie niemniej silnie go opanowało. Dość długi czas upłynął, nim zaczęliśmy o tem rozmawiać ze sobą. Pamiętam, było to jakoś o zachodzie słońca; Marta z Tomem na rękę poszła ku cieplicom, a my siedzieliśmy obaj w milczeniu na wybrzeżu morskiem.

Piotr patrzył długo za odchodzącą, a potem zaczął zeicha liczyć księżycowe dni, któreśmy już przeżyli.

— Dwudziesty trzeci zachód słońca — odezwał się wreszcie głośno.

— Tak! — odparłem bez myśli — dwudziesty trzeci, jeśli policzymy i dni, spędzone na biegunie, podczas których, co prawda, nie mieliśmy zachodów...

— I co dalej? — spytał Piotr.

Ruszyłem ramionami:

— Nic. Jeszcze kilkanaście zachodów, może kilkadziesiąt lub paręset i będzie koniec. Tom zostanie sam.

— Nie o Toma mi idzie — rzekł. A po chwili dodał:

— W każdym razie jest źle.

Milczeliśmy dość długo, potem Piotr znów zaczął:

— Marta...

— A tak, Marta — powtórzyłem.

— Trzeba coś postanowić?

Zdawało mi się, że w głosie jego usłyszałem znowu tę nutę, pamiętną mi z okropnej podróży przez *Mare Frigoris* po śmierci Woodbella. Odezwał się we mnie głuchy bunt. Spojrzałem mu byłem w oczy i odrzekłem z naciskiem:

— Trzeba.

On uśmiechnął się jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział. Tego dnia nie mówiliśmy już więcej o tej sprawie.

Długa noc przeszła w milczeniu i nudzie. Tom był trochę niezdrowy i Marta, zaniepokojona, ciągle nim była zajęta. Patrzyliśmy na jej bezbrzeżną czułość macierzyńską i kto wie, czy nie wtedy właśnie zrodził się w nas nieświadomie wstrętny plan wyzyskania jej miłości dla dziecka, aby ją nakłonić do uległości względem naszych życzeń. W każdym razie ta noc pustki i nudy przekonała nas, iż trzeba ostatecznie „coś postanowić“.

Rankiem następnego dnia wybraliśmy się z Piotrem do lasów u stóp Otamora. Podczas tej wycieczki omówiliśmy sprawę ostatecznie: jeden z nas miał pojąć Martę za żonę, a drugi zobowiązać się, nigdy mu w drogę nie wchodzić.

Jeden z nas! — powtarzałem w myśli te słowa z jakimś tęsknym i bolesnym niepokojem. W ustach Piotra, gdy je wymawiał, brzmiały jak groźba. Nie wiem, mozem się łudzić, ale tak mi się zdawało... Wybór między nami dwoma mieliśmy pozostawić Marcie, a dopiero w razie, gdyby go bezwarunkowo nie chciała dokonać, mieliśmy ciągnąć losy. Piotr upierał się wprawdzie, aby rzecz odrazu dać losowi do rozstrzygnięcia, twierdząc, że Marta nie zechce wybierać, ale ja sprzeciwiłem się temu stanowczo i wymogłem na nim tyle, że się zgodził wpierw Martę zapytać o zdanie. Przystał na to niechętnie i mówiąc wreszcie: „tak“, miał na ustach zagadkowy uśmiech, a w oczach dziwnie niedobre błyski.

Przyszedłszy do domu, zwlekaliśmy jeszcze długo ze stanowczą rozmową, tak byliśmy pewni niechęci Marty względem tego, z czem mieliśmy się do niej zwrócić. Przez cały czas Piotr chodził zamyślony i ponury, udając, że się czemś zajmuje, a ja błąkałem się nad morzem z sercem pełnem niewytłumaczonej obawy. Tego dnia miały się losy nas wszystkich rozstrzygnąć.

Wreszcie nadchodziło południe, duszne i upalne. Słońce, świecące na niebie od stu kilkudziesięciu godzin, prażyło całą okolicę nieznośnym skwarem, od którego więdły rośliny, czekając odświeżających deszczów. Nad morzem, od południowo-wschodniej strony, tam, gdzie słońce już przeszło ponad równikiem, zbierały się gęste i czarne chmury. W niewielkich odstępach, podczas których powietrze wisiało nad nami, zastrygłe i ciężkie, zrywał się szalony, krótkotrwały wicher, bił o brzeg morskimi falami, wicherzył lasy, łamał perliste fontanny gejzyrów i wył między skałami, zapowiadając codzienną porę burz.

Z letniego domku na wybrzeżu przenieśliśmy się do pieczary w okolicy gejzyrów, która służyła nam zazwyczaj za schronienie w czasie burzy. Siedzieliśmy właśnie wszyscy troje przed jej wejściem, a mały Tom, czepiając się kolan matki, usiłował spacerować na własnych nogach naokoło tej podpory, kiedy Piotr rzucił na mnie znaczące spojrzenie, a potem z wyrazem nagłego postanowienia zwrócił się ku Marcie.

Uczułem przyspieszone bicie serca, które mnie aż w gardle dławiło. Nadchodząca burza działała na nas zawsze podniecająco; tego dnia przyłączyło się jeszcze osobliwe rozdrażnienie, spowodowane myślą o bliskiej i stanowczej, a tak ważnej rozmowie z Martą. Szczególnie na Piotrze znać było nienaturalny stan: rozszerzone źrenice błyszczały mu niespokojnie, pierś wznosiła się szybko w nierównym oddechu, a na policzkach paliły się krwawe wypieki. Patrzyłem weń z zapartym oddechem, a on bez wstępów i przygotowań zapytał tak wprost:

— Marta, którego z nas wolisz?

Marta, zaskoczona tem nagłym pytaniem, zdawała się zrazu nie rozumieć, o co mu chodzi... Popatrzyła ze zdumieniem na mnie, na niego, potem znów na mnie i wzruszyła pogardliwie ramionami.

Piotr powtórzył:

— Marta, którego z nas wolisz?

Jego wzrok, uparcie w nią wbity, musiał jej więcej powiedzieć, niż to pytanie, gdyż nagle wszystko zrozumiawszy, zbladła i z lekkim okrzykiem zerwała się z siedzenia. W rękę błysnął jej znowu sztylet, którym już raz groziła Piotrowi.

— Z was? żadnego! — krzyknęła.

Piotr przybliżył się o krok:

— A jednak musisz wybierać i... i wybrać! — rzekł z naciskiem.

Jej oczy w niemej rozpaczy zatrzepotały jak ptaki, opętane przerażeniem. Zdawało mi się, że przez chwilę, przez krótką, przelotną chwilę, zatrzymały się na mojej twarzy z jakimś błagalnym wahaniem czy namysłem — ale nie! to musiało mi się zdawać, napewno tylko mi się zdawało, gdyż w tejże chwili podniosła obronnym ruchem rękę ze sztyletem i wyrzekła twardo:

— Nie wybiorę, a ciekawam, który z was się do mnie zbliżyć ośmieli! Nie chcę żadnego!

I znów, pamiętam, zdawało mi się, że ostatni wyraz zmiękł jej dziwnie w ustach, a oczy jej znów się z mym wzrokiem spotkały — ale niewątpliwie było to tylko złudzenie. Byłem wówczas tak podniecony... Święty Boże! chcę wierzyć, że to było złudzenie!

Tom, gdy matka wstała, usiadł na ziemi i patrzył z zaciekawieniem na całą scenę. Teraz Piotr dotknął ręką jego głowy. Marta to spostrzegła.

— Precz! — zawołała z trwogą — precz! nie zbliżaj się do niego! on mój!

Piotr się nie ruszył. Dotykając wciąż palcami głowy malca, patrzył na Martę uporczywie z szyderczym uśmiechem.

— A co będzie z Tomem? spytał wreszcie.

Marta zawahała się.

— Z Tomem? co będzie z Tomem? — powtórzyła prawie bezwiednie.

— A tak, gdy my pomrzemy, a on zostanie sam...

Te słowa uderzyły w nią jak piorun. Otworzyła szeroko

oczy, jakby dostrzegłszy nagle otchłań, o której dotąd nie myślała; westchnęła głęboko i usiadła, czując snadź, że sił jej brakuje.

— Tak, co będzie z Tomem... — powtarzała szeptem, patrząc na dziecko z bezradną rozpaczą.

A Piotr wtedy zaczął jej tłumaczyć i przedkładać, że dla miłości Toma musi wybrać jednego z nas. Wszakże nie zechce skazać ukochanego synka na straszną, samotną śmierć, a przedtem na straszniejsze jeszcze samotne życie? Cóż on będzie robił po naszym zgonie? Opuszczony, smutny, zdziczały, będzie się błakał samotnie po tych górach i nad brzegiem tego morza, ostatni człowiek, jedyny człowiek na tym globie, myślący o jednej tylko nieuchronnej rzeczy: o śmierci.

Przyjdą chwile, kiedy będzie przeklinał matkę, która mu dała życie. Nie mając się do kogo odezwać, zapomni ludzkiej mowy. Słowa, których się od nas nauczył, będzie gubił jedno po drugim, tak, jak się rozsypuje niebacznie pieniądze na pustyni, gdzie nic za nie kupić nie można. Może zostanie mu wreszcie w pamięci kilka ostatnich bezużytecznych słów, których dźwiękiem będzie się długo pieścił, choć to będą zapewne słowa straszne, wyrażające grozę, samotność, opuszczenie i smutek. Gdy będzie rozpaczał, nikt go nie ukoi; gdy będzie czego potrzebował, nikt mu nie pomoże. Jeśli zachoruje, u postania jego będzie stało jedynie okropne, szydercze widmo głodowej śmierci. Wtedy nawet psy, szczęśliwsze od niego o tyle, że się tu będą mnożyć i rozradzać, opuszczą swego pana, niezdolnego im już wydawać rozkazów. Może tylko jeden, wierniejszy, który mu był przyjacielem i towarzyszem samotności w braku człowieka, pozostanie dłużej, aż wkońcu, przerażony pełnemi ostatniej rozpaczny martwemi oczyma, których zamknąć nie będzie komu, zacznie wyć ze strachem przeciągłe i długo. Inne, już zdziczałe, zbiegną się na ten głos i... sprawią sobie ucztę z ciepłego jeszcze trupa ostatniego człowieka na Księżycu.

Mówił jeszcze długo, malując wszystkie okropności, na

jakie Tom będzie skazany po naszym zgonie, a ja — skarż mnie, Boże! — pomagałem mu pastwić się nad tą kobietą i przekonywałem ją, że dla Toma powinna wybrać jednego z nas...

Marta słuchała tego wszystkiego, nie odpowiadając ani słowa. Tylko na jej twarzy, początkowo zdumiałej, malowały się kolejno: strach, rozpacz, przygnębienie, rezygnacja.

Od południa słychać już było pierwsze, dalekie grzmoty nadchodzącej burzy... Marta siedziała niema.

Gdyśmy wreszcie skończyli i Piotr zapytał ją, czy się zgadza poślubić jednego z nas, zdawała się zrazu nie słyszeć pytania. Dopiero gdy je powtórzył, drgnęła i podniosła głowę, jakby ze snu obudzona. Popatrzyła na nas, a potem odezwała się głucho, z trudem wymawiając wyrazy:

— Ja wiem, wam nie o Toma idzie, ale wszystko jedno... Macie słuszność... Ja dla Toma... zrobię... wszystko...

Westchnęła spazmatycznie i umilkła.

— Brawo! — zawołał Piotr — to rozumnie! A zatem — dodał, pochylając się ku niej — którego z nas wolisz?

Ja stałem na uboczu i patrzyłem na Martę. Cofnęła się odruchowo, jakby przejęta nagłym wstrętem, ale opanowała się w tejże chwili i spojrzała na nas. I znowu, znowu, już poraz trzeci, zdawało mi się, że wzrok jej zatrzymał się chwilę na mnie, wzrok biednej, szczutej, osaczonej i o litość błagającej lani...

Wszystka krew uderzyła mi ze ściśnionego serca do mózgu. Musiał i Piotr jej spojrzenie pochwycić, bo zbladł nagle i zwrócił się ku mnie z wyrazem jakiejś strasznej zaciętości.

W tej chwili Marta wybuchnęła gwałtownym, długo powstrzymywanym płaczem i rzucając się na ziemię, zaczęła wśród łkań zawodzić z rozpaczą:

— Tomasz! mój Tomasz! mój dobry, ukochany Tomasz! Wzywała zmarłego, jakby ją mógł wybawić od żywych. Piotr zachnął się niecierpliwie.

— Niema co mówić, ani na co czekać — rzekł. — Ciągnijmy losy.

Chciałem się jeszcze opierać. Było mi duszno i straszno. Chmury powlokły już pół nieba; nad morzem raz wraz przelatowały olśniewające błyskawice.

Mały Tom, widząc matkę płaczącą, zaczął sam płakać. Postąpiłem krok ku Marcie.

— Marta...

— Marta — powtórzyłem, dotykując zlekka dłonią jej ramienia.

— Precz! precz! — zawołała — wy wstrętni obaj!...

— Ciągnijmy losy! — naglił Piotr.

Obejrzałem się. Stał za mną, trzymając w zamkniętej dłoni dwa końce chustki.

— Kto wyciągnie węzełek, ten ją weźmie. — Wskazał głową na leżącą wciąż na ziemi.

Ze mną działo się coś strasznego. W głowie miałem dziwną jasność, byłem nawet spokojny, tylko brakowało mi oddechu, jakby mi ktoś piersi całą górą przywalił. Patrzyłem na dwa rogi chustki, sterczące w Piotrowej dłoni i naprzód zajął mnie obrąbek, w jednym miejscu nieco oderwany... Potem przypomniała mi się inna scena, na *Marc Imbrium*, gdzie taksamo mieliśmy ciągnąć losy — o śmierć... jak teraz o... miłość!

Piotr się niecierpliwił.

— Ciągnij! — zawołał.

Spojrzałem na niego. Twarz miał kurczowo wykrzywioną, oczy białe we mnie uparcie. Zrozumiałem naraz wszystko. Jeśli wyciągnę los, będę musiał natychmiast zabić tego człowieka, gdyż w razie przeciwnym on mnie zabije. Mimowoli wsunąłem rękę do kieszeni, szukając broni. Ale wtem przyszło mi na myśl, że równie łatwo może się los dostać Piotrowi. Co wtedy? Czy będę miał dość siły, aby się wyrzec tej ukochanej kobiety, wiedząc, że marny przypadek wszystko rozstrzygnął? Czy się nie zbuntuję kiedy przeciw niemu?

Kroplisty pot pokrył mi czoło.

Gdybym wiedział, że Marta mnie woli, że ma dla mnie choć trochę więcej serca, niż dla Piotra, nie czekałbym losu.

Ale tak...

Wszak powiedziała przed chwilą: wstrętni obaj... Obaj! Mam jej zadawać gwałt i do tego zabijać człowieka... albo uchylić czoła przed przypadkiem?...

Spojrzałem na Martę. Przestała już płakać i siedziała teraz cicho, zapatrzona w dalekie morze, jakby nie wiedząc, że my tu o parę kroków...

Straszliwa, bezdenna, bolesna litość zdjęła mnie nad tą kobietą.

Trwało to wszystko zaledwie sekundę, ale już mimowoli wsuwałem znów palce w zanadrze i dotykając rękojeści rewolwera, wybierałem błędnym wzrokiem, kogo mam zabić: Piotra, Martę, siebie czy Toma, któregośmy zrobili nieświadomem narzędziem tortury dla niej.

Wreszcie po tem niesłychanem naprężeniu nerwów wszystko się we mnie rozprężyło. Została mi tylko obojętność i... duma. Otworzyłem dłoń, zaciśniętą już około rewolwera.

— Ciągnij! — zaszczał Piotr zdławionym głosem.

— Nie! — odpowiedziałem z nagłym postanowieniem.

— Co?!

— Nie będziemy ciągnęli losów.

Jeszcze nie mógł zrozumieć. Wsunął prędko rękę do kieszeni i usłyszałem trzask podnoszonego kurka rewolwera. — A więc i on był przygotowany; nie omyliłem się. Ruchem szybkim, jak błyskawica, chwyciłem go za obie ręce. Przegiął się i zwinął w żelaznym uścisku; w oczach miał najwyższe przerażenie.

Usłyszałem przeraźliwy krzyk Marty. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zadrgało w nim coś, jakgdyby radość, ale potem pomyślałem, że ona może obawia się o Piotra. Spojrzałem na niego; patrzył mi w oczy z bezsilną, rozpaczną

wściekłością. Zdawało mi się, że oczekiwał śmierci. Uśmiechnąłem się i wstrząsnąłem głową.

— Nie! to nie, to... Bierz ją sobie — rzekłem i puściłem go.

W pierwszej chwili oniemiał ze zdumienia. Popatrzył na mnie błędnie, a potem uśmiechnął się z przymusem:

— Jesteś szlachetny, tak, dziękuję ci... Co prawda, ja jestem młodszy, więc słusznie... Ale — tu zniżył głos — ale, czy mi przyrzekasz, że nigdy... nigdy...

Wskazał znów ruchem głowy w stronę Marty.

Spojrzałem mu w oczy.

— Tak, wiem, nie potrzeba... Dziękuję ci, ty jesteś... — wyrzekł prędko.

Przejął mnie wstręt nieopisany. Piotr zawahał się na chwilę, a potem odwrócił się szybko i podszedł ku Marcie... Spojrzałem i ja na nią i znowu nasze oczy się spotkały, ale teraz wzrok jej wyrażał jakąś bezbrzeżną pogardę, czy nienawiść. Odwróciła się natychmiast, gdy spostrzegła, że na nią patrzę.

— Marta, mam być twoim mężem — rzekł Piotr.

— Wiem o tem.

Wymówiła to całkiem obojętnie.

— Marta...

— Co?

— Zbliża się burza...

— Widzę...

Piotr westchnął nerwowo.

— Pójdź, ukryjmy się w pieczarze.

W oczach tliła mu się straszna, zwierzęca namiętność — przez kurczem ściśnięte szczęki z trudem dobywały się słowa, a ciałem jego wstrząsały raz po raz febryczne dreszcze.

Nie śmiałem spojrzeć na Martę. Usłyszałem tylko jej głos, stłumiony, obojętny:

— Dobrze. Idę...

Piotr zawahał się jeszcze:

— Marta, oddaj pierwszej sztylet.

Rzuciła nim o ziemię, aż ostrze dźwiękło po kamieniach i, nie oglądając się, weszła do groty. Piotr, chwyciwszy Toma na ręce, poskoczył za nią.

W tej chwili oślepiająca błyskawica przeleciała po czarnem niebie i głuchy, echem przedłużony huk grzmotu oznajmił początek burzy. Już i deszcz ulewny zaczynał padać, chłodząc spiekłą i wysuszoną ziemię.

Zakręciło mi się w głowie i runąłem na kamienie, wybuchając straszliwym, niemęskim łkaniem...

Nademną ryczały nieustanne gromy, a świat cały ćmił się rozszalałą ulewą.

Tak się ułożyło nasze życie na Księżycu...

IV.

Zaczęło się tedy dla mnie życie samotne... Stosunki me z Piotrem nigdy nie były zbyt serdeczne, a wobec Marty nie mogłem się przemóc, aby być takim samym, jak przedtem. Coś stało między nami; jakiś żal obustronny i wstyd... bo ja wiem? I ona zmieniła się nie do poznania. Schudła, pobladła, zbrzydła nawet; zawsze w sobie zamknięta i małomówna, zdawała się mnie unikać. Całe długie godziny spędzała sam na sam z Tomem. Jedyne widok tego dziecka mógł dokazać cudu, że twarz jej zasepiona rozjaśniła się na chwilę uśmiechem szczęścia. Syn był dla niej wszystkim, o nim tylko myślała. Brała go często na kolana i pieściła długo i namiętnie, albo opowiadała mu różne, przedziwne historje, których nawet nie mógł jeszcze rozumieć: o Ziemi, pozostawionej daleko, daleko w błękanie, o ojcu, leżącym w grobie wśród straszliwej pustyni, o sobie...

Piotr był zazdrosny. Zawsze dla dziecka niechętny, teraz spoglądał na nie czasem takim wzrokiem, że, znając jego charakter, obawiałem się, aby mu nie uczynił jakiej krzywdy. Zresztą zazdrosny był i o mnie, choć unikałem wszelkich pozorów, mogących mu dać pochop do tego. Z Martą sam na sam nie spotykałem się w początkach nigdy, a i w jego obecności niewiele z nią rozmawiałem. Za każdym razem jednak, gdy do niej słowo przemówił, czułem na sobie jego wzrok niespokojny i drapieżny.

Ciężkie było życie moje i Marty, ale bodaj czy on nie był najniezwyklejszy z nas trojga. Marta miała przynajmniej pociechę w dziecięciu, ja zaś to dumne, choć marne zadowolenie, jakie daje spełnienie dobrowolnej ofiary, podczas gdy on, Piotr, nękańy zazdrością przy boku pożądanej, a zimnej dla siebie kobiety, nigdzie nie miał oparcia. Ja mimowoli odsunąłem się od niego, a Marta była wprawdzie we wszystkim uległa i powolna jego życzeniom, ale na każdym kroku dawała mu do poznania, że uważa go jedynie za narzędzie, zapomocą którego chce zapewnić błogosławieństwo ludzkiego towarzystwa swemu synowi na Księżycu. Nie widziałem nigdy, aby się doń zwróciła i cieplejszem, serdecznem słowem; gdy okrywał jej ręce lub twarz pocałunkami, nie bronila się, ale siedziała nieruchoma, sztywna i obojętna, tylko w oczach jej przebijał się czasem wyraz znużenia i... wstrętu.

A przecież on ją kochał po swojemu, ten człowiek i wszelkich środków używał, aby wymóc na niej wzajemność — jak gdyby taką rzecz czemkolwiek można było wymóc! Były chwile, kiedy jej groził i starał się okazać swą przewagę, ale ona wtedy patrzyła nań obojętnie i spokojnie; nie strwożona, ale i nie mająca ochoty mu się sprzeciwić. Gdy co rozkazał, spełniała bez szemrania, ale i bez uśmiechu, zupełnie taksamo, jak wtedy, gdy o co prosił. To go doprowadzało do rozpaczki. Widziałem, że chciał czasem wywołać u niej bodaj bunt i nienawiść, aby ją tylko wyrwać z tej strasznej obojętności. Chwytał się więc ostatniego sposobu: prześladował Toma. Przy mnie nie śniał się tknąć dziecka; powiedziałem mu raz, że gdy najmniejszą krzywdę wyrządzi chłopcu, strzelę mu w łeb, a wiedział, że od owego pamiętnego południa zawsze rewolwer noszę przy sobie. Ale podczas mojej nieobecności bił Toma. Dowiedziałem się o tem dopiero znacznie później i przypadkiem. Marta bez słowa, bez wybuchu, pogroziła mu wtedy sztyletem, który ja jej oddałem, podniósłszy go wówczas, gdy wchodząc do groty, rzuciła nim o ziemię.

Więc znowu kiedyindziej, popadając z ostateczności w ostateczność, Piotr rzucał się jej do nóg i szlochał i błagał zmiłowania...

Byłem raz niepostrzeżenie świadkiem takiej sceny. Wracając był właśnie z samotnej wycieczki do dość odległych źródeł nafty, kiedy, zbliżywszy się ku domowi, usłyszałem podniesiony głos, a potem płacz Piotra. Marta siedziała na ławce w ogródku, założonym przez nas na wzgórzu, skąd się roztaczał niesłychanie wspaniały widok na góry i morze, a u nóg jej, na piasku, leżał Piotr. Złożone ręce oparł o jej kolana i modlił się do niej wprost twarzą, wzrokiem, głosem.

— Marta! — mówił — Marta, zmiłuj się ty nademną! czy nie widzisz, co się ze mną dzieje! Przecież to jest okropne... Ja szaleję za tobą, ja od zmysłów odchodzę, a ty... ty...

Jakieś spazmatyczne, niemiłe łkanie przerwało mu mowę. Marta nawet nie drgnęła.

— Czy chcesz czego odemnie, Piotrze? — spytała po chwili.

— Chcę twojej miłości!

— Jesteś moim mężem...

— Kochaj mię!

— Dobrze. Kocham cię...

Mówiła to wszystko powoli, spokojnie i tak strasznie obojętnie, że mnie aż mróz przeszedł.

Piotr zerwał się na równe nogi:

— Kobieto! nie drażnij mnie! — syknął.

— Dobrze. Nie będę cię drażniła.

Piotr chwycił ją obiema rękami za ramiona; twarz miał ściągniętą od bezsilnej wściekłości. Mimowoli wyciągnąłem rewolwer; tętno biło mi gwałtownie, ale czułem, że mi ręka nie zdrzęży.

— Czy mnie chcesz bić, Piotrze? — zapytała Marta znowu takim głosem, jakby mówiła: Czy chcesz się napić wody?

— Tak, będę cię bił, tłukł, mordował, aż... aż...

— Dobrze, bij mię, Piotrze...

On jęknął i zatoczył się, jak pijany.

Przystąpiłem bliżej, aby przerwać swą obecnością tę straszną scenę.

Widok wieczystego, przygnębiającego smutku Marty i wewnętrznych, okropnych walk Piotra, był mi nad wszelki wyraz przykry, a że i oni unikali mnie po części, choć każde z innego powodu, więc tak wszystko złożyło się na to, że większą część długich dni księżycowych spędzałem w najzupełniejszej samotności. Przywykłem do tego powoli. Zresztą mogłem już teraz myśla o przyszłości zapełnić pustkę i nudę, na którą się sam dobrowolnie skazałem. Inaczej wprawdzie wyobrażałem sobie był niegdyś małżeństwo „jednego z nas“ z Martą: marzyłem o jakiejś pogodnej, cichej, choć niepozabawionej tęsknego smutku sielance, o nowym, serdecznym węźle, łączącym nasze szczupłe grono, o rozmowach długich, prowadzonych głosem przyciszonym, a wypełnionych zapobiegliwą troską o szczęście i wygody tych, którzy mają przyjść po nas; ale choć rzeczywistość zniszczyła doszczętnie te wszystkie piękne marzenia, to przecież dała mi jeden nieoceniony skarb: nadzieję nowego pokolenia. Kochałem już to przyszłe pokolenie, te niemoje dzieci, jeszcze nim przyszły na świat. W długich, samotnych wędrówkach myślałem o nich nieustannie. Dla nich gromadziłem zapasy, badałem okolicę, spisywałem spostrzeżenia; dla nich odgrzebałem z pyłu i uporządkowałem przywiezioną z Ziemi biblioteczkę; dla nich robiłem cegły i wypalałem wapno, aby zbudować murowany dom i małe obserwatorium astronomiczne; dla nich wytapiałem z rudy żelazo, albo kulem ze srebra, obficie się tu zachodzącego, różne naczynia, sporządzałem szkło, papier i inne, niezbędne dla cywilizowanego człowieka materjały. Tak się niewymownie cieszyłem temi dziećmi, które się miały dopiero narodzić! Zdawało mi się, że z ich przyjściem coś się musi koniecznie zmienić na lepsze, że ich uśmiech i szczebiot rozwieje wreszcie tę duszną atmosferę, która wśród nas panowała.

Nie czekałem zbyt długo. W rok niespełna powiła Marta bliźniaczki: dwie córeczki. Przyszły na świat w nocy. Gdy usłyszałem z drugiej izby, gdzie siedziałem z Tomem, ich pierwszy, słaby płacz, zerwałem się, podrzucony szaloną radością, ale w tejże chwili ścisnął mnie za serce taki straszliwy, nieukojony ból, że zacząłem gryść palce, aby stłumić przemocą wydzierające się łkania, a łzy polały mi się z oczu.

Tom patrzył na mnie ze zdziwieniem, nad słuchując równocześnie głosów, dochodzących z drugiej izby.

— Wuju — rzekł wreszcie (tak mnie zawsze nazywał) — wuju, co to tam tak płacze, czy mama?

— Nie, dziecko, to nie mama płacze, to... takie małe dzieciątko, jak ty, jeszcze mniejsze.

Tom zrobił poważną minę i zaczął się namyślać.

— A skąd to dziecko, a po co to dziecko? — pytał znów.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. On tymczasem przypatrywał mi się bacznie.

— Wuju, a o co wuj płacze? zapytał nagle.

Istotnie, o co ja płakałem?

— Bom głupi! — rzekłem opryskliwie, odpowiadając raczej własnym myślom, niż jemu.

Dzieciak pokiwał głową z niestychaną powagą.

— A nieprawda! ja wiem, że wuj niegłupi. Mama tak nie mówiła. Mama powiedziała, że wuj jest dobry, bardzo dobry, tylko... tylko...

— Tylko co? jak ci mama powiedziała?

— Zapomniałem...

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr. Był blady i widocznie wzruszony. Uśmiechnął się do mnie gorzko, ale szczerze, poraz pierwszy od roku, i rzekł:

— Dwie córki...

A potem dodał:

— Janie, proszę cię, Marta chciała, żebyś jej przyprowadził Toma.

Wszedłem do izby, gdzie leżała chora. Zobaczywszy syna, wyciągnęła do niego ręce odrazu.

— Tom! pójdźże i patrz! masz dwie siostrzyczki, dwie naraz! To dla ciebie! Ty mi przebaczysz, Tom, prawda? przebaczysz... Ale to dla ciebie, tylko dla ciebie, mój najmilszy, jedyny, ukochany synku! — mówiła urywanym głosem, przyciskając dziecko do piersi.

Tom się zadumał.

— Mamo, a co ja będę robił z temi siostrzyczkami?

— Co ci się spodoba, mój maleńki, będziesz je bił, kochał, drapał, pieścił, wszystko, co ci się spodoba! A one będą cię słuchały i pracowały za ciebie, gdy dorosną, wiesz?

— Marta! — co ty mówisz! — krzyknął Piotr — Marta! to są moje dzieci!

Popatrzyła na niego chłodno:

— Wiem o tem, Piotrze, to są *twoje* dzieci...

Piotr zrobił ruch, jakby się na nią chciał rzucić, ale przemógł się i przystępując do łóżka, rzekł, jak umiał najłagodniej:

— To są *nasze* dzieci, Marta. Czy nie masz już dla mnie żadnego słowa? nic?...

— Owszem. Dziękuję ci.

Poczem zaczęła znowu głaskać i całować namiętnie jasną główkę syna:

— Mój Tom, mój najmilszy, ukochany, złoty synek...

Piotr wybiegł z izby jak oszalały, a mnie robiło się duszno. Było coś potwornego w tej wyłącznej miłości matki.

Narodziny tych dwóch dziewczątek, Lili i Róży, niewiele zmieniły nasze życie — wbrew oczekiwaniom. Stosunek Piotra i Marty wciąż był jednakowy. Współczułem oddawna z Martą, ale teraz zaczęłem czuć głęboką litość nad losem tego człowieka. Osowiał, zasepił się; w każdym słowie, w każdym ruchu jego znać było ogromne, śmiertelne znużenie i przygnębienie. Młodszy o kilka lat odemnie, pochylił się i osiwił;

zapadłe oczy płonęły mu jakimś niezdrowym blaskiem. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że rok życia zdoła tak złamać ten niespożyty organizm, który przetrwał zwycięsko, najlepiej z nas wszystkich, niesłychane trudy podróży przez pustynię. Ostatecznie powodem tego była Marta, ale nie mogłem jej winić... Kochała tego pierwszego, który umarł; poza nim i jego synem nie było już miejsca w jej sercu — to było całe nieszczęście.

Zdaje mi się nawet, że córka nie kochała. Dbała o nie wprawdzie troskliwie, ale widoczne było, że robiła to tylko z myślą o Tomie. Miały dla niej znaczenie cennych zabawek dla synka, których nie trzeba uszkodzić, rzadkich zwierzątek, wymagających bacznego i pielęgnowania, bo strata mogłaby być niepowetowana. Nawet sposób, w jaki się wyrażała o córkach, świadczył o tem; mówiła o nich zawsze: Tomowe dziewczynki. Piotr patrzył na to bezradny i posępniał coraz więcej.

W każdym razie te dzieci sprawiały Marcie wiele kłopotu i w pierwszych zwłaszcza miesiącach zajmowały dużo czasu; tak się więc złożyło, że Tom był nieustannie pod moją opieką. Zyskałem towarzysza. Dzieciak był bardzo rozumny i nad wiek rozwinięty. Wypytywał się ciągle o rozmaite rzeczy i rozmawiał ze mną jak dorosły. Po pewnym czasie tak się przywiązałem do niego, że niepodobna mi już było obejść się bez jego towarzystwa. Przez kilka samotnych dni księżycowych przyzwyczaiłem się do nieustannej włości; teraz na wszystkie, nawet dalekie wycieczki, brałem ze sobą Toma. Marta powierzała mi go chętnie, wiedząc, że jest przy mnie bezpieczny, bezpieczniejszy nawet, niż w domu, gdyż ojczym nie mógł go znosić.

Zbudowałem wózek i nauczyłem sześć tęgich psów chodzić w zaprzęgu. Wobec lekkości naszej na Księżycu, wystarczał ten zaprzęg najzupełniej, aby nas łatwo i szybko przewozić z miejsca na miejsce. Czasem robiliśmy dalsze wycieczki, trwające dwa i więcej dni księżycowych. Wtedy, ze względu

na nocne mrozy, brałem wóz szczelnie zamykany, pędzony elektrycznym motorem i dający się opalać, który przerobiłem z naszego starego wozu, zmniejszywszy go znacznie. Wewnątrz, oprócz mnie i Toma, mieściły się jeszcze dwa psy, oraz znaczne zapasy żywności i paliwa.

W ten sposób podróżując, zwiedziliśmy z Tomem prawie całe północne wybrzeże środkowego morza księżycowego i dostaliśmy się na wschód i zachód, aż tak daleko, gdzie już rozrzedzające się ku krańcom pustyni powietrze zmusiło nas do odwrotu. Najdalej ku zachodowi wysuniętym punktem, gdzieśmy dotarli, było *Mare Humboltianum*, nizina, położona pod tą mniej więcej szerokością księżycową, co *Mare Frigoris*, a widoczna czasem z Ziemi podczas sprzyjających libracji Księżyca, jak mała, ciemna chmurka na samym prawym rąbku górnej części srebrzystej tarczy.

I myśmy już stąd zobaczyli Ziemię, wyłaniającą się z pod horyzontu. Zatrzymałem się tu przez całą, długą, dwutygodniową noc, aby się tylko napaść do syta widokiem tego, oddawna niewidzianego, od dawniejsza jeszcze porzuconego rodzinnego mojego świata.

O wschodzie słońca Ziemia stanęła w pełni (znajdowaliśmy się bowiem na 90 południku, stanowiącym zachodnią granicę widocznej półkuli Księżyca). Gdy zobaczyłem tę rozlśnioną, zlekka zarumienioną tarczę i spostrzegłem przesuwające się po niej jasne zarysy Europy, oładnęła mną naraz taka niewysłowiona, nieprzemierzona tęsknota za tym globem, świecącym na niebie, że nie umiałem dać sobie rady. Zdawało mi się, że — wypędzony z raj — zobaczył znowu po długiej wędrówce na chwilę jego obłask złoty i wyciągnąłem ręce ku niemu z nierozumieniem, naiwnością, dziecinnością, ale niepoohamowanym pragnieniem: dostania się tam jeszcze raz, choćby... po śmierci. Jednak w tej chwili przypomniła mi się Ziemia taka, jaką ją widziałem poraz ostatni w Kraju Biegunowym: zczerniała, trupia, na tle krwawej pozozi — i nagle ogarnął mnie wielki smutek.

Wszystkie nieszczęścia, wszystkie złe namiętności i nędze ludzkie, które tam od wieków prześladują ród człowieczy, nie wyłączając i groźnej ich królowej, nieubłaganej śmierci, przyszły tu za nami, na ten glob, dotąd cichy i spokojny w swej martwocie. Wszędzie złe jest człowiekowi, bo wszędzie nosi sam w sobie zaród nieszczęścia.

Ponure dumania przerwał mi głos Toma. Stał przy mnie, obudziwszy się przed chwilą z długiego snu i patrzył na nieznanany, świetlisty krąg na niebie.

— Wuju, a co to jest? — rzekł wreszcie, wyciągając rączkę.

— Przecież wiesz, to jest Ziemia. Mówiłem ci nieraz, że cię zawiozę tu, skąd ją widać i pokażę. Zresztą widziałeś już ją przecie, gdyśmy tu przyjechali, nie pamiętasz?

— Nie, nie widziałem tej Ziemi. Tamta była inna, taka z jednej strony rogata, a ta jest okrągła.

— To jest ta sama Ziemia, dziecko.

Tom namyślał się przez chwilę.

— Wuju...

— Co?

— Ja już wiem, to ona pewnie urosła, albo rozwinęła się rano, tak jak te duże liście.

Starąłem mu się wytłumaczyć, jak umiałem najprzystępniej, powód zmian Ziemi. Słuchał z roztargnieniem, widocznie nie rozumiejąc tego, co mówiłem. Wreszcie przerwał mi znowu zapytaniem:

— Wuju, a co to jest, ta Ziemia?

Opowiadałem mu tedy, może poraz setny, że są tam morza, góry, łądy i rzeki takie, jak na Księżycu, tylko daleko większe i piękniejsze; że jest tam dużo domów, zbudowanych obok siebie, które się nazywają miastami, a w tych miastach mieszka wiele, wiele, całe mnóstwo ludzi i małych dzieci; mówiłem, że stamtąd przybyliśmy na Księżyc; i ja i mama i Piotr i ojciec jego, który już nie żyje, a nawet oba stare psy, Zagraj i Leda, z którymi tak się lubi bawić.

Gdym skończył, Tom, słuchający opowiadania z wielkiem zajęciem, zrobił filuterną minkę i rzekł, głaszcząc mnie po brodzie:

— To ja już wiem, ale teraz, proszę cię, wuju, nie żartuj, tylko powiedz, tak *naprawdę*, co to jest, ta Ziemia?

Oba psy stały przy nas i przekrzywiając głowy, przypatrywały się również ciekawie świecącemu na niebie kręgowi.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca puściliśmy się w drogę z powrotem. Ziemia, przyćmiona blaskiem dziennym, widniała za nami już tylko jako szaro-popielaty, kolisty obłok, wystający z za widnokręgu.

Kiedyindziej odbyliśmy znowu daleką wycieczkę ku południu. Wybrzeże morskie, biegnące łamaną linią, mniej więcej między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym równoleżnikiem, cofa się w okolicy 140° wsch. szer. księż. ku równikowi, tworząc na kilka kilometrów szeroki półwysep, a może i przesmyk, łączący się z lądami południowej półkuli. Chciałem się być właśnie o tem przekonać i dlatego puściłem się owym językiem, ale nie zdołałem dotrzeć dalej, jak tylko do trzydziestego równoleżnika. W dalszem posuwaniu się na południe powstrzymał mnie klimat, niepodobny do zniesienia. Noce, mimo sąsiedztwa mórz, były tak mroźne, że przypominały mi zimna, panujące na bezpowietrznej półkuli, a podczas straszliwego skwaru dziennego nie ustawały prawie potworne, orkanowe burze. Grunt był skalisty, wulkaniczny i zupełnie nagi. Żadnej rośliny, żadnego życia, nic — tylko okropna, martwa pustynia między dwoma nieprzejrzanemi morzami, wśród których sterczały ostre czuby wulkanicznych wysp, nierzadko owinięte chmurą dymu albo krwawą łuną ognia.

Była chwila podczas tej wycieczki, kiedy żałowałem już, że wziąłem Toma ze sobą, obawiając się, abyśmy obaj nie stracili życia. Nie mogąc dla stromych gór posuwać się środkiem owego pasa łądu, trzymaliśmy się wschodniego wybrzeża, gdzie u stóp dzikich i fantastycznych skał ciągnęła się na paręset metrów szeroka, niska równina. Było około południa i przy-

plyw, wywołany przyciąganiem słońca, nadzwyczajnie tutaj powolny, ale dość znaczny, podniósł morze tak, że się jego powierzchnia zrównała prawie z poziomem wybrzeża. Obawiając się zatopienia tych miejsc, gdzieśmy się znajdowali, oglądałem się już za jakim wyjściem na strome zbocza skał, gdy wtem zerwała się burza, poprzedzona nagłym orkanem ze wschodu. Ogromne fale zaczęły skakać na brzeg; jedna z nich uderzyła w nasz wóz i rzuciła go kilkadziesiąt kroków wstecz, tuż pod wystający cypel skalny. Nie było ani chwili do stracenia. Przytroczyłem wóz łańcuchem do głazu, poczem, zamknąwszy go szczelnie z zewnątrz, zacząłem się z Tomem na ramionach wdierać na skały. Nie pamiętam w życiu takiej śmiertelnej trwogi, jaką przeżyłem wówczas. Uciepiony u zwietrzałych głazów nogami i jedną ręką — w drugiej trzymałem chłopca, drżącego z przestachu — miałem wprost pod sobą rozhukane, wściekle, spienione morze, a nad głową zionącą deszczem i gromami chmurę. Na szczęście zrab skalny zastaniał mnie od bezpośredniego natarcia huraganu, gdyż w przeciwnym razie byłbym niewątpliwie runął w przepaść wraz z głazami, które, oderwane wichrem u szczytu, sypały się gradem dookoła mej głowy. Straszne położenie pogarszał jeszcze piekielny niepokój o wóz, pozostawiony w dole. Gdyby bałwany zerwały łańcuch i uniosły wóz, albo rozbiły go o skały, ba! tylko motor uszkodziły, byliśmy wydani niechybnie na zgubę, gdyż piechotą, bez zapasów żywności, bez ochrony przed zimnem, nie zdołalibyśmy się dostać do domu. To też jak tylko wydrapałem się do miejsca, gdzie można było wygodnie oprzeć nogi, usadowiłem Toma pod głazem, okrywszy go dobrze i przywiązawszy tak, aby go wicher nie strącił, a sam powróciłem zaraz na dół w celu lepszego umocowania wozu. Po wielu trudach udało mi się wreszcie zaciągnąć go w rozpadlinę, gdzie był zabezpieczony od uderzeń bałwanów.

Kilka godzin przesiedzieliśmy tak z Tomem, oczekując końca burzy. Zalekziony dzieciak tulił się do mnie i dopyty-

wał z płaczem, pociśmy tu przyszli? Nie umiałem mu odpowiedzieć, pociśmy tu przyszli, tak jak oddawna nie umiem już odpowiedzieć sam sobie, poci wogóle przyszliśmy na Księżyc...

Nauczony doświadczeniem, byłem już ostrożniejszy z powrotem i wybierałem drogę, dostatecznie wzniesioną nad poziom morza.

Zresztą był to jedyny wypadek, kiedy w podróży groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Wszystkie inne wyprawy odbywaliśmy bez przygód i wesoło.

Mieliśmy także dużą i mocną łódź. Drugi motor elektryczny, który niegdyś miał służyć nieszczęśliwym Remognerom, naprawiłem na spółkę z Piotrem i umieściłem w szalupie, aby poruszał pędzącą ją śrubę. Szalupy tej używaliśmy do wypraw rybackich, a także puszczałem się nią z Tomem w przedpołudniowych lub wieczornych okresach ciszy na pełne morze.

Podczas jednej z takich wycieczek odkryłem wyspę, ze wszech miar godną uwagi. Już zdaleka zastanowiła mnie jej postać...

Wszystkie wyspy, które poznałem do tego czasu, były albo wysadzonymi nad powierzchnię morza wulkanami, albo też szczytami zalanych wodą gór pierścieniowych. Ta zaś zrobiła na mnie odrazu wrażenie szczątku morzem pochłoniętego lądu. — Była obszerna i dość płaska, jedynie w południowo-zachodniej jej stronie wznosiło się pasmo gór, niewysokich, pokruszonych odwiecznym działaniem deszczów i wichru. Brzegi miała strome, uderzeniami fal snadź wyżarte, gdyż morze na szerokiej przestrzeni wokoło było tak płytkie i zasłane mierzwiakami, że trudno nam było naszą, nieznacznie tylko zagłębiającą się szalupą przybić do lądu.

A ląd to był ciekawy, zgoła niepodobny do znanych nam okolic księżycowych. Przedewszystkiem zastanowiła mnie całkowicie odmienna roślinność; mniej bujna, niż gdzieindziej, odznaczała się bez porównania większą różnorodnością gatunków. Na tych kilku kwadratowych kilometrach ziemi spotkałem za-

ledwie trzy czy cztery krzewy, znane mi skądinąd, ale za to niezliczoną moc roślin, nie znachodzących się gdzieindziej. Wszystkie były dziwnie smutne i skarłałe. Patrząc na nie, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mam przed sobą resztki pokolenia zmarłego i zewsząd wypartego, które się tutaj jakimś cudem ostało jeszcze, świadcząc o postaci życia na Księżycu przed wielu, wielu wiekami, kiedy tu, gdzie teraz jest morze, były łądy, a woda zalewała inne okolice.

Tosamo myślałem, zobaczywszy zwierzęta, żyjące na tej dziwnej wyspie. Niewiele ich było, te jednak, które spotkałem, różniły się również od wszystkich mi znanych. Było coś starczego i smutnego w ich wyglądzie i zachowaniu się. Gdy przechodziłem, wylażyły z nor, niedołożne, karłowate potworki i patrzyły na mnie rozumnie i ostrożnie, ale bez obawy. Dopiero pies, którego wziąłem był ze sobą, napędził im strachu; poczęły się kryć przed jego napaścią, wydając napoty gniewne, napoty żałośnie sapanie, będące, jak się przekonałem, jedynym głosem, jaki są zdolne wydać.

Tom był ze mną — jak zawsze. Dziwił się wszystkiemu i wciąż się zatrzymywał, zajęty to jakimś barwnym kamykiem lub muszlą, to napotkaną wonną roślinką, która układem listków przypominała ziemskie kwiaty. Odszedłem był właśnie od niego kilkadziesiąt kroków, gdy postłyszałem wołanie:

— Wujul wujul chodź-no i patrz, jakie ładne kije!

Zwróciłem się i zobaczyłem, że malec siedzi na ziemi wśród mnóstwa białych, cienkich a długich kości. Zacząłem je oglądać; nie znam na Księżycu zwierzęcia, z któregoby mogły pochodzić.

Schyliwszy się, spostrzegłem między niemi zastanawiający przedmiot: był to kawałek grubej, z jednej strony mocno zdartej blachy miedzianej, przypominającej kształtem szeroki nóż. Serce zabiło mi gwałtownie: jeślim się nie mylił, jeśli to istotnie był przedmiot sztucznie obrobiony, to na Księżycu kiedyś, dawno przed naszym przybyciem, żyły już istoty rozumne.

Przypomniało mi się owo miasto umarłych, spotkane przed laty na *Mare Imbrium*, a pamiętne strasznym wypadkiem, który spowodował śmierć Woodbella. Odjechaliśmy wówczas od tych skał, tak łudząco podobnych do ruin, w których niegdyś może rozbrzmiewało życie i nie przekonaliśmy się, czem były właściwie: przedziwną igraszką przyrody, czy też upiorem grodu, zamarłego przed wiekami, a oto teraz znalazłem znowu rzecz, zdającą się świadczyć o istnieniu tutaj rozumnych stworzeń na długo, długo przed naszym przybyciem.

Zabrałem się do skrzętnych poszukiwań.

Zwiedziłem całą wyspę wzdłuż i wszerz, wchodziłem do skalistych grot u stóp pasma wzgórz, ale nie znalazłem niczego, co by mnie mogło niewątpliwie przekonać o słuszności moich przypuszczeń. Wprawdzie zdawało mi się, że w tej i owej grocie spostrzegam ślady celowej pracy; na wybrzeżu niewielkiego stawku znalazłem dwa czy trzy kawałki skamieniałego korzenia, które miały na sobie jakieś niby narznięcia, a grobla, zmuszająca strumyk do rozlania się w staw, wyglądała tak, jakby była sztucznie zbudowana, w innej znów stronie leżały na sobie głązy, jakby szczątek zwałonego muru; ale to wszystko mogło być zarówno dziełem przypadku, albo nierozumnych, ale przemyślnych zwierząt. Wszakże na Ziemi bobry naprzykład wznoszą ciekawe budowle.

Nie rozwiązałem tedy najważniejszej zagadki, ale w każdym razie wskutek dokonywanych poszukiwań upewniłem się w mniemaniu, powziętem od samego początku, że wyspa ta jest pozostałością większego, zaginionego w morzu lądu i daje przybliżony obraz świata księżycowego i rozwijającego się na nim życia w epokach zamierzchłych, poprzedzających okres obecny.

Nazwałem ten kraj Wyspą Cmentarną. Lubiłem tutaj często zajrzeć i patrzeć ze szczytu wzgórz na rozciągające się dookoła, słońcem posrebrzone morze, pod którego falami zagięła prawdopodobnie reszta tego lądu — i życie kto wie, jak dziwnie i bogate?

Przedemną na widnokręgu widniały szczyty dalekich wulkanów, nad którymi panował chmurny, prawie nieustannie luną nakryty, olbrzymi stożek Otamora. Morze szumiało, wzdychając się przyplływem ku leniwie pełzającemu po niebie słońcu, a ja, kołyszany tym szumem wielkim i szerokim, mającym w sobie coś z szelestu skrzydeł przelatujących eonów, coś z tajemniczego głosu ludzkiej duszy — pogrążony w pół-śnie, pół-jawie — marzyłem o tem, co na tym globie przeszło, może bez świadka myślącego, a bezpowrotnie.

Kiedy się tutaj życie rozpoczęło? Może wtedy Ziemia, zawieszona w mroźnych przestworzach, stygła dopiero na powierzchni, a słońce, z powodu szybszego ruchu obrotowego księżycowej bryły, który z wiekami zwolniał dopiero, szło rażniej nad tutejsze lądy i morza, znacząc bujnemu, budzącemu się życiu dni i nocę krótkie, szybko po sobie następujące, bez mrozu i bez nieznośnego skwaru? Wówczas — i Ziemia nie stała nad straszliwą pustynią śmierci, lecz krążyła po księżycowem niebie, wschodząc i zachodząc... Wówczas — może nie było jeszcze wcale bezpowietrznej i bezwodnej pustyni?

Wszak wieki długie, niesłuchanie długie wieki martwoty mogły na tej półkuli, która, zwróciwszy się raz stałe ku Ziemi, straciła powietrze, a z niem wodę, zatrzeć tak dalece wszelki ślad dawnego życia, że dzisiaj tak się wydaje, jakby pustynią była od początku świata? Tomasz niegdyś to przypuszczał.

Przymykałem oczy i wyobrażałem sobie, że w nieustannym i jednostajnym łoskocie fal morskich słyszę głosy owego pierwotnego życia. Lasy, złożone z drzew wybujałych i śmigłych, niepotrzebujących giąć się i stulać przed mrozem nocy, którego jeszcze niema, szumią, rozkołyszane wiatrem; przez gąszcza ich przedzierają się zwierzęta, ogromne i silne, ojce skarłałych dziś na tym świecie potomków; w gałęziach łopocą skrzydła potężnych, latających jaszczurów... Jest wieczór i wiatr przycicha na chwilę, a tam nad mgły oparzelisk wstaje olbrzymi, krwawy, jasny krąg Ziemi.

I kto wie, kto wie, czy na to światło wschodzące nie patrzyły z murów miast ogromnych i z wysmukłych wieżycy oczy rozumne? czy nie wyciągały się ku niemu jakie ręce, od mądrej pracy oderwane, aby powitać srebrnego anioła-stróża, co rozjaśnia długie noce?

Kto wie, czy tu, na Księżycu, nie domyślano się kiedy, że na tym olbrzymim globie, wśród nieb zawieszonych, są także istoty myślące, czy nie zgadywano, jak wyglądają, jak żyją?

I mimowoli wyobrażenia moja w inną zwracała się stronę; odrywała się od Księżycy, jak ptak wylatujący z klatki i szybowała dalej, setki tysięcy kilometrów w przestworze, tam do tej Ziemi, którą mi tęsknota tak upiększała i takim malowała czarem, jak słońce zachodzące maluje gór śnieżne szczyty.

Zazwyczaj marzenia te na Wyspie Cmentarnej przerywał Tom, zniecierpliwiony zbyt długim mojem milczeniem.

Wracaliśmy tedy do domu, gdzie Marta niecierpliwie oczekiwała malca.

Tutaj Tom nie należał już do mnie. Matka, stęskniona długą rozłąką, chwyciła go w objęcia, a gdy się skończyły niezliczone, namiętne uściski i pocałunki, siadała z nim na progu i poczyniła swą wiecznie powtarzaną opowieść o młodym, pięknym i dobrym Angliku, jego ojcu, za którym ona poszła na Księżyc, a który śpi pod piaskiem wielkiej i cichej księżycowej pustyni. Wkońcu opowiadała już raczej sobie samej, niż synowi, a gorące, rześiste łzy płynęły jej na jasną główkę dziecka.

Piotr, złamany i przygnębiony, dłuubał coś koło domu, albo szedł doglądać dziewczątek.

Ja, niepotrzebny nikomu, cofałem się więc znowu na ubocze, aby dumać w samotności, albo zająć się jaką robotą.

Godziny mijały po godzinach, słońce wschodziło i zachodziło, przechodziły ziemskie lata, liczone z trudem na dniach księżycowych, Tom wyrastał i dziewczątka biegały już za nim po łąkach, ale dla mnie nic się nie zmieniło.

Starym nałogiem włóczyłem się samotnie po całym, pustym

kraju, spędzałem długie godziny na Wyspie Cmentarnej, a gdy przyszedł do domu, patrzyłem nieodmiennie na smutną, milczącą Martę i na Piotra, podobnego raczej do upiora, niż do żywego człowieka...

I tylko tęsknota za Ziemią wzbierała wciąż w mej piersi i rosła z latami, aż stała się wkońcu nieznośnym, przytłaczającym ciężarem. Aby się przed nią bronić, myślałem o nowym pokoleniu, chwyciłem się gorączkowo roboty, ale w chwilach przerwy, kiedy znużony i wyczerpany padałem na ziemię, ona powracała — zwycięzka, nieodparta, pokazując mi blade twarze moich towarzyszy tutaj i rozmaite sny o tamtych, których opuściłem na wieki...

V.

Tam, gdzie są lata, znaczone zmiennymi porami i słońcem, którego łuk wznosi się lub opada na sklepieniu niebieskiem: na Ziemi, siódmy rok już dobiegał od czasu naszego przybycia na Księżyc, kiedy Marta spostrzegła, że będzie poraz trzeci matką. Przyjścia dziecka oczekiwała niecierpliwie, spodziewając się, że to będzie syn, którego z góry przeznaczała na raba Tomowi. Nie kryła się z tem zgoła, owszem, gdy tylko spostrzegła, że po długiej przerwie znowu ma zostać matką, powiedziała do nas:

— Teraz dopiero będę spokojna, gdy dam Tomowi nareszcie służącego i niewolnika...

Mówiła to napozór obojętnie, jak się mówi o jakiejś rzeczy bardzo naturalnej, ale ja dostrzegłem w jej głosie dziwną, skomplikowaną nutę...

Było to coś, jakby okrzyk tak ciężko okupionego triumfu, że przez to już prawie triumfem być przestaje, — coś, jak westchnienie robotnika, zrzucającego z ramion własnowolnie podjęte brzemie, ze wstrętem, ale i z radością, że wyniósł je tam, gdzie zamierzył i nie upadł, nie zrzucił go pierwej.

Piotr, złamany zupełnie, oddawna poddawał się już spokojnie okrucieństwu Marty, która go raniła ciągle każdym słowem, każdym czynem, a tak nieznacznie i nieubłagane, jak-gdyby czyniła to bezwiednie, będąc tylko narzędziem jakiejś okropnej fatalności. Ale wówczas po tych słowach Marty

spojrzał na nią przygastym wzrokiem i uśmiechnął się szyderczo, a potem wyciągnął rękę do Toma. Chwycił chłopca za ramię i przyciągnąwszy ku sobie, zaczął go oglądać. Tom umysłowo był bardzo rozwinięty, ale, jak na swój wiek, wyglądał nader wątłe. Ojczym odsunął szeroki rękaw jego bluzy i obnażył drobne, dziecięce ramię, uderzył zlekka dłonią w jego wąskie barki, pomacał uda i kolana, stuknął w pierś, uśmiechnął się znów szyderczo i, trzymając rękę na głowie zalęknionego chłopca, zaczął powoli cedzić słowa, ze wzrokiem utkwionym w Marcie:

— Tak... Tom jest ostatecznie dość mocny, aby przewodzić nad dziewczętami, ale jego brat może być silniejszy.

Marta zbladła i spojrzała niespokojnie na chłopca.

Ale niepokój jej nie trwał długo. W błyszczących oczach dziecka wyczytała snadź to, co musiało być po wszystkie czasy wypisane w oczach twórców nowego porządku, bo uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała krótko:

— Tom będzie silniejszy, choćby tamten miał być i większy.

Rzeczywiście Tom już wtenczas, jako małe, sześćoletnie chłopię, zdradzał nadzwyczajną bystrość i energję. Rozwijał się bardzo prędko i w sposób jakiś szczególny, pod wieloma względami odmienny od tego, w jaki rozbudza się zazwyczaj dusza dzieci, tam na Ziemi. Zawczasu nauczył się samodzielności i miał zmysł praktyczny tak nadzwyczajnie rozwinięty, że nas czasem zadziwiał. Nie było u niego ani śladu owego marzycielstwa ziemskich dzieci, niewątpliwie bardzo powabnego, ale świadczącego zarazem o jakiejś sztucznej wybujałości umysłu. Tom był trzeźwy, tak strasznie trzeźwy, że mnie aż serce bolało, gdym patrzył na tę jasnowłosą główkę dziecka, w której myśli, nie przerywane i nie plątane niesfornymi marzeniami, płynęły tak spokojnym i zwartym szeregiem, jakby pod łusą czaszką starca. Chłopak, mimo wszystko, miał dużo serca: kochał matkę nadzwyczajnie i do mnie bardzo się przywiązał,

jedynie Piotra nie mógł znosić. Zawsze pewny siebie i przytomny, jak ojciec, w jego obecności bywał załęczniony i zmieszany. Zresztą nie wiem nawet, czy użyłem odpowiednich wyrazów na określenie tego, co się musiało dzieć w duszy tego dziecka w obecności ojczyma. Milczał przy nim zawsze tak uparcie, że zdawało się, wolałby narazić się nawet na plagi, niż usta otworzyć. Oczy tylko biegały mu niespokojnie. Był w jego zachowaniu się jakiś strach, ale też był i upór i zaciętość i nienawiść i wstręt... Piotr to czuł i widział i zdaje mi się, że już wtenczas sam się bał tego dziwnego dzieciaka.

Marta miała słuszność: Tom nie był jednym z tych, którzy stworzeni są na to, aby kogokolwiek słuchać. Zadużo w nim było stanowczego, światowładnego ducha angielskiego i zadużo płomiennej krwi dumnych radzów z Travancore.

To też pewien byłem, że jeśli mu się brat narodzi, choćby nawet był większy i silniejszy od niego, będzie za nim taksamo biegał i taksamo pokornie w oczy mu patrzył, jak te dwie małe dziewczynki, Lili i Róża.

Ale Tomowi brat się nie narodził; przyszła natomiast na świat trzecia dziewczynka, którąśmy nazwali Adą.

Marta bez radości i wzruszenia powitała narodziny tego dziecięcia.

— Tom — mówiła w kilkadziesiąt godzin później, gdyśmy na jej życzenie chłopca przyprowadzili do łóżka — Tom, nie będziesz już miał brata. Ale masz za to trzy siostrzyczki. Muszą ci wystarczyć — za żony, za towarzyszy, za służące...

Tom nie pytał już, jak przy narodzeniu pierwszych dziewczątek, co będzie ze siostrzyczkami robił, lecz obejrzał się tylko na Lilę i Różę, trzymające się w kacie za ręce i wpatrzone w malca, jak zwykle, oczyma pełnymi miłości i podziwu, dotknął palcem zlekka maleńkiej, wrzeszczącej w niebogłoty nowonarodzonej istotki i rzekł, kiwając poważnie głową:

— Wystarczą, mamó, wystarczą...

— Tom — ozwałem się wtedy, dotknięty niemile sło-

wami Marty i zachowaniem się dziecka — musisz być dla nich dobry.

— A po co? — zapytał naiwnie.

— Aby cię kochały — odpowiedziałem.

One i tak mnie kochają...

Tak! my Toma bardzo kochamy! — odezwały się dziewczątka prawie jednogłośnie.

— Widzisz, Tom — mówiłem dalej kaznodziejskim tonem — one są lepsze od ciebie, bo cię kochają, choć ty może nie zawsze na to zasługujesz. Ale ta mała może cię nie kochać...

Tom nic nie odpowiedział; zauważyłem, że spojrzał na dziecko z niechęcią, zmarszczywszy drobne brwi.

Ostatecznie może to i dobrze się stało, że się Tomowi nie brat narodził. Byłby jego niewolnikiem, albo — wrogiem.

Wyszedłszy wtedy z izby i później jeszcze przez pewien czas myślałem długo nad straszną ironją ludzkiego istnienia, która przeszła za nami z Ziemi na Księżyc. Przypomniał mi się O'Tamor, biedny, szlachetny marzyciel! Jak on sobie to roił, że tu na Księżycu z dzieci Tomasza i Marty, uchronionych od złego wpływu ziemskiej „cywilizacji“, wyrośnie pokolenie idealne, nieposiadające tych wad i nieznające tych różnic, które są przyczyną odwiecznych nieszczęść ludzkości na Ziemi! Patrząc na te dzieci i zdaje mi się, że stary, szlachetny marzyciel O'Tamor zapomniał, iż potomstwo człowieka będą zawsze składały istoty ludzkie, noszące w swojej piersi zaród tego wszystkiego, co się stało ohydą ziemskich pokoleń. I czy to nie jest najstraszliwsza ironja, że człowiek wroga swego przenosi sam w sobie nawet na gwiazdy, świecące w niebie?

Dobrze się stało, że Tom niema brata. Przynajmniej opóźni się nadejście okresu walk bratobójczych i niewoli, a my tymczasem może pomrzemy i nie będziemy potrzebowali patrzeć na to...

A dziewczątka... Tak mi się zdaje, że dziewczątka te są

stworzone na to, aby podlegały. Nie będą może nawet rozumieć swej krzywdy, szczęśliwe, gdy ich brat, mąż i pan, będzie czasem wobec nich łaskawy... Co do Lili i Róży, jestem tego już pewien; Ada zaś zbyt jeszcze jest mała — ma zaledwie w tej chwili trzy lata, licząc po ziemsku, aby można jakieś prawdopodobne przypuszczenia robić o przyszłym stosunku jej do przyrodniego brata. Spostrzegam tylko, że go nie kocha tak, jak te starsze. Tom również jest dla niej więcej obojętny.

Zwracanie baczej uwagi na wzrost i duchowy rozwój tego czworga dzieci, stanowi w ostatnim czasie moją najmilszą, choć smutną rozrywkę. Pod względem fizycznym przystosowały się one znakomicie do warunków księżycowego świata, który dla nas, z Ziemi przybyłych, jest ciągle obcy i nieznośny, choć już tyle lat tu żyjemy. Taką rzeczą naprzykład, niezmiernie dla nas ciężką, jest regulowanie snu. Podczas długiego dnia prawie tyle samo spać potrzebujemy, co podczas nocy. Pociąga to za sobą tę niedogodność, że trzecią część czasu, kiedy słońce stoi na niebie, tracimy na sen, bardzo nieregularny i z tego powodu mało pokrzepiający, a za to dwie trzecie nocy przesiadujemy bezsennie, nękani zimnem, ciemnością i gorszą od nich nudą. Dzieci, tu urodzone, śpią w dzień bardzo mało: zaledwie godzinę lub dwie najwyżej w dwudziestogodzinnych odstępach, ale za to prawie całą noc przespiają z małemi przerwami.

W kilkanaście godzin po zachodzie słońca ogarnia je już nieprzewyciężona senność. Jeśli się w nocy zbudzą, to na dwie, trzy lub cztery godziny najwyżej, poczem znów zasypiają, jak u nas na Ziemi susły i świstaki śpią do czasu, kiedy pierwszy lekki obrzask na niebie zapowiada nadejście dnia.

Znoszą także bez porównania lepiej od nas klimat tutejszy. Upały nie osłabiają ich do tego stopnia i nie wywołują tego rozdrażnienia, ani senności, co u nas.

Ale najwięcej zastanawia mnie to, że te dzieci i na mróz

są znacznie wytrzymalsze, niż my, starsi. Rankiem, gdy natężenie zimna wzmagają się najwięcej, dzieci, rozbudzone z długiego snu, wybiegają często na dwór, a nawet oddalają się znacznie, podczas gdy my odważamy się wyjść tylko w razie ostatecznej konieczności.

Inicjatorem tych wycieczek jest zawsze Tom. Obie starsze dziewczynki wybiegają tylko za nim, zarówno jak stary Zagraj, wiedzione, zdaje się, nawet takim samym ślepem przywiązaniem. Ten pies i te dziewczynki stanowią nieodstępny dwór Toma...

Myślałem początkowo, że dzieci idą się bawić w śniegu, topniejącym rychło po wschodzie słońca, albo używają ślizgawki na brzegu zamarzłego w nocy morza. Ale wkrótce przekonałem się, że ta mała drużyna wychodziła tak rano pod przewodnictwem Toma na — polowanie! Dziwna, że myśmy na ten pomysł nie wpadli! Wszystkie tutejsze zwierzęta zasypiają na noc, zagrzebując się w ziemi dla ochrony przed mrozem.

Tom wyszedł to sam i przy pomocy Zagraja, który węch ma znakomity, wyszukiwał pod śniegiem kryjówek różnych potworków i zabijał je, nim się obudziły. Mięso tutejszych zwierząt lądowych jest wprawdzie, jak już wspomniałem, nie do użycia, ale za to ich skóry dostarczają nam pięknych i trwałych futerek, albo rogowego materiału, wielce podobnego do szyldkretu. Polowanie podczas dnia przedstawia wielkie trudności, gdyż zwierzęta nauczyły się już nieufności względem nas i prześladowających je zarówno z nami psów; jakże się więc zadziwiłem, gdy Tom przyniósł mi pewnego ranka kilkanaście skórek, wśród których parę było świeżych, a reszta starannie już wyprawionych! Te pochodziły z dawniejszych połowów. Chłopak widział, jak myśmy skórki, odarte z zabitych zwierząt, czyścili ostremi muszlami i wyprawiali sołą, zbierającą się obficie nad brzegiem morza i zrobił to wszystko na swoją rękę, a wcale nie gorzej od nas!

Już to nie brak mu sprytu. Mając lat ośm, znał już do-

kładnie nasze fabryki i rozumiał cel i znaczenie każdego urządzenia, przydatność każdego narzędzia i materiału. Ja wziąłem na siebie obowiązek nauczania go, ale do książek niewiele ma ochoty. Ciekaw jest wszystkiego, co ma wartość praktyczną, inne rzeczy natomiast mało go obchodzą. Chciałem go nauczyć geografji ziemskiej, historii tamecznych ludów, obeznac go z przystępnymi dla jego umysłu arcydziełami wielkich ziemskich pisarzy, ale spostrzegłem bardzo rychło, że to zgoła nie zajmuje chłopca, tak ciekawego w innych kierunkach. Zrazu nie przerywałem nauki, sądząc, że zdołam w nim rozbudzić zmysł historyczny i estetyczny, a zaprzestałem usiłowań dopiero wtedy, gdy mnie raz podczas takiej naukowej pogadanki wprost zapytał:

— Wuju, po co mi ty opowiadasz to wszystko?

Nie wiedziałem, co mu mam odrzec — bo istotnie — po co?... A on pytał znowu:

— To wszystko, o czem mi mówisz, jest podobno na Ziemi, którą, pamiętam, raz widziałem podczas wycieczki, jak dużą, świecącą banię, a skąd ty, wuju, podobno przybyłeś tutaj — prawda?

— Tak, to jest na Ziemi, skąd ja przybyłem i skąd wogóle ludzie pochodzą.

Chłopak spojrzał na mnie, jakby się wahał, czy ma powiedzieć to, co myśli, a wreszcie odezwał się z zafrasowaną miną

— Ale ja nie wiem, wuju, czy to wszystko jest prawda.

Dotknęła mnie ta uwaga, tak zresztą naturalna u dziecka, któremu się opowiada o rzeczach, dziejących się na odległej i raz tylko przez nie widzianej planecie.

— Czy przekonałeś się kiedykolwiek, abym mówił nieprawdę?

— Nie, nie, nigdy!... — zaprzeczył żywo, poczem dodał znów ciszej;

— Ale teraz nie mogę się przekonać, że mi mówisz prawdę...

Wyjąłem z kieszeni zegarek.

— Wiesz, co to jest? zegarek... Czy myślisz, że ja, albo Piotr, albo matka twoja, potrafimy zrobić taką maszynkę? Widzisz także książki, których my nie drukujemy; narzędzia astronomiczne, nie przez nas zbudowane. — Otóż, skądżeby się to wszystko tutaj wzięło, gdybyśmy tego byli nie przynieśli ze sobą ze Ziemi? A jeśli z Ziemi przybyliśmy tutaj, to musimy przecież wiedzieć, jak tam jest i co tam było.

Chłopiec zamyślił się.

— Ale ja, prawda? ja się nigdy nie dostanę na Ziemię? co?

— Nie, nie dostaniesz się nigdy.

— To wiesz ty co, wuju, naucz mnie ty lepiej robić takie zeszyty i szkła powiększające, a nie mów mi już o tem, którądy się jedzie z jakiejś tam Europy do Ameryki, albo co robił ten Aleksander Wielki i ten drugi, Napoleon...

Musiałem przyznać, w duchu, że Tom ma słusność. Nie był tam nigdy i nigdy tam nie będzie, więc pocóż mu mówić o tem, co mnie obchodzi tylko dlatego, że jestem rodem z Ziemi? Te wiadomości na nic mu się nie przydadzą; a jeśli zechce kiedy on, lub jego potomstwo, dowiedzieć się czegoś o Ziemi, o której może już tylko niejasna wieść będzie dochodziła, że jest matką ludzkiego plemienia, a widzieć ją można świecącą na niebie z krańców śmiertelnej pustyni — to będą tu przecież te księgi, któreśmy ze sobą przywieźli, księgi, zaiste, więcej czarodziejskie dla przyszłych mieszkańców Księżyca, niż dla ziemian najfantastyczniejsze baśnie z „Tysiąca i jednej nocy“.

Odtąd postanowiłem uczyć Toma tylko tego, co ma dlań wartość realną w przyszłym życiu na Księżycu. Do tego okazywał nadzwyczajną ochotę.

Pochłaniał chciwie wszelkie wiadomości, jeśli tylko zrozumiał, że mogą mu być użyteczne. Tak naprzykład astronomja początkowo mało go zajmowała, a wziął się do niej z całym

zapalem dopiero wtedy, gdy mu wykazalem korzyści praktyczne, jakie odnieść można z pomiaru wysokości gwiazd.

Jestem przekonany, że gdybyśmy nie byli zabrali ksiązek, które tu po nas pozostaną, przepadłaby dla następnych pokoleń cała idealna strona tej odrobiny przewiezionego tu z Ziemi duchowego dorobku człowieka, bo za pośrednictwem niezaprzeczenie zdolnego, ale dziwnie trzeźwego Toma nie dałyby się zachować. A ja myślę jednak ciągle o tem przyszłym pokoleniu. Chciałbym, aby to nie byli ludzie dzicy. Niech wiedzą, że duch ludzki jest potężny, że tworzy rzeczy wielkie i piękne, że wyszukuje Boga w złotym pyle gwiazd i siebie samego wśród ścięgien i żył ciała, że zdolny jest gorąco pożądać prawdy dla prawdy i piękna dla piękna i że jest najskuteczniejszą bronią w życiowej walce człowieka z otaczającą go przyrodą; niech umieją cenić tego ducha i korzystać z jego siły.

Tak mi pilno powiedzieć o tem wszystkim Tomowi, choć on, niestety, nie zawsze chce tego słuchać, tak mi pilno, jakbym się obawiał, aby mi czasu nie zabrakło. Bo gdy ja umrę, bo gdy pomrzemy wszyscy my, ziemianie, nauczycielem i prorokiem księżycowego ludu będzie już tylko on, praojciec jego — i te stare książki, wraz z ludźmi z dalekiej planety na ten świat przeniesione.

Gdy mu raz powiedziałem, że musi być pilny i uczyć się wszystkiego, nietylko tego, co jemu się podoba, bo będzie w przyszłości wychowawcą nowego pokolenia — popatrzył na mnie zdumionemi oczyma i zapytał:

— A ty, wuju, cóż ty wtenczas będziesz robił? Przecież ty wszystko umiesz...

— Ja wtenczas nie będę już żył.

— Któż cię zabije?

Tom nie rozumiał, że jest inna śmierć, naturalna. Widział zabijane zwierzęta i sam je zabijał, ale nie widział jeszcze istoty umierającej. Zacząłem mu wtedy tłumaczyć konieczność

śmierci. Słuchał mnie uważnie, a wtem przerwał mi nagle, wykrzykując:

— To i Piotr umrze?

— Umrze, synu, jak ja, jak mama twoja, jak ty sam wreszcie...

Tom potrząsnął głową:

— Ja nie umrę, bo... coby mi z tego przyszło?

Roześmiałem się mimowoli z tej dziecinnej uwagi i znów mu wykladałem, że śmierć od ludzkiej woli nie zależy, ale chłopiec był roztargniony i myślał widocznie o czym innym. Wreszcie odezwał się głosem przyciszonym i jakby z wahaniem:

— Wuju, kiedy Piotr umrze, to niech on pierwszej umrze, niż ty, najpierw z nas wszystkich, prędko niech umrze. Przecież on jest całkiem niepotrzebny. Wtedy zostałbyś ty sam z nami i z mamą i byłoby nam dobrze...

Zgromiłem chłopca za te słowa, mówiąc, że nikomu śmierci życzyć nie powinien, a tem mniej Piotrowi, który przecież jest ojcem jego siostrzyczek, Lili i Róży. Tom popatrzył ponuro i westchnął, a potem odezwał się z wyrzutem:

— Czemuż ty, wuju, nie jesteś ojcem moich siostrzyczek? Ja cię wolę, niż Piotra i mama także... Piotr jest niepotrzebny.

Czułem, jak jakieś najtajniejsze, najgłębsze fibry zadrgały we mnie, a równocześnie przestraszył mnie ogarnął. Bo to była myśl, która w ostatnim czasie i mnie coraz częściej przychodziła do głowy.

Nie mogę się winić: dotrzymałem raz powziętego postanowienia i wytrzymałem na dobrowolnie obranem, a tak niestety chanie śmiesznem stanowisku poczciwego nauczyciela cudzych dzieci, ale com ja przewalczył, co przecierpiał — tego dzisiaj mi już nie wypowiedzieć!

Bo przecież tę kobietę, jedyną na tym świecie, a tak mi drogą, miałem wciąż przy sobie, widziałem, że jest nieszczęśliwa, a czasem łudziłem się nawet, że może ze mną byłaby szczęśliwsza. Były takie dni, że patrząc na Piotra, ścisnąłem

rękojeść rewolweru w kieszeni, i takie, gdy lufę brałem w zęby, z palcem na cynglu — sądząc, że dłużej nie wytrzymam, nie zniosę...

Ale zniosłem i wytrzymałem. Zniosłem, chociaż krew mi nieraz wzrok przesłaniała, a spazm jakiś chwycił mnie za piersi, zniosłem, choć nie można sobie wymarzyć takiej pokusy, która by mnie we śnie lub na jawie nie była nawiedzała i trapiła.

Owego pamiętnego dnia, gdyśmy mieli ciągnąć losy o Martę, myślałem, zrzekając się jej posiadania, że się uspokoję i zapomnę z czasem; ale nadarmo mijały lata, nadarmo błąkałem się zdala od niej po księżycowych łądach, daremnie poświęcałem się wychowaniu Toma i myśli o przyszłym pokoleniu: ona jest mi ciągle taksamo droga, jak tam, w Kraju Biegunowym, gdy po długiej, dzięki jej szczęśliwie przebytej chorobie, chodziłem z nią razem po wonnych, mrocznych łąkach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, a tak pełnych znaczenia.

Mięśnie i ścięgna wciąż mam silne i krzepkie, ale duchem starzeję się już, czuję to; tęsknota za Ziemią rozstraja moje myśli i smutek coraz większy mnie obejmuje: nietylko patrzę na wszystko przez łzy, ale nawet myślę przez łzy o wszystkim, jeno ta miłość moja nie chce się we mnie zestarzeć i osłabnąć, owszem zda się, że wzrasta z wiekiem, razem z gniołącą mnie coraz więcej tęsknotą. Wiem, że jestem śmieszny, a przecież nawet śmiać się ze siebie nie mogę.

Czasem próbuję sztydzić. Powtarzam sobie brutalnie, że kocham Martę tylko dlatego, że jest jedyną kobietą na Księżycu, a nie do mnie należy; że to niby wzniosłe uczucie jest tylko w pryzmacie ducha ludzkiego załamany, najgrubszy, zwierzęcy popędem i wiele, wiele podobnych rzeczy, ale powiedziawszy sobie poraz setny to wszystko, mimowoli szukam Marty oczyma i czuję, że dałbym się z chęcią przybić na krzyż, gdybym mógł przez to jeden pogodny uśmiech na jej usta wywołać.

W człowieku, nawet na pustyni, nawet na innym globie,

tkwi obok innych dzikich instynktów, także poczucie słuszności czy prawa. Nie wiem, czy jest wynikiem li tylko wychowania, czy też jakiejś wrodzonej organizacji duchowej, ale to pewna, że istnieje i odzywa się głośno nawet tam, gdzie niema nikogo, ktoby mu jego milczenie mógł wytknąć.

Marta należała do Piotra. Zgodziłem się być na to, i ta myśl bądź co bądź powstrzymywała mnie od niejednego kroku, który inaczej byłbym może zrobił. Staralem się tak usunąć z jej oczu, aby nawet od siebie samego oddalić podejrzenie, że się chcę jej przypodobać. Zresztą i ona nie szukała mego towarzystwa; spostrzegłem nawet, że obecność moja wprawia ją zawsze w zakłopotanie. Ale to wszystko zmieniło się po narodzeniu najmłodszej dziewczynki, kiedy nastąpiło zupełne zerwanie między Martą a Piotrem.

W dwie doby księżycowe po przyjsciu na świat tego dziecka, nieco przed zachodem słońca, siedzieliśmy razem — co nam się zresztą dość rzadko zdarzało — i patrzyliśmy w milczeniu na szerokie morze. — Zachodzące słońce pozłociło jego wody, zlekka wiatrem wzruszone i poczynające już w cieniu skał fosforyzować. Śniegi na szczycie Otamora były zupełnie krwawe od słońca, po czarnej chmurze dymu, zawieszanej nad kraterem, błyskały także ciemno-czerwone refleksy.

Milczenie przerwała Marta. Nie zmieniając postawy, nie odrywając oczu, zapatrzonych gdzieś w dalekie perspektywy morskie, zaczęła do nas mówić, napozór spokojnie, jak zawsze, choć nie uszło mej uwagi, że głos drżał jej z początku.

— Spełniłam wielką zbrodnię — zaczęła — bo nie dotrzymałam wiary mojemu zmarłemu mężowi i chętnie za to będę pokutować setki tysięcy lat w rozmaitych wcieleniach... Ale wy wiecie, że zrobiłam to jedynie dla jego syna, w którym on sam żyje dla mnie. Nigdy się z tem nie kryłam. Coście wy myśleli i jakieście wy mieli zamiary, to mnie nie obchodzi; ja chciałam, aby Tom miał siostry i brata... Niema wprawdzie brata, ale ma trzy siostry i ja uważam, że spełniłam swój obo-

wiązek... Ciężki obowiązek, ty wiesz o tem, Piotrze. Żal mi cię, boś się łudził, że możesz być dla mnie czemś więcej... Nie moja wina... Ale teraz wszystko skończone. Odzyskuję napowrót swobodę. Nie pytam się, czy wy... czy ty, Piotrze, zechcesz mi ją dać: ja ją sobie biorę sama. Nie jestem już twoją żoną...

Odetchnęła głęboko i zamilkła.

Byliśmy tak zaskoczeni i słowami i niespodziewanym tonem tego, co powiedziała, że siedzieliśmy przez pewien czas w milczeniu, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi. Zresztą jakąż jej można było dać odpowiedź? — ona jej nawet nie czekała...

„Biorę sobie swobodę... Nie jestem już twoją żoną...”

Dziwne wrażenie wywarły na mnie te słowa. Przez chwilę dźwięczały mi w uszach, jak hasło nowego życia, jak obietnica czegoś, czego się nawet nie śmiałem spodziewać, jak... nie! nie umiem już powiedzieć, co się ze mną działo! Tak mi się złało, że to jedno zdanie zaciera i niweczy wszystko smutne, co przeszło; w piersiach uczułem jakąś pełnię, jakiś napływ krwi, raźniej w żyłach tętniącej.

Spojrzałem na Martę.

Siedziała nieruchoma i cicha, w morze zapatrzona i tylko pod zastygłym, niezmiernie smutnym uśmiechem, usta zadrgały jej czasem tak, jakby się miała rozplakać.

„Biorę sobie swobodę...”

Tak przed chwilą mówiły jej usta.

Ale jej oczy i uśmiech jej mówiły teraz, że bierze ją sobie nie jako skrzydła, które są prawem lotu, lecz jak całun, który jest prawem do spokoju; że jest ta swoboda dla niej nie brzaskiem, zapowiadającym dzień, ale zmierzchem, który przynosi odpocznienie...

Na powiekach zabłyśły jej łzy i przez te łzy patrzyła uparcie w dal, na słońcem pozłocone księżycowe morze.

Serce ścisnęło mi się bolesnym kurczem, bo zrozumiałem, że można się od przeszłości odwrócić, ale zmasać jej niepodobna...

Tymczasem Piotr odezwał się sucho:

— Wszystko mi jedno.

A po chwili dodał:

— Co teraz zamierzasz robić?

Marta drgnęła:

— Nic... Żyć jeszcze trochę dla Toma... dla dzieci.

A potem...

— Dla dzieci — powtórzył Piotr, jak echo.

Właśnie od wybrzeża biegły obie dziewczynki, śmiejące się, rozpromienione, z fartuszkami pełnymi uzbieranych kamyczków, muszel i bursztynu. Wołały głośno Toma, który nieopodal budował jakieś młyny na strumyku. — Piotr powiódł za nimi zwolna oczyma.

— Dla dzieci... — powtórzył raz jeszcze i podparł głowę na dłoni.

Pamiętam tę chwilę, jak dzisiaj. Słońce dotykało już widnokregu i świat ze złotego zaczynał się stawać purpurowym. — Lekki wiatr od morza przynosił nam z ostrym zapachem wodorostów szmer rozbijającej się na żwirze fali i dźwięczne, srebrzyste głosy dziecięce.

Nagle Marta powstała i zwróciła się ku Piotrowi.

— Piotrze, daruj — odezwała się głosem niskim i ciepłym, jakiego zdawna już u niej nie słyszałem — daruj, ja może... byłam niesprawiedliwa... daruj, ale ja... widzisz, nie mogłam, nie mogę... Żał mi, żeś miał przezemnie... takie życie...

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Piotr powstał również, popatrzył na nią, potem na dłoń wyciągniętą, znów na twarz jej i nagle wybuchnął strasznym, spazmatycznym śmiechem.

— Cha, cha, cha! to dobre, tak jednym słowem, za tyle lat! — cha! cha! cha! — chcesz swobody! dobra myśl, może nowego wyboru? cha! cha! cha! „Piotrze, daruj! Nie jestem już twoją żoną!“

Śmiał się, jak opętany i wykrzykiwał różne, niezrozumiałe słowa. Potem nagle urwał, odwrócił się i odszedł ku domowi.

Marta stała przez chwilę zmieszana, z wyrazem wstrętu i upokorzenia na twarzy, aż wreszcie i jej nerwy odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła głośnym, nieutulonym płaczem — poraz pierwszy od owej burzy, kiedy została żoną Piotra.

Odszedłem w milczeniu, jeszcze więcej przygnębiony, niż zwykle.

Długą, czternastodniową noc przepędziliśmy, prawie nie mówiąc do siebie. Na drugi dzień napozór wszystko wróciło do dawnego trybu. Wzięliśmy się zaraz zrana do zwykłych dziennych zajęć, rozmawialiśmy nawet po staremu, nie wspominając o „rozwodzie“, który od owego wieczora stał się istotnie rzeczą dokonaną. Stosunek dotychczasowy między Martą a Piotrem był tego rodzaju, że zerwanie go odczuliśmy wszyscy raczej jako ulgę. Spostrzegłem zwłaszcza korzystną zmianę w usposobieniu Marty. Nie powiem, żeby była weselsza, ale przynajmniej nie znać było na niej dawnego przymusu; rozmawiała z nami swobodniej, nawet dla Piotra była lepsza, choć tak brutalnie odtrącił jedyne serdeczne wyrazy, z jakimi się do niego zwróciła.

A co się z nim działo? To snadź nazawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Napozór przyjął wszystko obojętnie, i niespodziewany wybuch owego wieczora, kiedy Marta z nim zerwała, był jedynym objawem jego skrytych uczuć. A jednak ileż żalu, upokorzenia, bóleści, musiało się zebrać w namiętnej duszy tego człowieka! I jakiejże siły woli musiał użyć, aby to wszystko stłumić i zamknąć w sobie! Bo on ją kochał mimo wszystko — i kocha ją do tego czasu; pod tym względem nie mam zgola wątpliwości.

Pierwszego dnia po zerwaniu przyszedł do mnie około południa, gdym był właśnie powrócił z wycieczki morskiej i wiązałem łódź do pąla na wybrzeżu. Przez chwilę kręcił się

niespokojnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, lecz nie wiedział, jak zacząć. Potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, chwycił mnie za rękę i wyrzekł, patrząc mi bystro w oczy:

— Pamiętasz obietnicę, daną mi wtedy, gdym ja Martę brał?...

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza. On zaś ciągnął dalej:

— Przyrzekłeś mi wtenczas, że nigdy nie będziesz się starał zdobyć Marty dla siebie, nigdy! pamiętasz?

Skinąłem głową w milczeniu.

Piotr uśmiechnął się gorzko.

— Zresztą, jak chcesz. To jest śmieszne. Jak chcesz. Tylko pierwaj... strzel mi w łeb.

Ostatnie słowa wypowiedział głucho, a z taką bolesną namiętnością, że mnie aż dreszcz przeszedł. Chciałem mu odpowiedzieć, uspokoić go, ale on, nie czekając na to, odwrócił się i odszedł.

Od tego czasu zaczęły się dla mnie najstraszliwsze walki i męczarnie. Marta w istocie nie należała już teraz do nikogo, a jednak czułem, że wyciągnąć po nią rękę byłoby zbrodnią, podwójną: zbrodnią wobec niej, żadnej już tylko ciszy i żyjącej po zrzuceniu wstrętnego jarzma li wspomnieniem dawno zmarłego kochanka i troską o jego syna — i wobec Piotra, tak zgnębionego i nieszczęśliwego, że każda krzywda, jemu wyrządzona, stawała się czemś więcej, niż zbrodnią: była podłością. A przecież zdarzały się chwile i okoliczności, kiedy się wahałem i musiałem używać całej woli, aby nie strzelić Piotrowi w łeb, jak sam sobie tego życzył, i nie rozpocząć z Martą nowego życia. Takie pokusy nachodziły mnie zwłaszcza wtedy, gdy widziałem wzrastającą przychylność Marty wobec siebie. Uśmiechała się do mnie często i nazywała mnie po staremu swoim przyjacielem, a mnie roilo się już po głowie, że gdyby nie Piotr, moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi — oboje. Na szczęście wkrótce przychodziło opamiętanie.

Wszakże Marta — myślałem — jest mi tylko dlatego przychylna, że nie stanąłem nigdy między nią a wspomnieniem tego zmarłego, jedynie umiłowanego człowieka, że nigdy nie skałałem świętości jej uczucia, nie tknąłem jej ciała, ani nie zażądałem duszy, które ona oddała na wieczność tamtemu, co leży teraz pod piaskami *Mare Frigoris*. Lecz gdybym tylko zapragnął czegoś więcej...

Straszne błędne koło!

Mimo to raz byłem już bliski szalonego czynu...

Urządziliśmy we troje wycieczkę na szczyt krateru Otamora. Dziewczynki zostawiliśmy w domu pod opieką Toma, któremu można je już było powierzyć z całą ufnością. Przedarłszy się od strony morza przez zarośla pnączów i przebywszy lasy ogromnych, zdrzewiałych liściowców, dostaliśmy się na pochyłą równinę, podobną do rozległej hali, a porosłą krzewiącymi się płasko po ziemi wielkolistnymi mchami. Tutaj byliśmy już nieraz; zapragnęliśmy jednak dostać się wyżej, na sam szczyt, jeśliby to było możebne, aby się nasycić wspaniałym widokiem, jaki się musi roztaczać z wierzchołka tego najwyższego w całej okolicy stożka.

Dalsza droga nie była łatwa, bo trzeba się było wdzierać bystro w górę głębokim żlebem, wyrzniętym wśród skał zastygłej i zwietrzałej lawy, a zavalonym w górnej części śniegiem prawie po brzegi. Tu, na Księżycu, łatwiej wprowadzić przebyć taką drogę, niż na Ziemi, gdzie ciało ludzkie waży sześć razy więcej, ale mimo to był to trud niemały.

Po kilkunastu godzinach wysiłku znaleźliśmy się już pod samym zrębem krateru, dalsze atoli wdzieranie okazało się czystym niepodobieństwem. Wyżej śnieg tajał od gorących par, wznoszących się ustawicznie z olbrzymiego lejka, którego brzegi sterczały teraz nad nami, do szerokiego osobnego łańcucha wzgórz podobne, a woda, ściekając, zamarzała w czasie wiatru i pokrywała skały szklistą powłoką lodową, na której niepodobna się było utrzymać.

Przekonawszy się o niemożliwości dalszej podróży, zasiedliśmy na śniegu, chcąc przed powrotem odpocząć i rozejrzeć się po okolicy.

Widok był niezrównany. Tuż przed nami, poza masą czerniejących u stóp naszych lasów, rozciągało się w bezkresną dal morze, grające wszystkimi barwami tęczy i usiane wypami, podobnymi stąd do małych, czerniejących punktów wśród roziskrzonej płaszczyzny. Niektóre z nich, rozleglejsze, tworzyły plamy obrąbione, jak pawie oka, kolorową opaską. Na lewo, ku wschodowi, ukazywały się z poza sterczącej grani poczerńiałe szczyty i pierścienie pomniejszych kraterów górzystej krainy, wśród których tu i ówdzie błyskała błękitna wstęga zatoki, wrzynająca się w łąd głęboko. Na prawo, poza gejzyrami, o których świadczył nam tylko drobny obłoczek białawej mgły, rozciągała się szeroka równina, przerzięta krętą rzeką, na której w dali, jak perły na sznur nanizane, świeciły odległe, o pasmo zielonych wzgórz oparte jeziora.

Siedzieliśmy dość długo, zachwyceni czarownym widokiem, gdy wtem zaniepokoił nas głuchy grzmot podziemny. Pary, wznoszące się nad kraterem, zczerniały i zbiły się w ogromny kłęb, z którego wkrótce zaczął się sypać na nas drobny i duszący popiół. Należało wracać copędzej, gdyż widocznie zbliżał się wybuch wulkanu. Nie zdążyliśmy już jednakże ująć dość wcześnie. Znajdowaliśmy się zaledwie w połowie owego żlebu, kończącego się przy łąkach nad lasami, gdy nagle przy wzmożonym łoskocie podziemnym zatrzęsły się skały, z których poczęły na wszystkie strony opadać lawiny, a chmura dymu, dotąd czarna, rozbłysła krwawym blaskiem.

Nie było czasu do namysłu. Z największym pośpiechem schroniliśmy się w pobliskiej szczelinie, oczekując z drżeniem chwili, kiedy znowu będziemy mogli posunąć się ku dołowi.

Niebo nad nami, pokryte gęstymi kłębami dymu, wyglądało jak ognista czeluść piekielna; głuchy grzmot nie ustawał już teraz ani na chwilę, a powietrze, przesycone wy-

ziewami siarki i drobnym popiołem, dusiło nas i parzyło nam płuca. Z góry zaczynały już padać większe, gorące żuźle, pokrywające brudny śnieg dokoła mnóstwem czarnych plam. Musieliśmy uciekać ze żlebu, którym teraz płynęła wartko woda ze stopionego śniegu, zmieszana z popiołem i ziemią.

Wybuch był dość silny, a wstrząśnienia gruntu, któreśmy odczuwali, musiały się rozchodzić szeroko i u stóp góry, bo gdy wiatr, rozegnawszy na chwilę duszące pary i tumany popiołu, odsłonił świat przed nami — zobaczyliśmy morze burzliwe i spienione.

Przyczepieni do bystrej turni, sterczącej jak przylądek w miejscu, gdzie żleb rozchodził się ku dołowi w dwie strony, zasłonięci nieco od góry wystającymi głazami, przesiedzieliśmy tak kilkanaście godzin, niepewni zdrowia i życia. Martę ogarniał przytem straszliwy niepokój o dzieci. Tom był już wprawdzie obeznany z trzęsieniem ziemi, dość częstem i niezbyt groźnem w tych okolicach, i można było polegać na jego przezorności i rozsądku, ale Martę, a także i mnie trapiła myśl, że w razie naszej śmierci i dziatwa, pozostawiona sobie, byłaby skazana na niechybną zgubę. Piotr był obojętny i spokojny lub przynajmniej udawał spokój.

Wreszcie uciszyło się nieco. Silny wiatr, który się zerwał nagle od morza, oczyścił trochę powietrze i rozgarniał rzednące powoli tumany dymu. Deszcz popiołu i żuźli przestał już padać. Odetchnęliśmy swobodniej i zabieraliśmy się właśnie do dalszej drogi z powrotem, gdy w tem zaniepokoił nas jakiś dziwny, a potężny szum i syk nad nami. Piotr wyskoczył pierwszy z kryjówki, aby zobaczyć, coby to było, ale zaledwie stanął na wystającym głazie, wydał straszliwy okrzyk przerażenia: z góry pędził żlebem rozhukany potok lawy! Widziałem, że Piotr chciał zawrócić do nas, ale w tejże chwili zawył orkan, poprzedzający ten wylew płynnego ognia i zmiotł go tak z przed naszych oczu, że nie wiedzieliśmy na razie, co się z nim stało.

Skwar nieznośny i duszący wionął ku nam: oba żleby

wypełniała już płynna czerwono-świecąca masa, hucząc w dół potwornymi kaskadami ognia i kamienia razem. Nie było ani chwili do stracenia. Gdyby się wylew wzmógł, lawa mogła nam odciąć powrót, wypełniając poprzeczne wgłębienia między żlebami, albo, co gorsza, rozkruszyć i unieść nasz ostrów kamienny tak, jak wartki prąd wezbranego potoku unosi po drodze gliniaste wysepki. Zatem nie myśląc już o Piotrze, którego w pierwszej chwili miałem za straconego, pochwyciłem na ramiona Martę, oniemiałą z przerażenia i począłem copędzć spuszczać się ku dołom, czepiając się poszarpanego grzbietu sterczącej wśród żlebów grani.

Jakie to było schodzenie, o tem dzisiaj nawet straszno mi myśleć! Skąły, o które rozbijała się piekielna fala, drżały pod moją nogą, jak pokład statku pędzonego przeciw wiatrowi całą siłą pary; okropny skwar groził nam upieczeniem się żywcem. Marta zemdląła i zwiśła mi bezwładnie na ramieniu, co krępowało w najwyższym stopniu moje ruchy. A musiałem przecież uważać, aby się nie poślizgnąć, bo każdy krok fałszywy znaczył: śmierć.

Jakimś cudem nawpół uduszony od żaru, oślepiiony gorącym dymem i blaskiem lawy, ogłuszony niewypowiedzianym szumem i potłuczony sypiącymi się z góry kamieniami, dostałem się z Martą na równinę, skąd wyszliśmy byli przed kilkadziesiątu godzinami — tego już dzisiaj nie umiem powiedzieć.

Byliśmy jednak ocaleni. Lawa spłynęła gdzieś bokami przez lasy, które zadymiły w jednej chwili i pozostawiła w środku ogromny trójkąt wolny, którego wierzchołek stanowiła łąka i stercząca nad nią grań, a podstawę morskie wybrzeże, ciągnące się przeszło tysiąc metrów pod nami.

Wziąłem się przedewszystkiem do ocucenia Marty. Gdy otworzyła oczy i przekonała się, że nie grozi nam już niebezpieczeństwo, zaczęła się zaraz dopytywać o Toma. Uspokoilem ją, że Tom jest w domu i zobaczymy go niewątpliwie w dobrem zdrowiu, nim nadejdzie południe. Wtedy ona wyciągnęła obie

ręce do mnie i poczęła powtarzać, jak wówczas w Kraju Biegunowym, gdym ją odszukał po powodzi:

— Mój przyjacielu, mój przyjacielu...

Było w jej głosie coś tak niesłychanie miękkiego i słodkiego, że dreszcz wstrząsnął całym mojem ciałem, a spazm jakiś serdeczny ścisnął mnie za gardło. Pochyliłem nad nią twarz, aby mnie oczy nie zdradziły, a ona wtenczas wzięła moją głowę w dłonie i przygarnęła ją do piersi, mówiąc:

— Tobie winna jestem życie własne i więcej: życie Toma, któremu jesteście jeszcze potrzebni. Ty jesteś dobry...

Piers miała odstoniętą, bo cucąc ją, rozerwałem suknię pod szyją. Dotknąłem czołem tej piersi, a równocześnie uczułem na głowie łzy, spływające jej z oczu.

Nagły pożar rozpałił się we mnie. Miałem tę kobietę, tak jeszcze piękną, a tak nadewszystko pożądaną i ukochaną, tuż przed sobą; wystarczyło wyciągnąć ręce, objąć ją, obsypać pocałunkami, zadusić w uściskach. Krew przystoniła mi oczy, w uszach zahuczały rozkielzane tętna żył: czułem ciepło i miękkość jej ciała, zapach jego upajał mnie, odurzał, oszaleniał... Wszakże jesteśmy — błyskało mi w mózgu, jak przez mgłę — jedynymi ludźmi teraz na tym globie, bo Piotr prawdopodobnie leży gdzieś martwy między głazami...

A zresztą cóż mnie Piotr obchodzi, co mnie obchodzi wszystko na świecie i za światem, kiedy ona... Niewypowiedziana błogość, niewysłowione szczęście rozlało się spokojną falą po całej mej istocie.

— Nie!

Targnąłem się całą mocą i odskoczyłem wtył.

Piotr leży tam może w tej chwili gdzieś na skałach, pokrwawiony, półmartwy i czeka ratunku, a ja...

Marta spojrzała na mnie i — zrozumiała.

— Masz słusność — rzekła, jakby mi odpowiadała, choć nie odezwałem się ani słowa — masz słusność, idź i poszukaj Piotra...

Tak, jestem sam. Bo przecież te dzieci — to nie są moi bliźni. To są istoty z innej planety w dosłownym znaczeniu tego wyrazu.

Cóżbym dał za to, aby tu mieć jeszcze przy sobie bodaj na jedną krótką chwilę Martę lub Piotra!

Gdy Marta zachorowała, nie przeczuwałem nawet, że się to wszystko tak strasznie skończy.

Wiedziałem wprawdzie oddawna, że organizm jej wyczerpany jest wszystkim, co przeszła, i osłabiony nurtującym w niej smutkiem, ale przecież ta myśl była odemnie daleka, tak daleka!

Ostatniego dnia już Marta nie była zdrowa. Cichsza jeszcze i więcej zadumana, niż zwykle — spędziła prawie cały dzień z dziećmi na morskiem wybrzeżu. Bawiła się z Tomem i pieściła nawet dziewczynki, dosyć zdziwione tym rzadkim u niej objawem czułości macierzyńskiej. Około południa, gdy przyszedłem nad morze powiedzieć, że czas już wracać ku domowi na stawach, bo wkrótce nadciągną burze, uśmiechnęła się do mnie i powtórzyła parę razy:

— Czas wracać, czas wracać...

Te wszystkie drobne szczegóły tak mi żywo stoją w pamięci, tak natarczywie na myśl się nasuwają, że teraz, gdy piszę, mam ją przed oczyma, widzę każdy jej ruch, słyszę jej głos — i wierzyć mi się nie chce, że jej już naprawdę niema i że naprawdę nigdy jej już nie zobaczę...

Idąc ku domowi, wzięła najmłodszą Adę za ręce i dopytywała jej się, czy kocha Toma. Dziecię wstrząsnęło główką z przeczeniem.

— Nie. Nie kocham.

Marta posmutniała.

— Dlaczego nie kochasz? dlaczego? Aduś?

— Bo Tom jest niedobry. Tom chce, żebym go słuchała.

— To źle — mówiła matka — trzeba Toma słuchać i kochać go, bo ty jesteś jego...

— Nie. Ja nie jestem Tomowa. Lili i Róża są Tomowe. Ja jestem swoja.

Zacząłem się głośno śmiać z tej odpowiedzi dziecka, ale Marcie zabłyśły w oczach łzy.

— Niepodobna być swoją, niepodobna — szeptała, raczej do siebie. Mimo to ucałowała dziewczynkę serdecznie.

Po południu rozmawiała długo z Tomem. Zawoławszy go do siebie, opowiadała mu o ojcu, powtarzając może poraz tysięczny mnóstwo szczegółów, które razem składały się na jakąś dziwną niby baśń, niby pieśń uwielbienia dla zmarłego kochanka. Tomasz był dzielny i szlachetny człowiekiem, ale we wspomnieniach Marty obraz jego stał się jakimś bożyszczem, wciele niem wszystkiego, co wielkie, dobre i piękne.

Napominała też Toma, by był dobry dla sióstr. Zastanowiło mnie to najwięcej, bo takie nauki rzadko z jej ust słyszała.

Przed wieczorem Marta zaczęła się skarżyć na ogólne osłabienie, zawrót głowy i bóle w kościach. Zazwyczaj zносиła wszelkie dolegliwości w milczeniu, tak, że mogliśmy się tylko domyślać z jej twarzy, że jej coś brakuje, gdyż nigdy ani słowem nie mówiła nam o tem i nie szukała u nas współczucia, ani pomocy. Nawet gdyśmy się dopytywali, widząc czasem, że mizernie wygląda, wstrząsała tylko głową i mówiła z uśmiechem:

— Nic mi nie jest... — Albo: To przejdzie, nie umrę jeszcze, bo jeszcze jestem Tomowi potrzebna.

Wobec tego tem więcej zaniepokoiła mnie jej skarga tego wieczora. Spojrzałem na nią baczniej i dopiero teraz spostrzegłem przy świetle gasnącego dnia, że ma gorączkowe wypieki na policzkach, a oczy podkrążone i zapadłe. Nie straciły nic ze swego dawnego blasku: wylane łzy i smutek gryzący nie zdołały ich przyćmić, ale paliły się teraz jakimś niezdrowym płomieniem, niepodobnym zgoła do dawnej, gwiazdnej ich jasności.

Gdy słońce zaszło, Marta, która się była położyła —

Potem wstała i uściśnięła mi rękę.

— Dziękuję ci — szepnęła.

Piotra znalazłem istotnie niedaleko miejsca, skąd wiatr go strącił. Leżał, zaczepiony o ostry głaz, który go ocalił od stoczenia się w ogień zionącą przepaść, bezprzytomny, ale jeszcze ze słabymi oznakami życia.

Zaniósłem go do domu, a wspólnym usiłowaniami Marty i moim udało się przywrócić mu zdrowie.

Kęs czasu minął już od tego wypadku, a ja, pomny na chwilę słabości, staram się tem silniej, aby moja wola panowała zawsze nad tą resztą, która z nią razem tworzy duszę człowieka.

A Piotr?... Siaduje po staremu, milczący i ponury, na progu domu i — nie wiem — może żałuje czasem, że nie zginął wówczas na stokach Otamora.

Ze mną wszystko snadź skończone. Wkrótce i te dzieci nie będą mnie już potrzebowały. Zacząłem sobie budować grób na Wyspie Cmentarnej.

VI.

Po sześciu dniach...

Patrzę na ostatnie słowa, przed kilku księżycowemi do-
bami napisane i oczy mi się ćmia — nie łzami już, bo wyschły
dawno, ale jak gorący piasek gryzącem bielmem przerażenia
i rozpaczy. Nie dla siebie zbudowałem grób na Wyspie
Cmentarnej.

Czemu... Czemu?!

Odwieczne, głupie, a tak straszliwie bolesne pytanie —
bez odpowiedzi!

Zostałem sam.

Sam z czworgiem dzieci, tutaj zrodzonych, które nie są
mojemi dziećmi. Jestem ostatnim na Księżycu człowiekiem
z tych, co z Ziemi przybyli. Tamci, dwoje, Marta i Piotr,
poszli za O'Tamorem, za Remognerami, za Woodbellem. A ja żyję.

Jest to los, którego się najwięcej obawiałem i — naj-
mniej spodziewałem.

I pomyśleć, że stało się to wszystko tak prędko! Sześć
dni księżycowych, pół ziemskiego roku! Ktoby się był wówczas
spodziewał! A przecież trzeci już raz weszło to leniwe słońce
nad to morze, jak pogrzebałem tamtych. Jestem sam, tak
straszliwie, tak okropnie sam, że zaczynam się zrywać w ciem-
ności po nocach, a we dnie lękać się szelestu i cieniów, które
rzucają mi pod nogi rozkołysane w wietrze rośliny-dziwolągi.

więcej z osłabienia, niż dla potrzeby snu — zaczęła się niepokoić i zrywać. Widoczne było, że ogarnia ją gorączka. Wołała dzieci, które już spały, to znów usprawiedliwiała się ledwo zrozumiałym szeptem — przed sobą, czy też przed duchem Tomasza, stojącym jej snadź na oczach — ze swego życia i wydania na świat tych biednych dziewczątek, a nawet z miłości do nich, której nie udało jej się całkowicie przemóc i pokonać. Zdaje się, że w jej przekonaniu ta miłość macierzyńska należała się wyłącznie synowi, a każdy objaw jej względem córek był krzywdą, wyrządzoną jemu i pamięci zmarłego.

Po pewnym czasie uspokoiła się nieco. Siedzieliśmy obaj z Piotrem przy jej łóżku, zgnębieni i zaniepokojeni do najwyższego stopnia, zwłaszcza że, pozbawieni środków lekarskich, czuliśmy się bezradnymi wobec choroby. Marta patrzyła na nas długo szeroko rozwartymi oczyma, a potem naraz zapytała, czy słońce już zaszło? Odpowiedziałem jej, że już się zaczęła długa noc na Księżycu.

— A prawda! — rzekła znacznie przytomniej. — Przecież na świecie jest ciemno, a tu światła się pałają... Nie zauważyłam zrazu. A tam, nad *Mare Frigoris*, co teraz jest?

— Tam jest teraz dzień. Właśnie słońce weszło tam niedawno.

— Tak, słońce weszło... I świeci teraz nad grobem Tomasza, prawda? I to samo słońce z nad tego grobu przyjdzie tu do nas zrana?

Skinąłem głową w milczeniu.

— Tosamo słońce... — mówiła znowu chora. — I pomyśleć, że tak codziennie, przez tyle dni księżycowych, to słońce patrzyło na grób, a potem na mnie tu żywą i znów szło na grób, opowiadać mu, co tu widziało!

Zakryła oczy rękami i poczęła drzeć na całym ciele.

— To jest okropne! — powtarzała.

Piotr sposepniał i spuścił głowę. Zdawało mi się, że na

pożółkłem i zwiędłem jego obliczu dostrzegłem nagły, krwawy rumieniec, rozlewający się aż po zbrzdżone czoło.

Musiała to dostrzec i Marta, bo zwróciła się ku niemu:

— Nie chciałam ci, Piotrze, zrobić przykrości... teraz... Zresztą ty nie jesteś winien. Jakżebyś ty mnie był potrafił zmusić, abym została twą żoną, gdybym ja nie była chciała sama... dla Toma...

Zamilkła, oddychając głęboko. Po chwili odezwała się znowu:

— Chciałabym doczekać rana. To tak strasznie błąkać się w ciemności i szukać drogi tam na pustynię. Gdy tu dzień nastanie, nad *Morzem Mrosów* będzie świecić Ziemia. Wolę przy jej świetle stanąć nad grobem, bo nie wiem, czybym śmiała tak w pełnym blasku słońca spojrzeć...

— Marta! co ty mówisz! — krzyknąłem mimowoli.

Spojrzała na mnie i odpowiedziała krótko:

— Ja umrę...

Około północy zacząłem się już naprawdę obawiać, że umrze. Nękała ją jakaś choroba, której nawet nie umieliśmy nazwać. Widzieliśmy tylko nadzwyczajny upadek sił, który, w połączeniu z powracającą wciąż gorączką, nie wróżył nic dobrego.

Zresztą, co znaczą wszystkie lekarskie nazwania! Ja wiem, co to za choroba, znam ją aż nadto dobrze: nazywa się życie! Budzi człowieka z nieświadomości, pieści się z nim, igra, a wśród igraszek targa go i szarpie, morduje, tłoczy, aż wreszcie zmoże go i zniweczy. Z tą chorobą wszyscy się rodzimy i niemasz na nią lekarstwa — krom śmierci.

Piotr nie odstępował prawie od łóżka Marty. Patrząc na jego twarz ponurą i nieruchomą, mimo niepokoju, jaki mnie ogarniał z powodu Marty, zastanawiałem się mimowoli, co za uczucia mogą się kryć pod tą maską? Niestety, miałem się dowiedzieć o tem aż nazbyt prędko!

Nad ranem Marta była bardzo niespokojna, a dopiero pierwszy brzask dzienny sprowadził na nią ukojenie.

— Zobaczą jeszcze słońce! — mówiła i próbowała się uśmiechać zbladłemi wargami.

Teraz ja sam siedziałem przy niej, bo Piotr, znudzony długą bezsennością, uległ wreszcie moim namowom i położył się spać w sąsiedniej izbie. Ranny brzask wdzierał się przez szyby z grubego, na Księżycu wyrobionego szkła, a światło lamp żółtko coraz więcej. Śnieg leżał na polach jak zwykle i gdy wiatr rozegnał nieco pary, podnoszące się wciąż z gorących stawów, widno było przez okna wielką i lśniącą płaszczyznę.

W tym ostrym i zimnym, od śniegu odbitym blasku nadchodzącego dnia, klóącym się z żółtem i martwiejącem światłem lampy, patrzyłem na Martę i nie miałem już zgoła wątpliwości, że wkrótce odejdzie od nas na wieki. Przez tę dwutygodniową noc zmieniła się nie do poznania. Twarz jej się wyciągła i pobladła; usta, niegdyś takie pełne, purpurowe i ponętne, zachodziły już blado-siną barwą śmierci. Z pod spuszczonej, niemal przezroczystej, siatką drobnych żyłek powleczonej powiek, patrzyły oczy gasnące już i nad wyraz smutne.

Oparłem czoło o krawędź łóżka i kąsałem palce, aby nie wybuchnąć okropnym, niemęskim płaczem, który mi się targał w piersi, jak zwierz na uwięzi.

Tymczasem na świecie robiło się coraz jaśniej. Opary, do niedawna jeszcze szare, przechodziły teraz przed oknami, poruszane wiatrem, jak lekkie, śnieżno-białe widma. Czasem tuman ich skłębził się i świat zasłaniał, czasem wyciągały się w długie, powiewne postacie, które zjawiały się nagle, biły pokłon przed oknem i przechodziły znów dalej. Wtedy widno było między ich smugi białe pola i chmurą owinięte, perliste kolumny gejzyrów i dalej nad niemi, na tle jasno-błękitnego nieba, szczyt Otamora, zaróżowiony już pierwszymi promieniami słońca.

Marta zapytała o dzieci, ale usłyszawszy, że jeszcze śpią, nie dała ich budzić.

— Niech śpią — szeptała — jeszcze je zobaczę... nim słońce wzejdzie. Tymczasem dobrze, że jest tak cicho.

Potem zwróciła się ku mnie:

— Ty będziesz im zawsze opiekunem — prawda?

— Będę — odpowiedziałem zdławionym łzami głosem.

— I nie opuścisz ich nigdy?

— Nie.

— Przysięgasz mi?

— Tak. Przysięgam.

Wyciągnęła ku mnie rękę:

— Dobry jesteś, mój przyjacielu — szepnęła. — Umrę spokojnie, wiedząc, że ty o nich nie zapomnisz.

Pochwyciłem jej rękę i przycisnąłem namiętnie do ust. Paice jej drgnęły lekko, jakby chciały moją dłoń uścisnąć. Chłód bił już od nich tak, że nawet moje gorące wargi nie zdołały ich rozgrzać.

— Chciałabym ci jeszcze powiedzieć — zaczęła po chwili — przed śmiercią, że byłeś mi... drogi. Robiłam sobie z tego powodu wyrzuty większe, niż z tego, że byłam żoną Piotra... Może... gdybym była została twoją, miast jego, byłoby życie na Księżycu poszło innym torem, byłabym może żyła jeszcze dzisiaj...

Mówiła to wszystko cichym, gasnącym głosem, a we mnie nagle zerwała się burza. Ryknąłem płaczem, jak małe dziecko, i okrywając jej dłoń pocałunkami bez pamięci — wyrzuciałem z piersi przez łzy bezładne słowa miłości, tak długo tajone, a rozpętane dopiero teraz — wobec umierającej.

Ona przechyliła się nieco i położyła drugą rękę na mej głowie:

— Cicho — mówiła — cicho... Ja wiem... Nie płacz... Tak, jak się stało, lepiej się stało... Byłeś mi drogi za swą szlachetność, za miłość dla Toma, zresztą — ja nie wiem sama,

za co... ale, mimo wszystko, możebym nie była dobra dla ciebie, gdybyś był stanął między mną a tamtym zmarłym, który jeden miał do mnie prawo. Cicho już — nie płacz. Wiesz już teraz. Myślę, że Tomasz mi przebaczy, że to czuła i teraz tobie w godzinę śmierci powiedziała... Ja byłam taka nieszczęśliwa.

Zamilkła, wyczerpana, a ja, ukrywszy twarz na jej piersi, trząsałem się cały, targany wewnętrznym łkaniem.

Ale ona po chwili zaczęła znowu:

— Niech będzie... wyznam ci już wszystko. I tak poraz ostatni z tobą rozmawiam... W owo południe...

Umierająca, urwała na chwilę, jakby nagły wstyd, nie blednący nawet wobec śmierci, głos jej zatamował, ale ja wiedziałem, o jakim ona południa mówiła!

Milczała przez jakiś czas, zlekka tylko poruszając wargami, aż wtem, z nagłym wybuchem, podnosząc ręce ku skroniom, zakrzyknęła:

— Czemuś ty Piotra nie zabił?

W tej chwili postyszałem stłumiony jęk za sobą. Było w nim coś tak straszego, że mimowoli zerwałem się i odwróciłem głowę. We drzwiach, dłonią o uszak oparty, stał Piotr, błądzący jak trup i patrzył na nas szeroko rozwartymi oczyma. Musiał stać tu już dość długo i słyszał zapewne wszystko, co Marta do mnie mówiła.

Gdy zauważył, że go spostrzegłem, postąpił chwiejnie parę kroków naprzód i zabelkotał coś niezrozumiałego.

Marta ze stłumionym okrzykiem wstrętu odwróciła się ku ścianie.

— Przepraszam — wyjęknął Piotr — przepraszam; to mimowoli... Nie chciałem...

W tej chwili rozległy się w drugiej izbie głosy i tupotania.

— Dzieci! — zawołała Marta i wyciągnęła ręce. Ale dziewczynki, onieśmiałe, zatrzymały się w progu i tylko Tom przypadł do niej, więc wzięła jego głowę w drżące dłonie i przygarnęła ku łonu.

Piotr spojrział na to i przystąpił do mnie:

— Obiecałeś jej — tu wskazał głową Martę — pamiętać o wszystkich dzieciach... o wszystkich! jednakowo...

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zaskoczony tą dziwną uwagą, jego już nie było w izbie.

Między płasające przed oknem opary przedostawał się już promień słoneczny, zamieniał górne szyby w kawałki jaśniejącego złota i biegł świetlistym snopem przez duszną atmosferę pokoju. Marta leżała bez ruchu, wpatrzona gasnącym wzrokiem w płat słonecznego światła, który coraz niżej ześlizgiwał się po ścianie i jak anioł zstępujący płynął ku jej poduszkom. Dziewczątka poczęły się na palcach zbliżać do łóżka, patrząc ze zdziwieniem na bladą i nieruchomą twarz matki.

Duszno mi było; w ustach czułem żrącą gorycz. Ten nastający dzień przychodził dla mnie jak bezlitosne, bolesne szyderstwo, bo wiedziałem, że zacznie się z nim pustka i patrzenie w przeszłość. Chwile mijały w milczeniu...

Nagle Tom krzyknął:

— Wuju, wuju! ja się boję! Mama patrzy tak strasznie!

Odwrociłem się: promień słońca, padłszy na poduszki, oświecał twarz Marty, zastygłą i martwą, szklistem i oczyma w słońce jeszcze wpatrzoną.

— Wasza matka umarła... szepnąłem jakimś cudzym i zdławionym głosem do dzieci, które się cisnęły teraz, załęcznione i zdumiałe, dokoła łóżka. Poczem pochyliłem się, aby przymknąć jej powieki.

W tej chwili rozległ się huk wystrzału. Poskoczyłem ku drzwiom: Piotr leżał w sąsiedniej izbie na podłodze z roztrzaskaną skronią i dymiącym rewolwerem w ręku.

Zatoczyłem się na progu, jak pijany.

Dzisiaj oboje leżą już w grobie... Ja sam oddałem im ostatnią śmiertelną posługę: owinąłem ich ciała w duże, z roślinnych włókien utkane i żywicą przepojone całuny i we wła-

snych ramionach na łódź je zaniósłem, która je miała powieźć na Wyspę Cmentarną. W łodzi, obok mnie i trupów, siedło czworo dzieci. Troje starszych skupiło się około ciała matki. Tom, zdumiały i przestraszony widokiem śmierci, siedział milczący u nóg trupa; Lili i Róża chwytaly całun rączkami i wołały z płaczem matki, jakgdyby dopominając się jeszcze należnych im pieśczot, których im za życia skąpiła. Ciało Piotra leżało w łodzi, opuszczone. Najmłodsza dziewczynka tylko podpełzła ku niemu i, głaszcząc rączką pokrywającą je zwoje grubej tkaniny, szeptała cichutko:

— Biedny tatuś, biedny...

Smutnej naszej podróży sprzyjała cudowna pogoda. Słońce, jeszcze niewysoko nad widnokrąg wzniesione, rozświetlało złoćście ogromną a spokojną, zaledwie w drobne skiby leciuchnym powiewem zoraną płaszczyznę morza, wśród której majaczyły przed nami dalekie wyspy, w przeźroczystej, błękitnej mgłę zatopione. I nigdy w życiu nie czułem tak żywo i tak boleśnie tej bezlitośnej i strasznej ironji, która się mieści w pięknie przyrody, obojętnej zarówno na radość, jak i na ból człowieka. Bo przecież ja wiozłem na tej łodzi dwie ostatnie istoty ludzkie, które ze mną przybyły na ten glob i znały, jak ja, rodzinną mą Ziemię, wiozłem je martwe, aby napelnić grób, dla siebie zbudowany, i pozostać już potem na wieki samotnym, a słońce świeciło, spokojne, przepiękne i wspaniałe, tak samo, jak wtedy, gdy m szczęśliwem dzieckiem igrał w jego blasku na tej odległej odemnie w tej chwili planecie.

Z łodzi zaniósłem ich oboje na plecach do grobu, który zbudowałem na wyżynie w najpiękniejszej okolicy wyspy. Lekkie były te trupy, sześćkroć lżejsze, niżli bywają na Ziemi, a przecież uginałem się pod ich brzemieniem... I nic dziwnego! Niosłem przecież do grobu resztkę mojego gorzkiego szczęścia!

Martę pochowałem w grobie, który niegdyś dla siebie przeznaczyłem. Dla Piotra wykopałem drugą mogiłę, nieco niżej.

I będę żył dalej... Nieraz wprawdzie, kiedy ciężar nie-

wypowiedzianej tęsknoty przygniała mnie i łamie, zbiera mnie straszna pokusa, aby odejść z tego globu jedyną, jaka mi pozostała, drogą, którą stąd poszło już przedemną tamtych sześcioro: O'Tamor, dwaj Remognerzy, Woodbell, Varadol i Marta, ale wtedy przypomina mi się przysięga, dana umierającej, że nie opuszczę jej dzieci. Dla nich muszę żyć. Jestem teraz tak skazany na życie, jak — póki ona żyła — byłem skazany na miłość. I te dwie najlepsze rzeczy na świecie stały się dla mnie najsroższym bólem i najgorszym cierpieniem.

Dni moje do tych dzieci należą. Staram się wszelkiemi siłami o nich ciągle myśleć, zajmuję się nimi, uczę je, garnę ku sobie, chronię i rozwijam, bo, dalibóg, na mnie bezdzietnym ciąży duchowe ojcowstwo księżycowego pokolenia.

Ale nocami wracam na Ziemię i rozmawiam ze zmarłymi. Coś się już w mózgu moim popsulo i zerwało, albo też ból, ze serca wstający, mgłą go przesłonił, bo jawa snem mi się wydaje, a senne marzenia są dla mnie życiem prawdziwym.

Tęsknię do snów. Chodzę w nich po Ziemi i z rozczuleniem całuję jej drzewa, kwiaty, nawet proch i kamienie — i tak mi się zdaje, że mnie z niej nigdy nie oderwała szalona pycha poznania tajemnic gwiazdzistych przestworzy.

Czasem znowu przychodzą do mnie zmarli towarzysze.

Więc idzie naprzód siwy O'Tamor i obwinia się, on, co był dobrocią samą, że wywiódł nas lekkomyślnie na ten glob pusty, jak lampa dla Ziemi wśród nieb zawieszony. Potem widzę Remognerów. Skarżą się, że poszli za nami i śmierć znaleźli. Woodbell pojawia się blady i pyta, cośmy z Martą zrobili? czy była z nami szczęśliwa? Piotr opowiada mi we śnie to, co za ostatnich lat życia z oczu tylko jego czytałem: o swojej dzikiej i namiętnej miłości do Marty, która go tak pożarła, jak ogień garstkę wiórów pożera; o losie swym strasznym, który mu nie dał ani jednej chwili szczęścia, a kazał natomiast przez lata całe widzieć wstręt, odrazę i pogardę w oczach pożądaney i posiadanej kobiety i milczeć i tłumić

w sobie wszystką miłość i wszystek ból i obrażoną dumę męską; opowiada mi, jakie piekielne rzeczy w jego duszy się działy w ową ostatnią noc, kiedy widział mnie z twarzą ukrytą na jej piersi i później jeszcze, kiedy przykładał rewolwer do czoła...

Ten korowód smutnych duchów zamyka Marta. Zjawia się przedemną, cicha, z bolesnym uśmiechem do ust przywarłym i dziękuje mi za to, że byłem człowiekiem, a czasem, zdaje mi się, wyrzuca oczyma, że nie byłem...

Taka otchłań smutku i żalu jest we mnie...

Tak te duchy rozmawiają ze mną. A chociaż nic mi nie mówią wesołego, to przecież swojsko mi jest i dobrze z nimi, bo to są moi bliźni.

To nowe pokolenie księżycowe, wzrastające dokoła mnie, jest już jakieś inne. Dzieci to są jeszcze, a przecież czuję już, że tworzą dla siebie świat odrębny, który dla mnie, z Ziemi przybyłego, zawsze będzie obcy, podobnie jak mój świat jest niedostępny dla nich, urodzonych na Księżycu.

A przecież ja, brat tych sześciu grobów, rozsianych po Księżycu, muszę żyć z tymi, dla których ten glob jest ojczyzną — i kto wie, jak długo jeszcze...

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

REKOPISU CZĘŚĆ TRZECIA
- WŚRÓD NOWEGO POKOLENIA

I.

W Kraju Biegunowym.

Dojrzewa już to pokolenie, a ja jestem wśród niego coraz mniej potrzebny i coraz smutniejszy... Poszedłem tedy w Kraj Biegunowy, aby patrzeć na Ziemię i być samotnym.

Od naszego EXODU z Ziemi Utraconej upłynęło już dwieście dziewiętnaście dni księżycowych, a sześćdziesiąt siedm upłynęło od śmierci Marty i Piotra.

Dziwno mi, że nie umieram...

*

Mieszkam więc znowu na Biegunie. Bezbrzeżna tęsknota za ojczyzną moją, Ziemią, ciśnie mnie coraz więcej. Zapominam wobec niej nawet o tem pokoleniu, zdanem mi przez Martę w godzinę śmierci. Ale ono żyje tam nad morzem i jest szczęśliwe. Gdym odchodził, budziło się w niem wiosenne uczucie miłości. Zanadto rozkosznie i nadto... boleśnie było mi patrzeć na tę wiosnę...

Tutaj jest cisza i samotność i wspomnienie...

*

Było znowu zaćmienie słońca i Ziemia czarna jak trup na tęczach złocistych i ulewa i powódź...

Od EXODU naszego dni księżycowych dwieście dwadzieścia sześć.

Jakiś niepokój mnie zbiera, co się dzieje z dziećmi Marty. Trzeba będzie iść tam znów — nad morze — i zobaczyć, czy mnie nie potrzebują.

Sen miałem przykry i Martę we śnie widziałem...

*

Byłem w Krainie Ciepłych Stawów po siedmiu księżycowych dniach nieobecności. Przywiodła mnie tam troska o dzieci Marty.

Tom jest mężem swoich sióstr, Lili i Róży.

To jest rzecz zastanawiająca, jak ci ludzie karleją na Księżycu! Tom jest już dorosły, a głową nawet ramion mi nie sięga. Ada, zdaje się, będzie jeszcze mniejsza.

Za pobytu mego nad morzem był straszliwy wybuch Otomora, największy ze wszystkich, jakie pamiętam.

Południowa strona krateru obsunęła się w morze. Był to dzień księżycowy dwóchsetny trzydziesty i ósmy od EXODU naszego — w czternaście godzin po południu wybuch się rozpoczął.

Kiedy odchodziłem, Róża spodziewała się potomstwa.

Adę zabrałem ze sobą — zbyt tam była opuszczona. Potrzebuje teraz mojej opieki, więcej, niż kiedykolwiek. To straszne, że mi jeszcze umrzeć nie wolno!

Przybyłem do Kraju Biegunowego w dwieście pięćdziesiąt jeden dni księżycowych od naszego EXODU.

Tom starał się zatrzymać mnie przy odejściu, ale mimo to widziałem, że był rad, iż odchodzę. Tom jest samowładny i niechętnem okiem patrzył na moją powagę wobec jego żon. Rad jest także z odejścia ze mną Ady, której nie lubi, gdyż mu się ona nie chce poddać, choć to dziecko jeszcze.

Idą godziny, blade i chłodne, jak to światło niewidzialnego słońca na biegunie — długi, długi! nieskończony szereg godzin...

Z trudem tylko utrzymuję rachubę czasu; mówię niewiele i Ada przy mnie milczy. Przesiaduje całymi godzinami na zielonych mchach i wodzi smutnemi, blademi oczyma dziecka po różowo oświetlonych szczytach gór.

A ja?...

Nie wiem już sam, doprawdy.

Oddawna przestałem żyć terażniejszością, a tem więcej przyszłością. Oglądam się za to poza siebie i patrzę nieustannie w twarz moim wspomnieniom. Niewesołe towarzystwo! Smutny jestem tam nad morzem i smutny tu, gdzie widzę Ziemię na skraju niebokręgu.

*

Długi już czas upłynął od zapisania tej ostatniej notatki. Ada wyrasta i zaczyna tęsknić za rodzeństwem; widzę to po niej, choć wprost nie chce się przyznać do tego.

I ja myślę, że mimo wszystko, czas mi powrócić nad morze. Starzeję się, a gdybym umarł w tej pustce i samotności, Ada byłaby skazana na zagładę. Dla niej powrócę znowu, choć Bóg widzi, jakbym rad pozostać tutaj i umrzeć, patrząc na Ziemię!

A i tak się już boję, że to dziecię zadługo żyło ze mną, milczącym i smutnym samotnikiem. Dziwne jest to dziecko — i to dziwne, że w tej samotności, miast się zbliżyć, stajemy się coraz więcej obcymi wzajem dla siebie. Ona patrzy na mnie szeroko rozwartemi oczyma i widzę, że myśli o wielu rzeczach, których mi nie mówi.

Wszak mogę się przyznać sam przed sobą? jestem tutaj z tą dziewczyną tak długo, a przecież nie przywiązałem się do niej, owszem, razi mnie wciąż jej obecność, tak chciałbym być sam i dumać bez przeszkody o przeszłości... o Ziemi...

A jednak trzeba wracać ... do Toma, do dzieci Tomowych, które patrzeć na mnie będą ze zdumieniem i zgrozą, na starego, siwego człowieka, który przybył ongi ze Ziemi, a teraz długo żył w samotności ...

Trzeba mi wracać ... Wracać nam trzeba, Ado ...

Jeszcze mi umrzeć nie wolno ...

II.

Nad morzem przy Ciepłych Stawach.

Od EXODU naszego dni księżycowych czterysta dziewięćdziesiąt dwa, to znaczy blisko trzydzieści ośm lat ziemskich. Bardzo dawno już nie zapisywałem nic na tych kartach, dzisiaj biorę je w rękę, aby zanotować śmierć Róży.

Umarła, rzecz straszna, z winy swego męża i brata, ukochanego niegdyś mego wychowanka, Toma, który w gniewie uderzył ją kamieniem w głowę!

Druga żona Toma i dzieci jego starsze przyjęły ten czyn w milczeniu, zdaje im się, że on ma prawo zabijać wszystkich, którzy mu nie są posłuszni. Jedna Ada, zawsze zdala się trzymająca od Tomowej rodziny, wystąpiła teraz przeciw zabójcy. Bez wybuchu, bez krzyku, tylko z groźną twarzą i podniesionymi rękami szła dziewczyna ku niemu, a on się cofał lękliwie, choć mógł ją jednym uderzeniem dłoni powalić, bo większy jest i silniejszy.

Ale ona zatrzymała się dwa kroki przed nim i pokazując jedną ręką za siebie, na świeży trup kobiety, poczęła drugą trząść nad jego głową i wołać:

— Za krew twojej żony przeklinam cię w imieniu Starego Człowieka!

(Starym Człowiekiem mnie tutaj teraz nazywają.)

Tom się uląkł, ale po chwili spojrzął na mnie, wciąż milczącego, posepnym wzrokiem, a potem rzekł do Ady, usiłując nadać hardość swemu głosowi:

— Róża była moja, wolno mi było robić z nią wszystko... żywić ją lub zabić. Dlaczegoż była nieposłuszna?

Ten straszny wypadek i ta zbrodnia — mimowolna, gdyż nie wierzę do tej chwili, aby Tom z zamiarem zabójstwa uderzył był żonę — oświetliły mi nagle trzy rzeczy, z których dotąd niedość jasno zdawałem sobie sprawę.

Widzę przedewszystkiem tyraństwo Toma i zdaje mi się, że ja temu jestem winien, bom go wychował, a nie umiałem zrobić go innym. Zresztą nie trzeba może było spędzać samotnych lat w Kraju Biegunowym, a tych tu zostawiać swemu losowi...

A potem zadziwiła mnie Ada. Widzę z jej wystąpienia i z wielu rzeczy, które mi się dopiero teraz przypominają, to, na co nie dość dotąd zwracałem uwagi, mianowicie szczególnie jej stosunek do b. ata i jego rodziny. Zdaje mi się, że oni się nienawidzą wzajemnie, a mimo wszystko, tamci boją się tej dziewczyny, najmłodszej z pierwszego pokolenia tutejszych ludzi. Ona trzyma się zdala od nich i jest wśród nich jakby kapłanką, choć nie wiem, czy ten wyraz dobrze rzecz określa. Żal mi Ady, bo jest samotna i samotna, zda się, będzie zawsze na tym świecie, tak jak ja — żal mi jej tem więcej, że ja nie zdołam być dla niej tem, czembym może być wobec tego powinien: dobrym ojcem i przyjacielem. Ale w jej też stosunku do mnie więcej jest czci jakiejś zabobonnej, niż miłości. Snadź i temu ja sam jestem winien...

A trzecia rzecz, która mnie najwięcej przestraszyła, bo najbliżej mnie dotyczy: oni uważają mnie... Ale nie! może się tylko łudzę! Cóż, że Ada przeklinała Toma w *mojem* imieniu? Wszak jestem tu najstarszy, więc pewnie tylko dlatego... A jednak, gdyby tak było? czyżbym i temu... bałwochwalstwu ja był winien?

Jak oni wszyscy dziwnie wymawiają te wyrazy, którymi mnie mianują: *Stary Cszłowick*...

*

Miałem dzisiaj znowu sen, który od lat mnie już trapi niezmiennie i sprawia, że coraz więcej obcym się czuję wśród tego świata...

Śniło mi się, że byłem na Ziemi.

Ale dziś był to sen dziwny.

Miałem dookoła siebie ludzi, z którymi rozmawiałem z najwyższem zajęciem o sprawach państw, narodów, postępu. Mówiono mi, że granice niektórych krajów zmieniły się od czasu, gdy Ziemię opuściłem, że teraz są już inne prawa i wiele z dawnych wierzeń upadło. Zaciekawiony byłem tem wszystkim i chciałem po długiem niewidzeniu obejrzeć Ziemię własnemi oczyma, aby się przekonać, jak wygląda.

Wybrałem się więc w podróż i szedłem przez znane mi niegdyś okolice i miasta. Rzeczywiście, zmieniło się wiele. Lotem ptaka przelatywałem nad łądy i dziwiłem się, że na miejscu dawnych stolic widziałem gruzy, na miejscu łąnow kwitnących pustynie i zgliszcza, a tam, gdzie niegdyś rozciągały się pustynie, spotykałem wody lub pola uprawne i łąki, otaczające stolice nowe, pełne ruchu i życia. Zatrzymywałem się czasem i zachodziłem do domów ludzi i zapytywałem o rzeczy z moich czasów, ale nikt mi już nie umiał odpowiedzieć. Wstrząsano tylko głowami i mówiono: „Nie wiemy nic o tem“, albo: „Zapomnieliśmy“.

Przestrach mnie ogarniał i żal niewysłowiony, bo widziałem, że ta Ziemia jest już inna i niepodobna zgoła do tej, jaką ja znałem.

Widocznie — myślałem we śnie — upłynęły już nie lata, ale wieki, od czasu, jak stąd odszedłem; na Księżycu tak trudno liczyć długie, podobne do siebie dni — musiałem ich wiele pogubić w pamięci... Przybywam na Ziemię, której nie znam i która już mnie nie zna.

I naraz uczułem się tak straszliwie nieszczęśliwym! Obcy na Księżycu, z którym żyć się nie zdołałem, obcy na Ziemi, na którą jakimś cudem wróciłem — zapóźno! gdzie sobie miejsce teraz znajdę?

Szybowałem więc dalej w powietrzu z ogromną pustką w sercu, a tymczasem po krótkim dniu noc się już robiła. Pierwsze gwiazdy rozbłyskały już na niebie, kiedy, wewnętrznym pędem niesiony, znalazłem się nad bezbrzeżną płaszczyzną oceanu. Podemną wiły się fale, jak potworne, przelewające się skręty jakiegoś zwierza o śliskiej i błyszczącej łusce, a w falach odbijał się tuman złocistych światłał niebieskich.

Spojrzałem dokoła: tutaj jedynie nic się nie zmieniło! Ta woda była taksamo niezmiernona, jak dawniej, i taksamo była ruchliwa.

Ale gdy o tem myślałem, spostrzegłem, że morze dziwnie się wydyma i podnosi ku mnie swe fale. Teraz też dopiero zauważyłem, że wprost nademną stoi Księżyc w pełni, a przez ocean idzie ku niemu olbrzymi wał przypiływu. Zląkłem się widma tego świata tam w górze i chciałem uciekać dokądś, gdzie blask jego nie sięga, ale nagle sił mi zabrakło. Uczułem, że opadam na wzdymające się wciąż fale, a one rosna i podrzucają mnie coraz wyżej, ku Księżycowi, wyginają się w jakieś potworne, niesłychanie długie szyje o pienistych grzywach, ryczą przytłumionym śmiechem i coraz wyżej, coraz wyżej mną rzucają. W najwyższem przerażeniu obejrzałem się na Księżyc: rósł w mych oczach, coraz bliższy, wydymał się, zajmował już pół widnokregu; całe niebo było nim już nakryte, jak szaro-srebrnym kaskiem. Zdawało mi się, że dostrzegam już na jego krawędziach wychylające się główki skarłałego potomstwa Marty i słyszę złośliwy śmiech i wołanie:

— Wróć do nas! wróć do nas, Stary Człowieczel tyś już nie ziemski!

Rozpacz, przestach, wstręt, obrzydzenie i straszliwa żądza pozostania na Ziemi, chociażby ona znać mnie już nie chciała,

wszystko to naraz przeszło burzą przez pierś moją; krzyk okropny wydarł mi się z gardła, wyteżyłem wszystkie siły, aby się oprzeć rzucającym mnie w przestrzeń falom, chwyciłem się wody rękami, biłem nogami powietrze...

Nadarmo! Uczułem nagle, że Ziemia, zamiast pod memi nogami, jest mi już nad głową, a ja spadam na Księżyc z powrotem...

Straszny sen! straszniejsza rzeczywistość...

*

Od naszego EXODU dni księżycowych pięćset i jeden.

Tom wybrał się statkiem z dwoma najstarszymi synami w podróż odkrywczą na południe. Z opowiadań jego wnoszę, że dotarli prawie do samego równika. W dalszej jednak podróży powstrzymały ich straszliwe, tropikalne burze morskie. I tak z niczem wracać musieli.

Tom po powrocie rozmawiał długo ze mną. Mówił dużo o matce swojej i o Róży i żałował jej śmierci. Potem, wspomniawszy o wyprawie i opisawszy mi straszliwe trudy, jakie przeżył, zadumał się, a wreszcie powiedział, iż się obawia, że to była ostatnia jego podróż.

Istotnie — patrzę na niego i nie pojmuję już doprawdy... Ten człowiek, przeżywszy zaledwie połowę mego wieku, jest już starcem. Na Ziemi byłby w pełni lat dopiero. Tutaj ludzie wcześniej dojrzewają i wcześniej się starzeją. Tem dziwniejsza, że ja żyję...

Powiedziałem mu to, a on popatrzył na mnie i rzekł po chwili wahania:

— Tak, ale Ada i dzieci moje mówią, że ty jesteś Starym Człowiekiem.

Dziwnie te wyrazy zabrzmiały w jego ustach.

— Ale ty — odparłem — ty, co znasz mnie od dzieciństwa swego, co ty mówisz o mnie?

Tom nic nie odpowiedział.

*

W czternaście dni księżycowych po śmierci Róży umarł Tom. Pozostawił dwanaścioro dzieci, pięścioro ze zmarłej żony, a siedmioro z Lili.

Pochowałem go sam na Wyspie Cmentarnej obok grobów Marty i Piotra i Róży i najmłodszego, trzynastego jego dziecięcia, które umarło było wkrótce po narodzeniu.

Lili rozpacza straszliwie po śmierci męża. Zdaje mi się, że i ona wkrótce za nim pójdzie.

Ada jedna jest spokojna.

Patryarchą księżycowego ludku jest teraz Jan, najstarszy syn Róży i Toma, ożeniony z córką Lili.

A ja... ja się już nie liczę oddawna...

*

Ada powiedziała mi dzisiaj z głębokiem przekonaniem, że ja nigdy nie umrę... Nie wiem, czy ona jest szalona i to księżycowe pokolenie, które słucha ją i snadź jej wierzy, czy też istotnie ja sam jestem dziwnym wyjątkiem wśród ludzi...

Bo istotnie — dlaczego ja jeszcze żyję?

*

Lili umarła.

Z pierwszego pokolenia księżycowego Ada już tylko jedna jest przy życiu...

Od EXODU naszego dni księżycowych pięćset i siedmnaście...

*

Strach mnie przejmuję, bo tu naprawdę koło mnie dzieje się coś, czego nie mogę i nie chcę, nie chcę! zrozumieć...

Ten ludek podczas burzy, sroższej dzisiaj, niż zazwyczaj, i połączonej z groźnym wybuchem Otamora — ten ludek przyszedł tedy pod moje mieszkanie z ofiarami, mając na czele szaloną kapłankę, Adę, której snadź długi niegdyś pobyt i samotność w Kraju Biegunowym zmysły odebrały. Już od czasu oplakanego zabójstwa Róży, które ją straszliwie wstrząsnęło,

zacząłem uważać, że w jej głowie coś niedobrego się dzieje, teraz widzę, że ma naprawdę pomieszanie zmysłów. Ale ja to jeden widzę! — oni ją czczą i mają za natchnioną! I dzisiaj pod jej szalonym przewodnictwem — straszno powiedzieć! — modlili się do mnie, abym powstrzymał wichry i uspokoił kołyszącą się pod ich nogami ziemię! Więc oni mają mnie naprawdę za...

O! jakże ja strasznie jestem samotny w towarzystwie tej obłąkanej i tych karłów, zaledwie zasługujących na miano ludzi!

*

Takie mnie czasem straszne ogarnia zniechęcenie... Zabrałem się dzisiaj do porządkowania zapyłonej oddawna biblioteki mojej i papierów i przyszła mi nagle ochota spalić to wszystko i ten pamiętnik także.

Nie spaliłem. Ale książki i papiery zostały rozsypane na podłodze — leżą w beładzie przed oczyma mojemu, a mnie się ręki nie chce ściągnąć, aby je podjąć.

Niech tak zostaną. Gdy umrę — zapewne nikt ich już nie poruszy...

III.

Tyle dni, tyle nieskończenie długich dni i nocy...

Zdaje mi się, że straciłem rachubę czasu... Tak ciężko liczyć dni, podobne do siebie, jak krople wody, dni, którym mój stary ziemski zegar nie może wydążyć — i ustaje w biegu, nim słońce wzniesie się w południe. Tylko serce moje znaczy uderzeniami każdą cząstkę doby, a kiedy je zapytam, która jest godzina, odpowiada niezmiennie, że jest godzina nieukojonej tęsknoty; a kiedy je zapytam, ile tych godzin upłynęło, odpowiada tylko: Zadużo! zadużo!

Tak jest, o, nieutulone, samotne serce moje! zadużo tych godzin, zadużo tęsknoty, zadużo już życia...

Włosy mam siwe oddawna... Od jak dawna? — A bo ja wiem? Tam na Ziemi musiało już upłynąć lat kilkadziesiąt od czasu, kiedy trupami napełniał pierwsze groby na Wyspie Cmentarnej. Przybyło już tych grobów dzisiaj. Kopałem mogiły dla Toma, dla Lili i Róży, którzy przecież byli dziećmi, gdy ja się już chylił; dokoła mnie wzrastają prawnuki tych, co ze mną na ten świat przybyli ze Ziemi, a ja ciągle żyję.

To jest tak zadziwiające, że czasem nie rozumiem już własnej istoty: gotówbym sam przypuścić, że prawdę mówi ta wśród księżycowego pokolenia rozszerzona o mnie legenda, że ja wogóle nigdy nie umrę...

Przypominam sobie — na Ziemi, na mojej ukochanej, na zawsze straconej Ziemi, czytałem raz w książce jakiegoś uczo-

nego przyrodnika, że śmierć jest zjawiskiem niepojętem i przypadkowym, niewynikającym bynajmniej z warunków życia. Strach mnie przenika, gdy pomyślę, że wobec tego mogłaby zapomnieć o mnie i nie przyjść...



Jeśli dobrze liczę, pięćdziesiąt z górą lat minęło już od czasu, kiedy z pomałymi dziś towarzyszami opuściłem Ziemię.

Z tych ludzi, których ja znałem, zapewne mało kto żyje; ci, którzy w dzieciństwie słyszeli o szaleńcach, udających się w podróż na Księżyc, są teraz siwi i zapomnieli może imion owych podróżników, których tam mają za straconych.

Pięćdziesiąt lat! Ileż się rzeczy od tego czasu musiało zmienić na Ziemi. Możebym znanych niegdyś okolic nie poznał teraz. I pamięć moja już słabnie... Tkwi w niej jeszcze mnóstwo szczegółów, z którymi się pieszcę z lubością w długich godzinach rozmyślań, ale widzę, że z każdym dniem stają się coraz luźniejszymi obrazami, mozaiką drogocennych, tęsknotą moją rozlśnionych kamieni, która się już rozsypuje i łamie.

Składam tę mozaikę w myśli wciąż od nowa; kamyki, które już w ciągu długich lat pogubiłem, uzupełniam jakimś smutnem rojeniem i znowu zmieniam obrazy, bawiąc się na starość tymi skarbami wspomnień, jak dziecko kalejdoskopem.

I takie są perliste te wspomnienia, gdy przez łzy na nie patrzę!

O! gdyby jeden dzień, jedna godzina tam — na Ziemi! Gdyby zobaczyć jeszcze ludzi, takich prawdziwych, do mnie podobnych ludzi! O! gdyby słyszeć szum lasów: świerków, lip i dębów, gdyby zobaczyć jeszcze rozpuszczone na wiatr war-kocze brzeziny, widzieć na łąkach trawę, czuć zapach ziemskich ziół i kwiatów, słyszeć śpiew ptaszęcy, patrzeć, jak łany pokrywają się na wiosnę runią ozimin lub falują w lecie złocystymi kłosami!

Wiele rzeczy na Ziemi zmienić się musiało, ale ludzie są taksamo, taksamo są ptaki i rośliny!

Czasem przypomina mi się złota gadka, że dusza ludzka, z ciała uwolniona, może wędrować dowoli po światach, gwiazdach i słońcach. Niegdyś małym chłopcem, mieszkając jeszcze na Ziemi, marzyłem, myśląc o tem, o podróżach po gwiaździstym przestworzu — teraz pragnąłbym tylko być na Ziemi, wiecznie, wiecznie na Ziemi! A gdy czasem strach mnie przejmie, że ta Ziemia dzisiaj już inna, niż ja ją znałem przed pięćdziesięciu laty, to przypominam sobie, że są przecież ludzie, są lasy i śpiewające w nich ptaki, są łąny i kwitnące na nich kwiaty... To wystarczy duchowi mojemu, jeśli będzie miał wolność iść tam...

Jak dawno ja już nie słyszałem śpiewu ptasząt!

A pamiętam, pamiętam jeszcze ranki takie, całe ptactwem rozśpiewane... Szary świt robi się na świecie, niebo blednie, potem różowi się lekko od wschodu — cisza jest ogromna — słychać tylko szelest dużych pereł rosy, spadającej z liści drzew. Wtem naraz pierwszy, krótki, urwany świergot, po nim drugi, w innej stronie, i trzeci, czwarty... Jeszcze chwila ciszy, a potem jakby wszystkie drzewa, wszystkie krzewy ożyły: świergot wszczyną się naokoło, klaskanie, gwizd, bicie i gwar — zrazu można jeszcze poszczególne głosy odróżnić: tu kos się odezwał, tam z lasu słychać krzyk sojki, ówdzie bliżej wróble, sikorki, pliszki, a w górze skowronek — później już jest tylko jeden ogromny, radosny, dźwięczny chór; powietrze drży od niego, listki, zda się, drżą i kwiaty i trawy... Na świecie tymczasem robi się coraz jaśniej, na niebie coraz rumianiej, aż wreszcie i słońce wypląwa na firmament.

Tutaj słońce wschodzi leniwo i cicho... Chciałoby się przypuścić, że nie spieszy się dlatego, że go nie wołają żadne głosy... Kilkgodzinnego, szarego świtu, podczas którego okolica leży nieodmiennie ścięta mrozem i śniegiem spowita, nie rozwesela śpiew ptasząt... Słońce tu na Księżycu wschodzi

zawsze nad martwym światem i w bezdennej głuszy. Jedynie człowiek zakrzyknie, z dalekiej gwiazdy przybyły — przebudzone dziecko zapłacze zcicha, albo pies zdziczały, skostniały od mrozu, zaskomli w jamie, z której wygnał przed wieczorem jakiegoś księżycowego potworka.

I przez cały, nieskończenie długi dzień panuje cisza, chyba że wiatr się zerwie, rozbudzi morze i zaświszcze po skałach, albo szeroki gardziel wulkanu ryknie, odpowiadając huczącym gromom...

*

Tak mi żywo stanęło dziś w myśli wszystko, com przeżył. Przerzucam pożółkłe karty pamiętnika, a gdy na chwilę przymknę oczy, to mi się zdaje, że słyszę turkot wozu, wiozącego nas przez okropne, księżycowe pustynie, zdaje mi się, że widzę znów to niebo czarne i rozświetloną na niem Ziemię, te olbrzymie góry, wyglądające jak węgiel w cieniu, a mieniające się wszystkimi barwami tęczy w blasku słońca, co bezpromienne, potworne, płynie wśród gwiazd różnokolorowych ku wyginającej się w coraz węższy sierp Ziemi. A potem przypominają mi się te pierwsze lata, spędzone już tu, nad brzegiem morza. Przez zamknięte powieki widzę Martę, smutną i bladą, Piotra i te dzieci rozkoszne, których dzisiaj także już nie ma. Ada tylko jeszcze została przy życiu, ale zdaje mi się, że nie pamięta już rodziców, choć z tego, co odemnie o nich słyszała, opowiada wiele z fantastycznymi dodatkami nowemu pokoleniu. Była jeszcze taka maleńka, gdy oni pomarli. Dzisiaj jest po mnie najstarsza na tym świecie, a te karzełki czczą ją prawie taksamo, jak mnie, z tą tylko różnicą, że mnie boją się ponadto, choć, Bóg widzi, nie wiem dlaczego, bo nigdy nic złego im nie wyrządziłem.

To prawda, że nie umiem się z nimi obchodzić, jak z równymi sobie ludźmi. Czasem robią na mnie raczej wrażenie dziwnie zmyślnych zwierzątek. Już pierwsze tu urodzone pokolenie różniło się od nas, z Ziemi przybyłych. Tom i jego

siostry, nawet gdy dorośli, wyglądali wobec mnie jak dzieci. Ich wzrost, zarówno jak i siły, zastosowały się już do warunków tutejszego świata: mniejszej jego masy i zmniejszonego ciężaru przedmiotów. Wobec tego zaś plemienia, co teraz żyje dokoła mnie, ja jestem prawdziwym olbrzymem. Wnuczęta Marty, ludzie już dojrzały (dziwnie tu prędko dojrzewają ci ludzie!), sięgają mi głowami zaledwie do pasa i gną się pod ciężarem przedmiotów, które ja jedną ręką z największą łatwością podrzucam. Mimo tak wątlęgo ciała, są jednakże bardzo zdrowi i wytrzymali nadzwyczajnie na mróz i gorąco.

Długie noce przesypiają wprawdzie po większej części, ale gdy zajdzie potrzeba, umieją na najtęższym mrozie pracować z zapalczywością, która we mnie podziw wzbudza.

Duch w tych karzełkach dziwnie zmarniały. Co się to porobiło z temi okruszynami cywilizacji, któreśmy ze sobą z Ziemi przywieźli! Poglądam naokół siebie i mam takie wrażenie, jakbym się dostał między jakieś istoty, w połowie zaledwie będące ludźmi. Umieją one czytać i pisać, umieją z rudy wytapiać metale, zakładać sidła i tkać odzienie, posługują się ogniem, znają nawet użyteczność różnych narzędzi mierniczych, rozmawiają ze mną dość czystą polszczyzną i rozumieją nieźle treść książek, pisanych po francusku i angielsku, ale pomiędzy sobą posługują się jakąś dziwną, ubogą gwarą, na którą składają się poprzekręcane słowa polskie, angielskie, malabarskie i portugalskie, a pod ciasnemi ich czaszkami myśli płyną leniwie i ociężale; zda się, że z największym wysiłkiem łączą je w słowa, pomagając sobie przytem ruchami rąk i twarzy, jak dzicy gdzieś w głębi Afryki lub na południowych krańcach amerykańskiego łądu...

I taki niezmierny smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na to trzecie pokolenie przybyłych tu z Ziemi ludzi! Smutek ten większy, że nie mogę się w przeświadczeniu własnej wyższości oprzeć uczuciu pogardy dla tych biednych niby-ludzi, a zarazem czuję, że jestem współwinnym w zbrodni, która się stała.

Bo myśmy naprawdę sponiewierali zbrodniczo dostojność ludzkiej rasy, przeniósłszy ją tu we własnych osobach i pozwalając jej się mnożyć na tym, nie dla niej utoczonym globie. Natura jest nieubłagana zarówno wtedy, gdy w triumfalnym pochodzie kroczy naprzód i, spełniając swe od wieków umiłowane dzieło rozwoju, stwarza formy ciągle nowe, a coraz to wyższe — jak i wtedy, gdy obrażona cofa się i odwołuje to, co stworzyła. Daremnie z nią walczyłem, chcąc w księżycowym pokoleniu utrzymać ducha na tej wysokości, do jakiej wzbił się na Ziemi. Jedyńy a nieoczekiwany skutek mych usiłowań, to ta z bojaźnią połączona cześć, jaką dla mnie mają. Jestem dla nich nietylko olbrzymem, ale i tajemniczą istotą, która wie, czego oni nie wiedzą i rozumie, czego oni pojąć nie są zdolni.

A przytem Ada opowiada im ciągle, że na północy jest kraj, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, a dalej jest okropna, bezbrzeżna i śmiertelna pustynia, a nad pustynią świeci olbrzymia, złocista gwiazda i że ja z tej gwiazdy na Księżyc przybyłem. Czyż to nie dość, aby zamącić biedne mózgi tych karzełków? Nie byli tam nigdy i nie widzieli świecącej Ziemi, lecz Ada była ze mną w Kraju Biegunowym i opowiada im teraz cuda, a oni słuchają jej z zapartym oddechem i poglądają lękliwie ku mojej, wobec nich olbrzymiej, siwej postaci.

I tak jestem wśród nich samotny!

*

Jest noc. Nie umiem, niestety, jak ci księżycowi ludkowie, przespać trzysta godzin z rzędu, więc siedzę i dumam.

Mieszkam sam w starym domu, który zbudowałem był niegdyś z Martą i Piotrem; we dnie kręcą się tutaj dokoła stawu karzełki i przyglądają mi się ciekawie, choć przecież znają mnie od dzieciństwa, ale nie wiem dlaczego, żaden z nich wejść się tutaj nie waży. Ada jedna przychodzi do mnie o pewnych stałych porach dnia, składa żywność, porządkuje, co trzeba, a jeśli mnie w domu zastanie, zadaje parę zwyczajnych, utartych pytań

a potem spędza jeszcze, siedząc na progu, parę godzin w milczeniu — i odchodzi, zostawiając mnie znowu samego.

Zdaje mi się, że ona pojmuje te odwiedziny, jako pewien rodzaj obowiązku. Względem mnie i spełnia je jakgdyby obrządek czci, należnej „Staremu Człowiekowi“.

Obłąkana jest ta kobieta dziwnym obłądem. Napozór zupełnie spokojna i przytomna, ma ideję manjacką, która nie wiem, skąd się wzięła w jej umyśle. Zdaje jej się, że ja jestem nadprzyrodzoną istotą władnącą tym księżycowym światem, a ona moją kapłanką i prorokinią tego ludku, który w nią wierzy niezachwianie.

Jakiś mił, jakaś nowa, fantastyczna religja powstała w jej biednej głowie, złożona ze zdań Pisma Świętego i opowiadań moich o Ziemi i naszym tu przybyciu. Głosi ją dzieciom Toma, które jej więcej wierzą, niż mnie.

Początkowo starałem się przez długi czas przeciwdziałać wszelkimi sposobami rozszerzaniu się tego mitu, w którym tak niepoślednie miejsce zajmowała moja osoba, ale przekonałem się wkońcu, że jestem pod tym względem zupełnie bezsilny. Tłumaczyłem Adzie długo, że przecież ja — jak i rodzice jej, których musi jeszcze pamiętać — jestem takim samym człowiekiem, jak ludzie na Księżycu, a jeśli jestem większy i silniejszy, to tylko dlatego, że się na innej, większej planecie, na Ziemi urodziłem. Słuchała uważnie i w milczeniu, a gdym się wreszcie zniecierpliwił, szepnęła, spoglądając na mnie z chytrym uśmieszkiem:

— A jak ty, Stary Człowieku, zdołałeś dostać się tu ze Ziemi i przenieść moich rodziców, czegoby nikt inny nie potrafił? skąd ty wiesz wszystko, czegoby nikt inny nie wie? a przede wszystkim, dlaczego ty nie umierasz, tak jak inni?

Zgromiłem ją i zakazałem jej raz na zawsze rozsiewania o mnie baśni, ale nie na wiele się to przydało. W kilka godzin usłyszałem tylko, jak mówiła do Jana, który jest teraz księżycowym patriarchą, a szedł właśnie do mnie w jakimś interesie:

— Stary Człowiek się gniewa, Stary Człowiek nie chce, aby wiadano, że on jest... Starym Człowiekiem.

Jan się strapił ogromnie.

— To źle, to bardzo źle — a ja chciałem właśnie prosić go, aby przeniósł pod mój dom kamień, którego ja wraz z synami nie mogę ruszyć z miejsca.

— Trzeba go przebłagać — rzekła Ada — przynieście tylko dużo ślimaków, sałaty i bursztynu, ja mu to oddam. A przedewszystkiem — tu położyła palec na ustach — nie mówcie nic przy nim! sza! bo on tego nie chce!

Wyszedłszy z za węgła, skąd wysłuchałem całej rozmowy, zgromiłem znowu Adę i udałem się ku domowi Jana, aby zrobić, czego sobie życzył. Na odchodnym słyszałem jeszcze, jak Ada szepnęła zafrasowanemu „patrjarsze“:

— A widzisz! on słyszy i wie wszystko!

Skąd się u tej kobiety wzięło to szaleństwo — nie wiem, ale to pewna, że jej treścią całej jej istoty i tajemnicą jej ogromnej powagi wśród księżycowego ludu. Gdy żyło jeszcze pierwsze pokolenie, Róża i Lili, obawiały jej się, a nawet Tom, który wobec mnie nie zawsze był skłonny do uległości, drżał przed nią. Dzisiaj — dzieci jego nie ośmieliłyby się w niczem sprzeciwić jej rozkazowi.

Mnie oburza to bałamuctwo, które wprowadza w biedne mózgi wnucząt Marty, a przecież czuję dla niej równocześnie wielką litość. Zwłaszcza, że w tem spokojnem jej szaleństwie spostrzegam chwile jasne, przebłyśki świadomości, wśród których zdaje sobie snadź sprawę, że żyje w urojeniach i zapewne cierpi...

Pamiętam raz taki wypadek:

Było już po północy, kiedy Ada przyszła do mnie. Zdziwiły mnie jej odwiedziny o tak niezwykłej porze, zwłaszcza, że mróz tu nie żartuje i wychodzić z domu w nocy nie jest rzeczą przyjemną, ani zwyczajną.

Zastała mnie pochylonego nad jakąś książką, a nie chcąc mi przerywać, usiadła cicho w kącie na ławie.

Widziałem, że ma ochotę rozmawiać ze mną, ale nautycznie nie zwracałem na nią uwagi. Ada siedziała przez pewien czas w milczeniu, aż wreszcie, widząc, że na nią nie zważam, zbliżyła się do mnie i lekko, leciuchno dotknęła dłońią mego ramienia:

— Panie...

Odwrociłem się szybko. Tak nie mówiła do mnie nigdy. Z ust jej słyszałem tylko zawsze: Stary Człowieku! I dziwna! słysząc teraz wyraz: Panie! — doznałem niezwykłego uczucia: był w niem odcień radości, że ktoś do mnie po ludzku przemawia, a obok tego jakby oburzenie, że tak ktoś śmie przemawiać.

— Panie... — powtórzyła znowu Ada.

— Czego chcesz, dziecko? — zapytałem, jak mogłem najłagodniej. Musiałem to pytanie parę razy powtórzyć, nim mi wreszcie odpowiedziała.

— Chciałam się zapytać... chciałabym wiedzieć...

— Co?

— Panie! ja nic nie wiem! — zawołała nagle z takim tragizmem w głosie i z taką rozpaczą w utkwionych we mnie oczach, że gdym na nią spojrział, zamarła mi na ustach złośliwa uwaga, iż wobec tego nie powinnyby tak wiele rozprawić księżycowym ludziom.

A ona tymczasem ciągnęła dalej:

— Ja zgola nic nie wiem... I chciałam cię prosić, abys mi powiedział wreszcie, co to wszystko znaczy, kto ty jesteś właściwie i co my jesteśmy? Widzę, że jesteś samotny i stary, silny i wielki, ale zdaje mi się, że pamiętam jeszcze moich rodziców, którzy byli również inni, niż my dzisiaj, podobni do ciebie...

Zamilkła, a po chwili powtórzyła znowu, patrząc mi w oczy:

— Powiedz, kto ty jesteś i co my jesteśmy?

A we mnie stało się coś dziwnego. Zdawało mi się wprawdzie, że na to jej pytanie byłem już dał odpowiedź oddawna i niejednokrotnie, ale mimo to wezbrała we mnie żądza mówienia, mówienia po ludzku do tej kobiety, która wreszcie po ludzku się do mnie odezwała. Ogarnęło mnie rozczulenie; czułem, jak serce mi mięknie, a łzy się cisną do oczu; z piersi nie mogłem na razie wydobyć głosu.

Po chwili powtórzyłem tylko za nią, jak echo:

— Kto ja jestem!...

Zdawało mi się, że ja sam właściwie nie wiem już tego dobrze.

A Ada mówiła znowu:

— Tak, kto ty jesteś, panie... Nazywamy cię wszyscy Starym Człowiekiem, ale ja dzisiaj myślałam... i właśnie przyszłam spytać się ciebie... powiedz mi prawdę, czy ty jesteście rzeczywiście Starym Człowiekiem?

To imię moje tutejsze, które sama rozpowszechniła niegdyś, wymawiała teraz z zabobonnym strachem, zatrzymując się na chwilę i zniżając głos za każdym razem.

— Chcę wiedzieć — mówiła dalej — czy ty rzeczywiście stamtąd, z tej Ziemi, którą widziałam, przyszedłeś tutaj i czy możesz wszystko zrobić, co zechcesz, i czy naprawdę nigdy nie umrzesz i czy my, gdybyś nas opuścił, powracając na Ziemię, będziemy rzeczywiście skazani na zgubę, tak jak myśleliśmy?

Powiedziała to wszystko jednym tchem prawie i utkwiała we mnie błyszczące i niespokojne oczy.

A cóż ja miałem odpowiedzieć? Przed chwilą jeszcze chciałem się przed nią wywnętrzyć, powtórzyć raz jeszcze tak od serca wszystko, com już tyle razy opowiadał, o Ziemi, o naszym tu przybyciu, o pomarłych moich towarzyszach, ale gdym słów jej słuchał, powstała we mnie nagle ta świadomość, że to wszystko będzie daremne, bo ona chce, abym ją utwierdził w mniemaniu, że jestem Starym Człowiekiem, to znaczy, według ich rozumienia, jakąś nadprzyrodzoną istotą.

Smutek mnie znowu ogarnął i długo nie mogłem znaleźć słów...

— Dlaczego się pytasz? — zagadnąłem wreszcie. — Wszakże mówiłem ci już nieraz.

— Tak... ale jabyś chciała, żebyś mi powiedział... prawdę!...

Przypomniało mi się, jak przed wielu, wielu laty podobnie odezwał się do mnie mały Tom, gdym mu pokazywał Ziemię i opowiadał, że stamtąd przybyłem. „Wuju, powiedz mi teraz prawdę!” — mówił.

— Powiedz mi — nalegała dalej Ada — powiedz, czy to prawda jest, żeś ty przybył z moimi rodzicami z owej gwiazdy ogromnej, którą ty nazywasz Ziemią?

Chwyciła mnie za rękę i patrzyła we mnie płonąćmi oczyma. Nikt jeszcze nie widział jej takiej.

— Powiedz mi! — wołała — bo ja to powtarzam tym ludziom, a oni wierzą w ciebie!

Ostatnie słowa wymówiła z jakimś krzykiem serdecznym, który mnie wprost przestraszył. Nie przypuszczałem nigdy, że w tej skrytej, obłąkanej, starzejącej się już dziewczynie, mogą się odbywać walki i może płonąć takie uczucie. „Oni wierzą w ciebie!” — w tem mieściła się w tej chwili cała dziwna tragedia jej życia. Ona stworzyła księżycowemu ludowi nową, bałwochwalczą i fantastyczną wiarę i teraz, gdy nagle zbudziła się w niej wątpliwość w to, co sama głosiła, przyszła do mnie, aby usłyszeć z ust mych potwierdzenie, bo — oni wierzą we mnie! W tym okrzyku brzmiało coś, jakgdyby skarga, że ci ludzie są tacy biedni i marni wobec mnie, a zarazem i prośba, aby im nie odbierać tej ich wiary.

Patrzyłem na nią długo i zdaje mi się, że miałem łzy w oczach.

— Ado, uwierzysz temu, co ci teraz powiem?

— Uwierzę, uwierzę!

Zawahałem się chwilę: możeby się zaprzecić swego ziem-

skiego pochodzenia? Gdyby myśleli, że m się na Księżycu urodził, jak oni, przestaliby mnie może uważać za wyższą istotę? Ale naraz wydało mi się taką niesłychaną potwornością zaprzeć się Ziemi, że na myśl tę samą pot mi wystąpił na czoło. Bądź co bądź postanowiłem wytłumaczyć Adzie, że jestem wprawdzie człowiekiem starym, ale bynajmniej nie Starym Człowiekiem w ich rozumieniu i że powinni to pojąć, choćby im bolesna była strata rozpowszechniającego się zabobonu.

— Istotnie, przyszedłem tu ze Ziemi — zacząłem, lecz Ada nie dała mi już dokończyć.

— Więc to prawda? — zawołała — prawda?

Skinąłem głową w milczeniu. W tej chwili uczułem, że Ada chwyciła mnie za nogi.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku i proszę, przebac mi, że śmiała... Teraz już wiem, ty jesteś Starym Człowiekiem!

Spojrzałem na nią zdumiony. W oczach jej, przed chwilą jeszcze przytomnych i rozumnych, palił się znowu ten tajemniczy ogień, który ją pożera, ręce jej drżały, a na lica wystąpiły gorączkowe rumieńce.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku — powtarzała — pójdę i powiem ludowi...

Nim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiły mnie te niespodziewane słowa Ady, jej już przy mnie nie było. Wymknęła się tak prędko, że nie miałem czasu zatrzymać jej, ani na nią zawołać.

Ada jest szalona, ale dziwno mi, że Tomowe potomstwo tak bezwarunkowo wierzy jej słowom, dziwno mi, że te wszystkie baśnie znalazły u nich grunt tak podatny...

Zastanawiam się nieraz, jak się to wszystko stało. Może i ja tu sam jestem winien po części: zbyt się odsuwałem od nowego księżycowego plemienia, a spostrzegłszy, że otacza legendą moją osobę, uważałem to zrazu za dzieciństwo i nie starałem się stłumić jej w zarodku. Gdym wreszcie, przerażony, wystąpił do walki z nią, było już zapóźno.

Jeszcze za życia Toma zauważyłem, że poczynają wśród jego dzieci krążyć różne fantastyczne wieści o mnie. Z dosłyszanych przypadkiem zdań dowiedziałem się, że wiedzę moją i moją nadzwyczajną w stosunku do nich siłę uważają za objaw jakiś nadprzyrodzony. Uchodziłem w ich oczach za potężnego czarnoksiężnika co najmniej. Tom wprawdzie nie rozpowszechniał tego mniemania, ale, o ile wiem, nie przeczył mu także. Mnie początkowo to bawiło tylko.

Ale po śmierci Toma rzeczy przybrały znacznie gorszą postać. Zdaje mi się, że dzisiaj jestem dla tego ludku już czemś daleko więcej, niż czarnoksiężnikiem. Sądzą, że wszystko wiem i mogę, a jeśli nie zawsze robię to, o co mnie proszą, to tylko dlatego, że nie chcę. Wszak proszono mnie, abym zażegnał południowe burze, mówiąc, że Adzie się to niestety nie udaje, choć działa w moim imieniu! I ona posłała ich do mnie, bo — ja wszystko mogę!

Kiedyś znowu Jan pytał mi się w wielkiej tajemnicy, kiedy mam zamiar opuścić ich i odejść na Ziemię? Ada przepowiada im, że to nastąpi niewątpliwie, a oni się boją mego odejścia!

To pewna, że z najwyższym a bolesnym smutkiem patrzę na to, co się w głowach tego pokolenia dzieje. Nie mogę nic na to poradzić — może tylko nie chce mi się już walczyć z naiwną ciemnotą?... Wszystko mnie męczy, wszystko mnie przygnębia. Rad jestem, gdy mogę zapomnieć na chwilę o tem, gdzie jestem i co się dokoła mnie dzieje i — przymknąwszy oczy — na jawie śnić o Ziemi.

Tam są ludzie — prawdziwi — i takie lasy, takie ptaki, takie kwiaty pachnące na łąkach...

O! tam...

I tylko coraz mi pilniej odejść stąd na zawsze! O! gdybym to mógł tak, jak oni w to wierzą, powrócić na Ziemię! Obłąkany jestem tą myślą o ziemi. Czemkolwiek się zajmę, ta myśl powraca ciągle i w nocy nie daje mi spokoju. Gdy zasną, snują mi się przed oczyma różne, fantastyczne obrazy — ale

wszystkie są warzającami jednego motywu: Ziemia! Ziemia! Ziemia!...

Niegdyś, gdym tam jeszcze mieszkał, były to dla mnie różne lądy i różne kraje, narody i społeczeństwa — teraz stopiło się to wszystko w jedną myśl, jedną miłość i tęsknotę. Nie umiem już rozróżnić z odległości lat i przestrzeni państw, ani ludów odmiennego języka i wiary; nawet ludzkość cała zlewa się w mojej duszy w nierozdzieloną jedność ze zwierzętami, roślinami i całą ziemską bryłą i tak to wszystko bliższy i świeci w mojej myśli, jak tam z czarnego nieba nad pustyniami!

Ziemia! Ziemia! Ziemia!

*

Przypomniał mi się dzisiaj Tom z tych czasów szczęśliwych, kiedy, dzieckiem, był jeszcze moim nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem. Myślałem o nim długo — i teraz, w cichą, mroźną noc księżycową snują mi się przed oczyma samotnika barwne obrazy z lat jego chłopięcych.

Bądź co bądź — jedyny to był człowiek z nowego pokolenia, którego naprawdę kochałem. I tak nadzwyczajnie obchodziło mnie wszystko, co jego dotyczyło.

Rozwijał się zadziwiająco szybko, widocznie pod wpływem warunków tutejszego świata. Gdy miał lat czternaście, był już dorosłym i dojrzałym mężczyzną. Obie starsze dziewczynki także już dorastały. Patrzyłem na nie, jak na rozkwitające kwiaty, nieświadome jeszcze swego uroku, ale już wonne i przeczuwające może instynktownie, że są powabne i że dopełnia się w nich jakaś tajemnica, wzrasta jakaś moc niepojęta, przez którą są cenne, pożądane i święte.

Zachowanie się ich względem Toma uległo znacznej zmianie. Dawniej — były to dwie służki, dwa drobne motylki, kręcące się wciąż koło jego jasnowłosej głowy, szukające tylko sposobności, aby mu się przypodobać lub przydać na co. On

był świadomy swej ogromnej przewagi nad siostrami i uważał ją za rzecz całkiem naturalną. Lekceważył sobie nawet dziewczątka. Jeżeli czasem, w przystępie rzadkiej czułości, pogłaskał którą z nich po bujnych i miękkich włosach, albo nawet pocałował, to czynił to zawsze z miną dobrotliwego władcy, który raczy wynagradzać przywiązanie swoich poddanych, ale dba także o to, aby ich nie zepsuć zbyt częstymi objawami swego monarszego zadowolenia. Ten stosunek Toma do sióstr sprawiał mi nawet przykreść od samego początku i niejednokrotnie robiłem chłopcu uwagi, widząc, że posługuje się siostrami bezwzględnie, a w zamian jedynie — pozwala się im kochać. Nie przeczuwałem, że na pewien czas przynajmniej zmieni się to całkowicie.

W czasie, o którym mówię, dziewczątka stały się powściągliwsze w objawach swej miłości dla przyrodniego brata, a nawet, jak mi się zdawało, poczęły go unikać. Niekiedy tylko, gdy on tego nie widział, rzucały za nim lękliwe, ukradkowe spojrzenia, rumieniąc się przytem za każdym razem, gdy się do nich zbliżał. W miarę, jak się odsuwały od Toma, stawały się coraz czulsze i serdeczniejsze wzajem dla siebie.

Zmiana ta dokonała się prędko, a tak jakoś nieznacznie, że spostrzegłszy ją, nie umiałem sobie już zdać sprawy z tego, kiedy się to wszystko stało. To tylko wiedziałem, patrząc na tych troje... dzieci jeszcze, sądząc po ziemsku, że mam przed oczyma przewrót zupełny, dokonany przez przyrodę, która chce stwarzać, choćby później mścić się miała na narzędziach i dziełach swej wielkiej woli.

To już nie było rodzeństwo: to były dwie kobiety i mężczyzna...

Oni sami, rzecz prosta, nie rozumieli tego jeszcze. Tom usiłował po dawnemu postępować ze siostrami, ale z trudnością mu to przychodziło. W ich towarzystwie tracił pewność siebie i mieszał się. Widno było, że te ciche, wątpliwe dziewczęta miały teraz przewagę nad nim, przyszłym panem księżycowego świata.

Teraz, on, miał postugiwać się niemi, służył im raczej. Znosił im żywność, dbał o ich odzienie, wygody, rozrywki, zbierał dla nich barwne muszelki i kawałki bursztynu, które one potem wplatały we włosy, albo też woził je w piękny czas łódką po morzu. Wycieczkoin tym ja zazwyczaj towarzyszyłem, gdyż — dziwna rzecz! — dziewczęta, razem z Tomem wychowane i spędzające dotąd całe dni z nim razem, nie chciały się teraz puszczać z nim sam na sam. Nieraz chciałem, jako silniejszy i doświadczeńszy, wiosłować za Toma, ale on nie pozwalał na to. Zauważyłem, że nietyle mu idzie o oszczędzanie mnie, jak raczej o popisanie się przed siostrami swą siłą i zręcznością.

Odwieczna komedja rozgrywała się przed memi oczyma, ale rad na nią patrzyłem. Zdawało mi się, że mam troje ptasząt przed sobą i trzymam dłoń na ich bijących sercach, wiem, jak te serca uderzają i rozumiem nawet to, czego one same jeszcze nie rozumieją. Bodaj czy nie jedyny to był od śmierci Marty okres w mojem życiu, kiedy czułem się niemal szczęśliwym... Jakiś powiew wiosenny i rzeźwy szedł na mnie od tych dzieci, w których dokonywała się wielka tajemnica życia i miłości.

I to już dzisiaj są dawne wspomnienia! Z rozczuleniem je przywołuję do pamięci, bo tak niewiele miałem dni na tym globie, którebym mógł z przyjemnością wspominać i bez bólu.

Tylko — znowu ta straszna ironja życia! Miłość Toma do Lili i Róży — bo obiedwie kochał jednakowo — ta miłość, której sam widok kładł mi jakąś błogą pozłotę na serce, sprowadziła na ten świat owo skarłałe pokolenie, którem się teraz powoli zaludnia okolica Ciepłych Stawów.

Ileć to mi na myśl przyjdzie, wstrząsam się, jakgdybym nagle w koszu róż znalazł obrzydliwe, kłębiące się robactwo.

Zresztą może jestem niesprawiedliwy dla tych karzełków. Oni są przede wszystkim biedni, tacy biedni, że gdy na nich patrzę, to moja duma ludzka aż się wije z bólu.

Tom był od nich jeszcze o całe niebo wyższy. Pamiętam jego drobną a szlachetną postać... Energiczny był i rozumny; w oczach miał jeszcze to, czego mi tak trudno dopatrzeć się we wzroku jego dzieci: duszę.

Zanadto jest to wszystko dla mnie bolesne i aż mi trudno pisać o tem spokojnie.

Czemu się to wszystko tak stało? — Zabawne pytanie, na które nie może być odpowiedzi! — Dlatego, dlaczegośmy tu przybyli, dlaczego Tomasz umarł i pozostawił Martę między nami dwoma, dlaczego ja wyrzekł się jej, choć bliższy byłem jej sercu, dlaczego ona umarła i dlaczego ja żyję — to znaczy z tej jakiejś fatalnej i nieubłaganej konieczności, co gwiazdy wznieca i gasi, a zarówno dba o wolę i szczęście człowieka, jak wiatr o ziarnko morskiego piasku, który niesie.

*

Odczytuję znowu to, co na tych kartkach ostatniej nocy zapisałem i pytam się mimowoli siebie, po co ja to i dla kogo piszę?...

Niegdyś, notując wypadki z naszej podróży przez martwą pustynię i później, kiedy opisywałem pierwsze lata naszego życia na Księżycu, myślałem, że zostawię ten pamiętnik księżycowym ludziom, aby przyszłe pokolenia wiedziały, jak dostaliśmy się tutaj i cośmy musieli przecierpieć i przewalczyć, nim się nam udało znaleźć znośne warunki do życia. Ale dzisiaj... Przecież to jest śmieszne — ta myśl! Księżycowi ludzie, tacy, jak są, nie będą tego nigdy czytali. I nawet nie chcą, aby czytali kiedykolwiek. Co im do tego? co im do moich przeżyć, uczuć, bólów? Czyżby je zdołali zrozumieć? czyżby widzieli w tych kartach co więcej nad fantastyczną i trochę niejasną dla nich opowieść? A zresztą, po co się mają dowiadywać, jeśliby to pojąć zdołali, że są zwyrodniałym szczątkiem wspaniałej rasy, która włada swym duchem nad daleką i piękną gwiazdą? Od dnia, w którymby to zrozumieli,

musieliby tylko tęsknić, wstydzić się i boleć tak, jak ja, gdy patrzę na nich.

Niech więc tutejsza ludzkość zapomni z czasem, czem była niegdyś na innej planecie i niech nie miewa metafizycznych tęsknot“.

Ja ten pamiętnik piszę dziś dla siebie. Gdybym mógł marzyć o wysłaniu go jakim cudownym sposobem na Ziemię, pisałbym go jak list do tych braci moich z ducha, którzy tam zostali, pozdrawiałbym i błogosławił na każdej karcie ziemskie łąny szerokie, zboża, kwiaty i owoce, lasy i sady, ptaki i ludzi, wszystko, wszystko, co mi jest dzisiaj we wspomnieniach tak niewypowiedzianie drogie!

Ale ja wiem, niestety, że się to nigdy nie stanie, że nie mogę nawet słowa jednego posłać na Ziemię, do której wlatam tylko myślą i wzrokiem, gdy czasem, przemożony tęsknotą, wybiorę się w Kraj Biegunowy, aby zobaczyć świecącą nad pustyniami moją ojczyznę.

Piszę więc dla siebie. Gawędzę sam ze sobą, jak wszyscy starcy. A gdy mi się czasem na przelotną chwilę uda wywołać w sobie złudzenie, że piszę to wszystko dla ludzi, którzy na Ziemi zostali, to serce raźniej mi w piersiach bije i skronie mi płoną, bo mi się zdaje wtedy, że nawiązuję jakąś nić między sobą a tą, setki tysięcy kilometrów oddaloną, rodzinną moją planetą!

Radbym wtedy opisywał najdrobniejsze szczegóły z mojego tu życia, spowiadał się z myśli i skarżył z bólów i wyliczał rzadkie, krótkotrwałe radości...

Tylko... tych radości — było tak niewiele!

Pisałem tedy o jedynej wiosnie, jaką miałem na tym smutnym globie — patrząc na budzącą się miłość między Tomem a dziewczętami.

Powinienem był może zostać przy nich... Ale mnie się zdawało, że gdy odejdę od nich na jakiś czas, przykazawszy,

aby za mojej nieobecności nic ważnego nie przedsiębrali, to przedłużę ową świeżość i wiosnę ową, a powrócę w czas lata, aby wiązać snop dojrzały.

Ja, stary szaleniec! — nie mniejszym cudem byłoby zatrzymać spadający kamień przez odwrócenie się od niego. Życie poszło swym zwyczajnym torem!

Gdym przybył nad morze po kilku dniach księżycowych, spędzonych w Kraju Biegunowym, Tom powitał mnie z dziwną powagą i wprowadził do starego domu, który przedtem zamieszkiwaliśmy wspólnie.

— Tu jest twój dom — rzekł — taki, jakim go opuściłeś. Nie ruszyliśmy niczego. Ada tylko zamieszkiwała go podczas twej nieobecności i dwa stare psy twoje, które pozostawiłeś.

— A ty? — zapytałem — a starsze dziewczęta? gdzieście wy przebywali?

Tom obejrzał się. Poszedłem za jego wzrokiem i spostrzegłem dopiero teraz, że nieopadał, wśród zarośli, nad brzegiem wyższego ciepłego stawu, wznosił się prawie już ukończony, nowy domek.

— Ja zbudowałem sobie nowy dom — rzekł Tom.

— Po co? — zapytałem z mimowolnym zdziwieniem.

Tom wahał się przez chwilę, wreszcie wskazał na zbliżające się ku nam właśnie starsze dziewczęta i rzekł, patrząc mi prosto w oczy:

— To są moje żony!

— Która? — zapytałem prawie bezwiednie. Zaległo milczenie. Tom zwiesił głowę, a dziewczęta poglądały ku nam trwożliwie.

— Która z nich? — powtórzyłem teraz już świadomie.

— Ja je obie kocham — odparł — i obie są moje!

Mówiąc to, wziął dziewczęta za ręce i przywiódł je do mnie.

— Pobłogosław nas, Stary Człowieku!

Wówczas to poraz pierwszy przewał mnie tem imieniem, które dzisiaj już do mnie przyrosło — na zawsze, jak się zdaje.

Odtąd życie nasze uległo pewnej zmianie, napozór nieznacznej, a przecież bardzo istotnej. W szczupłym naszym towarzystwie nastąpił rozłam. Tom z żonami tworzył osobną, zamkniętą w sobie rodzinę, której węzły zacieśniały się w miarę, jak potomstwo przychodziło na świat. Ja i Ada zostaliśmy na uboczu. Z każdym dniem czułem, że jestem mniej na tym świecie potrzebny, z każdym dniem wzrastała we mnie tęsknota za moim światem, tak odległym, a takim innym — a życie tymczasem szło koło mnie z niepowstrzymanym pędem.

Nie rad myślę o późniejszym pożyciu Toma ze siostrami. Nie był dla nich dobry; choć one kochały go niezmiennie do ostatniego tchu. Zawiele od nich wymagał i zbyt był despotyczny. Nawet ja utraciłem dawny wpływ na niego. Po części te przykre stosunki były powodem, że poraz drugi wyprawilem się był do Kraju Biegunowego, wzięwszy Adę tym razem ze sobą.

A później, po powtórnym moim powrocie, to już, zda się, początek tego ostatniego aktu mej księżycowej tragedji, który trwa aż po dziś dzień jeszcze. Straszna śmierć Róży, obłąkanie Ady, później zgon Toma i Lili — i ta nieutulona moja tęsknota za Ziemią, i ta okropna samotność, wzmagająca się dla mnie z dniem każdym, chociaż z każdym dniem prawie ludniej tutaj na Księżycu.

Tom doczekał się z dwóch swych żon liczego potomstwa, sześciu synów i siedmiu córek, z których wszakże najmłodsza umarła w kilkanaście dni księżycowych po urodzeniu. Jeszcze za życia rodziców Jan, najstarszy syn Róży, mając lat mniej więcej piętnaście, ożenił się z córką Lili; później, w miarę dorastania, pobrali się wszyscy parami. Dzisiaj, po śmierci Toma, dwadzieścia i sześcioro jego wnucząt i dwoje prawnucząt, po najstarszym synu Jana, od dwóch lat już żonatym. Razem czterdzieści dwoje ludzi, którzy zaludniają ten glob, osiedlając się coraz dalej ku zachodowi, wzdłuż wybrzeża morskiego. Razem

z nimi posuwa się „cywilizacja“. Wznoszą się domki, kuźnie, zagrody dla psów.

Ja pozostałem w dawnym domku na Ciepłych Stawach i tutaj snadź do śmierci już pozostanę, która oby przyszła jak najprędzej. I tak jestem już wyjątkiem na tym dziwnym świecie, gdzie ludzie, z Ziemi przeszczepieni, tak wczesnie dojrzewają i umierają tak wczesnie...

IV.

Zdaje mi się, że byłbym szczęśliwy, gdybym bodaj mógł dać znak jakiś ludziom na Ziemi, że tu żyję i myślę o nich. To jest tak niewiele, a takbym pragnął móc to uczynić!

Przecież to jest straszne, gdy pomyślę, że tyle setek tysięcy kilometrów, taka przestrzeń międzyplanetarna, nigdy nieprzebyta, dzieli mnie od tej bryły z kamienia i gliny, na której się urodziłem!

O ileż szczęśliwsze są odemnie te karzełki, myślące tylko o tem, aby połów na morzu był obfity, aby sałata pięknie wyrosła i aby zdziczałe psy nie poszarpały jajonośnych jaszczurów w zagrodach...

*

Spędziłem dzisiaj kilka godzin na Wyspie Cmentarnej... Dawniej, przed laty, lubiłem tam przesiadywać i myśleć o przeszłości zastygłego dziś księżycowego globu; teraz bywam tam znowu często, ale siedząc na grobami pokrytym, zielonym pagórku nad morzem, myślę tylko o Marcie, Piotrze, o Tomie i o sobie, który może nareszcie, nareszcie! spoczną wkrótce obok nich. Dzisiaj, gdym tak tam siedział i patrzył na cichą płaszczyznę morza, zebrał mnie nagle taki bezbrzeżny żal, taki nieutulony smutek, że zacząłem płakać jak dziecko i ręce wyciągać do grobów i prosić je, aby się otwały, przemówiły do mnie, albo wzięły mnie do swego towarzystwa.

Czuje, że dłużej żyć mi niepodobna. I co mnie właściwie trzyma na tym świecie? Bolesć, żal, tęsknota, najgorsze osamotnienie — wszystko to już przeżyłem — oddawna nie jestem już nikomu potrzebny: czas odejść!

Tak jest, czas odejść. Chcę tylko raz jeszcze zobaczyć Ziemię, popatrzeć na tę jasną kulę, zawieszoną w błękicie, na tarczy lądów, krążące po niej zwolna i przesuwające się nad niemi białe plamy chmur, chcę jeszcze raz wyteńczyć oko: może rozeznam ten kraj, w którym się urodziłem — a potem...

Gdym wiosłował z powrotem ku wybrzeżu, zamiar mój dojrzał. Pójdę w Kraj Biegunowy, aby przynajmniej patrzeć na Ziemię.

Z tem postanowieniem zbliżałem się ku domowi, układając sobie w myśli całą wyprawę i zastanawiając się nad przygotowaniami do niej, jakie wypadnie porobić.

Na progu letniego domku spotkałem Adę. Przyszła o zwykłej godzinie, a nie zastawszy mnie, czekała cierpliwie mego powrotu.

Serce miałem tak pełne nadziei ujrzenia znowu Ziemi, chociażby zdaleka, że nie mogłem się powstrzymać, aby się nie podzielić z Adą swym zamiarem.

— Słuchaj! — zawołałem, gdy się ze mną witała — wkrótce już od was odejdę!

Popatrzyła na mnie z tą tajemniczą, manjalną powagą, którą zawsze wobec mnie zachowuje i odrzekła po chwili.

— Wiem, że kiedy zechcesz, to odejdiesz, Stary Człowieku... ale...

Nigdy może nie sprawił mi takiej przykrości, jak wówczas, ten dziwny sposób obchodzenia się ze mną tutejszych ludzi, do którego ostatecznie powinienem się już był przyzwyczać. — W pierwszej chwili ścisnęło mi się serce uczuciem niewypowiedzianego osamotnienia i bolesnej goryczy, a potem nagła złość mnie zebrała.

— Dość tych błazeństw! — krzyknąłem, uderzając nogą

o próg domu — odejdę, kiedy mi się będzie podobało i dokąd zechcę, ale nic w tem niema tajemniczego, ani nadzwyczajnego! Idź do Jana i powiedz mu, że chcę mieć jutro rano psy do wózka; wybieram się w Kraj Biegunowy.

Ada nie odrzekła ani słowa i odeszła, aby spełnić mój rozkaz.

W dwie godziny może zauważyłem niezwykle ruch przed domem. Jan i jego bracia i dzieci ich, słowem wszyscy, nie wyłączając kobiet, zgromadzili się i stali z odkrytymi głowami, poglądając w milczeniu i trwożliwie na drzwi. Z grupy wysunęła się Ada i stanęła na progu. Była w uroczystym stroju: miała jakieś wieńce na głowie; sznury ogromnych, krwawoczerwonych bursztynów i niebieskawych pereł zwisały jej z szyi aż do pasa. W rękę trzymała laskę, zrobioną z pacierzowych kręgów psa, wygładzonych i nanizanych sztywno na długi drut miedziany.

— Stary Człowieku! chcemy mówić do ciebie!

Ogarnęła mnie złość niewypowiedziana. W pierwszej chwili chciałem pochwycić zawieszony na ścianie rzemienny harap i rozegnać tę hołotę, co z taką pompą przyszła tu do mnie, ale później żał mi się ich zrobiło. Co oni winni...

Przemogłem się tedy i wyszedłem przed dom, postanawiając w duchu przemówić raz jeszcze do ich rozsądku.

Zmieszany gwar potakiwania, który powstał po wezwaniu Ady, ucichł natychmiast, gdym tylko stanął na progu. W ciszy słyhać tylko było płacz najmłodszego wnuka Janowego i rozpaczliwy, stłumiony szept matki: Cicho, cicho, bo Stary Człowiek się rozgniewa...

Ogarnęło mnie uczucie bezbrzeżnej litości.

— Czego chcecie odemnie — rzekłem, odsuwając na bok Adę.

Teraz Jan wystąpił naprzód. Patrzył mi przez chwilę w oczy wzrokiem nieporadnego i załęknionego karzełka, a wreszcie — oglądnięwszy się poza siebie, jakby w widoku towarzyszy pragnął zaczerpnąć odwagi — przemówił:

— Chcemy cię prosić, Stary Człowieku, żebyś od nas nie odchodził jeszcze.

— Tak, tak! nie odchódź jeszcze! — powtórzyło za nim trzydzieści kilka osób. Była w nich taka obawa i taka prośba, że uczułem znowu budzące się we mnie wzruszenie.

— I co wam na tem zależy? — odezwałem się, stawiając pytanie raczej własnym myśłom, niż im.

Jan pomyślał przez chwilę, a potem zaczął zwolna, wiążąc z widocznym trudem w zdania myśli swe rozpiezchłe i niejasne uczucia:

— Bylibyśmy sami... Przyszłaby długa noc i mróz, oh! zły mróz, który kąsa jak pies, a my bylibyśmy sami... Potem słońceby weszło, a ciebieby nie było, Stary Człowieku... Ada — tu obejrzał się na stojącą obok „kapłankę“ — Ada mówiła nam, że ty się znasz ze słońcem i jeszcze z inną gwiazdą, większą od słońca, tajemniczą i czerniejącą czasem, a czasem jasną, którą ona widziała, będąc z tobą tam, na północy... Mówiła, że ty stamtąd przyszedłeś i mówisz do tej gwiazdy, gdy ją zobaczysz, w świętym języku, tym, którym my musimy rozmawiać z tobą. My się boimy, żebyś ty tam, na tę gwiazdę nie wrócił, bo — zostalibyśmy sami. Więc cię prosimy...

— Tak, tak! prosimy cię! zostań z nami! — wołały karlice i karły, kończąc zdanie Jana.

Przez jakiś czas stałem w milczeniu, nie wiedząc zgoła, co mam odpowiedzieć. Mężczyźni i kobiety zwarli się teraz ciasnym kręgiem dokoła mnie i wyciągali ręce i prosili trwogą nabrzmiałym głosem:

— Zostań z nami! zostań!

Czułem, że daremną rzeczą byłoby powtarzać im teraz to, co mówiłem tyle razy: iż ja jestem zwyczajnym człowiekiem, nie obdarzony zgoła żadnymi tajemniczymi siłami i tak samo, jak oni wszyscy, śmierci podległym. Nie wiedziałem, co robić: w uszach brzmiał mi tylko nieustanny, do jakiejś przeciągłej litanji podobny głos: Zostań z nami!

Spojrzałem na Adę. Stała na uboczu w swym kapłańskim stroju, z ogromną powagą w całej postaci, ale zdawało mi się, że na jej ustach dostrzegam jakiś uśmiech — półszyderyczy, półsmętny...

— Po coś ich tu przywiodła? — zapytałem.

Uśmiechnęła się znowu i podniosła na mnie dotąd spuszczone ku ziemi oczy:

— Wszak słyszysz, Stary Człowieku, czego chcą od ciebie. Dokoła brzmiało bez ustanku: Zostań z nami!

Tego było mi już zawiele.

— Nie! nie zostanę! — krzyknąłem twardo. — Nie zostanę, bo...

I znowu nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Jakże im wytłumaczyć, że idę zobaczyć Ziemię, gwiazdę ogromną i jasną, za którą tęsknię, nie utwierdzając ich tem samem w mniemaniu, że jestem nadprzyrodzoną istotą?...

Dokoła mnie zrobiło się teraz cicho. Spojrzałem na nich i — ktoby dał temu wiarę! — zobaczyłem, że te karły płaczą na myśl, że ja ich opuszczę! Nie wołali już, nie prosili mnie, ale w ich załzawionych, we mnie utkwionych oczach przebijała się jakaś psia pokora i błaganie, głośniejsze od krzyku.

Żal mi się ich zrobiło.

— Odejdę od was — rzekłem już łagodniej — ale nie teraz jeszcze. Możecie spać spokojnie!

Usłyszałem coś, jakby westchnienie ulgi z kilkudziesięciu piersi...

— A gdy kiedyś udam się w podróż — dodałem, tknięty nagłą myślą — w podróż, tam ku północy, gdzie świeci gwiazda najpiękniejsza, o której słyszeliście odemnie i od Ady, wtedy wezmę i was ze sobą, abyście ją zobaczyli i mogli później opowiadać swym dzieciom i wnukom.

— Wielki jesteś, Stary Człowieku! wielki i łaskawy — odpowiedzieli mi liczne i radosne głosy. — Nie odchódź tylko od nas na tę gwiazdę, o której mówisz!

— Gdybym mógł odejść! — westchnąłem mimowoli — ale, niestety, jestem tylko człowiekiem, takim, jak wy.

W grupie karłów powstał ruch i ożywienie. Poglądali po sobie i zdawało mi się, że na szerokich ustach dostrzegam coś podobnego do chyrego uśmiechu porozumienia, który mówił: Wiemy już, wiemy! Ada nam mówiła, że Stary Człowiek z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny nie chce, żebyśmy wiedzieli, iż on jest... Starym Człowiekiem.

Ogarniało mnie znowu zniechęcenie; odwróciłem się i wszedłem do izby. Przed domem powstał gwar — widziałem przez okno, jak wszyscy kupili się około Ady, która coś rozprawiała żywo, zapewne o mnie i o mojej nadprzyrodzoności.

Obecnie jest już blisko zachodu słońca i księżycowy lud ek rozszedł się już oddawna po domkach, poprzyklepianych do kamiennych brzegów Ciepłych Stawów, ciągnących się długim szeregami ku południowemu zachodowi. Za kilkanaście godzin poukładają się do długiego snu i będą marzyć zapewne o przyobiecanej im przez Starego Człowieka podróży i o Ziemi, ogromnej, dziwnej i zmiennej gwieździe, którą znają tylko z opowiadania.

*

Za kilkanaście godzin będę ja jedyną czuwającą istotą na Księżycu.

Ale teraz ruch jeszcze wszędy panuje. Widzę przez okno, jak przed domem Jana krzątają się jego starsi synowie; nieopodal kobiety kończą w pośpiechu gromadzenie żywności przed mającą wkrótce zapaść nocą.

Nie wiem, czy dobrze robię, zatrzymując się jeszcze wśród tych ludzi. Zresztą, niema o czym myśleć: przyobiecałem im, że pozostanę jeszcze.

Ale, pociesz się, stare serce moje! nie długo już pozostanę! Jeszcze kilka dni, kilkanaście najwyżej długich dni księżycowych, a wyruszę na północ, w Kraj Biegunowy, aby tam już życia dokonać, patrząc na Ziemię.

Ci, ludzie, wiem, pomni mej obietnicy, będą chcieli iść ze mną. Więc wezmę kilku z nich w tę drogę, niechaj zobaczą Ziemię i niech wracają potem do swych braci — bezemnie.

Zbyt wielka tęsknota mnie ciśnie. Żałuję nawet, że uległ i obiecał pozostać tu jeszcze, a jeśli się czasem czego obawiam, to tylko, aby mi sił nie zabrakło i życia odejść stąd w tę krainę, gdzie będę miał Ziemię przed oczyma!

Ale nie! siły moje wystarczą jeszcze, wystarczą! Dziwię się czasem sam niespożytości swego organizmu. Toż to kilka lat brakuje mi już tylko do setki, a zda się, że każdy dzień, miał wyczerpywać me siły i nadwątlać zdrowie, hartuje mnie tylko coraz więcej.

I znowu myślę mimowoli o owem śmiesznem a przestraszającym podaniu, rozpowszechnionem wśród tutejszego ludu, że ja nigdy nie umrę.

Przestraszająca, okropna myśl! bo, niestety, tylko fizyczna natura człowieka może się przyzwyczaić do tego, co jest z nią sprzeczne, dusza przenigdy! Ból mój i tęsknota moja nietylko że nie zmniejszają się z latami, ale owszem rosną wciąż bez ustanku, nadmiernie.

Odpędzam tę myśl od siebie, a z lubością natomiast i ukojeniem myślę o tem, że za kilkanaście dni księżycowych zobaczę Ziemię. Serce mi drży w piersi tak dziwnie i gorąco, jakgdybym był dwudziestoletnim młodzieniaszkiem i miał iść na schadzke z jakąś wymarzoną, a nadewszystko drogą Beatrycą, z którą dotąd w snach tylko poważałem się rozmawiać.

Ale — wiem — kochanka moja będzie zimna, niema i daleka i ja tylko będę ku niej wyciągał rozpaczliwe, stęsknione ręce i ja tylko będę jej wołał przez te nieprzebyte otchłanie niebieskie, ona — ani głos mój usłyszy, ani jedną mi myśl, jedno wspomnienie poświęci.

To jest rzecz dziwna i straszna zarazem, mieć przedmiot swej tęsknoty na niebie. Zdaje mi się, że do tej dalekiej, niewidocznej stąd gwiazdy mej rodzinnej, przywiązany jestem długą

nicją, zadzierzgniętą o serce, która może się rozciągać w nieskończoność, ale nie pęknie nigdy. I tak zawieszony u niedostępnego mi już świata, czuję, że ten grunt pod memi nogami jest mi obcy i obcy zawsze będzie.

Straszna jest miłość gwiazd. Bo Ziemia jest dla mnie w tej chwili już tylko gwiazdą, którą kocham nadewszystko. Jeśli są duchy, które ze wspanialszych i światlejszych światów, ze słońc może płomiennych spadają na ciemne planety, to cierpią zaiste, zachowawszy pamięć, najsroźsze męczarnie, które i mnie znosić wypadło w udziale.

Ileż razy co dnia powtarzam sobie, że ów pogardzony i obżałowany przezemnie księżycowy ludek karłów, co się nieomal w prochu czołga przedemną, Starym Człowiekiem, jest jednak stokroć odemnie szczęśliwszy.

Teraz oto, skończywszy robotę, snują się te człowieczki dokoła swych domków i uśmiechają się do siebie z pogodą i zadowoleniem. Jan, który naturalnem prawem starszeństwa jest tu ich władcą, zawezwie ich przed wieczorem, tak, jak to raz na zawsze przed laty nakazałem, celem wspólnego odczytania kilku ustępów z wyznaczonych przezemnie ksiązek. Dawniej, jeszcze za życia Toma, gdy Jan był małym chłopcem, przewodniczyłem zazwyczaj sam tym wieczornym zgromadzeniom, objaśniałem im bibliję lub inne księgi do czytania przeznaczone i opowiadałem długie powieści o Ziemi i ludziach, ale teraz nie pokazuję się nawet na miejscu zgromadzeń, tam, pod krzyżem, którego znaczenie oni zaledwie rozumieją. Po co mam do nich mówić, kiedy każde me słowo po swojemu na opak tłumaczą, do każdej prawdy dorabiają zaraz fantastyczne a naiwne legendy?

Chociaż — powtarzam to znowu — co oni winni! Co winni, że wszystko, co słyszą, odnoszą do siebie, niezdolni wznieść się myślą ponad ten szmat łądu, który zamieszkują? Co winni, że, słuchając ksiąg genezyjskich, myślą o swym dziadu, Piotrze, którego grób na Wyspie Cmentarnej znają

i zwracają oczy na mnie z wyrazem bałwochwalczego lęku? To, że ludzie mogą zamieszkiwać inny świat, jakąś gwiazdę, podobną do tych, co błyszczą w nocy nad nimi, uważają za rzecz, w którą wierzyć wprawdzie trzeba, gdyż ja tak powiedziałem, ale której niepodobna sobie wyobrazić.

Zrobiłem wszystko, co tylko leżało w mej mocy, aby rozbudzić duszę u tych ludzi, a opuściłem ręce dopiero wtedy, gdy przekonałem się o bezwarunkowej próżności swych zabiegów, nie powinienbym sobie zatem robić wyrzutów, a mimo to czuję na sobie ciężką straszną odpowiedzialność za ten upadek plemienia ludzkiego, które mnie było zdane.

I znowu ironja życia: oni się uważają za szczęśliwych, a ja rozpaczam nad nimi i bezradną troską o nich powiększam swój ból i swą tęsknotę...



Państwowa Służba Ochrony
im. Stanisława Jachowicza
we Lwowie.

V.

Znowu lata na Ziemi upłynęły od czasu, jak poraz ostatni do kart tych zaglądałem. Dziś otwieram pamiętnik, aby zapisać datę opuszczenia tej krainy nad morzem. Odchodzę wreszcie do Kraju Biegunowego — na zawsze już, jak się zdaje.

Od EXODU naszego dni księżycowych sześćset dziewięćdziesiąt i jeden.

*

Wszystko jest już gotowe; stary wóz nasz, zmniejszony do połowy i naprawiony, zaopatrzyłem w żywność i paliwo, które będą mi mogły wystarczyć na długi czas pobytu w Kraju Biegunowym — na dłużej może, niż będę potrzebował... Bo stary przecież jestem...

Miałem dziś zrana wyruszyć, ale tymczasem zaszła okoliczność, która o jeden dzień księżycowy przynajmniej opóźni mój wyjazd.

Rzecz tak się miała: Od czasu wyprawy Toma na południe, ku równikowi, której omal ze życiem nie przyplącił, zakazałem surowo takich przedsięwzięć, będąc z góry pewnym, że nie wiodą do celu, a narażają niepotrzebnie podróżników. Dotąd słuchano święcie mego rozkazu, a ja pewien byłem, że i zawsze tak będzie, zwłaszcza wobec małej przedsiębiorczości tutejszego pokolenia, zwróconego całą istotą tylko ku praktycznym i codziennym sprawom życia.

A jednak omyliłem się. Snadź i tutaj przedostała się z Ziemi i tli w piersiach tych karzełek utajona odrobina tego ognia, co tam pchnął ludzi do stworzenia postępu i odkrycia nowych lądów wśród oceanu. Od jakiegoś czasu już zauważyłem, że niektórzy z mężczyzn oglądają tęskliwym okiem ku południu, za dalekie morze. Pytali mi się kiedyś, co tam jest, za tem morzem. Odpowiedziałem im, że nie wiem, ale oni, jak mogłem z wyrazu twarzy sądzić, nie uwierzyli temu. Podejrzewali raczej, że nie chcę im powiedzieć.

Ostatnią noc spędziłem z Janem przy pobliskich źródłach naftowych, zajmując się przygotowaniem zapasów na podróż do Kraju Biegunowego. Gdy rankiem powróciłem nad morze aby pożegnać się z księżycowym ludkiem i pobłogosławić go, nim odejdę dokonać życia zdala od tych okolic, dowiedziałem się, że korzystając z mej nieobecności trzech mężczyzn, najsilniejsi i najodważniejsi z całego zaludnienia, puścili się, jak nam ich żony opowiadają, na południe. Zbudowali sanie, umieścili w nich drugi motor elektryczny i wzięwszy ze sobą, oprócz zapasu żywności, dwa psy i futra, wyprawili się nocą, po zamrzniętem morzu, aby dotrzeć przed ranem do przeciwległego brzegu na południowej półkuli.

Szalone przedsięwzięcie! Pewien jestem, że nie powrócą nigdy; ale tymczasem ulec muszę prośbom Jana i Ady i czekać jeszcze dzień, jeden, aby ich pobłogosławić, jeśliby wrócili... nim odejdę.

Pytałem się żony Kaspra, najstarszego z trzech awanturników, po co oni poszli na południe? Odpowiedziała, że chcieli zobaczyć, co tam jest... Nadto żadnych objaśnień dać mi nie mogła.

Szkoda tych ludzi, bo zginą niewątpliwie, a są dzielni, jak dali tego dowód.

Nadszedł już tedy dzień odjazdu! Słońce weszło od paru godzin i lody już tają; — wkrótce siądę do wozu i ruszę ku północy.

Bez żalu żegnam ten kraj, choć wiem, że odjeżdżam, aby nie wrócić tutaj już nigdy.

Oglądam się jeszcze za grobem Marty na dalekiej wyspie i tak mi dziwnie na sercu...

Wczoraj przed wieczorem kilka godzin spędziłem na tym grobie. Ciężko mi się z nim było rozstawać: to jedyna rzecz, którą kocham na tym świecie. Wziąłem z niego grudkę ziemi, przycisnę ją do ust, gdy będę umierał w dalekim kraju.

Czas mi już w drogę... Księżycowy lud zbiera się, aby mnie pożegnać. Nie szemrają, nie opierają się — wiedzą, że tak być musi. Adam, Jan i dwaj jego bracia, mają mi jeszcze towarzyszyć do Kraju Biegunowego. Nie mogłem im tego odmówić.

Tamci trzej nie powrócili jeszcze i zapewne nigdy już nie wrócą. Lecz nie będę już dłużej czekał. Zresztą wszyscy tak są przygnębieni moim odjazdem, że o nich już nawet nie myślą. Jan tylko wspomniał dziś o wschodzie słońca ich imiona i dodał:

— Spotkało ich nieszczęście, bo wyruszyli, nie pytając Starego Człowieka o radę.

Odpowiedział mu nagły wybuch płaczu pośród kilku zgromadzonych dookoła niego.

— Odtąd nie będzie już kogo pytać! — mówili wśród łkań, cisnąc się ku mnie.

Zdaje się, że ci ludzie mnie kochają. Dziwne odkrycie — w tej ostatniej chwili...

Wszystko jedno! czas mi w drogę!

*

W drodze, na Równinie Jezior.

Z ulgą oddycham w tej chwili, gdy pomyślę, że poza mną leży już moje księżycowe życie, a przedemną jeszcze krótki

pobył w Kraju Biegunowym, pierwszej ongi przystani naszej na Księżycu, a potem — śmierć w obliczu Ziemi, ukochanej, na niebiosach rozświetlonej ojczyzny mojej.

Powoli wszystko snem mi się już staje, życie moje przeszłe i ci ludzie, pozostawieni tam nad morzem; wszystko to ginie mi w srebrnej jakiejś mgłę sennej, przez którą prześwieca tylko w duchu moim płomienny krąg Ziemi.

Niecierpliwym już jestem i takbym ją rad jaknajprędzej zobaczyć, że tęsknoty ukoić nie mogę. Noc jest, a sen się mych powiek nie ima. Próbuję skrócić pisaniem długie godziny.

Oto zatrzymaliśmy się na noc tu, gdzie Piotr znalazł był nigdy pierwsze źródła naftowe. Ile to lat już upłynęło od tego czasu! I znowu wracam myślą mimowoli do tego życia minionego, które leży już poza mną. Stają mi przed oczyma pomarli towarzysze moi, i Marta, i dzieci jej pierwsze, które także już nie żyją...

Ach! Precz te wspomnienia, rozstrajające mnie tylko teraz, gdy sił mi potrzeba, aby dotrzeć do kraju, gdzie zobaczę Ziemię!

Z tęsknotą rwałem się do tej podróży, a przecież przyznać muszę, że ciężkie mi były ostatnie chwile pożegnania. Takie to dziwne jest serce ludzkie i taka moc przyzwyczajenia. Snadź i do krat więziennych przyzwyczać się można.

Ostatniego rana, zaledwo skończyłem pisać poprzednią notatkę, spostrzegłem gromadzącą się przed moim domem całą ludność tego świata. Stawali w milczeniu, posępni i smutni i czekali. Przeliczyłem ich z okna: byli wszyscy, z wyjątkiem owych trzech. Wóz stał w pogotowiu.

Wtedy obejrzałem się jeszcze raz na te kąty, w których z górą pięćdziesiąt lat przeżyłem, a nie chcąc, aby czczono może kiedyś bałwochwalczo ten dom, jako miejsce pobytu Staro-ego Człowieka, podpaliłem go własnoręcznie wraz ze wszystkim, co w nim jeszcze pozostało, a czegom nigdy używał — i wyszedłem do zgromadzonego ludu. Jasny płomień buchnął za mną przez drzwi i okna.

To był mój stos pogrzebowy.

Przytłumiony krótki okrzyk wyrwał się z ust zgromadzonych, gdym stanął przed nimi. Poglądali na płonący dom i na mnie, ale nikt się nie ruszył, aby gasić ogień: czuli, że ja chciałem tak... Milczeli wszyscy.

— Jestem dzisiaj poraz ostatni wśród was — zacząłem, aby coś powiedzieć, gdyż w tej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem płomienia, ogarniało mnie przygnębienie i smutek.

— Odchodzę od was — mówiłem dalej — do kraju, kędy już dawno odejść zamierzałem. Wątpię, abym kiedy powrócił tu jeszcze, ale wy, gdy zechcecie, będziecie mnie mogli tam odwiedzać, póki nie umrę.

Karły patrzyły ciągle w milczeniu na płonące belki dachu i na mnie; niektórzy, widziałem, mieli duże łzy w oczach.

Odetchnąłem głęboko, bo ciężar jakiś przywalał mi piersi.

— Wzrosliście wszyscy w moich oczach — zacząłem znowu z trudem, szukając słów — byliście ze mną do tej chwili, a odtąd macie się rządzić sami. Pamiętajcie, że jesteście ludźmi, pamiętajcie!

Głos mi się złamał w piersi.

— Dawałem wam nieraz nauki — nie zapominajcie o nich! Zostawiam wam księgę, świętą księgę, przywiezioną z Ziemi, gdzie jest mowa o stworzeniu świata, odkupieniu i przeznaczeniu człowieka; czytajcie ją często i żyjcie, jak należy.

Urwałem znowu, czując, że mówię rzeczy banalne i bezużyteczne.

Wtedy jedna młoda kobieta wystąpiła z pośród zgromadzonych i odezwała się:

— Stary Człowieku, nim odejdiesz, powiedz, czy dobrze jest, aby mąż bił żonę?

Te słowa były jakgdyby hasłem. W jednej chwili otoczył mnie rój kobiet i mężczyzn i poczęli pytać głosami żałośliwymi:

— Stary Człowieku, powiedz, czy dobrze jest, aby brat zaprzęgał młodszego do pracy dlatego, że jest słabszy?

— Powiedz, czy dzieci mają prawo wyganiać rodziców z chaty, którą oni sami niegdyś zbudowali?

— Powiedz, czy słusnie jest, aby jeden z ludzi mówił: To są moje pola — i nie pozwalał innym zbierać z nich plonu?

— Czy słusnie, aby jeden drugiemu odbierał żonę?

— Aby psuł narzędzia?

— Aby się mścił za wyrządzoną krzywdę?

— Aby okłamywał dla własnej korzyści?

— Powiedz, czy to jest słusnie!

— Powiedz, nim odejdiesz, bo i ty i księgi uczyliście aby tego nie czynić, a tymczasem to się dzieje wśród nas codziennie!

Straszliwy ból ścisnął mnie za serce. Opuszczając ten ludek, widziałem już jasno, jakimi torami pójdzie dalszy jego rozwój. Dużo z ducha ludzkiego zginęło w drodze na Księżyc, ale zło człowiecze przyszło tu z nami ze Ziemi!

— To jest źle! — odrzekłem wreszcie. — Jeśli pod moim okiem takie rzeczy się dzieją, cóż będzie dopiero, gdy odejdę?

— Więc czemu odchodzisz? — odpowiedziano mi.

Było to pytanie takie proste, a tak straszne zarazem. Czemu ja odchodzę?

Zwiesiłem głowę, jak winowajca, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

W głuszy słyhać tylko było trask płonącego domu i stłumiony, daleki poryk wulkanu.

Lud już się nie odzywał. Zrozumiał snadź to, co i ja czułem w owej chwili, że odjazd mój jest bezwzględną koniecznością losu, której się daremnie opierać.

— Może powrócę do was jeszcze kiedy. Życie tymczasem w zgodzie i po ludzku — bąknąłem, wiedząc, że kłamię im i sobie.

— Nie wrócisz! — odezwała się milcząca dotąd Ada. A potem, zwracając się twarzą do obecnych, dodała podniesionym głosem:

— Stary Człowiek was opuszcza!

Było coś strasznego w tym krzyku, który dreszczem przejął wszystkich zgromadzonych.

— Tak być musi! — rzekłem głucho.

W godzinę później znajdowałem się już we wozie, dążąc wraz z Adą i trzema jej bratankami ku północy...

*

Czwarty dzień księżycowy jesteśmy już w drodze. Słońce, wszedłszy dziś zrana, nie poszło już słupem w górę, ale, zatorywszy się na nieboskłonie, czołga się niemal po nim, rumiane, wzniesione zaledwie parę stopni nad siną linią gór na południowym wschodzie. Znak to, że się zbliżamy do celu podróży. Na północy rośnie przedemną górskie pasmo; rozróżniam już gołym okiem najwyższe, wiecześnie słońcem oświetlone szczyty i wąwóz wśród nich, stanowiący bramę biegunowej kotliny.

Tak mi serce bije...

Dzień dzisiejszy nie będzie miał końca, bo w chwili, kiedy słońce zająłoby powinno na tej półkuli, staniemy już na biegunie, w kraju wiecznego świtu, gdzie o każdej godzinie jest równocześnie wschód, zachód, południe i północ dla różnych południków, których węzeł ma się tam pod stopami.

I wtedy — zobaczę Ziemię!

*

W Kraju Biegunowym.

Po czterech księżycowych dobach podróży, właśnie w godzinie, kiedy słońce w okolicach Ciepłych Stawów miało zachodzić, nadeszła wielka chwila: przedarliśmy się przez wąwóz w pasmie gór, stanowiącym graniczny mur biegunowej kotliny.

Z tak ogromnym wzruszeniem wstępowałem w ten kraj, mając oczy utkwione w stronę nieba, gdzie mi się niebawem

miała ukazać Ziemia, a gdym ją nagle w szczelinie skał zobaczył, tak byłem do głębi przejęty tym widokiem, że nie zważałem zrazu na to, co czynią moi towarzysze. Dopiero po chwili, podniósłszy się z kolan (bo na kolanach ją witałem, tę czczyzną moją daleką i z rękami wyciągniętymi tak, jak je dziecko wyciąga ku matce), spojrzałem na moją drużynę. Jan, syn jego najstarszy i dwaj jego bracia, którzy tu przyszli ze mną, stali dokoła mnie z odkrytymi głowami, skamieniali, z świętą grozą na twarzach, poglądając osłupiałym wzrokiem na półkrąg Ziemi. Ada stała na przodzie i miała ręce wyciągnięte ku Gwieździe Pustyni.

Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zwróciła się do swoich zadumanych towarzyszy:

— Stamtąd *on* przybył — rzekła przytłumionym głosem, jakby nie chcąc, abym ja słyszał — i tam powróci, gdy czas nadejdzie. Upadnijcie na twarz.

I oni na twarz upadli przed widokiem Ziemi, po której deptali ich ojcowie...

Powstawszy, nie śmieli się zbliżyć do mnie, a gdy ja wreszcie ochłonawszy, zawołałem ich i począłem im jeszcze wzruszeniem przerywanym głosem tłumaczyć zjawisko, które mieli przed sobą, stali dokoła mych kolan zalęknieni, grozą przejęci, jakby niepewni, czyli w najbliższej chwili nie uniosę się nad ich głowy i nie posybiję bładem powietrzem hen, ku tej świetlistej gwieździe!

Ach! gdybym to mógł uczynić!

I wtedy, gdym do nich mówił — nierozumiany — zajęta mnie nagle ta myśl, tak, że bezwiednie prawie zamilkłem, zapatrzony na Ziemię, czując tylko, że tym ludziom dokoła siebie nie mam nic zgoła do powiedzenia.

I oni milczeli dość długo, aż wreszcie, skupiwszy się nieco poza mną, zaczęli trącać się łokciami i szeptać:

— Patrz, patrz! *on* przybył stamtąd! — mówił jeden do drugiego, wskazując snadź na Ziemię.

— Wtedy, gdy tu jeszcze nikogo nie było...

— Tak... On tu przywiódł dziada, Piotra, i jego żonę, Martę...

— A jednego, który był ojcem naszego praojca, pozostawił na pustyni, martwym. Tak Ada uczy.

— Tego w Piśmie niema. Tam jest tylko mowa o Adamie, to niby Piotr i o...

— Cicho, Pismo jest inne... Pismo także *on* przyniósł stamtąd...

— Tak, wszystko *on* zrobił; dla pierwszych ludzi zrobił tu morze i słońce i stawy...

Odwróciłem się szybko, usłyszawszy te ostatnie słowa, i półgłosem prowadzona rozmowa ucichła natychmiast.

Chciałem ich strofować, ale w tejże chwili przyszło mi na myśl, że to jest próżny wysiłek. Powiedziałem im więc tylko, aby rozbili namiot, bo tutaj dłuższy czas pozostaniemy.

I płyną od tej chwili godziny, znaczone niewidzialnym słońcem na zaróżowionych szczytach gór — płyną, dla nich, zda się, powoli, dla mnie aż nazbyt prędko!

Tak mi jest drogi ten Kraj Biegunowy! że strachem i bołecią przejmuję mnie myśl o samej możliwości powrotu tam, na brzeg morza, do Ciepłych Stawów... Przebywając tutaj, mam to wrażenie, że się znajduję już w ostatnim przedsiönku, niemal na samym progu Księżycowego świata, że stąd już tylko krok jeden przez międzygwiazdną przestrzeń do Ziemi — i dali-bóg, więcej mnie nęci ku sobie ta bezbrzeżna, martwa pustynia, co się poczyną za temi tam górami przedemną, niż ów kraj żyzny, gdzie mieszkałem tak długo.

Nawet grób Marty na Wyspie Cmentarnej nie pociąga mnie teraz. Wszak tutaj więcej mam z niej dokoła siebie, niż tam... Tutaj ona do mnie należała, choć nie mówiliśmy o tem nigdy ze sobą; tu stała ona nad mojem łóżem, gdy chorowałem, tutaj chodziła ze mną po zielonych, puszystych łąkach, albo wdzierała się na różowe szczyty gór, a tam... była żoną innego,

tam patrzyłem jeno na ból jej i na poniżenie, sam poniżony i zbolały.

Dobrze mi jest tutaj, w Kraju Biegunowym, tak dobrze, jak tylko może być człowiekowi, który stracił wszystko, nawet Ziemię z pod nóg, i zawieszony na srebrzystej, martwej gałce wśród błękitów, żyje tylko przeszłością i oddalą i myślą o tem, co jest niepowrotne...

Cicho, cicho, stare, niepoprawne, nieutulone serce moje! Oto masz świetlisty krąg Ziemi przed sobą, oto masz tesame łąki, po którychśmy razem z nią, tą cudzą i martwą, błędzili — a zapewne i grób już niedaleko — czegoż ci nadto potrzeba, stare serce moje?...

*

O bracia moi! tam, na tej jasnej kuli, która się świeci w tej chwili przed mojemu oczyma!

O bracia moi dalecy! o bracia moi nieznani, a nadewszystko drodzy!

O Ziemi! gwiazdo przejaska! radości mych oczu; światło płonące nad pustyniami!

Ziemi! raju rozkoszny! klejnocie najprawdziwszy, szmaragdzie jasny, w lazur mórz oprawny, o, kwiatów snopie! kadzielnico przewonna! harfo ptaszęcemi rozśpiewana głośy!

O Ziemi! Ziemi! ojczyzno moja! matka moja stracona!

Łkanie mi się wydziera ze starej, stęsknionej piersi, a też już nie mam, abym cię oplakiwał, gwiazdo, świecąca nad pustyniami! świecie nad inne godzien miłości!

Oto wyciągam ręce do ciebie — najdalszy, najnieszczęśliwszy z twych synów, a jedyny, któremu ty się raczysz zjawić teraz w tej złotej postaci — gwiazda wśród gwiazd na niebie!

Oto się modlę do ciebie, ja, opuszczony i samotny, ja,

któregoś ty dzieckiem znała, a który się teraz zestarzałem nie na twojem matczynem łonie:

Ziemió!

daruj, iżem odszedł od ciebie, szaleństwem żądy poznania obłąkany, którąś ty sama we mnie wychowała, uwiedziony srebrną twarzą tego globu martwego, któryś ty przed wiekami wyrzuciła ze siebie, aby nocom twym świecił i kołysał twoje morza!

Proszę cię, syn twój marnotrawny, któremuś ty wszystko dobro dała, postać wyniosłą i myślącego ducha, kwiaty, aby oczy swe radował, i ptaki, aby się pieśnią poił, i braci, aby miał z kim ból i radość dzielić; syn marnotrawny i srodze ukarany, a nie mogący już wrócić, aby najlichszym być z dzieci na twem szerokiem łonie:

Ziemió!

nie zapominaj o mnie! świeć oczom moim, nim je bielmo gorąco pożądanej śmierci przysłoni!...

Piję, wchłaniam światło twoje całą swą istotą! Upajam się światłem twojem do obłędu, do szału!

Światło twoje, od mórz lazurowych obfite, od śnieżnych szczytów i łąnów zielonych, od drobnych łyskliwych listków drzew, od kwietnych kielichów, od rosy, która tam błyszczyc na łąkach, od strzech wieśniaczych i od strzelistych wież kościołów, od twarzy ludzkich, które w zamyśleniu poglądają ku niebu — setki tysięcy mil przebiegło, dążąc tu do mnie przez pustkę odwieczną, i jest mi teraz wszystkim: i lazurem mórz twoich i łąnów zielenią, błyskotliwością rosy i barwnością kwiatów i odbłaskiem ducha ludzkiego, zwierciadłowego się w ku niebu zwróconych oczach!

O Ziemió! Ziemió moja!

O! kiedyż duch mój, z ciała wyzwolony, będzie mógł
pójść po tych świetlnych strunach, między tobą a tym strasz-
nym światem nawiązanych, a łona twego dopadłszy, wiatrem
cichym całować to wszystko, co tak ukochał i za czem tęskni
tak bezmiernie!

O Ziemiо!...

VI.

Dziwne mam przeczucie, że wkrótce już umrę. Ta myśl krąży koło mnie; pełne jej jest powietrze, pełne jej są krwawe promienie słońca, niebo wydaje mi się podobnem do cichego, miękkiego całunu, a Ziemia świeci na niem, jak srebrna lampa w grobie. Nigdy jeszcze nie czułem tak żywo, jak teraz, że umrę wkrótce...

Bez bólu, bez żalu i niepokoju myślę o tem, ale — co dziwniejsza — i bez radości, którąby powinno wzbudzić w mej piersi nadchodzące ostateczne wyzwolenie.

Zdaje mi się, że coś mi jeszcze pozostaje do zrobienia — coś niezmiernie prostego a ogromnie ważnego, na co jednak wpaść nie mogę. I to mnie gnębi, to sprawia, że nie cieszę się śmiercią-wybawicielką, która, wiem, blisko już krąży koło mnie.

We śnie słyszę wyraźnie, jak mnie wołają tam, ze Ziemi. A ja — także we śnie — odpowiadam im za każdym razem: pragnę iść do was, ale nie wiem drogi...

Czyż nie przez pustynię bezpowietrzną wiedzie droga na Ziemię?

*

Byłem niedawno na górze, skąd niegdyś patrzyliśmy z Piotrem na zaćmienie słońca, a potem na jezioro, zalewające nagle całą kotlinę biegunową.

Wziąłem był Adę ze sobą na tę wycieczkę. Prosiła mnie o to sama. Widząc, że wychodzę często na okoliczne góry,

aby popatrzeć na Ziemię lub pustynię, widną już stąd na kraju niebokręgu, nalegała, abym ją zabrał kiedy, bo i ona chce widzieć, na co ja patrzę i za czem tęsknię.

Idąc dziś ze mną, przybrała się w najświetniejsze kapłańskie szaty, a Janowi powiedziała, że idzie patrzeć na ojczyznę Starego Człowieka. W drodze śmieszyła mnie jej powaga; zdawało się, patrząc na nią, że wstępuje na tę górę dla spełnienia jakiejś wielkiej i świętej ofiary. Jestem pewien, że tak też myśleli ludzie, których zostawiłem w namiocie na dolinie. Poglądali za nią z czcią i jakby lękiem.

Wstępowaliśmy w milczeniu na górę. Śmiech, który mnie zbierał w dolinie, gdym patrzył na kapłańskie szaty Ady, odleciał teraz gdzieś daleko odemnie — zapomniałem nawet, że ta kobieta postępuje za mną. Patrzyłem na Ziemię, wznoszącą się zwolna nad horyzont, w miarę, jak postępowałem wyżej, i na słońce, które, tutaj już widoczne, stało jak kula czerwona po przeciwległej stronie widnokręgu. Pod nogami miałem kobierzec z rośliny jakiejś, do wrzосу podobnej, a zaróżowionej słońcem, nad głową blade, zastygłe niebo.

Dziwne przejmowało mnie wrażenie! Zdawało mi się, że, wstępując na tę górę, oddalam się już na zawsze od księżycowych ludzi i od tego całego obmierzłego mi świata; zdawało mi się, że istotnie jestem jakimś tajemniczym Starym Człowiekiem, który spełnił już swe ciężkie dzieło i powraca teraz do ojczyzny, tam, między gwiazdy... A słońce pali się za mną czerwone i żegna mię na tym świecie, który trudem mi był tylko i boleścią, a Ziemia wznosi się przedemną, ogromna, jasna, gotowa przyjąć mnie na swe światłe łono...

Jużem stał na szczycie góry, w otchłani nad wyraz czystego powietrza, gdy, spojrzawszy na tarczę Ziemi, dostrzegłem przesuwany się po niej jasny klin Europy. Widoczna była dokładnie, choć chmury jakieś — przesuwane się nad Francją i Anglią — zatarły z tej strony jej kontury... Ale szerokie, polskie równiny na wschodzie błyszcząły jak srebrne, wygła-

dzone zwierciadło, oparte z jednej strony o ciemny pas morza bałtyckiego, z drugiej o łańcuch karpacki, lśniący teraz szczytami, jak sznur drogocennych pereł.

Takie mi było niespodziane a czarowne to zjawisko mojej ojczyzny na niebieskim błękitcie, że stałem przez chwilę z zatrzymanym oddechem, cały w oko zamieniony, aż nagle, ryknąwszy płaczem jak dziecię, upadłem na twarz na szczycie księżycowej góry.

Gdym się po niejakim czasie podniósł, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem ze zdziwieniem, że Ada klęczy u moich nóg, a duże łzy spływają jej po twarzy.

— Co tobie? — spytałem prawie mimowoli.

Ona, zamiast odpowiedzieć, objęła mnie tylko rękoma za kolana i wybuchnęła głośnym płaczem. Po chwili dopiero wśród łkań zdołałem rozeznąć urywane słowa:

— Ty jesteś nieszczęśliwy, Stary Człowieku! — mówiła.

— I ty z tego powodu płaczesz?

Nie odrzekła już ani słowa i tylko stłumiwszy łkanie, wpatrywała się w złocistą tarczę Ziemi.

I znowu długi czas upłynął w milczeniu.

Wreszcie Ada podniosła głowę i spojrzała mi w twarz dziwnie przenikliwym wzrokiem.

— Tutaj na Księżycu jest wszystko smutne i nieszczęśliwe, nawet ty — rzekła. — Po co ty tu przyszedłeś? po co... z tej gwiazdy...

Urwała, a po chwili odezwała się znowu.

— Tamci, moi rodzice, pomarli. A dlaczego ty nie umierasz?

— Nie wiem.

Powiedziałem prawdę; nie wiem istotnie, dlaczego ja nie umieram.

W owej chwili lęk mnie znowu zebrał, bo przyszła mi na myśl ta okropna księżycowa gadka, że ja nie umrę nigdy.

Ada tymczasem milczała przez jakiś czas, aż wreszcie odezwała się głębokim, stłumionym głosem, sobie samej odpowiadając:

— Bo ty jesteś Starym Człowiekiem. A mimo to jesteś nieszczęśliwy.

— Właśnie dlatego — odparłem bezwiednie.

Schodząc po jakimś czasie z góry, doznałem jeszcze złudzenia, które mi łyzy wycisnęło z oczu. Oto gdy nagle na skręcie zobaczyłem namiot Jana i towarzyszy, stojący na temsamem miejscu, gdzie niegdyś stał nasz, zdawało mi się przez krótką chwilę, że w tym namiocie oczekuje mnie Marta z maleńkim Tomem przy piersi i Piotr, zadumany jak zwykle, ale jeszcze młody i nie tak złamany, jak później tam nad brzegiem morza.

To rozkoszne złudzenie mojej starczej myśli rozwiął brutalnie widok karłów, kręcących się dokoła namiotu.

Spostrzegłszy ich, zatrzymałem się z jakąś nagłą wewnętrzną odrazą. Ada zauważyła to.

— Ty nie chcesz iść do nich, Stary Człowieku? — zapytała.

Cóżem miał odpowiedzieć? Obejrzałem się mimowoli na Ziemię; zeszedłem już był w dolinę: tylko rąbek jej widno było na widnokręgu.

Ada, schwyciwszy moje przelotne spojrzenie, zrobiła ruch przerażenia, a potem złożyła błagalnie ręce:

— Nie! nie! jeszcze nie teraz! Oni cię jeszcze potrzebują. Bała się, abym nie wrócił tam, do ojczyzny mojej.

— Czy myślisz, że mogę powrócić na Ziemię? — rzekłem.

— Możesz wszystko, co zechcesz — odparła — ale... nie chciej!

Przyszedłszy do namiotu, znużony i rozstrojony, położyłem się spać, ale sen miałem bardzo niespokojny. Przedewszystkiem przez parę godzin nie pozwalały mi zasnąć szepty mych towarzyszy za płócienną ścianą, którzy, otoczywszy Adę, wypytywali ją o mnie, com podczas wycieczki mówił, co robił?... Drażniły mnie strasznie te głosy, a gdym wreszcie zasnął, śniły

mi się ubiegłe czasy, Marta, księżycowa pustynia i Ziemia!...
Ziemia...

Męczą mnie te sny...

*

Chciałbym już zostać sam. Towarzystwo tych ludzi, co przyszedli tu ze mną, męczą mnie i nuży. Zdaje mi się, że stoją bezustannie między mną a Ziemią i cień jakiś rzucają mi na duszę...

A oni tymczasem ani myślą o odjeździe! Rozłożyli się obozem na równinie, urządzają się i robią zapasy, jakgdyby mieli wieki tutaj mieszkać. Czyżby może łudzili się, że zdołają z czasem i mnie nakłonić do powrotu?

Kto wie, czy niema w tem wszystkim ręki Ady? Coraz więcej zadziwia mnie ta kobieta. Czasem, nie wiem już do prawdy, czy mam rzeczywiście z obłąkaną do czynienia, tak mi się jej czyny i słowa w nowem przedstawiają świetle. Bo czyż to nie jest zastanawiające, że ta szalona jest właściwie najrozumniejsza ze wszystkich tutaj urodzonych ludzi?

A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Wszakże jestem człowiekiem z innego świata, człowiekiem odchodzącym już i tak nad wszelki wyraz, tak okropnie znudzonym tem, co przeżyłem.

O! gdyby ci ludzie zechcieli dać mi nareszcie spokój i odejść i pozostawić mnie w samotności!

Ziemię moja, Ziemię! ty nie wiesz, jak mi ciężko żyć bez ciebie i jakbym pragnął już umrzeć! Bodaj jutro, dziś, zaraz...

*

Cóż ja za bluźnierstwo napisałem! Wczoraj jeszcze pragnąłem umrzeć, a dziś chcę żyć, muszę żyć jeszcze bodaj kilka dni księżycowych, potem niech się dzieje, co chce! Szum mam w głowie, a jakąś pełnię niewysłowioną i rozkoszną w piersi. Tak jest, tak jest! muszę tego dopełnić, muszę!

Chwała Bogu, że wóz nasz stary mam ze sobą i podstatkiem zapasów.

A przecież to takie proste! Dziwna, że wcześniej nie pomyślałem o tem!

O Ziemi! o bracia moi ukochani! nie jestem ja tak opuszczony i oderwany od was, jak sam do niedawna jeszcze sądziłem — mam sposób przesłania wam wiadomości o sobie i — chociaż mi życiem przyjdzie zapłacić za to — uczynię to, tak mi Boże dopomóż!

Umrę na pustyni, w pełnym blasku mojej gwiazdy i matki! lecz przedtem...

*

Obym ją znalazł! O niej teraz tylko myślę, o niej marzę i, dalibóg, nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu pragnąłem tak spotkania ukochanej kobiety, jak dziś pragnę znaleźć ją, tę armatę, zostawioną przed pięćdziesięciu laty przy grobie O'Tamora!...

Gdy przyszło mi to poraz pierwszy na myśl, ogarnął mnie istny szal radości; zdawało mi się, że zstępuje na mnie jakieś objawienie cudowne, które mi wskazuje sposób porozumienia się z bracią moją, pozostałą na Ziemi!

Bo, doprawdy, pięćdziesiąt ziemskich lat tu żyję, a dotąd ani razu nie pomyślałem o tem, że tam, na *Sinus Aestuum*, wśród kamiennej pustyni przy grobie O'Tamora, stoi armata, wymierzona dokładnie w środek srebrnej tarczy ziemskiej i czeka tylko iskry, aby wyrzucić powierzony jej list w przestrzeni ku Ziemi.

Tak jest, ja pójdę na martwą pustynię szukać tej armaty, pójdę szukać trupa starca O'Tamora w skalistym grobie, który jej tam pilnuje przez lat pięćdziesiąt, patrząc na Ziemię pustymi oczodołami... Wiem, że nie wrócę z tej wyprawy; zbyt jestem już stary i zbyt znękany, a nadewszystko nie mam dokąd wracać, ani po co. Śmierć mną pogardziła, nie chciała

przyjść po mnie tu nad morze, więc ja pójdę naprzeciw niej, w ten kraj okropny, gdzie zaprawdę musi być jej siedlisko.

I spocznę tam na wieki, obok O'Tamora i wystrzelonej armaty, na skałach, pod jasnym kręgiem ziemi u zenitu... Byle jak najprędzej!

Ale przedtem... Serce mi bije gwałtownie! Przedtem zwinę ten pamiętnik, tę księgę boleści, którą niegdyś chciałem pozostawić przyszłym księżycowym ludom, przycisnę do piersi, ucałuję i pošlę w kuli, jak list w stalowej kopercie, do was, o, bracia moi dalecy, ukochani bracia moi!

Marzę o tem z bijącemi tętnami w skroniach, jak tam na Ziemi znajdzie ktoś kulę stalową — może po tygodniach dopiero, może po latach, po wiekach? — a otworzywszy, wyjmie z niej zwitek papierów... Będziecie wtedy, o, bracia moi nieznani, czytali to, com pisał z nieustanną myślą o was i o wspólnej matce naszej, Ziemi, którą wy znacie w zieleni, w przepychu kwiecia i srebrzystościach zimowych poranków, a ja znam także jako światło niebieskie, przeczyste i spokojne, płonące od wieków nad krainą ciszy i śmierci!

O, bracia moi! wy nie wiecie, jak piękna jest matka wasza, gdy się patrzy na nią przez nieba otchłanie! I nie wiecie, jak ja tęsknię za nią i za wami i przeklinam to niebo, które między nami legło, choć mi takim blaskiem maluje oczyszczoną moją!

*

A więc tak było:

Słońce stanęło już poraz trzeci nad pustynią i poraz trzeci Ziemia zczerniała nowiem od chwili, jak przybyliśmy po długiej i uciążliwej podróży do Kraju Biegunowego, kiedy Jan, zaszedłszy mnie zamyślonemu na wzgórzach, odezwał się z nagłą:

— Stary Człowieku, czas wracać!

Drgnąłem na te słowa, a tak byłem w myślach o Ziemi pogrążony, że im ich nie rozumiał zrazu i sądziłem, że on mnie wzywa do powrotu tam, skąd przyszedłem!

Ale on mówił tymczasem:

— Żony nas czekają i dzieci... Czas wracać nad morze do Ciepłych Stawów, do pól naszych i zagród, Stary Człowieku.

Mówił nieśmiało, jakby pytał raczej a nie żądał, lecz w głosie jego i twarzy wyczytałem mimo to niezłomne postanowienie.

I nagle zdjęła mnie ogromna żałość: ci ludzie przybyli tu ze mną i myślą teraz o powrocie, o rodzinach swych, o ojczyźnie, do której tęsknią i którą wnet zobaczą — a ja?... Mój dom, moja rodzina i ojczyzna tam — na niebie! ani mi do niej powrócić, ani żyć w niej kiedy, choć przecież pewnie stokroć gorsza tęsknota żre mnie za nią, niż tych ludzi za kawałkiem Księżyca nad brzegiem księżycowego morza! Zazdrość mnie ogarnęła.

— Wracajcie! — odparłem sucho.

— A ty? — zawołał Jan z najwyższym zdziwieniem, i przerażeniem, cofając się o krok przed zamaszystym ruchem mej ręki, którą mu wskazałem drogę na południe, i poglądając ku mnie w górę.

— Ja zostanę tutaj. Wszakże wam mówiłem, biorąc was w drogę ze sobą, że odjeżdżam, aby nie powrócić już nigdy.

— Tak — szepnął Jan — ale ja myślałem, że z czasem przecież... Tu nie jest dobrze dla ludzi...

— Więc wracajcie. Ja zostanę.

Teraz nie odrzekł ani słowa. Pochylił tylko głowę, jakby ugodzony ciężarem w kark i odszedł szybko — do Ady! pomyślałem odrazu — po radę.

Jakoż nie omyliłem się. Po chwili przyszła księżycowa kapłanka. Byłem przygotowany na jakąś śmieszna scenę z dodatkami tłumnych prośb, zaklęć, a nawet płaczu, w rodzaju tej, która się odegrała przed wyruszeniem w drogę — jakież mnie tedy ogarnęło zdziwienie, gdy Ada przyszła sama i cicha i nie pytając o nic, ani prosząc, rzekła tylko:

— Zostajesz tutaj, aby patrzeć na Ziemię, Stary Człowieku?

Skinąłem głową milcząco.

— Ale *tam* nie odejdziesz jeszcze? — to mówiąc, wskazała ruchem głowy Ziemię i leżącą pod nią martwą księżycową pustynię.

Mimowoli spojrzałem w ową stronę i wtedy nagle zaświtała we mnie poraz pierwszy ta myśl, że mógłbym się udać tam, na pustynię, którą przed pięćdziesięciu laty przebywałem z towarzyszami, aby przynajmniej na krótki czas, nimbym umarł z wyczerpania, czuć się bliższym Ziemi, mieć ją wprost ponad głową. Dzisiaj myśl ta ośwładnęła mną już niepodzielnie, towarzyszy każdemu memu ruchowi i pozbyć się jej nie mogę, ale wówczas był to pierwszy przebłysk zaledwie, który na razie wnet stłumiłem, sądząc, że jest to rzecz niemożliwa, jakgdyby śmierć stała już u kresu możliwości i niepodobna było kupić tego, za co życiem trzeba zapłacić.

— Tam nie odejdziesz? — powtórzyła kapłanka.

Zawahałem się.

— Nie. Jeszcze nie.

— Więc... czy nie mógłbyś jeszcze powrócić z tymi biedakami nad morze? Oni tak pragną mieć cię wśród siebie.

— Nie! — odpowiedziałem ostro, widząc że się już zaczynają prośby — zostanę tutaj.

— Jak ci się podoba, Stary Człowieku. Oni będą bardzo smutni, ale... jak ci się podoba, tak zrobisz. Gdy wrócą sami, zapytają ich ci, co pozostali w domach: A gdzie jest Stary Człowiek, na którego patrzyliśmy od dziecka? Oni zaś spuszcza tylko głowy i odpowiedzą: Opuścił nas.

— Ale jak ci się podoba. Ostatecznie wiedzą, że jesteś gościem wśród nich i że przyjdzie czas, kiedy się będą musieli rządzić sami.

— Ty im zostaniesz — rzekłem — i będziesz nimi rządzić. Nawet Jan cię słucha i poważa.

— Nie, ja nie zostanę z nimi.

Spojrzałem na nią zdziwiony, a ona po krótkiej chwili wahania schyliła się do moich kolan:

— Mam prośbę do ciebie, Stary Człowieku.

— Mów.

— Nie odpędzaj mnie!

— Co?

— Nie odpędzaj mnie. Pozwól mi zostać ze sobą.

— Ze mną tutaj: w Kraju Biegunowym?

— Tak jest. Z tobą w Kraju Biegunowym.

— Ależ dlaczego? cóż ty tu będziesz robić? Tam są twoi bliźni, nad morzem!

— Ja wiem, ty nie jesteś mój bliźny, bo ty jesteś z gwiazd dalekich; ja wiem, ale pozwól mi...

Zamyśliłem się nad tą dziwną prośbą.

— Dlaczego chcesz pozostać ze mną? — spytałem wreszcie poraz drugi — tutaj nie jest dobrze, ani wesoło.

Ada pochyliła głowę i głosem stłumionym, głębokim, ale mocnym, odpowiedziała:

— Bo ja cię kocham, Stary Człowieku.

Milczałem, a ona po chwili ciągnęła dalej:

— Wiem, że to jest karygodna zuchwałość, gdy mówię do ciebie, że cię kocham, ale ja nie umiem nazwać inaczej tego co czuję. Rodziców moich już nie pamiętam prawie. Przypominam sobie tylko, że byli nieszczęśliwi. Na ciebie patrzę od dziecka i widzę w tobie wielkość jakąś, jakieś światło, jakąś potęgę, coś, czego nie znam, ale wiem, że z gwiazd tu przyszło z tobą.

Umilkła, a gdym zdumiony wsłuchiwał się jeszcze w przebrzmiałe jej słowa, podjęła znowu:

— A przytem i ty byłeś nieszczęśliwy i taki samotny, samotny przez całe życie, jak ja. Nie wiem, po co przyszedłeś z tej gwiazdy jaśniejącej na Księżyc... Tak chciałeś... Wiem, że robisz wszystko; co zechcesz, — wystarczasz sobie i mnie nie potrzebujesz, ale ja ci chcę służyć i być z tobą do ostatka. Nie odpędzaj mnie. Ty wielki, ty dobry i mądry!

To mówiąc, schyliła się znowu do moich nóg i tak już pozostała, z czołem na moich kolanach.

— A gdy zechcesz już odejść, powrócić do swej jaśniejącej na niebie ojczyzny — mówiła znowu po jakimś czasie — to ja odprowadzę cię aż po kraniec tej wielkiej i martwej pustyni, pożegnam i będę patrzeć jeszcze długo, długo za tobą, Stary Człowieku, aż mi znikniesz z przed oczu, a wtedy wrócę do ludzi nad morskim brzegiem i powiem im tylko: On już odszedł... Potem umrę.

Tymczasem, gdy tak mówiła głosem, rozplywającym się w obcym dotąd u niej dla mnie szepcie marzenia, księżycowi ludkowie, podkradłszy się już blisko, nadśłuchiwali jej słów z zapartym oddechem. I nagle usłyszałem stłumiony głos Jana:

— Stary Człowiek odejdzie od nas... na Ziemię!

A potem płacz. Dziwny, przejmujący, półcichy płacz.

I szczególnie! Zwykle drażnił mnie i gniewał płacz tych antropomorfów, a teraz, nie wiem, czy to wobec wzruszenia, jakie wywołały we mnie niespodziewane słowa Ady, czy wobec tej budzącej się myśli o ostatecznej podróży na pustynię pod świecącą się Ziemię: dość, że przejął mnie wielki smutek i litość.

Zwróciłem się ku nim, a Jan, ośmielony snadź moim wzrokiem, postąpił parę kroków i odezwał się, spoglądając mi w oczy:

— Stary Człowieku, czy to już nieodwołalne? Czy tam cię już oczekują? Czy zapowiedziałeś już swe przybycie? Musimyż pozostać sami?

W tej chwili — jakby mnie kto obuchem uderzył w głowę! Jeden błysk, jedna myśl:

Działo!

Tak jest! działo! przy grobie O'Tamora, tam, na pustyni! Zakołowało mi wszystko przed oczyma; obiema rękami przycisnąłem serce, bojąc się, by mi snadź piersi nie rozsadziło.

Oczy utkwiałem w rąbku tarczy ziemskiej, widnym nad

horyzontem, a przez myśl szły mi teraz jakieś szalone błyskawice: podróż, pustynia, armata, strzał, bracia moi ziemscy, ten pamiętnik... a potem szara mgła, roztopiająca w sobie wszystko: zrozumiałem, to śmierć!

Zapomniałem zupełnie, gdzie jestem, co się dokoła mnie dzieje. Oni w oniemieniu patrzyli na mnie snadź z najwyższym zdziwieniem, ale ja ich nie widziałem. Jak przez sen doleciał mnie tylko głos Ady:

— Odejdźcie, Stary Człowiek mówi ze Ziemią. Wkrótce nas opuści.

Gdym oprzytomniał nieco z pierwszego, piorunującego wrażenia, jakie ta myśl na mnie wywarła, spostrzegłem, że jestem sam.

Zrozumiałem, że to jest objawienie, że muszę iść na pustynię, znaleźć działo, przesłać Ziemi ostatnią wieść i ostatnie pozdrowienie i — umrzeć na pustyni.

W jakiś czas opowiedziałem Adzie i Janowi o swem postanowieniu; przyjęli to z głowami posępnie spuszczone, ale bez słowa oporu, jakgdyby byli na to przygotowani.

O powrocie ich teraz nad morze niema już mowy. Chcą pozostać tutaj aż do chwili mego odjazdu.

Obecnie, gdy stanę twarzą ku Ziemi, mam słońce po prawej ręce; nim zatoczy pół kręgu i stanie po stronie lewej, niosąc dzień na pustynną półkulę — wyruszę w drogę.

*

Skończyła się tedy moja księżycowa tragedia! Jestem tutaj, gdzie poraz pierwszy zobaczyłem na Księżycu łąki, zieloność i życie; wówczas przybyłem tu, odbywszy podróż przez śmiertelną pustynię, — obecnie wybieram się, aby przebyć ją poraz drugi i ostatni.

Chmurno jest w sercu mojem, ale spokojnie. Patrzę na mione życie i zdaje mi się, że czas jest zrobić rachunek sumienia. Chciałbym, tak jak czynią na Ziemi ludzie na śmierć

się gotujący, wypowiadać się z grzechów, a dziwna rzecz! na usta cisną mi się nieszczęścia moje. Byłoby to oboje jednym i temsamem?

Więc Ty, Panie, który słyszysz snadź zarówno głos najlichszego robaka, jak łoskot światów, w przestrzeni pędzących, który widzisz mnie tu na Księżycu tak, jak niegdyś widziałeś mnie na Ziemi, przyjmij tę spowiedź, przez którą Ci wyznawam, żem był grzeszny i nieszczęśliwy!

Oto, gdy byłem dzieckiem, ciasno mi było na Ziemi, którąś dla mnie zbudował i wylatywałem nieustanną, w skrzydła tęsknoty ubraną myślą do tych światów odległych, błyszczących na firmamencie, tak że pieśczoł matki odbiegałem, aby marzyć o cudach, któreś Ty stworzył — nie dla mnie! Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

Kiedym dorastał i pochłaniał te okruszyny wiedzy, któreś Ty ludziom zdobyć pozwolił — dusza wciąż we mnie krzyczała: mało! i śniła o zrywaniu siedmiorakich pieczęci i podnoszeniu zasłon, Twoją zasuniętych ręką. Grzeszny byłem i nieszczęśliwy...

A zaledwie stałem się mężem, opętała mnie żądza bujania w przestworach — jakgdybym, stojąc na Ziemi, nie był również w bezmiarach wszechświata i nie unosił się nad otchłaniami — i skorzystałem ze sposobności i z lekkim sercem rzuciłem matkę-żywicielkę dla srebrnej, uwodzającej lunatyków twarzy Księżyca... Grzeszny byłem, Panie, i jestem nieszczęśliwy...

Patrzyłem na śmierć towarzyszy i przyjaciół, łamiąc się w duchu, a gotów byłem walczyć z nimi o odrobinę powietrza, potrzebną dla utrzymania życia, albo o kobietę, która nie należała do żadnego z tych, co po nią ręce wyciągali... A kiedy byłem świadkiem jej nieszczęścia, którego sam biernym sprawcą się stałem, nie uczyniłem nic, aby ją z niego wybawić. Grzeszny byłem i nieszczęśliwy...

Zostałem sam na tym okropnym świecie, na który mnie

własna wola zaniosała, a mając sobie powierzone młode pokolenie ludzkie, nie umiałem rozbudzić w niem ducha ani zwrócić ócz jego ku niebu... Owszem, miasto miłości, pogardę miałem dla nieszczęsnych i zezwoliłem, aby mnie czcili, podczas gdy Tobie jednemu cześć się należy... Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

A teraz, łamany bólem, znużony tęsknotą, opuszczam tych powierzonych losem mej pieczy i przewodnictwu i idę po ostatnią, smutną rozkosz, po śmierć w obliczu Ziemi!

Grzeszny jestem, Panie, i nieszczęśliwy!

Życie moje rozłamało się na dwie wielkie części, z których jedna była pragnieniem rzeczy nieznanych, a druga tęsknotą za straconymi... A obie były smutne i nad wyraz bolesne...

A czegom pragnął — nie osiągnąłem, bo oto zaledwie o marny krok posunąłem się we wszechświecie, a nawet nie znam tajemnic miejsca, gdzie się znajduję. Nadarmo wszystko poświęciłem, nadarmo przebrnąłem przestrzenie błękitu, przebyłem pustynię, straszniejszą, niż jakiegokolwiek na Ziemi, daremnie lat kilkadziesiąt żyłem na tym srebrnym globie: zagadki są dokoła mnie dzisiaj tak, jak przed połową wieku.

A po czem tęsknię — wiem, że nigdy nazad nie osiągnę.

I to jest całe życie moje!

O! czas, czas! że się już zakończy...

Zumiłowaniem i upragnieniem poglądam ku pustyni, na którą rychło strącę wóz, aby być samotnym — aż do śmierci...

Ci ostatni ludzie, których widzę, pozostaną tutaj...

Wyjdą zapewne na górę i będą jeszcze długo poglądali za mną, za czarnym wozem, niknącym w zorzy słonecznej, a potem powrócą do swego ludu i powiedzą: Stary Człowiek już odszedł...

I z tego, z tych słów, wyrośnie tutaj kiedyś w przyszłości legenda, tak jak z naszego na ten świat przybycia!

Grzeszny jestem...

Zbliża się chwila odjazdu...

VII.

Na Mare Frigoris.

Jestem sam — i takim strasliwym lękiem przejmuję mnie ta bezbrzeżna samotność i głusza. Zdaje mi się, że już umarłem i płynę w tym wozie, jak w Charonowej łodzi ku jakimś nieznanym krainom.

A przecież znam to bezdroże i widziałem już te góry, rysujące się na horyzoncie dokoła. Jechałem już tędy, przed laty przed długimi laty! A wtenczas dążyliśmy ku życiu, a teraz...

Boże! daj mi tyle sił jeszcze tylko, abym zdołał dotrzeć tam, do grobu O'Tamora! O nic Cię już więcej nie proszę.

Obiecałem księżycowemu ludkowi, że jeśli sił mi starczy powrócić z pustyni, zamieszkać już pośród nich do końca życia, ale ja wiem, że nie powrócę z pustyni...

Chociaż może potrzebniejszaby teraz była obecność ma przy Ciepłych Stawach, niż kiedykolwiek.

Jeśli to jest prawdą...

Dziwną i straszną wieść usłyszałem w chwili odjazdu.

Słuchajcie mnie, ziemscy ludzie:

Już miałem siadać do wozu i żegnałem skupioną koło mnie gromadkę, gdy nagle u wejścia do kotliny spostrzegłem dwóch ludzi. W pierwszej chwili sądziłem, że to złudzenie, ale wkrótce

niepodobna już było wątpić: dwóch karłów zbliżało się szybko ku nam. Jan spostrzegł ich także i wydał okrzyk:

— Posyłają za nami! Tam się musiało stać coś złego!

Jakoż nie omyliło go przecucie — przybywali posłowie z nad morza, z dziwną a straszną wieścią.

Wkrótce po moim odjeździe z krainy Ciepłych Stawów, śmiali awanturnicy, których miałem już za straconych, powrócili z wyprawy na południową półkulę. Ale powróciło ich dwóch tylko. Trzeci nie wróci nigdy. I ci dwaj takie przynieśli wieści, że coprędzej uradzono posłać za mną do Kraju Biegunowego i nakłaniać mnie do przyjazdu nad morze.

Dwaj wybrani posłowie ruszyli w górę za biegiem rzeki, a potem, kierując się słyszanymi niegdyś opowiadaniem Ady, dostali się na wyżynę ponad Równinę Jezior i stąd, przedzierając się wąwozami, trafili szczęśliwie i dość wczesnie do biegunowej kotliny.

Słuchałem niecierpliwie tego opowiadania, pragnąc dowiedzieć się wreszcie szczegółowo, co ich skłoniło do tak nadzwyczajnej podróży?

Wreszcie posłowie, nagabywani przezemnie i Adę, poczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać historję wyprawy owych awanturników.

Z chaotycznych wyrazów i zdań dowiedziałem się jeno tyle, że przy sprzyjającym i nader silnym wichrze na saniach, opatrzonych żaglami, przebyli w ciągu długiej nocy lotem strzały zamrożone morze i dotarli o wschodzie słońca do przeciwległego brzegu na południowej półkuli. To było jasne, ale dalej trudno się było połapać w tem wszystkim, co mówili. Zresztą było to takie nadzwyczajne.

Wśród gór, na rozległych równinach, mają tam mieszkać jakieś dziwne istoty, pół-ludzkie a pół-zwierzęce, kryjące się przed mrozem w głębokich jamach, wykopanych dokoła rozwalających się w gruzy, od wieków snadź opuszczonych miast. Z temi to istotami, nad wyraz drapieżnymi, musieli podróżnicy

staczać walki, z których, postradawszy tylko jednego towarzysza, wyszli zwycięsko, jedynie dzięki posiadaniu broni palnej. Z powrotem uciekali w najwyższym przestachu, bo owe istoty goniły ich zawzięcie po lodach.

— To są złe potwory! — mówił opowiadający, trzęsąc się na samo ich wspomnienie — małe, ale bardzo złe! Musieli uciekać, bo ich jest dużo, dużo! i są złe! Mają takie, o, długie ręce i dzióby, zamiast ust... Kaspra pochwyciły na długi sznur i rozszarpały, a potem zawlokły trupa do głębokiej jamy, w której mieszkają. Tam kraj jest piękny, ale te potwory złe! Towarzysze biednego Kaspra opowiadali nam o tem. Te potwory ich goniły, ale oni mieli sanie z motorem i psy, więc zdołali uciec, choć z wielkim trudem. O! tam jest kraj dziwny! bardzo dziwny — za morzem, na południu. Tam stoją wielkie wieże, ale rozwalone; są jakieś ogromne maszyny czy fabryki, ale popsute, zarosłe. Te potwory pilnują tego i kłaniają się wieżom, zdaje się jednak, że nie wiedzą, co z tem robić. Mieszkają w jamach i są złe.

Daremnie wypytywałem, chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o owych istotach, żyjących za księżycowem morzem: nic nadto nie umieli mi powiedzieć. Usłyszałem tylko jeszcze historję powrotu podróżników z za morzą, okropną, dreszczem przejmującą odyseję! Wiatr z powrotem im nie sprzyjał, więc też nie starczyło jednej nocy na przebycie morza. Łód już puszczał rankiem, gdy przerażeni dotarli szczęśliwie do jakiejś drobnej i pustej prawie wysepki, na której, chroniąc się w jamach przed strasliwym równikowym upałem, przesiedzieli cały dzień w oczekiwaniu nocy i mrozu, aby się puścić po lodzie dalej z powrotem. Drugiej nocy wicher odrzucił ich daleko na zachód, a na domiar złego zepsuł im się motor przy końcu podróży, tak, że walcząc z niewysłowionymi trudami, musieli iść pieszo morskiem wybrzeżem, powierzywszy psom ciągnięcie sań po piasku.

I oto dotarli wreszcie do krainy Ciepłych Stawów, ażeby się dowiedzieć, że Starego Człowieka już tam niema.

— Więc czego chcecie odemnie? — spytałem, wysłuchawszy tego zadziwiającego opowiadania.

— Broń nas, Stary Człowieku! broń! — zakrzyknęli równocześnie obaj posłowie. — Żle nam się dzieje bez ciebie i nieszczęścia na nas spadają! Te potwory drapieżne przebędą teraz niewątpliwie morze, kiedy się już dowiedziały o naszym istnieniu i będą walczyć z nami, gnębić nas, trapić! A ich jest więcej! znacznie więcej, niż nas!

Ze złożonemi rękoma rzucili mi się do kolan; czułem utkwione w sobie pytające, niespokojne i błagalne spojrzenia Jana i jego braci — Ada tylko była nieruchoma i napozór obojętna.

A ja stałem, do głębi wstrząśnięty, wahający się jeszcze, niepewny, co powiedzieć, co zrobić, uderzony nietyle możliwością najazdu owych istot na ludzką kolonję księżycową, co samą wieścią, że tu żyją jakieś istoty i rozumne, jak się zdaje. Była chwila, kiedym już myślał wyrzec się ostatniego szczęścia, umiłowanego zamiaru przesłania wieści o sobie wam, ziemscy bracia moi, aby pozostać wśród księżycowego pokolenia, poznać owe dziwne, potworne narody, mieszkające za morzem, o których istnieniu dowiedziałem się dopiero teraz, przypadkiem, po kilkudziesięcioletnim tu pobycie, a w razie potrzeby bronić przed niemi potomstwo moich pomarłych przyjaciół.

Ale krótko trwało to wahanie. Jakiś bezbrzeżny smutek mnie ogarnął. I co mnie obchodzą księżycowe narody, te z Ziemi przybyłe i tamte, szczątki jakiegoś dawnego księżycowego ludu, mieszkające jak krety w jamach dokoła rozwalonych miast, w których snadź niegdyś panowali dumnie ich przodkowie? Niechaj się żrą, niech walczą, niech się wygubią wzajemnie... Co mnie to obchodzi? Stary jestem i nie wiem, czy mi życia stanie, aby odbyć daleką, śmiertelną podróż na bezpowietrzną pustynię — mamże je marnować teraz dla głupiej litości lub głępszej jeszcze ciekawości? A kto mi zaręczy zresztą, że opowiadanie tych dwóch szaleńców jest prawdziwe? Może

to nie miasta tam stoją, lecz skały spiętrzone? może owe rze-kome narody księżycowe są tylko bezrozumnymi zwierzętami? Stary już jestem i nie mam czasu przekonać się o tem, bo pilno mi umrzeć tam, przy grobie O'Tamora, w pełnym blasku Ziemi.

— Nic wam już pomóc nie mogę, — szepnąłem wreszcie — myślcie sami o sobie. Podróż mnie czeka nieodwołalna, a droga moja w innym kierunku wiedzie, niż wasza.

— Wiedziałam, że tak odpowiesz — odezwała się Ada, podczas gdy ja stawiałem już nogę na stopniach wozu.

Ale Jan chwycił mnie jeszcze za kolana:

— Przrzeknij nam tylko, — zawołał — jeśli inaczej być już nie może, przrzeknij nam, że powrócisz do nas z tej pu-styni, dokąd zmierzasz! Będziemy cię oczekiwali i myśl o tobie będzie nas krzepiła w walkach, które stoczyć nam wypadnie!

Zawahałem się.

— Jeśli sił i życia stanie: powrócę!

Ada zwróciła się ku gromadce:

— Powróci, ale tam!

To mówiąc, wyciągnęła rękę ku rąbkowi Ziemi, błyszczą-cemu nad widnokrzęciem.

Byłem już w wozie i rękę trzymałem na sterze, gdy do-leciały mnie jeszcze ostatnie jej słowa:

— A tutaj przyjdzie znowu dopiero po wiekach, po wie-kach... gdy się dopełni...

*

Na Mare Imbrium, pod Trzema Głowami.

Straszliwą przebyłem drogę, dążąc ku wam, o, bracia moi! Kamienne przerażenie mnie chwyta, gdy pomyślę o tej samot-ności bezdennej i o przeprawach onych przez góry, rozpadliny, pustynie rozległe i martwe. Płynąłem przez morza ciemności sam i piekła ogniste mam jeszcze przed sobą, żary oślepiające i mrozy nielitościwe. I pustkę... pustkę...

Inną drogą się tutaj dostałem, niż ta, którą przebywaliśmy niegdyś — ale niemniej straszliwą. Obawiając się pamiętnej, groźnej rozpadliny w *Poprzecznej Dolinie*, abym snadź w niej nie uwiązł, okrążyłem z *Morza Mrozów* pierścień *Platona* od zachodu i tak się dostałem na tę wielką równinę, która mnie aż pod stopy *Eratosthenesa* powiedzie.

Po cóż mam opowiadać straszliwości dotychczasowej przeprawy? — gorsze mnie jeszcze pewno rzeczy czekają.

Byłem też na miejscu, gdzie ongi widzieliśmy Miasto Umarłych. Ale pustynia tam gładka; nie dojrzałem nic, ani skały nawet, ni śladu.

Czy wtedy nas zmysły łudziły, czy pomyliłem się teraz w pomiarach i minąłem zdala to miejsce przeklęte?

A może karawana trupów zwinęła tymczasem kamienne namioty i poszła dalej na pustkę — na bezbrzeżną śmierci równinę?...

Lęk idzie za mną, idzie lęk przedemną — a ja z okropną, ostatnią samotnością swoją...

Słońce wstaje rozlśnione — błyszczą gwiazdy różnokolorowe na czarnem, aksamitnem niebie — i strasznie, strasznie... I po co mam szukać Miasta Umarłych — znajdę je rychło, dość rychło — czyż to nie jest Kraj Śmierci dookoła mnie?

*

Pod Eratosthenesem.

Jeszcze ostatni, krótki wysiłek... Ostatnia góra, ostatni szczyt... Okrążę go od zachodu i południa i tak się dostanę na *Sinus Aestuum* — i stamtąd, z nad grobu kamiennego starca O'Tamora...

Dzikię, poszarpane turnie przedemną — i Ziemia, już prawie w zenicie — w pełni jak kwiat rozwinięta — i słońce tuż pod nią...

Starczy jeszcze żywności i starczy powietrza — oby sił

także starczyło! — Ubywa mi ich coraz więcej, gwałtownie, nagle... Wiem, że umrę tutaj... Sypiać już zdawna nie mogę, nawet w nocy, nawet w czas południowego żaru. Gdym zasnął poraz ostatni, kędyś w pośrodku *Morza Dźdźów*, po słońca zachodzie, prześladowały mnie we śnie różne głosy i zwidzenia. Naprzód zdawało mi się, że słyszę za sobą wołanie pozostawionego ludu, który mnie błagał, abym powrócił i bronił go przed księżyczanami, którzy przebyli już równikowe morze i palą mu chaty i zabijają żony i dzieci... Zaledwie usnąłem, zbudzony tą marą, gdy znowu pokazały mi się postacie moich zmarłych przyjaciół i towarzyszy. Witali mnie pośród siebie i wzywali, abym do nich poszedł, cień między cienie — bładzić po pustce na wiekuistość... A wreszcie śniło mi się, że mnie wołano ze Ziemi — i to był jedyny głos, któremu odpowiedziała cała moja istota.

Zbudziłem się i idę za tym głosem, o, bracia moi ziemscy, i wiem, że już nie zasnę, aż wtedy, gdy wolno mi będzie w śnie ostatecznym na zawsze przymknąć powieki.

To już niedługo — wszak prawda? — niedługo...

*

Nad grobem O'Tamora — w ostatnią godzinę.

Niech Bogu będą dzięki Najwyższemu: znalazłem drogę i miejsce owo... przekłete! gdzie poraz pierwszy dotknęła noga nasza księżycowego gruntu i... błogosławione! skąd posłać mogę na Ziemię wieść o sobie.

Stoję nad trupem starca O'Tamora i dziwię się, widząc, że młodszy jest odemnie, żywego. Lata przeszły nad nim, nie dotknąwszy go, tak jak wiatr lekki przechodzi nad granitowymi skałami. Tu, w tej pustce bezpowietrznej, niema zepsucia: starzec O'Tamor wygląda tak, jak w chwili, gdyśmy go opuszczali, patrzy nieustannie w błyszczącą Ziemię szeroko rozwartymi

martwemi oczyma. A ja, który młodzieńcem odszedłem od jego grobu, stoję teraz nad nim z siwą po pas brodą i resztką siwych włosów na wyłysiałej czaszce i z przerażeniem w gasnących oczach...

Zadługo żyłem, starcze O'Tamorze! zadługo żyłem!

Dziś znalazłem: gotowe jest i niezepsute; czeka na mnie od pięćdziesięciu lat z górą... A oto piszę ostatnie wyrazy, nim zamknę te papiery w kuli, która je poniesie ku Ziemi.

Zapasy żywności już się wyczerpały, powietrza starczy mi zaledwie na dwie lub trzy godziny. Muszę się spieszyć.

Od EXODU naszego dni księżycowych siedmset i siedm.

O, Ziemi! — O, Ziemi utracona!

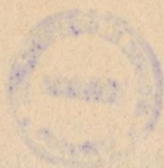
.....



NA TEM URYWA SIĘ RĘKOPIS, ODNALEZIONY W KULI,
SPADŁEJ Z KSIĘŻYCA.

Pisałem w Krakowie, w zimie 1901—2

~~Państwowe
im. St.
we Lwowie.~~
uchroniarskie
howicza



2011 - 02

05. 05. 1999

2009 - 09 - 02

2013 - 03 - 02

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
W GLIWICACH

14309